



W
ab
ydawnic
two

TOMASZ LIS

HISTORIA PRYWATNA

Tomasz Lis

Historia prywatna



Copyright © by Tomasz Lis, 2018.

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

Spis treści

[Cichy cud](#)

[Cronkite'em pan nie zostaniesz](#)

[This is America](#)

[Placówka](#)

[Fakty i akty](#)

[Co z tą publiką](#)

[Powrót na żywo](#)

[Na papierze](#)

[Wprost do „Newsweeka”](#)

[197 sekund](#)

[Demokracja ludowa](#)

[Trzeba biec](#)

[Zdjęcia](#)

Cichy cud

Było w tym dniu na pewno coś świątecznego. Pamiętam, że założyłem spodnie w kant, raczej zimową niż letnią marynarkę, miałem zresztą tylko jedną, koszulę i krawat, a w klapę marynarki wpiąłem znaczek „Solidarność – tak”. Ale nie czuło się, że za progiem jest jakaś nowa Polska. Nie pachniało wcale jutrzenką swobody. Pogoda w Zielonej Górze, gdzie wciąż byłem zameldowany, była marna – wiatr, krople deszczu. Zemsta za 45 lat PRL nie miała w sobie nic monumentalnego. W lokalu wyborczym wszedłem za kotarę i mocno przyciskając do kartki długopis, wykreślałem metodycznie, jedno po drugim, nazwiska wszystkich przedstawicieli władzy, którzy znaleźli się na tak zwanej liście krajowej. Ile czasu mogło mi to zająć? Minutę? Na pewno niewiele więcej.

Dziś często słychać, że 4 czerwca 1989 roku nastąpił historyczny przełom, ale wtedy takiego przekonania wcale nie było. Nie tylko w tamtą niedzielę, ale także następnego dnia. Stałem w gęstniejącym tłumie przed kawiarnią Niespodzianka na placu Konstytucji w Warszawie. Przed nią stała wielka tablica, na której zawieszano podłużne karteczki z nazwiskami kandydatów Solidarności, o których wiadomo już było, że zdobyli mandaty posłów i senatorów. Karteczek było coraz więcej, radość była coraz większa, a ja co kilkanaście minut biegałem na szóste piętro w budynku tuż obok, by przekazać dobre wieści mieszkającej tam mojej dziewczynie. Ale na ulicy nie było szalonego entuzjazmu. Raczej ulga, że komuniści nie będą mogli szydzić z Solidarności, tak jak robili to niemal przez całą minioną dekadę. Jeśli przełomy historyczne potrzebują jakiejś

imponującej, pełnej rozmachu scenografii, to tu niczego takiego nie było. Wręcz przeciwnie. Trudno się dziwić, że niedługo potem świat uznał, że tak naprawdę komunizm padł nie w Warszawie, ale w Berlinie.

Zwycięstwo Solidarności czy – jak mówiliśmy wtedy: drużyny Lecha – było imponujące. Wzięła niemal wszystko, co było do wzięcia, i w następnych tygodniach, miesiącach i latach udało się w sumie stworzyć mit o narodzie, który przy pierwszej nadarzającej się okazji dał komunistom „czerwoną kartkę” i obalił PRL. Ale to był mit. Prawda była taka, że po 40 latach PRL prawie 40 proc. Polaków nawet nie pofatygowało się do lokali wyborczych, uznając najwyraźniej, że sprawa ich nie dotyczy. Zrobili tak, choć zemsta była bezkrwawa, a wykonanie kilkudziesięciu ruchów długopisem nie łączyło się ani z wysiłkiem, ani z ryzykiem. A spośród tych, którzy głosowali, niewiele mniej niż połowa głosowała na kandydatów władzy.

Wszyscy patrzyli wtedy na karteczki z nazwiskami zwycięzców z Solidarności. Na frekwencję i w sumie naprawdę duże poparcie dla przedstawicieli podobno powszechnie znienawidzonej władzy nie patrzył niemal nikt. Choć właśnie w tym tkwiła zapowiedź przyszłych zdarzeń. Tego, jak pierwszy od pół wieku niekomunistyczny premier poniósł w wyborach prezydenckich upokarzającą porażkę z kosmitą z Peru. A potem obóz Solidarności, zdobywszy władzę, już po czterech latach musiał ją oddać. I wydarzeń znacznie późniejszych, gdy w polskiej polityce pojawił się raczkujący wtedy populizm symbolizowany przez Samoobronę Leppera, i jeszcze później, gdy radykalizm, populizm, demagogia i kłamstwo wzięły władzę i zapanowały nad Polską.

Ale to było później, znacznie później. Teraz było co innego. Z ciężkim jak diabli plecakiem, wypełnionym puszkami z paprykarzem szczecińskim i kilogramami suchej kiełbasy, którą nie wiem gdzie i jak zdobyli rodzice mimo kartek, próbowałem na stacji kolejowej w Zielonej Górze wgramolić się do pociągu jadącego do Świnoujścia. Tam zamierzałem wsiąść na prom do Ystad w Szwecji, a stamtąd autostopem jechać 700 kilometrów na północ. Cel był taki jak rok wcześniej - torfowiska niedaleko miasteczka Lillestrøm, jakieś 20 kilometrów od Oslo, na których miałem pracować jak poprzedniego lata. Tym razem - inaczej niż wtedy i dwa lata wcześniej w Londynie - legalnie.

W Polsce mogła wybuchać wolność, mogły następować niespodziewane zmiany, ale szczerze przyznaję, że równie intensywne jak marzenia o wolnym kraju, były moje marzenia o kawałku własnej podłogi, o kawalerce, gdzie po latach spędzonych w małych pokoikach mógłbym się poczuć wreszcie u siebie. Nie, przez te wszystkie lata nie cierpiałem, ani mieszkając w samym centrum Warszawy, na Żurawiej, tuż przy placu Trzech Krzyży, we wnęce niewielkiego mieszkania starszego pana, ani w pokoiku w mieszkaniu starszej pani na odległej od centrum Chomiczówce. Ta Chomiczówka była na końcu świata, hen hen, za cmentarzem na Powązkach, ale miała jeden plus. Mieszkałem tuż przy pętli autobusów nr 116 jeżdżących z Żoliborza pod uniwersytet i bladym świtem mogłem zająć miejsce siedzące, by wygodnie czytać „Przegląd Sportowy”, wkuwać jakiś kolejny kodeks albo - najlepiej - spać. To wszystko w najmniejszym stopniu nie gasiło mojego marzenia o kawalerce, do której mógłbym wrócić nawet po godzinie 22.00 i bezczelnie nalać o tej porze wodę do wanny, czyli zrobić coś, do czego przez poprzednich pięć lat nie miałem prawa.

Mało kto wie, co się robi na torfowisku. Najpierw koparka wydobywa z długiego czasem na kilometr, głębokiego rowu wielkie wilgotne kłocce torfu, potem trzeba je podzielić na mniejsze, po kilku dniach odwrócić, wreszcie poukładać tak jak cegły, tylko z jak największymi prześwitami między poszczególnymi kawałkami, by torf jak najszybciej wysechł. Najtrudniejsza jest faza trzecia. Wążący 30-40 kilogramów kłoc trzeba podnieść i odwrócić. I tak jeden po drugim, setki, może tysiące. Rok wcześniej po dwóch dniach takich podrzutów na wiele godzin straciłem słuch. Praca jest więc diabelnie ciężka, ale znowu nie cięższa niż robota na zmywaku, rozwalanie młotem pneumatycznym rur kanalizacyjnych w remontowanym domu, robota w wytwórni naszyjników czy praca w ogrodzie, czym wcześniej zajmowałem się w Londynie. Na torfowisku jest czyste powietrze, obok są lasy, w których rośnie masa jagód, więc można też zjeść, nie wydając ani korony - bezcenne, gdy głupi bochenek chleba kosztuje siedem koron, więcej niż dolara, a człowiek liczy każdy grosz.

Mieszkaliśmy wtedy, chyba z dziesięciu chłopów, w drewnianej chatce obok torfowiska. Podłoga, na niej materac, jakiś kocyk, tyle. Bez ciepłej wody, żaden wielki problem, choć prawie trzy miesiące później było już widać, że człowiek nie umyje się w zimnej wodzie tak, jak w ciepłej. Doszorowywać się trzeba kilka dni.

Mieliśmy w domu radyjko, na którym czasem można było złapać Wolną Europę, więc wiedzieliśmy mniej więcej, co się dzieje w kraju. Usłyszeliśmy na przykład o dziwnej i niemądrej, jak sądziłem, decyzji Solidarności, by pozwolić władzy uzupełnić miejsca poselskie nieobsadzone przez wykreślanych masowo ludzi z listy krajowej. To po to ich skreślałem, żeby na ich miejsce

weszli jacyś inni delegowani przez PZPR? Pewnie Solidarność miała jakieś powody, by się na to zgodzić, ale nawet jeśli je rozumiałem, to tego nie popierałem. Za lata komuny należała się jakaś satysfakcja moralna, a ludzi właśnie jej pozbawiono. Potem była nieudana próba stworzenia rządu przez generała Kiszczaka. Po drodze upokarzający wybór na prezydenta generała Jaruzelskiego, którego kandydatura przeszła większością jednego głosu, niepowodzenie misji Kiszczaka, pomysł Adama Michnika „Wasz prezydent, nasz premier”, wreszcie manewry Lecha Wałęsy, któremu pomagali w tym bracia Kaczyńscy, by wykolegować PZPR i stworzyć koalicję z ZSL i SD. Wiele się działo, ale z daleka wciąż nie wyglądało to na przełom. Kandydat na premiera Kiszczak, prezydent Jaruzelski – bardziej niż historyczną zmianę przypominało to kontrolowane doświadczenie w laboratorium chemicznym. Do głowy by mi nie przyszło, że za chwilę historia nabierze tempa i Solidarność naprawdę przejmie władzę. A gdyby mi ktoś powiedział, że za 10 miesięcy będę pracował w TVP, a za rok będę robił w Belwederze wywiad z prezydentem Jaruzelskim w rocznicę jego wyboru, uznałbym go za człowieka niespełna rozumu.

Ale to miało dopiero nadejść. Na razie wypłaciłem z banku 5700 dolarów, które zarobiłem, pracując od świtu do nocy przez 80 dni. Od tego zapłaciłem prawie 2000 dolarów podatku. Zostało mi dokładnie 3750 dolarów, wtedy majątek. Zwitek z pieniędzmi wsadziłem do kieszeni flanelowej koszuli. Kieszeń zabezpieczyłem agrafkami, a potem kilkakrotnie obszyłem. To był mój skarb, większa część mojego pierwszego własnego mieszkania. Trzeba było to zabezpieczyć przed powrotem do domu – autostop, prom, nocny pociąg.

W Zielonej Górze wylądowałem 2 września. W mieszkaniu

rodziców nikogo nie było. Byłem skonany. Położyłem plecak pod drzwiami, zrobiłem sobie z niego poduszkę i zasnąłem. Znaleźli mnie kilka godzin później. W dobrym momencie. Gdy włączyliśmy telewizor, na trybunę wchodził Tadeusz Mazowiecki, by wygłosić exposé.

Grzebię teraz w pamięci i zastanawiam się, czy mieliśmy w tamtych dniach poczucie historycznej wagi wydarzeń. Tak, działo się coś niezwykłego, rok wcześniej zupełnie nieprzewidywalnego. Tak, komuniści byli w odwrocie, ich armia pokonana i zdemoralizowana. To było oczywiste, ale wciąż trudno było sobie wyobrazić, jak to wszystko wpłynie na życie zwykłego człowieka. „Dziennik Telewizyjny” nie kłamał już tak jak zawsze (do wzorca patologicznych kłamstw miał wrócić 27 lat później), po niedługim czasie opozycja już rządziła, nie trzeba było się martwić, czy będzie można znowu dostać paszport. To nie były drobiazgi. Przeciwnie. Ale jaki był związek tego wszystkiego z moim życiem?

Trzeba było na dziennikarstwie napisać pracę magisterską, kończyć prawo, pomyśleć co z wojskiem, które wisiałoby nade mną, gdybym studia skończył. I najważniejsze - co z moją kawalerką. Zdawało mi się, że wciąż brakuje mi sporo pieniędzy. Pojechaliśmy wtedy z dziewczyną do Zakopanego, a mnie prześladowała myśl o zupełnie innej randce. Tuż po powrocie miałem się zgłosić do konsulatu brytyjskiego, żeby się dowiedzieć, czy dostanę wizę. Zgoda oznaczała, że znowu spakuję plecak i pojedę na rok pracować do Londynu na jakimś zmywaku albo cholera wie gdzie. Nienawidziłem tej myśli, ale przecież na te 20 metrów kwadratowych w Polsce nie zarobię nigdy, prawda? Więc nie było wyjścia.

Nie zawsze w momencie porażki, a tym bardziej klęski, pojawia

się w głowie myśl, że to zbawienie. Raczej jest żal, złość, upokorzenie. Tak było 13 lipca 1984 roku, gdy oblałem we Wrocławiu egzamin na medycynę. Patrzyłem na listę kandydatów, zabrakło mi kilku punktów. Wiele lat później przyszło mi do głowy, jak wielkie miałem tego dnia szczęście, jak zupełnie inaczej potoczyłoby się życie, gdybym na kilka pytań z fizyki czy z chemii odpowiedział lepiej. Ale wtedy zawalił mi się świat i ani papierosy extra mocne, ani kolejne kieliszki wódki w jakimś barze w centrum Wrocławia nie były skutecznymi lekami znieczulającymi. To była trauma, jakiś wstyd, bo chyba nigdy wcześniej ani potem nie pracowałem tak ciężko jak przez te cztery lata w liceum.

Teraz rozmowa z jakimś dżentelmenem w brytyjskim konsulacie miała być odpowiednikiem tamtej chwili w Akademii Medycznej we Wrocławiu. Krótka piłka. Odmowa. *Thank you, bye, bye*. Pożegnałem się i wyszedłem. Co za ulga. Serio. Jak ja strasznie nie chciałem tam jechać. Rok poza krajem, znowu na zmywaku albo na budowie zamiast na uniwersytecie. Gdybym dostał wizę, pojechałbym. Dzięki Bogu, nie dostałem. Oczywiście nie mogłem wtedy wiedzieć, że to było coś więcej niż zwykła odmowa wizy. Że to oznacza, iż będę mógł skorzystać z wielkiej szansy, która niebawem pojawi się niespodziewanie.

Nadeszła jesień. Tradycyjnie krążyłem między uniwersytetem a Chomiczówką. Kończyłem pracę magisterską na dziennikarstwie, zdawałem ostatnie egzaminy na prawie. Do finału zostały mi trzy, więc szykowało się pisanie kolejnej pracy magisterskiej. Tylko czy ja mam jeszcze głowę do prawa, zastanawiałem się. Większość moich koleżanek i kolegów z zapalem uczyła się prawa obrotu gospodarczego, wkuwała

jakieś kodeksy handlowe, a ja miałem to wszystko centralnie gdzieś. Najbardziej interesowało mnie prawo międzynarodowe publiczne, a szczególnie karne. Ćwiczenia z karnego prowadził późniejszy rzecznik praw obywatelskich, Janusz Kochanowski, który zginął w Smoleńsku. Gdy któregoś dnia doktor Kochanowski zaprosił legendarnego mecenasa Krzysztofa Piesiewicza, który opowiadał między innymi o procesie zabójców księdza Popiełuszki (był pełnomocnikiem rodziców księdza), utwierdziłem się w przekonaniu, że chcę być adwokatem, obrońcą więźniów politycznych. Bo niby gdzie miałbym być dziennikarzem? W grę wchodziła tylko jakaś redakcja sportowa, ale dziennikarstwo sportowe wykluczałem. Za bardzo kochałem sport. W 1987 roku Legia Warszawa grała w europejskich pucharach z Interem Mediolan. Poszedłem na trening piłkarzy Interu dzięki akredytacji ze „Sztandaru Młodych”, gdzie pisałem o barach mlecznych, nieświecących się ulicznych neonach i ciągnącym się w nieskończoność remoncie hotelu Bristol. Stałem koło boiska, na którym biegali słynni Karl Heinz Rummenigge i Daniel Passarella. I dokładnie wtedy zdecydowałem, że dziennikarzem sportowym nie będę nigdy. Gdy oglądałem tych piłkarzy w telewizji albo z trybun, byli bogami. Gdy stałem tuż obok, widziałem zwykłych ludzi. Magia znikwała. Zdecydowanie wolałem ocalić magię, niż zdobyć etat w jakiejś sportowej redakcji.

A więc adwokatura. Długo myślałem o aplikacji, ale tu z kolei nie pomogła mi historia. PRL nagle padł, więźniów politycznych nie było, nie było kogo bronić. Już wiedziałem, że togi nigdy nie włożę. Co będę robił, tego jeszcze nie wiedziałem.

Solidarnościowej rewolucji przyglądałem się jednocześnie z entuzjazmem, bo trwała, i ze sceptycyzmem, bo była taka

ślamazarna. Przyznaję, że denerwowała mnie „Gazeta Wyborcza”, która tę powolność wspierała. Wolałem „Tygodnik Solidarność”, kierowany przez Jarosława Kaczyńskiego, który wzywał do przyspieszenia. Najbardziej lubiłem teksty Piotra Wierzbickiego, Krzysztofa Czabańskiego i Andrzeja Urbańskiego, którzy dość bezpardonowo atakowali środowisko profesora Bronisława Geremka i Adama Michnika. Mnie się też ta kontrolowana zmiana nie podobała. Nie, nie chciałem żadnej rewolucji, palenia budynków, żadnych szafotów, szubienic, pokazowych procesów. Żadnej zemsty. Wobec winnych stanowcze rozliczenie, ale bez krwawej łaźni, jaka zdarzyła się kilka miesięcy później w Rumunii. W tamtym czasie najbardziej nie podobało mi się traktowanie jak Pisma Świętego porozumienia z postkomunistami, zawartego przez nich w momencie, w którym totalnie dominowali, w sytuacji, gdy Polska otoczona była przez „morze czerwone”. Ale po kilku miesiącach sytuacja była przecież zupełnie inna.

Jesienią 1989 roku komunizm padał wszędzie dookoła i nagle można było odnieść wrażenie, że Polacy, którzy przed chwilą byli w awangardzie zmian, lądują w ogonie. Historia wysyłała byłych komunistów w kosmos, a nowa władza w Polsce zachowywała się tak, jakby byli oni nietykalni. To, co działo się wcześniej, gdy dało się to jeszcze wytłumaczyć, było, według mnie, kontynuowane zupełnie niepotrzebnie. 33 nieobsadzone miejsca na liście krajowej – Solidarność pomaga władzy je obsadzić. Kandydatura Jaruzelskiego na prezydenta – Solidarność pomaga go wybrać. Wycofanie wojsk sowieckich z Polski – nie ma tematu. Nowe, naprawdę wolne wybory – bez pośpiechu. Dziś lepiej rozumiem motywy Mazowieckiego i jego otoczenia. Trzeba było błyskawicznie ratować gospodarkę i w biegu przeprowadzać eksperyment, jakiego w historii świata nie było – przejście od

komunizmu do gospodarki rynkowej. Sytuacja wokół Polski była niestabilna. Postkomuniści wciąż mieli ogromne wpływy w polskim wojsku i milicji. Nowa władza nie chciała antagonizować milionów byłych członków PZPR i ich rodzin. Miała zresztą rację, bo wielka przemiana potrzebowała ich wsparcia, a nie wrogości. Wszystko to prawda, a jednak uważałem, że należało szybciej, mocniej i ostrzej. Wiał wiatr historii. Trzeba było chwytać go w żagle, a nie dzielić włos na czworo.

Skala historycznych przemian wokół Polski zapierała dech w piersiach. Mur berliński się walił. Dyktator Ceaușescu został rozstrzelany. Dyktator NRD Honecker uciekał do Ameryki Południowej. Inni przywódcy demoludów znikali w niesławie. Prześladowany chwilę wcześniej Václav Havel zostawał prezydentem Czechosłowacji, a u nas prezydentem był Jaruzelski. To prawda, w niczym nie przeszkadzał, co trzeba, podpisywał, ale z punktu widzenia choreografii i scenografii historii był to jakiś groteskowy żart. Broń Boże, nie chciałem, by go potraktowano jak dyktatora Rumunii. Pragnąłem po prostu, by odszedł, bo jego obecność w Belwederze i posługiwanie się tytułem prezydenta były jakimś dziwactwem. Szczególnie że w tym samym czasie Mazowiecki, Geremek czy Michnik traktowali Wałęsę jak uzurpatora i sprawiali wrażenie, że, owszem, chcą zniknięcia, ale właśnie Wałęsy, a nie Jaruzelskiego.

Lecha Wałęsę, przyznaję, kochałem. Tak, czasem zachowywałem się strasznie, impertynencko i arogancko, jak w czerwcu 1990 roku, gdy na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego w Auditorium Maximum UW wzywał do tablicy jak szczeniaka redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego” Jerzego Turowicza. Był,

prawda, nieokiełznany. Rzeczywiście, czasem trudno było go sobie wyobrazić nie w roli trybuna ludowego, ale w ramach opisanego przez prawo porządku sprawowania władzy. To jednak był Wałęsa, najlepszy znak rozpoznawczy Polski, idol tłumów, symbol solidarnościowej rewolucji. Myśl, że można było uznać jego rolę za skończoną i trzymać na swoistym wygnaniu w Gdańsku, wydawała mi się po prostu idiotyczna. A dokładnie taki był cel ludzi, którzy rządili wtedy w Warszawie. To się nie mogło udać i za diabła do dziś nie jestem w stanie pojąć, jak mogło im się wtedy wydawać, że jest to możliwe.

31 sierpnia 1980 roku widok Wałęsy w telewizji z tym koszmarnym gigantycznym długopisem i z wielkim różańcem na szyi raczej mnie zadziwił. Na mój gust trochę to było za bardzo odpustowe, ale to były drobiazgi. To był ten człowiek, o którym kilka dni wcześniej słyszałem w Wolnej Europie, że mądrze kieruje strajkiem w Stoczni Gdańskiej i jest na okładce tygodnika „Time”. To był ludowy przywódca, nasz przywódca.

Pamiętałem listopad 1981 roku. Wałęsa gasił wtedy jakiś strajkowy pożar niedaleko Zielonej Góry i w środku dnia gruchnęła wiadomość, że spotka się z ludźmi w miejscowym amfiteatrze. Tym samym, w którym odbywał się co roku festiwal piosenki radzieckiej. Mieliśmy do niego z ogólniaka jakieś 800 metrów. Oczywiście urwaliśmy się z lekcji i pobiegliśmy na to spotkanie. Gdy się zaczynało, jakiś pan zapowiedział, że można na kartce napisać pytania do przewodniczącego Wałęsy. Wyjąłem z plecaka jakiś kawałek papieru, szybko napisałem cztery pytania i wrzuciłem kartkę do czapki, z którą chodził prowadzący spotkanie. Kilka minut później Wałęsa szczęśliwym trafem wyjął właśnie tę kartkę i odpowiedział na wszystkie pytania. Miałem 15 lat. Uznałem, że to mój pierwszy w życiu prawdziwy wywiad.

Nawiasem mówiąc, zadałem w nim więcej pytań niż w prawdziwym wywiadzie z prezydentem Jaruzelskim dziewięć lat później.

Potem był Wałęsa internowany, Wałęsa noblista, Wałęsa w transmitowanej w TVP debacie z przewodniczącym OPZZ Alfredem Miodowiczem, gdy niewidziany od tyłu lat powiedział: „Dobry wieczór państwu”, i praktycznie załatwił sprawę oraz Miodowicza. Później sukces drużyny Wałęsy i jego wystąpienie w amerykańskim Kongresie. *We, the people*, „My, naród”, tłumaczone przez mojego późniejszego kolegę, Jacka Kalabińskiego. I członkowie połączonych izb Kongresu klaszczący mu na stojąco 22 razy w trakcie przemowy. Wałęsa był liderem wielkiej zmiany. Nikt inny nie mógł być – według mnie – prezydentem wolnej już Polski. Tak sobie myślałem wtedy, wkuwając do kolejnych egzaminów w małym pokoiku na Chomiczówce. Tak mówiłem koleżankom i kolegom z uniwersytetu, gdy gadaliśmy o polityce. Choć te rozmowy i ten etap – studia i beztroskie uniwersyteckie życie – właśnie definitywnie się kończyły.

Cronkite'em pan nie zostaniesz

- Zapraszamy kandydatów, którzy chcieliby wziąć udział w konkursie na prezenterów „Wiadomości” - ogłosił na zakończenie programu gdzieś w drugiej połowie stycznia 1990 roku prowadzący Wojciech Reszczyński. Nie chciałem być żadnym prezenterem. Chciałem być dziennikarzem. Ale to wtedy nie miało znaczenia. Jakoś trzeba było do tych „Wiadomości” wejść. Konkurs był w lutym. Udało się, co uważam za wielki sukces, biorąc pod uwagę mój chroniczny szczękościsk, z którym nie byłem sobie w stanie poradzić. To z tamtego konkursu są Jarek Gugala i Jola Pieńkowska. Jola była stewardesą, potem pracowała w ambasadzie USA, Jarek przymierzał się do MSZ, ale wybrał telewizję. Potem wielotygodniowy kurs i szkolenia na Woronicza. Wreszcie zapowiedź naszego debiutu. Mój miał wypaść 3 maja 1990 roku. Data łatwa do zapamiętania. Miałem prowadzić świąteczne późnowieczorne wydanie „Wiadomości”, pewnie o 23.30.

Jak ja się denerwowałem. Przed występem kilka godzin „rozgrzewałem szczękę” i wykonywałem serię rozluźniających ćwiczeń z dykcji: a-o-u-e-i-o. Wadę wymowy trzeba było ukryć. Co kilka minut brałem małe łyki jakiegoś nerwosolu. Nie wiem, czy pomagało, bo wciąż byłem przerażony. Na szczęście rozmowę z Danielem Olbrychskim, której bałem się najbardziej, nagrywaliśmy wcześniej.

Pana Daniela zobaczyłem na trzecim piętrze budynku na placu Powstańców. - To dzisiaj pan debiutuje? - Tak, odpowiedziałem. - Wie pan co, tak się rozglądam - powiedział - bo właśnie mi się przypomniało, że debiutowałem dokładnie w tym budynku, na tym

piętrze, ze 35 lat temu w teatrze radiowym dla dzieci. I widzi pan, jakoś mi w życiu poszło. Więc niech pan będzie spokojny, panu też pójdzie.

Poczułem ulgę, Olbrychski był życzliwy i nic nie wskazywało na to, że chce mnie zjeść. Ale chyba nie bardzo wierzyłem w skuteczność tych życzeń, tym bardziej że otoczenie, delikatnie mówiąc, nadmiernie życzliwe nie było.

Wokół pełno było starych wiarusów „Dziennika Telewizyjnego”. Czuli, że ich czas dobiega końca. Za długo służyli złemu panu. Byłem dla nich zwykłym smarkaczem i żółtodziobem. Ale pojawienie się na placu Powstańców takich jak ja było znakiem, że nadchodzi nowe, a stare musi odejść. Stare było cyniczno-sardoniczne. – Co, dzisiaj debiut? – szydził w dniu mojego pierwszego występu sekretarz redakcji „Dziennika Telewizyjnego”. – Relaks, pan się nie denerwuje. Cronkite’em pan i tak nie zostaniesz.

W żaden sposób na to nie zareagowałem, nie miałem pojęcia, kim jest ten cały Cronkite. Czułem tylko, że na uszach stanę, żeby tym Cronkite’em zostać. Dopiero potem przeczytałem – Walter Cronkite, legendarny prowadzący, *anchor*, jak mawiają Amerykanie, czyli kotwica, programu informacyjnego CBS News, takich amerykańskich „Wiadomości”. Prowadzący, gospodarz, wydawca, maestro.

Tak, zostać w przyszłości Cronkite’em to by było coś. Na razie trzeba było jednak przebrnąć przez te wieczorne „Wiadomości”. Nawet nie błysnąć talentem. Tak daleko moja ambicja nie sięgała. Chciałem po prostu przeżyć, nie umrzeć ze zdenerwowania, nie uciec ze studia. I udało się. Gdy około północy wyszedłem na ulicę Jasną, obok siedziby „Wiadomości”, wydarłem się z radości. Guzik mnie obchodziło, ile razy w ciągu kwadransa się potknąłem, ile

słów przeczytałem średnio wyraźnie albo niewyraźnie. Przeżyłem!

W lipcu 1990 roku moje życie zmieniło się diametralnie. To nie był żaden krok dla ludzkości, ale dla mnie krok wielki, a może nawet trzy, od ściany do ściany mojej kawalerki na ulicy Nowolipki. Od ściany do ściany było naprawdę niedaleko. Pokoik, wnęka kuchenna, maleńka łazienka. Razem 19,8 metrów kwadratowych. Maleństwo, które przyniosło mi wielką zmianę. Pierwszy raz w życiu byłem całkowicie u siebie. Żaden samochód, żadne mieszkanie, żaden dom, nic, co miałem później, nie zmieniło mojego życia tak, jak ta kawalerka. Na plac Powstańców szedłem z Nowolipek 25 minut. Jeśli wsiadałem w tramwaj albo autobus, byłem na miejscu w 15-20 minut. Wielka zmiana od czasów, gdy po wieczornych „Wiadomościach” kierowca rozwoził samochodem do domów kierowników produkcji, panie maszynistki i mnie, a ja, jako mieszkający najdalej, lądowałem na Chomiczówce często po pierwszej w nocy.

W połowie lipca, gdzieś w okolicach rocznicy bitwy pod Grunwaldem, niespodziewanie wezwał mnie do siebie szef „Wiadomości” Jacek Snopkiewicz. Nie bardzo wiedziałem w jakiej sprawie, czułem się więc jak w czasach szkolnych, gdy ojciec szedł na wywiadówkę, a ja wiedziałem, że dostanę jakiś OPR, ale nie wiedziałem, z którego paragrafu. Byłem więc totalnie zaskoczony, gdy usłyszałem, że 19 lipca mam zrobić wywiad z prezydentem Jaruzelskim, który będzie nadany po „Wiadomościach”. Pracowałem w TVP dwa miesiące z maleńkim okładem i mam rozmawiać z prezydentem? Do tego z Jaruzelskim? Następne dni spędziłem, układając sobie kilka pytań, i nagle wydało mi się to dużo bardziej skomplikowane niż ułożenie pytań do Lecha Wałęsy dziewięć lat wcześniej, co wtedy

zajął mi dwie minuty. Z nieznanых powodów uznałem, że teraz nadeszła dla mnie chwila wiekopomna, która zdecyduje o całej mojej przyszłości. Pierwsze pytania były natury ogólnej, w gruncie rzeczy istotne było wyłącznie to, które chciałem zadać jako ostatnie.

Popołudnie w Belwederze. W salonie na piętrze spotkanie z generałem prezydentem. Wszyscy na baczność. Wszyscy, bo na miejscu byli też szef TVP Andrzej Drawicz, szef „Wiadomości” oraz jego zastępcy. Zebrałem wszystkie siły witalne, by zadać to ostatnie pytanie bez pewności, czy generał nie wyciągnie pistoletu i mnie nie zastrzeli. Choć szczerze mówiąc, raczej się na to nie zanosilo. Jaruzelski zupełnie nie przypominał groźnego dyktatora, którego pamiętałem, gdy występował w telewizji i ogłaszał stan wojenny. Wtedy, mając 15 lat, płakałem ze złości, że Solidarność właśnie jest mordowana i nastał czas mroku. Teraz miałem przed sobą kulturalnego starszego człowieka, który wyglądał na równie spiętego.

- Panie prezydencie, czy nie uważa pan, że biorąc pod uwagę szybko zmieniającą się sytuację w kraju, już wkrótce będzie pan musiał podjąć decyzję o rezygnacji z urzędu? - wydusiłem z siebie pytanie i zamarłem. Ku mojemu zdziwieniu generał nie tylko mnie nie zastrzelił, ale spokojnie odpowiedział, że wydaje mu się to coraz bardziej prawdopodobne, zależy mu jedynie na tym, by przekazanie władzy następcy odbyło się bez zbędnych perturbacji. Spokojnie, z klasą. Następnego dnia ten cytat z Jaruzelskiego trafił do „New York Timesa”. Z przykrością przyznaję, że już nigdy potem żaden fragment robionego przeze mnie wywiadu do „New York Timesa” nie trafił.

Los Jaruzelskiego był przesądzony. Pytanie brzmiało, kto go

zastąpi. Dla otoczenia Tadeusza Mazowieckiego było jasne, że powinien go zastąpić właśnie premier. Nie było tylko pewności, czy w ogóle zechce startować. Dla Wałęsy i jego ludzi pewne było co innego. Prezydentem Polski może być tylko Lech Wałęsa i nim będzie, a kto sądzi inaczej, popełnia wielki błąd.

Już na początku kwietnia na spotkaniu u arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego w Gdańsku, w obecności między innymi Geremka, Mazowieckiego, Michnika i Jana Olszewskiego, Wałęsa z właściwą sobie bezceremonialnością powiedział krótko: „Panowie, ja i tak będę tym prezydentem, bez względu na to, czy tego będziecie chcieli, czy nie”, o czym w swojej *Najnowszej historii Polski* pisze profesor Antoni Dudek. Przewodniczący Solidarności o swoim starcie w wyborach mówił wtedy: „Nie chcę, ale muszę”. Oczywiście musiał wyłącznie w tym sensie, że strasznie chciał.

Na potrzeby publiki w tamtym czasie utrzymywano jeszcze mit o obozie Solidarności i jego jedności, ale mit pękał, a i chęci do jego podtrzymywania było coraz mniej. Nie było już jednego obozu. Był obóz Mazowieckiego – Geremka – Michnika i obóz Wałęsy. Wałęsa świadomie postanowił spalić wszystkie mosty, ogłaszając „wojnę na górze”. Przekonywał, że podział całego ruchu na normalne partie polityczne będzie naturalny i pozwoli uniknąć społecznych niepokojów. „Wojna na górze to pokój na dole”, mawiał. I pewnie rzeczywiście chciał tego pluralizmu. Choć w pierwszej kolejności chciał prezydentury. I miał do tego pełne prawo. Uważałem, że Bronisław Geremek czy Tadeusz Mazowiecki nie tylko nie powinni torpedować prezydenckich planów Wałęsy, ale powinni je poprzeć. Utrzymanie tandemu prezydent Wałęsa–premier Mazowiecki byłoby szalenie trudne, ale antagonizm i wojna mogły być śmiertelnym ciosem dla całego

obożu. Wałęsy i tak nie dałoby się powstrzymać. Trzeba więc go było pobłogosławić. Było to jednak najwyraźniej zbyt logiczne, by mogło nastąpić.

Z jednej strony Wałęsa nakręcany przez braci Kaczyńskich, z drugiej premier Mazowiecki przekonywany przez swych zwolenników, że Wałęsa to groźny populistą, radykał i demagog, który może zniszczyć dzieło reform, a więc trzeba mu się przeciwstawić. Emocji było zbyt wiele. Ambicji jeszcze więcej. Tu nie było miejsca na kompromis. Musiało się skończyć pojedynkiem w słońcu.

Tak, kibicowałem Wałęsie. Tak, przewodniczący Solidarności rzeczywiście grał ostro, a czasem brutalnie i nie tylko jechał po bandzie, ale często przez nią przelatywał (aluzyjne „jestem stuprocentowym Polakiem”, które miało uderzać w premiera, a jednocześnie tworzyć paskudną sugestię, że prezydentem być nie może). Ale obóz Mazowieckiego grał równie brutalnie. Z człowieka, który przeniósł Solidarność w lepsze czasy i poprowadził Polaków do wolności, z kogoś, kto gadał często bez ogródek, ale wiele razy dawał dowody umiaru i powściągliwości, robili kandydata na dyktatora, który przy pierwszej okazji wsadzi swych oponentów do paki. „Wałęsa jest nieprzewidywalny, nieodpowiedzialny, niereformowalny i niekompetentny”, pisał Adam Michnik miesiąc przed wyborami w tekście zatytułowanym „Dlaczego nie oddam głosu na Lecha Wałęsę”. Fakt, Wałęsa bywał nieprzewidywalny. Ale jednak groteskowo i histerycznie brzmiał Michnik, gdy mówił: „Chcę mieć pewność, że jeśli ktoś zadzwoni do moich drzwi o 5 rano, będzie to mleczarz”. To był zwykły faul.

Obie strony nie szczędziły sobie razów. Ale nie miałem wątpliwości, że historyczną rację w tym momencie ma Wałęsa. Że

- co najważniejsze - dla Polski będzie lepiej, gdy prezydentem będzie właśnie on. W warszawsko-krakowskim obozie Mazowieckiego i Geremka, w okolicach „Gazety Wyborczej” i „Tygodnika Powszechnego”, było wielu ludzi wybitnych, zasłużonych, uczciwych i oddanych Polsce. Trudno sobie było wyobrazić budowę tej nowej Polski bez nich, bo byli to rzeczywiście najlepsi z najlepszych. Ale chyba nawet nie widzieli, że tę swoją „najlepszość” manifestują często w sposób irytujący. A ludzie to widzieli, czuli i coraz bardziej im się to nie podobało.

Od prawie 10 miesięcy wprowadzano w życie plan Balcerowicza. Dla milionów Polaków było to wielkie wyzwanie nie tylko ekonomiczne. Nastął czas niepewności. Co przyniesie jutro, czy mój zakład przetrwa? Poparcie dla przemian było wciąż wielkie, ale obawy, a często strach, były powszechne. W tym momencie na prezydenta, akuszera zmian, bezpiecznik, odgromnik, a czasem amortyzator najlepiej nadawał się Wałęsa. Mazowiecki, Geremek czy Michnik powinni byli wiedzieć, że Wałęsa niczego nie chciał rozwalać. Chciał po prostu, by nowa, demokratyczna Polska usankcjonowała stanowiskiem jego wielką rolę w demokratycznych przemianach. Miał do tego prawo.

Czy wierzyłem wtedy w głoszone przez Wałęsę hasło przyspieszenia? Tak. To był czas, gdy można już było, choćby ostrożnie, zarysować perspektywę naszego wyjścia z Układu Warszawskiego i z RWPG, zacząć głośno mówić o wyprowadzeniu z kraju sowieckich wojsk. I choćby w „Wiadomościach” pokazać wszystkim, że to nie kosmetyka, ale nowa Polska. Tymczasem na ekranie pojawiała się wielu z tych, którzy przez lata robili klękę Jaruzelskiemu, Rakowskiemu czy Messnerowi, służyli w „Dzienniku Telewizyjnym” w czasach, gdy to, co w nim

najważniejsze, redagowano i ustawiano w KC PZPR i w MSW. A na kolegiach i na korytarzach ciągle spotykałem ludzi, którzy byli gwiazdami komunistycznej propagandy, sprawozdawcami z procesu księdza Popiełuszki, wykonawcami partyjnych poleceń, lektorami w najbardziej paskudnych antysolidarnościowych materiałach. Nigdy nie byłem zwolennikiem jakiejś totalnej czystki, wywalania hurtem, ale III RP wydawała mi się jednak zdecydowanie zbyt pobłażliwa. I nie mogli tego nie wiedzieć zwykli ludzie, którzy kiedyś byli w Solidarności - teraz wielu traciło pracę, a oglądając telewizję, mogli mieć wrażenie, że nie tak wiele się zmieniło, a ci, którzy przez lata pluli im w twarz, wciąż mają się doskonale. Nie szło o zemstę. Raczej o akt elementarnej sprawiedliwości. O przyzwoitość.

W „Wiadomościach” poza Wojciechem Reszczyńskim, mną i chyba Jarkiem Gugałą absolutnie wszyscy kibicowali Mazowieckiemu. Gdy w newsroomie wyświetlano na zawieszonych pod sufitem monitorach materiały z jego wieców, zbiegali się wszyscy. Gdy na ekranie pojawiał się Wałęsa, rzucali pod nosem pogardliwe uwagi. Szybko nabrałem pewności, że wynik wyborów będzie dla nich ciosem.

Nie trzeba było czytać wyników sondaży. Wystarczyło pojechać w Polskę. Na wiecu Tadeusza Mazowieckiego w jego rodzinnym Płocku pełne kino. Spokojne wystąpienie premiera. Uprzejme brawa. Poważne pytania. Atmosfera jak na wykładzie w uniwersyteckiej auli. Kilka dni później wiec Lecha Wałęsy w Radomiu. Gdy w sali klubu Broń otworzyły się bramy, dosłownie wbiegły do niej tysiące ludzi. Gdyby rzucić zapalniczkę, wybuchłby pożar. Pojawienie się Wałęsy wywołało euforię. Przewodniczący całkowicie panował nad tłumem. On to czuł, oni

to czuli. To nie był zwykły kandydat. To był walec. Zestawienie tych dwóch obrazów z dwóch wieców robiło piorunujące wrażenie. Mazowiecki nie miał najmniejszych szans na zwycięstwo. Tajemnicą było tylko to, dlaczego on i jego ludzie sądzili, że może być inaczej.

Sondaże zresztą też nie kłamały. W połowie października na Mazowieckiego chciało głosować 45 proc. Polaków. Na początku listopada - 30-35 proc., tuż przed wyborami - 25 proc. Wałęsa szedł jak taran, Tymiński jakimś znanym sobie sposobem przemawiał do coraz większej rzeszy wyborców, a Mazowiecki kampanię prowadził niechętnie, jakby był nią zażenowany. Nawet jego ludzie nazywali batalię między Wałęsą a nim starciem między chamem a Hamletem.

W dniu wyborów z poparcia dla Mazowieckiego zostało 18 proc. Pierwszy niekomunistyczny premier RP, postać wyjątkowa, człowiek wybitny, uczciwy i dobry, poniósł straszliwą klęskę, chyba największą polityczną klęskę w całej III RP. Przegrać z Wałęsą - to można było zrozumieć. Ale z Tymińskim? I to wyraźnie, o 800 tysięcy głosów? To się nie mieściło w głowie. „W dniu wyborów ujawnił swoją obecność między nami *homo sovieticus*”, powiedział wtedy ksiądz Józef Tischner. Dosadnie. Protekcjonalnie. Może pogardliwie. Tak czy owak, wynik Tymińskiego wskazywał na charakterystykę części elektoratu, jego podatność na najbardziej absurdalne hasła i obietnice. Pokazywał, że istnieje rezerwuuar złości, frustracji, żalu, który - jeśli nie zostanie zneutralizowany - będzie można wykorzystać. Nie było tylko wiadomo, kto, kiedy i jak to zrobi. Ale że chętni się znajdą i że prędzej czy później im się uda - tego można było być pewnym.

Po pierwszej turze w „Wiadomościach” nastąpiło

przegrupowanie sił, co przyszło dość łatwo ludziom, którzy nauczyli się dostosowywać poglądy i sympatie do zmian na szczytach władzy i kolejnych zakrętów historii. Teraz już nie było wyjścia – za Wałęsą byli wszyscy, a w swym nagłym entuzjazmie szybko mnie prześcignęli.

2 grudnia, tydzień po pierwszej turze wyborów i tydzień przed drugą, w Audytorium Maximum UW odbył się wiec zwolenników Tadeusza Mazowieckiego. Premier poddał Wałęsę druzgocącej krytyce, ale wezwał, by dla dobra Polski głosować na lidera Solidarności. Po powrocie do redakcji szybko napisałem tekst, do którego miałem zmontować materiał. Zgodnie z procedurami tekst dałem do zatwierdzenia wydawcy. Był nim Jerzy Boćkowski, weteran „Dziennika Telewizyjnego”, były korespondent w Moskwie. Boćkowski wydawcą był bardzo sprawnym i przyznaję, że pracowało mi się z nim doskonale. Zwykle miał dyżury niedzielne, gdy w polityce działo się sporo, wszelkie zjazdy, kongresy partyjne, więc jeszcze w piątki pytałem go, czy też mogę pracować. Boćkowski chętnie się zgadzał, trudno było przecież znaleźć frajera, który z własnej woli w każdą niedzielę będzie od świtu do nocy biegał z kamerą.

2 grudnia było więc tak jak zwykle. Program wydawał Boćkowski, ja robiłem najważniejszy temat polityczny. Gdy przeczytał mój tekst, spojrział na mnie przenikliwym wzrokiem. – Redaktorze, widzę, że premier Mazowiecki potraktował przewodniczącego Wałęsę bardzo brutalnie. Sądzi pan, że te słowa muszą w „Wiadomościach” paść? – zapytał. – Oczywiście – odpowiedziałem. – Właśnie to jest istotą tego zdarzenia: Mazowiecki wezwał ludzi do głosowania na Wałęsę, ale skrytykował go strasznie za populistyczną kampanię

i demagogiczne hasła. - Bo wie pan - ciągnął niezrażony pan Jerzy - ja sobie myślę, że gdybyśmy tych ostrych słów nie dali, toby nas nie pochwalili, ale i nie skarcili.

Nie mogłem ustąpić, Boćkowski zresztą specjalnie nie oponował. Był zbyt inteligentny, by nie wyczuwać siły wiatru historii. Zanim wyszedłem z redakcji, dostałem polecenie, aby przebierać się w garnitur i jechać na Woronicza, żeby nadać relację na żywo przed zapowiedzianą na godzinę 20.00 debatą Wałęsa-Tymiński. Obróciłem szybko z placu Powstańców na Nowolipki i na Woronicza, gdzie od razu powiedziano mi, że debaty raczej nie będzie, bo Tymiński dał sygnał, że nie chce w niej wziąć udziału. I mniej więcej tyle zameldowałem - jak mówił Boćkowski - społeczeństwu w swoim wejściu w „Wiadomościach”.

Debaty nie było, a tydzień później nie było sensacji. W dogrywce Wałęsa zmiotł Tymińskiego, zdobywając 75 proc. głosów. Człowiek, którego dziesięć lat i pięć miesięcy wcześniej nikt nie znał, który chwilę później stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci na świecie, potem był internowany, a przez komunistyczną propagandę nazywany był osobą prywatną, za chwilę miał zostać prezydentem. Dziesięć lat. Biorąc pod uwagę sytuację na świecie dekadę wcześniej, w sumie szybko poszło.

Po gorączce kampanii w „Wiadomościach” zapanował spokój. Pozostawały transmisje z zapowiedzianych na 22 grudnia uroczystości zaprzysiężenia nowego prezydenta, ale od tego, jak sądziłem, byli inni, starsi i doświadczeni. Tak w każdym razie myślałem do połowy grudnia, gdy na trzecim piętrze, w siedzibie dyrektora „Wiadomości” pojawili się ludzie Lecha Wałęsy z jego

rzecznikiem Andrzejem Drzycimskim. W którymś momencie niespodziewanie doproszono mnie na to spotkanie. Usiadłem gdzieś w kącie. – Nasza koncepcja jest taka – powiedział ktoś od Wałęsy. – Transmisję z uroczystości zaprzysiężenia w Sejmie poprowadzą redaktorzy Bohdan Tomaszewski i Tomasz Lis. Transmisję z przejęcia zwierzchnictwa nad wojskiem na dziedzińcu Zamku Królewskiego – redaktorzy Wojciech Reszczyński i Tomasz Lis. Transmisję z przejęcia insygniów prezydenckich od prezydenta RP na wychodźstwie, Ryszarda Kaczorowskiego, również redaktorzy Reszczyński i Lis. Nie życzymy sobie, by jakikolwiek udział w relacjach z zaprzysiężenia miała redaktor Jakubowska, która była twarzą propagandy w poprzednim ustroju.

Z przerażenia miałem ochotę wejść pod krzesło, na którym siedziałem. Gra była ostra. Ludzie prezydenta elekta impertynencko próbowali narzucić swoją wolę moim szefom. Ja, o czym nie miałem zielonego pojęcia, byłem częścią tego planu. Znalazłem się w idiotycznej sytuacji. Aleksandra Jakubowska, o czym wszyscy wiedzieli, była faworytką szefa „Wiadomości”, ale nawet gdyby nie była, na takie dictum musiał odpowiedzieć tak, jak odpowiedział. – Nie ma naszej zgody. Transmisja z Sejmu – redaktorzy Jakubowska i Dziemidowicz, z Zamku – redaktorzy Reszczyński i Lis. Szef „Wiadomości” postawił na swoim, burza minęła, przynajmniej na chwilę. Choć wiadomo było, że już po zaprzysiężeniu na plac Powstańców zawita radykalna zmiana.

Siedem miesięcy po rozpoczęciu pracy w TVP, razem z człowiekiem, który był wielką gwiazdą „Teleexpressu” i „Wiadomości”, prowadziłem transmisję z Zamku Królewskiego, gdzie nowy prezydent przejmował zwierzchnictwo nad wojskiem

i w czasie uroczystości deklarował przywrócenie ciągłości niepodległego państwa polskiego. To był finał pierwszych od grubo ponad pół wieku wolnych wyborów w Polsce. Półtora roku wcześniej suszyłem w Norwegii torf, rok wcześniej nie myślałem nawet o pracy w telewizji. Cztery miesiące wcześniej prowadziłem swoją pierwszą transmisję - z obrad Senatu. Teraz byłem w miejscu, na które patrzyła cała Polska. Umówmy się, nie zawdzięczałem tego ani szczególnemu talentowi, ani wytrwałej pracy. Wicher historii zmieniał Europę i Polskę, a jego podmuch wyrzucił mnie na orbitę, na której według wszelkich reguł prawdopodobieństwa nie mogłem się znaleźć.

Następnego dnia wsiadłem do pociągu i pojechałem na święta do rodziców. Po drodze przypomniałem sobie rozmowę z redaktorem Witoldem Stefanowiczem, też gwiazdą „Dziennika Telewizyjnego”. Zagadnął mnie tuż po pierwszym kolegium w „Wiadomościach”, na którym byłem, jeszcze przed moim debiutem. - A pan z Warszawy? - zapytał. - Nie, z Zielonej Góry - odpowiedziałem. - A ma pan mieszkanie w Warszawie? - Nie mam. - A gdzie pan ma? - Nigdzie, rodzice mają w Zielonej Górze. - To bardzo dobrze. - Dlaczego dobrze? - Bo tu różnie bywa, a dobrze jest mieć dokąd wracać - zakończył kąśliwie. W sumie miał rację. Teraz już miałem swój kąt w Warszawie, ale co będzie dalej?

Wicher historii wciąż wieje. Jeden podmuch wyrzucił mnie na daleką orbitę. Inny może mnie zdmuchnąć w nicość. Metafora wydawała się zresztą na miejscu. Lech Wałęsa zapowiadał w kampanii „wietrzenie Warszawy”. Widok jego ludzi na spotkaniu na placu Powstańców nie pozostawiał wątpliwości. Będą pilnować, żeby w tej jednej sprawie dotrzymał słowa. W każdym razie w „Wiadomościach” i okolicach.

Sylwestra 1991 roku spędziłem u Jarosława Kaczyńskiego. Stop. Żeby nie było zbyt krotocwilnie, precyzuję – w sylwestra razem z Moniką Olejnik robiłem wywiad z Jarosławem Kaczyńskim w siedzibie jego partii, Porozumienia Centrum. Późne popołudnie 31 grudnia – pora na wywiad dość niezwykła, ale dlaczego nie. Moja dziewczyna była w Paryżu, żadnych zobowiązań towarzyskich nie miałem. Monika i prezes Kaczyński najwyraźniej też nie.

Przeczytałem sobie teraz ten wywiad. Mam wrażenie, że to rozmowa z zupełnie innym Kaczyńskim niż ten, którego ogromna większość Polaków zna od wielu lat. Pełen kurtuazji nawet wobec politycznych rywali. Powściągliwy nawet w ocenie wrogów. Zabawny, autoironiczny. – Nie marzy pan o tym, by zostać premierem? – zapytaliśmy. Kaczyński odpowiedział, że przeciwstawił się – jak żartował – PPS, Polskiej Partii Solidarności, czyli grupie Geremka, Mazowieckiego i Michnika, w efekcie czego był ostro zwalczany, co popsuło mu wizerunek. – Poza tym są obiektywne warunki – dodał. – To znaczy? – Niektórzy twierdzą, że jestem gruby i arogancki. – Nie zgadza się pan z tym? – Z drugim przymiotnikiem nie, ale co z tego. Taki wizerunek zmniejsza moje polityczne możliwości. Podobnie jest z Geremkiem, który przez wyniosłość traci dużo w oczach zwykłych ludzi.

Zapytaliśmy Kaczyńskiego, czy prawdą jest, że w czasie rozmów koalicyjnych nad stworzeniem rządu Olszewskiego, który powstał kilka dni wcześniej, wyciągnął pistolet. – To ten pistolet – pokazał go. – Naładowany? – Tak. – Dlaczego pan go wyjął? – Jeden z liberałów mówił o encyklikach papieskich, w których krytykowano liberalizm w gospodarce. Ponieważ jestem chadkiem, zażartowałem za pomocą pistoletu.

Nie, jeśli ktoś uznaje ten fragment za ilustrację „gangsterskiej” polityki przełomu lat 80. i 90., to grubo się myli. Tu raczej mieliśmy ilustrację pewnej dezynwoltury samego Kaczyńskiego. Do dziś zresztą wątpię, czy pistolet, który nam pokazywał, był naprawdę nabity.

Wracając do samego Kaczyńskiego, więcej niż ten pistolet mówiło o nim to, jak potrafił kpić sam z siebie. – Ma pan czas na kobiety? – Nie mam, ale poza tym – niech mi się pani przyjrzy – naprawdę nie zmuszam do kurtuazji. Już jako dziecko postanowiłem, że będę starym kawalerem. To akurat mi się udało.

Nabity albo nie nabity pistolet w czasie negocjacji z liberałami Donalda Tuska wydaje się niezłą zapowiedzią tego, co działo się dwie dekady później (jak wiadomo, pistolet, który widzimy na początku przedstawienia, musi w końcu wystrzelić). Polityka tamtej epoki, co pokazała już kampania prezydencka, a potem wojna Wałęsy z Kaczyńskimi, gdy byli ministrami w jego kancelarii, bywała wybitnie brutalna. A jednak wciąż całkiem silne było poczucie jakiejś solidarnościowej wspólnoty. Ludzie z Unii Demokratycznej, Porozumienia Centrum czy Kongresu Liberalno-Demokratycznego Donalda Tuska i Jana Krzysztofa Bieleckiego byli, jak się wtedy mówiło, z jednego solidarnościowego pnia.

Wśród dziennikarzy też nie było więc silnych podziałów, odpowiadających liniom dzielącym partie i polityków. Można było doceniać polityczną sprawność Kaczyńskiego, szanować Geremka i Mazowieckiego i lubić liberałów. Po latach nie jestem w stanie w żaden sposób określić sympatii politycznych w grupie dziennikarzy, którzy byli wtedy sprawozdawcami parlamentarnymi: Moniki Olejnik (wtedy z radiowej Trójki),

Andrzeja Morozowskiego (wtedy z Radia Zet), Dominiki Wielowieyskiej („Wyborcza”), Marii Bnińskiej (Głos Ameryki), Barbary Górskiej (Zetka) czy Barbary Hrybacz (Wolna Europa). Może ze względu na fakt, że nie mieliśmy określonych poglądów politycznych, łatwiej było pielęgnować towarzyskie związki. A my po prostu się lubiliśmy. Spędzaliśmy ze sobą na sejmowych korytarzach masę czasu. Razem pracowaliśmy, razem się bawiliśmy.

Nie ma co idealizować przeszłości, żeby nie gadać jak stary dziad powtarzający ciągle „za moich czasów...”, ale jednak za naszych czasów było ciekawie i – jakkolwiek zabrzmieć to może śmiesznie – wzniośle. Polska demokracja raczkowała. My w większości raczkowaliśmy w zawodzie. Obok nas działała się wielka historia. Mieliśmy poczucie, że uczestniczymy w czymś nadzwyczajnym. Mieliśmy poczucie – przepraszam za patos – jakiejś misji, obowiązku wobec widzów, słuchaczy czy czytelników.

Mediów było wtedy w sumie niewiele. Wiadomości oglądało często pod 10 milionów ludzi. Naprawdę liczyło się każde słowo, a robota była jednak cięższa niż dziś. Nikomu z nas nie mieściło się w głowie, że mógłby do Sejmu wysłać asystenta i ograniczyć się do zmontowania wszystkiego w redakcji. Trzeba było być na miejscu. Zresztą na miejscu było fantastycznie. Fascynująco. W pierwszym Senacie Stanisław Stomma i Gustaw Holoubek, Andrzej Szczypiorski i Andrzej Wajda, bracia Kaczyńscy i Andrzej Celiński. W Sejmie po 1991 roku Tadeusz Mazowiecki i Wiesław Chrzanowski, Bronisław Geremek i Stefan Niesiołowski, Adam Michnik i Jacek Kuroń, Aleksander Kwaśniewski i Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Jurek i Józef Oleksy. Gdy któryś z nich zabierał głos, lecieliśmy z kuluarów na miejsca dla

sprawozdawców, bo tego po prostu trzeba było słuchać. Po dekadach partyjnej nowomowy prawdziwa polityka i prawdziwe debaty. A wśród mówców ekstraklasa. Naprawdę smutno jest patrzeć na dzisiejsze obrady Sejmu. Kontrast jest wybitnie dołujący. Minęło prawie 30 lat, a tu im dalej, tym gorzej. Jasne, w tamtych sejmach też byli trzeciolicowcy, postaci egzotyczne. Ale to nie one nadawały ton. Siedziały jak mysz pod miotłą i na wszelkie wypadek w ogóle się nie odzywały. Dziś często ton próbują nadawać absolutni troglodyci, na przykład..., zresztą szkoda gadać.

Na placu Powstańców, zgodnie z przewidywaniami, doszło do wietrzenia. Stanowisko stracił Jacek Snopkiewicz, razem z nim odeszła Aleksandra Jakubowska. Dla mnie to był stres, dostałem polecenie, że mam ją zastąpić. Rola sejmowego sprawozdawcy TVP była wtedy czymś naprawdę znaczącym. Całodzienne transmisje nadawane w Dwójce, materiały w „Wiadomościach”. Było się w okolicach reporterskiego szczytu, znowu znalazłem się na nim siłą zdarzeń, a nie dzięki umiejętnościom czy doświadczeniu. W styczniu zostałem sprawozdawcą w Sejmie, a już w marcu nowy szef „Wiadomości”, Lech Dymarski, poeta z Poznania, poinformował mnie, że tuż po Wielkanocy mam prowadzić główne wydanie „Wiadomości”. Jak ja tego nie chciałem! Poprosiłem dyrektora, by mnie z tego obowiązku zwolnił. Nic z tego. Poprosiłem Wojciecha Reszczyńskiego, by przekonał dyrektora w moim imieniu. Bez skutku.

Byłem zdesperowany. Kompletnie się do tego nie nadawałem. Fakt, chciałem już być „tym Cronkite’em”, ale na swoich warunkach, w odpowiednim momencie, kiedyś. Miałem świadomość, że potrzebuję jeszcze wielu lat pracy. Nowy szef

chciał mojej twarzy nieskażonej współpracą ze „starym”. A ja wiedziałem, że twarz szybko się zużyje. Rękami i nogami broniłem się więc przed prowadzeniem głównego wydania. Bronilem się jednak na razie bezskutecznie i gdy jechałem do rodziców na Wielkanoc, czułem, że jestem pod ścianą. Aż do wielkanocnego poniedziałku, gdy usłyszałem w „Wiadomościach”, że Lech Dymarski właśnie przestał być ich szefem. Ufff. Wielka ulga. Nowym dyrektorem został Sławomir Zieliński z radiowej Trójki. Dwa lata później jeszcze raz naciskano, bym prowadził główne wydanie. Bez skutku. Nie poprowadziłem go szczęśliwie nigdy. W każdym razie nie „Wiadomości”.

W drugiej połowie 1991 roku historia znowu przyspieszyła. Na przełomie lipca i sierpnia zaczęła się wojna w Jugosławii. A w zasadzie w byłej Jugosławii. Słoweńcy wyszli z niej pierwsi. Zaraz potem zrobili to Chorwaci. Prezydent Jugosławii, Slobodan Milošević, ruszył na wojnę z Chorwatami.

W połowie sierpnia, na własną prośbę, na wojnę do Chorwacji ruszyłem ja. Pojechaliśmy na nią razem z operatorem Markiem Kupsiem i kolegą z redakcji wojskowej Edmundem Malinowskim.

Bardzo chciałem zobaczyć wojnę. Jakieś działania wojenne toczyły się już 50 kilometrów od Zagrzebia, w którym zamieszkaliśmy, ale prawdziwa wojna była dalej. Jeszcze przed wyjazdem przeczytałem, że najbardziej zażarte walki trwają w „trójkącie śmierci” między miejscowościami Osijek, Vukovar i Vinkovci, blisko granicy między Chorwacją a Serbią. Dostaliśmy się tam bez kłopotu. Na autostradzie z Zagrzebia do Belgradu nie było ani jednego samochodu. Po kilku godzinach byliśmy na miejscu. Tam, w całkowicie zniszczonym Vukovarze, szybko znaleźliśmy jakiś chorwacki oddział.

Dziesięciu żołnierzy relaksowało się w okopie otoczonym workami z piaskiem. Niedaleko było słyszeć strzały. Tuż obok okopu był zrujnowany spożywczy, w którym jednak wciąż stała cała masa butelek z alkoholem. Strach dość szybko ustąpił. Ale nie aż tak, byśmy nie przestraszyli się, gdy nagle nad naszymi głowami zaczęły latać serbskie kule. Kule to zresztą pół biedy. W Chorwacji głośno mówiło się wtedy, że Serbowie, gdy już złapią wroga albo kogoś, kogo nie lubią, dokonują często kastracji. Może to były tylko legendy, ale jakoś nie miałem ochoty tego weryfikować.

Chorwaci ruszyli w stronę Serbów, większość z nich zniknęła, a kul nad naszymi głowami latało coraz więcej. Zaczynało to być naprawdę niepokojące. Chcieliśmy się ewakuować. Powiedziałem tylko Markowi Kupsiowi, żeby filmował mnie biegnącego w momencie, gdy wciąż strzelają. Jak zabiją, będzie pamiątka, jak zrzną albo nie - będą dobre zdjęcia. Wiem, wiem, strasznie to brzmi szczeniacko, ale tak wtedy myślałem i po prostu opowiadam, jak było. Dostałem potem od prezesa TVP pochwałę i naganę na piśmie. Pochwałę za odważną pracę reporterską i naganę za przebywanie na linii frontu, do tego na linii ostrzału.

W Chorwacji zrobiłem kilka materiałów, ale ostatniego już nie wyemitowano. Gdy przyszliśmy na montaż, ktoś włączył telewizję CNN. Na ekranie były czołgi w centrum Moskwy. Na jednym z nich Borys Jelcyn. Szybko nam wyjaśnili, co się dzieje. Prezydenta Gorbaczowa aresztowali na Krymie, władzę przejęła junta z wiceprezydentem Janajewem na czele, Jelcyn został przywódcą ruchu sprzeciwu wobec puczystów.

Z obowiązku dokończyłem montaż materiału, ale wiedziałem, że nikt go nie puści na antenie. Wczoraj *story* była wojna

w Jugosławii, dziś nikt się nią nie interesował. Świat mówił wyłącznie o Moskwie. Nie było najmniejszego sensu siedzieć w Zagrzebiu. Wsiedliśmy więc w poloneza i pojechaliśmy do Warszawy, w której byliśmy po 24 godzinach. Na placu Powstańców niespodzianka. Nowy szef, Ryszard Grabowski z solidarnościowego Studio Video Gdańsk, i jego zastępca, Andrzej Turski. Przyszedłem zameldować swój powrót, a tu od razu dostałem nowe zadanie. - Pójdiesz do Belwederu, za godzinę Wałęsa ma konferencje prasową - powiedział Andrzej Turski. - Ale ja nie mam pojęcia, co się dzieje - broniłem się. - Nic się nie dzieje - mówił spokojnie Turski - w tym rzecz. Pani Thatcher, Havel i inni już kilka dni temu potępili puczystów, a Wałęsa nie powiedział jeszcze ani słowa.

Pojechałem do Belwederu. Lech Wałęsa potępił pucz Janajewa, co było o tyle proste, że pucz już upadł. Szybko skleciłem jakiś materiał, który skończyłem stand-upem, czyli komentarzem na stojąco: „Podczas gdy premier Wielkiej Brytanii, prezydent Czech oraz inni przywódcy europejscy i światowi natychmiast po rozpoczęciu puczu potępili puczystów, prezydent Lech Wałęsa potrzebował sześciu dni, by to uczynić”. W Belwederze to się nie spodobało. W następnych miesiącach Ryszard Grabowski i Andrzej Turski kilka razy mówili mi, że Mieczysław Wachowski, de facto prawa ręka Wałęsy, nalega, by mnie z „Wiadomości” wykurzyć. - Ale spokojnie, Rysiek nie da cię tknąć - uspokajał Andrzej. I rzeczywiście, nie dał. 20 lat później, co brzmi całkiem rozkosznie, niejaki Piotr Semka twierdził, że karierę w telewizji robiłem dzięki Wachowskiemu.

Dopiero po jakimś czasie wyszło na jaw, co działo się w Warszawie w czasie puczu. Lech Wałęsa wpadł na pomysł, że skontaktuje się z Janajewem. Na szczęście powstrzymał go

premier Bielecki. Na żadne potępienie puczu wtedy, w pierwszych godzinach i dniach, Wałęsa się nie zdobył. Prawda, sprawy w Moskwie mogły się potoczyć różnie, ale stanowisko polskiego prezydenta powinno być jasne. Nie było. W ogóle nie było żadnego stanowiska.

O puczu, Janajewie i całym zamieszaniu szybko wszyscy zapomnieli, bo Polska właśnie wchodziła w kampanię wyborczą przed październikowymi pierwszymi wolnymi wyborami parlamentarnymi. Nie było w nich żadnego faworyta, a czysto proporcjonalna ordynacja gwarantowała rozproszkowany parlament, wielkie trudności ze zbudowaniem większościowej koalicji, prawdopodobny słaby rząd i ogólny chaos. Tak też się stało. Do parlamentu weszło 25 (!) ugrupowań. Zwyciężyła Unia Demokratyczna (13,5 proc.), przed SLD (13 proc.), ale żadna z tych dwóch partii nie weszła do rządu. W roli politycznego machera znowu wystąpił Jarosław Kaczyński. Zadanie miał wybitnie trudne, ale dopiął swego. Po ponad dwóch miesiącach trwających od rana do nocy przepychanek, podchodów, negocjacji i intryg, dzień przed Wigilią powołano rząd. Na jego czele stanął Jan Olszewski. Wśród ministrów byli Antoni Macierewicz (MSW) i Jan Parys (MON). Rząd był mniejszościowy, miał poparcie mniej więcej 150 posłów. Wiadomo było, że za kilka miesięcy albo koalicja się poszerzy, albo rząd padnie. Choć nikt nie przewidywał, jakie turbulencje nastąpią już za chwilę i w jak dramatycznych okolicznościach ten upadek nastąpi.

W dniu wyborów wszyscy ekscytowali się oczywiście ich wynikami. Z perspektywy czasu zdecydowanie istotniejsza wydaje się ówczesna frekwencja. Była dramatycznie niska - 43 proc. Katastrofa. Po 60 latach przerwy Polska miała znowu wolne

wybory, a zdecydowana większość Polaków je zignorowała. W 1922 roku, gdy poziom wykształcenia Polaków był nieporównanie niższy, a media były nieporównanie słabsze, frekwencja w wyborach parlamentarnych wyniosła 67,7 proc., a w 1928 roku aż 78,3 proc. Z jakichś względów Polacy nie mieli teraz apetytu na demokrację. Można było to oczywiście tłumaczyć sejmowymi swarami, nużącymi konfliktami, ale kiepskie to tłumaczenia. Ta polityka była bardzo poważna, poważni byli najważniejsi politycy, stawka była ogromna, przemiany - rewolucyjne. Nie ma więc sensownego wytłumaczenia poziomu absencji. Może poza jednym. Komunizm oduczył Polaków udziału w procesie demokratycznym skuteczniej niż zabory. Wystarczy przypomnieć, że 4 czerwca 1989 roku frekwencja wyborcza wyniosła 62 proc., niecałe dwie trzecie uprawnionych. Później zbudowano w Polsce różne mity. W tym mit narodu, który gremialnie sprzeciwiał się znienawidzonemu komunizmowi i skorzystał z pierwszej okazji, by rzucić kajdany. Nic podobnego. Po rozbiciu Solidarności reżimowi Jaruzelskiego sprzeciwiła się garstka ludzi, a gdy naród dostał okazję obalenia reżimu, prawie 40 proc. ludzi nie skorzystało z szansy. Dwa lata później wyborcza frekwencja jeszcze bardziej spadła.

Wyborcza absencja pokazała, że zdecydowanie najsilniejszą partią w Polsce była partia stojących z boku. Uważali oni najwyraźniej, że nie reprezentuje ich żadna z tak wielu partii. Większość Polaków, zamiast uczestniczyć w procesie demokratycznym, wybrała rolę obojętnych albo wrogo nastawionych obserwatorów. W kolejnych wyborach odsetek głosujących był raz niższy, raz wyższy, ale nigdy nie był on naprawdę wysoki. Polacy mieli problem z polską polityką albo ich

ona nie obchodziła. A to już był potencjalnie wielki problem Polski. W sumie, biorąc pod uwagę fakt, że tak dużo osób miało tak duży dystans do tego, co się działo w kraju, trzeba uznać, że w następnych latach radykalne, a dla wielu bardzo bolesne, przemiany odbyły się niemal bezszelestnie.

Spokój na górze długo był jednak okupiony ogromnym niepokojem na dole. Rewolucja Balcerowicza, która potem przez ponad dwie dekady, aż do dziś, była często brutalnie krytykowana, miała głęboki sens i przyniosła wielki sukces. Wielu z tych, którzy patrzyli na nią z boku, do dziś mówi, że można było lepiej i mądrzej, ale to czyste teoretyzowanie. Kto pamięta puste półki i galopującą inflację, kto pamięta tamten czas końca 1989 i początku 1990 roku, ten wie, że to, co dziś uznaje się za udaną reformę Balcerowicza, którą można było podobno zrobić dużo lepiej, było w swej istocie cudem.

Rodził się nowy świat, bez może nieefektywnych, ale jednak realnych zabezpieczeń, które dawał ludziom PRL. Wielkie zakłady pracy, dokładnie te, które były bastionami Solidarności, często padały, masa rolników wpadła w pułapkę zadłużenia. Niezwykły, pierwszy w historii eksperyment w postaci przejścia od komunizmu z powrotem do gospodarki rynkowej skończył się dla kraju ogromnym sukcesem, ale dla bardzo wielu obywateli oznaczał klęskę. Cena sukcesu dla bardzo wielu Polaków była niezwykle wysoka. Czy do uniknięcia? Może nie, ale stanowiła ważny fakt społeczny. Stanowi go zresztą do dziś.

Końcówka kampanii wyborczej i negocjacje w sprawie powołania nowego rządu były dla mnie najbardziej intensywnym okresem pracy od momentu, gdy zostałem dziennikarzem, aż do dziś. 70 kolejnych dni, od rana do nocy, bez przerwy. I wiadomo było, że

jeśli po burzy nastanie spokój, to tylko na chwilę. Już następne miesiące miały być bardzo burzliwe. I w Polsce, i na placu Powstańców.

Początek 1992 roku był jak miniaturowa zapowiedź tego, co działo się po roku 2015. Polska miała prawicowy rząd, bardzo silnie zideologizowany, gotowy walczyć z zagrożeniem czerwonym, a jeszcze bardziej liberalnym. Był patriotyczny w formie i dość nieudolny w treści. I naprawdę nie byłem tym w najmniejszym stopniu zaskoczony. W owe niedziele, gdy prosiłem redaktora Boćkowskiego o zgodę na robienie materiałów, bardzo często łądowałem na posiedzeniach Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, już wyrwanego z rąk Bronisława Geremka, Henryka Wujca czy Władysława Frasyniuka, ludzi związanych potem z Unią Demokratyczną i Unią Wolności. W nowym składzie było, to prawda, wiele postaci znamienitych, a w czasach opozycji nawet legendarnych - Jan Olszewski, Antoni Macierewicz czy Władysław Siła-Nowicki. Ale jednocześnie nad ich obradami zawsze unosiła się w powietrzu jakaś zła energia, jakiś zaduch, paskudna atmosfera frustracji, zawodu pomieszanego z żądzą rewanżu. Był to swoisty salon odrzuconych - ludzie, którzy nie załapali się na zmianę z 1989 roku albo nie chcieli się na nią załapać, bo uważali, że Okrągły Stół, podobnie jak wybory kontraktowe, był błędem. Sądziли, że generalnie z komunistami żadnych kontraktów zawierać się nie powinno, a zamiast tego trzeba było po prostu poczekać, aż komunizm zdechnie, po czym komuchów się dobije. Nie była to koncepcja całkowicie irracjonalna. Ale mniejsza z tym, nie to było z mojego punktu widzenia głównym problemem tej grupy. Była nią kwestia smaku. Ci ludzie wyglądali jak wyjęci z formaliny i zanurzeni w kompleksach. Jarosław Kaczyński trochę ich

kokietował, ale widać było, że to też nie jego bajka. Zresztą szybko można było zauważyć, że między nim a Janem Olszewskim toczyła się rywalizacja, a ich relacje pełne były nieufności i podejrzeń. Kaczyński podejrzewał, i słusznie, że Olszewski chce mu ukraść Porozumienie Centrum. Olszewski podejrzewał, i słusznie, że Kaczyński chce mieć nieformalny, a gigantyczny wpływ na jego rząd. Tuż przed jego powołaniem wykiwał więc Jarosława Kaczyńskiego i zamiast, jak chciał lider PC, powołać na szefa Urzędu Rady Ministrów Lecha Kaczyńskiego, powołał na to stanowisko swego przyjaciela Wojciecha Włodarczyka, historyka sztuki, jak kąśliwie mówił Kaczyński.

Partyzancka polityka Jarosława Kaczyńskiego napotkała na dwie przeszkody. Wałęsa i Olszewski szczerze się nie znosili, ale akurat w sprawie ambicji braci Kaczyńskich zdanie mieli podobne. Wałęsa nie chciał, by Kancelaria Prezydenta zamieniła się w bazę wypadową i bastion wpływów Porozumienia Centrum. Olszewski nie chciał, żeby Kaczyński ukraść mu rząd. Do konfrontacji Wałęsy z Kaczyńskim i awantury, w której obaj grozili sobie prokuratorem, doszło w listopadzie 1991 roku. Wyrzucony przez Wałęsę Jarosław przestał być szefem Kancelarii Prezydenta, a Lech – szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. W relacji Kaczyński – Olszewski na razie panowała swego rodzaju dynamiczna równowaga, obaj mieli w końcu tego samego wroga i obaj nie cierpieli nieformalnego wiceprezydenta, Mieczysława Wachowskiego, ale równowaga była krucha. Wspólny wróg mógł łączyć, ale tylko do czasu.

Między Wałęsą a Olszewskim musiało dojść do zwarcia, potem do otwartego konfliktu, a na końcu do wojny, z której tylko jedna strona mogła wyjść zwycięsko. Szef MSW Antoni Macierewicz i minister obrony Jan Parys nie ukrywali niechęci do Belwederu

i prezydenta. Wałęsa reagował na to wybitnie alergicznie. W czasach poprzedniego rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego prezydent miał ogromny wpływ na te dwa resorty. Teraz został go praktycznie pozbawiony. Więcej - ze strony obu ministrów w kierunku Belwederu leciały pociski. Zresztą pałac prezydencki też korzystał z okazji, by strzelać do wroga.

Rząd i Belweder walczyli także o telewizję. Wałęsa miał swojego prezesa - Janusza Zaorskiego. Olszewski miał swojego szefa programów informacyjnych - Roberta Terentiewa. W jego otoczeniu po kilku tygodniach pojawił się Jacek Kurski.

Znałem Kurskiego. Dziś może się to wydawać solidnie egzotyczne, ale nasze spotkania na korytarzach sejmowych były sympatyczne. W 1990 i 1991 roku Kurski i Piotr Semka, młodzi dziennikarze „Tygodnika Gdańskiego”, w Sejmie byli często. Razem z Kurskim kibicowaliśmy wcześniej Wałęsie, ale gdy drogi Wałęsy i Kaczyńskiego się rozeszły, rozeszły się i nasze. A definitywnie rozeszły się na początku 1992 roku, gdy Kurski pojawił się w „Wiadomościach”.

Przez poprzednie dwa lata różnie w nich bywało. Pamiętam, jak w pierwszych dniach mojej pracy w TVP, w maju 1990 roku, rozpoczął się strajk na kolei. Redagowaliśmy wtedy, umówmy się, średnio znaczący dziennik nadawany przed północą, gdy powiedziano nam, że jakaś informacja nie może iść, bo „dzwonił Kuroń i powiedział, że zawiesza obiektywizm”. Gdy robiłem rozszerzone relacje z konferencji prasowych rzecznika rządu Małgorzaty Niezabitowskiej, na plac Powstańców w każdy piątek przyjeżdżał niejaki Tomasz Drzewosowski z biura pani rzecznik z listą, które pytania mają iść, a które nie. Szybko doszło do spięć i po kilku tygodniach odsunięto mnie od tych relacji.

Na tym tle w następnym roku, w czasie rządów premiera

Bieleckiego, w „Wiadomościach” było idealnie. Zero jakichkolwiek ingerencji. Zero. Gdy kiedyś przyparłem Bieleckiego serią pytań, po kilkunastu dniach na korytarzu sejmowym powiedział mi, że rozmawiał z amerykańskimi dziennikarzami i zapytał ich, czy ta seria pytań była fair, a oni podobno powiedzieli mu, że nie do końca. Ale tyle. Samo w sobie to było szokujące. Szef rządu nie dzwonił do szefa reportera, żeby reporterowi ściąć głowę, ale osobiście zgłaszał zwykłemu sejmowemu dziennikarzowi swoje zastrzeżenia. Na tym tle pojawienie się Kurskiego było szokiem.

Jacek nigdy nie ukrywał, że całe to dziennikarstwo to dla niego tylko metoda walki politycznej, że „Wiadomości” nie są żadnym programem informacyjnym, ale są – a w każdym razie powinny, według niego, być – instrumentem w rękach władzy, rządu. Kurski był bardzo inteligentny i dowcipny, w sumie wciąż go lubiłem, ale różnica filozofii była między nami ogromna. Uważałem, że to, co on proponuje i chce realizować, musi oznaczać praktyczną śmierć dziennikarstwa i niezależności, co dla mnie było święte. Mogłem popierać Wałęsę, ale przez sekundę bym się nie wahał go skrytykować, gdyby na to zasługiwał. Kurski popierał rząd Olszewskiego, a Wałęsę zwalczał, Olszewskiemu więc jak mógł pomagał, a Wałęsę jak tylko mógł szturchał.

Dwadzieścia kilka lat później Kurski by się ze mną nie patyczkował i wyleciałbym z pracy momentalnie, ale wtedy w TVP panowała pewna równowaga sił i jakiś klincz, mniej więcej taki sam, jak między Wałęsą i rządem. Oczywiście napięcie rosło z tygodnia na tydzień i nikt nie miał wątpliwości, że nadchodzi kulminacja. Choć nikt nie spodziewał się, że jej ostateczny akt zaczął się w majowy, piątkowy wieczór, gdy na sejmową trybunę

wszedł poseł Janusz Korwin-Mikke. Niespodziewanie zgłosił projekt uchwały lustracyjnej, w której Sejm wzywał ministra spraw wewnętrznych „do przedstawienia zasobów archiwalnych MSW, dotyczących tajnych agentów z czasów PRL”. Moment zgłoszenia i przyjęcia uchwały nie był przypadkowy. Dwa dni wcześniej Wałęsa ogłosił, że stracił zaufanie do rządu. Nadchodziło ostateczne starcie.

Zapach prochu było czuć także na placu Powstańców. Już dzień po przyjęciu uchwały lustracyjnej w „Wiadomościach” pojawił się rzecznik Macierewicza, Tomasz Tywonek. W gabinecie szefa codziennie odbywały się operatywki z udziałem Kurskiego i zaufanych dziennikarzy. Tacy jak ja oczywiście do tego kręgu nie mieli wstępu. I nie mieli też prawa robić materiałów o lustracji, poza relacjami z Sejmu, od których jeszcze mnie nie odsunięto, ale wyraźnie mi sugerowano, że ten moment zbliża się nieuchronnie.

Któregoś dnia zadzwonił do mnie wicemarszałek Sejmu, Józef Zych. - Przyjeżdżaj natychmiast do Sejmu - usłyszałem. Marszałek Zych z PSL był moim krajanem. Dla niego byłem chłopakiem z Zielonej Góry, a więc zasługiwałem na zaufanie. - Słuchaj, masz tu ekspertyzę sejmowego biura prawnego. Wynika z niej, że uchwała lustracyjna jest nielegalna - powiedział. Spojrzałem na zegarek. - To ciekawe, ale jeśli ma to dziś pójść w „Wiadomościach”, to w tej sekundzie muszę lecieć na plac. - Leć.

W tamtych czasach nie pisaliśmy na komputerach. Depesze pisano w tak zwanej maszynowni. To taki pokój, w którym teksty dyktowało się paniom maszynistkom. Pisały w pięciu egzemplarzach, między kartkami były kalki (czy dzisiejsza

młodzież wie, co to kalki?), więc po wizytach w maszynowni zawsze mieliśmy ręce upaprane na czarno.

Dyktowałem pani maszynistce depeszę o ekspertyzie, ale jak zawsze świadków było tu wielu. Zbyt wielu. Gdy ruszyłem trzy piętra niżej, by kartkę z informacją zanieść prowadzącemu „Wiadomości” Tadeuszowi Zwiefce, dziś eurodeputowanemu PO, po schodach biegł już za mną Kurski. – Stój, wiem, kto ci to dał, to Rokita! – wrzeszczał. Biegłem dalej, a Kurski za mną, drąc się w niebogłosy. – Stój, ty psie udecki! (Od Unii Demokratycznej) – krzyczał. Nie miałem czasu wyjaśniać Kurskiemu, że żaden Rokita, ale Zych. Dobiegłem do studia, dałem kartkę Zwiefce i zamknąłem drzwi, by Kurski nie mógł mu jej zabrać. Czasem walka o informację miała wymiar bardzo dosłowny.

W drugiej połowie maja premier Olszewski odwołał z funkcji szefa TVP Zaorskiego i powołał Zbigniewa Romaszewskiego, swego starego przyjaciela. Nowemu prezesowi zapewne nie spodobała się moja relacja z obrad Sejmu 3 czerwca, bo zaraz po „Wiadomościach” zadzwoniła do redakcji sekretarka prezesa. Miałem się zgłosić do niego na dywanik następnego dnia, 4 czerwca.

Postanowiłem udawać, że zaproszenie do mnie nie dotarło. Wiadomo było, że kolejnego dnia w Sejmie wszystko się rozstrzygnie, bo do marszałka Sejmu trafił już wniosek o odwołanie rządu, a z Belwederu było słychać ładowanie strzelby. Gdyby Romaszewski mnie wyrzucił, a potem nastąpiłaby zmiana, pojawiłyby się być może kłopoty formalne z przywróceniem mnie do pracy. Gdyby Wałęsie i sejmowej większości udało się odwołać Olszewskiego i jego rząd, razem z nimi natychmiast poleciałby Romaszewski. Gdyby w tej

rozgrywce wygrał Olszewski, prawdopodobnie poleciałbym ja. W każdym razie wizyta na Woronicza nie miała sensu.

W Sejmie jeszcze przed godziną 9.00 podbiegł do mnie jeden z asystentów Bronisława Geremka, Jakub Borawski, potem szef Sejmowego Biura Prawnego, usunięty przez „dobrą zmianę”. – Macierewicz dostarczył do klubów parlamentarnych informacje o zasobach archiwalnych MSW. – Czyli listę agentów? – zapytałem. – Czyli listę ludzi, którzy, według niego, powinni być uznani za agentów. – Kto tam jest? – Wałęsa i Chrzanowski plus cała reszta.

To była prawdziwa bomba. Macierewicz chciał wysadzić w powietrze prezydenta i marszałka Sejmu, pierwszą i drugą osobę w państwie. Pachniało to parlamentarnym zamachem stanu. To, że na liście znalazł się Wałęsa, nawet niespecjalnie szokowało. W kularach od dawna plotkowano, że to on będzie głównym celem ataku. Ale Chrzanowski? Bohater Powstania Warszawskiego, więzień w czasach stalinizmu, człowiek krystalicznie czysty? Cóż, Chrzanowski był szefem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, partii, której członkiem był Macierewicz. Ten najwyraźniej chciał ustrzelić głowę państwa, ale jednocześnie szefa swej partii, by tę partię przejąć. Lista domniemanych agentów była dość długa. Można było o niej powiedzieć wiele, ale nie to, że była tajna, choć tajna teoretycznie miała być. Kto na niej był? Tu nawet nie były potrzebne przecieki. Wystarczyło spojrzeć na ludzi chodzących po sejmowych korytarzach. Trafieni byli ewidentnie zmasakrowani, złamani, snuli się po korytarzach resztką sił. Oni doskonale wiedzieli, że być może już za chwilę Olszewski nie będzie premierem, a Macierewicz – ministrem, ale smród po tej operacji zostanie z tymi, którzy są na liście, na długie lata. Może na zawsze.

Późnym popołudniem do Sejmu przyjechał Wałęsa. Rozpoczęła się egzekucja. Potem do upadku rządu Olszewskiego z wielkim uporem dorabiano legendę o spisku agentów, postkomunistów, liberałów dla obalenia pierwszego prawdziwie niekomunistycznego i patriotycznego rządu. Ale prawda była prosta i banalna. To był mniejszościowy rząd, słaby poparciem w parlamencie, słaby pozycją premiera, słaby merytorycznie, pełen postaci nieudolnych. Jarosław Kaczyński dobrze wiedział, że taki rząd musi w końcu upaść, i stawał na głowie, by rozszerzyć rządową koalicję o Unię Demokratyczną Mazowieckiego i KLD Tuska. Olszewski markował negocjacje, które toczyły się ślamazarnie i do niczego nie mogły doprowadzić. Premier nie chciał poszerzenia koalicji, bojąc się zmniejszenia swych wpływów. Grał więc na czas. W pewnym momencie musiał zdawać sobie sprawę, że rząd padnie, i zabiegał już wyłącznie o to, by padł z fasonem i pozostawił po sobie legendę.

Wieczorem 4 czerwca po godzinie 21.00 pojechałem na plac Powstańców, żeby poprowadzić „Wiadomości”. Ale po 23.00, tuż przed wydaniem, okazało się, że BOR-owcy, którzy nagle się tam pojawili, nie chcą mnie wpuścić do studia, w którym był już Olszewski. Premier miał wygłosić orędzie do narodu, ale ja do tego studia musiałem wejść, bo tuż po zakończeniu orędzia zaczynały się „Wiadomości” i musiałem być na stanowisku. BOR-owcy ustąpili. Gdy premier wygłaszał swoje wystąpienie, siedziałem kilka metrów od niego. „Uważam – mówił Olszewski – że naród polski powinien mieć poczucie, że wśród tych, którzy nim rządzą, nie ma ludzi, którzy pomagali UB i SB utrzymywać Polaków w zniewoleniu”. W sumie się z nim zgadzałem. Problem polegał na tym, że operacja lustracyjna była jedynie parawanem

dla nieudolnego i słabego rządu. A sama lustracja nie była zaplanowana jako akt oczyszczenia polskiego życia publicznego, ale jako desperacka próba ocalenia rządu, którego ocalić się nie dało.

Rząd Olszewskiego bardzo przypominał rząd Kaczyńskiego z lat 2006–2007 i rządy PiS po 2015 roku. Patriotyczno-niepodległościowa frazeologia skrywała brak kompetencji. Władza była mocna w generowaniu konfliktów i całkowicie niezdolna do ich rozwiązywania. Tworzenie permanentnej atmosfery kryzysu, jakiś psychopatyczno-paranoiczny spektakl, w którym urazy i kompleksy były ważniejsze od realnej polityki i bardzo często stawały się jej sensem. Różnica była tylko jedna. Po nieszczęsnych rządach ekipy Olszewskiego i Kaczyńskiego z czasów pierwszego PiS Polska otrząsnęła się stosunkowo szybko.

Po „Wiadomościach” szybko pojechałem do Sejmu, gdzie trwał „nocy czerwcowej”, jak o niej potem mówiono, akt ostatni. Około 1.00 w nocy, 5 czerwca, było już po wszystkim. Choć do końca tej nocy było bardzo daleko. Razem z grupą dziennikarzy pojechałem na plac Bankowy do modnego wtedy pubu Elephant. Przygnębionych nie zauważyłem.

Następnego ranka na sejmowym korytarzu spotkałem ministra Wachowskiego. Był najwyraźniej w dobrym humorze. – A jak wy tam oceniacie Janusza Zorskiego? – zapytał. – Był w trudnej sytuacji, między młotem a kowadłem – starałem się być dyplomatyczny. – No to zdejmujemy młot – odpowiedział wyraźnie ubawiony Wachowski.

Kilka tygodni później, gdy byłem na Woronicza, poprosił mnie o spotkanie stary-nowy prezes Zaorski. Myślałem, że ma to jakiś związek ze studiem olimpijskim w czasie igrzysk w Barcelonie,

które wtedy prowadziłem. Nic podobnego. - Panie redaktorze, chciałem zaproponować panu objęcie funkcji szefa publicystyki Jedyнки. - Panie prezesie, bardzo dziękuję, ale nie mogę jej przyjąć. Po pierwsze, wolę być szeregowym dziennikarzem niż dyrektorem. Ale co ważniejsze, za trzy tygodnie jadę na rok na stypendium do Ameryki. - Serio? - Serio. Prezes Zaorski nie nalegał. - No tak, mając taki wybór, też pewnie wybrałbym Amerykę.

O możliwości starania się o stypendium w USA rok wcześniej powiedziała mi Maria Bnińska z Głosu Ameryki. Poszedłem nawet do ambasady amerykańskiej na jakąś rozmowę kwalifikacyjną, ale już się do mnie nie odezwali, więc uznałem, że przepadłem. A tu nagle Jola Pieńkowska, pod koniec kwietnia, tyle że rok później, przyszła do Sejmu z panią z ambasady. Pokazały mi telefaks. Stało jak byk: Loyola University w Nowym Orleanie zaprasza mnie na rok akademicki 1992/93. Jasne, strasznie dużo działo się w tym Sejmie, ale rok w Nowym Orleanie? To brzmiało bajecznie.

W następnych tygodniach koleżanki i koledzy, którym mówiłem o wyjeździe, dawali mi do zrozumienia, że zwariowałem. - Robisz najważniejsze materiały do „Wiadomości”, cała Polska je ogląda. Wyjedziesz na rok, skąd wiesz, czy będziesz miał do czego wracać, widzisz, jaki tu jest młyn - mówili. Widziałem. Tak, diabli wiedzieli, czy za rok będzie do czego wracać. Ale czułem, że absolutnie jechać trzeba. Rok w Ameryce, o tym marzyłem. Co najważniejsze, wiedziałem, że jeśli naprawdę chcę w tej robocie pójść naprzód, muszę do tej Ameryki pojechać. Nauczyć się jej. Potem może zostać korespondentem w USA. A potem, kto wie, przecież miałem zostać tym Cronkite'em, prawda?

W Sejmie nic wielkiego się nie działo. Tworzył się rząd Waldemara Pawlaka, ale wszyscy przewidywali, że raczej się nie stworzy. Misja już po kilku dniach wyglądała na bardzo trudną, po dwóch tygodniach - na beznadziejną. Pawlak próbował ponad miesiąc, ale w końcu musiał się poddać. W Sejmie wszyscy zastanawiali się, co dalej.

Któregoś dnia w sejmowej restauracji gadaliśmy o tym z Arturem Domosławskim z „Gazety Wyborczej” (dziś w „Polityce”). Kto by to mógł być, kombinowaliśmy. Koalicja musi być od Unii Demokratycznej przez KLD aż po ZChN. Jeśli to ma się skleić, premier powinien być z prawego skrzydła Unii, najlepiej z drugiej ligi. Ktoś z największych politycznych postaci od razu wzbudziłby wielkie emocje i nic by z tego nie wyszło. Więc kto? - Wiesz, na posiedzeniu komisji konstytucyjnej parę razy widziałem taką posłankę, Hannę Suchocką - powiedziałem. - Dość kompetentna, raczej prawicowa, chyba związana z Kościołem. Może ona. - To spróbujmy stworzyć fakt prasowy - zaproponował Artur (to określenie wymyślił profesor Geremek po opublikowaniu przez jedną z gazet jakiejś niepotwierdzonej informacji). Tworzenie faktu prasowego miało polegać na tym, by podejść do kilku posłów i zapytać ich, czy słyszeli, że kandydatem na premiera ma być Hanna Suchocka. Przyznaję, może nie była to najmądrzejsza zabawa, ale nawet jeśli wtedy taka refleksja przyszła nam do głowy, jakoś nas nie powstrzymała. Zresztą nie tworzyliśmy tego faktu prasowego zbyt długo. Podeszliśmy z tym pytaniem do Tadeusza Mazowieckiego, Jana Marii Rokity i Henryka Goryszewskiego. Wszyscy zareagowali na to pytanie tak, jak byśmy byli kompletnymi kretynami. Skoro byli tacy zgodni, pewnie byliśmy. Zadaliśmy więc pytanie z rozpędu jeszcze kilku osobom, ale w końcu daliśmy spokój. Kilka dni później

zatrzymała mnie w Sejmie Monika Olejnik. – Mają kandydata na premiera – powiedziała, a zwykle znała doskonale wszystkie sejmowe plotki. – Kogo? – zapytałem, bo o „naszej” kandydatce już zdążyłem zapomnieć. – Hanne Suchocką.

Godzinę później było już wiadomo, że Suchocka naprawdę ma być premierem, a Goryszewski, który słysząc o jej kandydaturze, wysłał nas na drzewo, ma być u niej wicepremierem. – No i co, a tak z nas pan szydził – kpiliśmy z niego teraz z Arturem. – Panowie, to dla mnie wielka chwila – odpowiedział i wzruszony otarł łzę. – Właśnie mamy z żoną 25. rocznicę ślubu, a tu taki prezent, taki prezent.

10 lipca Sejm powierzył funkcję premiera Hannie Suchockiej. Chwilę potem miałem z nią kilkuminutowy wywiad na początku „Wiadomości”. Nie przyszło mi do głowy, że gdy za 10 miesięcy wrócę do Polski, trafię akurat na pogrzeb gabinetu Suchockiej i władzy ekipy solidarnościowej.

Tworzył się nowy rząd, ale ja myślami byłem już gdzie indziej. Zostało mi jeszcze studio olimpijskie, coś ekscytującego, bo kochałem sport, a czegoś takiego nigdy nie robiłem. Trzy weekendy, wielkie emocje, a potem już tylko spakować się i w drogę.

This is America

Igrzyska skończyły się w niedzielę, 9 sierpnia. W sobotę, 15 sierpnia, o świcie wsiadłem do samolotu do Frankfurtu. Potem lot do Atlanty, wreszcie - do Nowego Orleanu. Było to w zamierzonych czasach, gdy w tylnych rzędach samolotu można było palić, a ja akurat od kilku miesięcy paliłem jak smok.

W Nowym Orleanie powietrze było gęste i wilgotne, aż lepkie, koszula po chwili mokra. Dziekan wydziału dziennikarstwa przywitał mnie na lotnisku bardzo serdecznie. Wsadziliśmy moje dwie walizki do bagażnika jego samochodu i pojechaliśmy na słynną Saint Charles Avenue w Nowym Orleanie, przy której mieściły się campusy dwóch sąsiadujących ze sobą uniwersytetów - mojego, czyli Loyoli (uczelnia jezuicka), i uniwersytetu Tulane, gdzie też poszedłem na kilka zajęć.

Przed kilkoma dniami Warszawa i Sejm. Teraz pokój w akademiku (na szczęście jedynek). Jakies dwa kilometry stąd była Missisipi. Gdy położyłem się spać, za oknem słyszałem dźwięk płynących po rzece barek. Tak to musiało brzmieć w czasach Tomka Sawyera i Hucka Finna, bohaterów moich dziecięcych lektur. Na dłuższą chwilę trzeba było zapomnieć o Polsce, „Wiadomościach” i Sejmie. W końcu marzyłem o tej Ameryce. Należało z niej wycisnąć, ile się da. Prawdę mówiąc, Nowy Orlean nadawał się do tego fantastycznie. Momentami aż za dobrze.

Wyjeżdżając do Ameryki, o świecie nie miałem tak naprawdę bladego pojęcia. Raz byłem w Anglii, dwa razy w Norwegii, ale w roli gastarbeitera, a nie turysty. Doświadczyłem wiele, ale widziałem bardzo niewiele. Zostawał jeszcze wyjazd do Paryża

w roku 1991 i to w zasadzie wszystko. W wieku 26 lat jechałem do Ameryki, nie wiedząc w zasadzie nic o Europie. Marnie, szczególnie, gdy porównuję się z moimi córkami, które w wieku 18 i 22 lat zwiedziły już pół świata. Nie narzekam. Stwierdzam tylko, że na podbój świata ruszyłem bardzo późno.

Europa, z racji doświadczeń, była dla mnie w tym momencie głównie miejscem, w którym powinna być zakotwiczona Polska, choć wtedy perspektywa naszego członkostwa w Unii Europejskiej była raczej abstrakcyjna. W sensie osobistym na razie było to głównie miejsce, gdzie pracując na czarno, mogłem zarobić pieniądze, których w Polsce zarobić nie byłem w stanie.

Ameryka to co innego. Ameryka była ideą bez skazy i bez jakichkolwiek wad. Taki pewnie musiał być skutek tęsknoty rozbudzonej słuchaniem Głosu Ameryki. Za oceanem były wolność, demokracja, sukces, ład nieograniczonych możliwości. Wizja była bajkowa i naiwna, ale niby jaka miała być. Źródłem tych wyobrażeń były książki. Twain, Hemingway, Steinbeck, Dos Passos, Scott Fitzgerald, Faulkner. W kontekście wyjazdu do Nowego Orleanu może szczególnie Faulkner, bo pozwalał sobie wyobrazić południe Ameryki, podobno tak różne od reszty kraju. Skreślić podobno. O tym, jak różne, przekonałem się w Nowym Orleanie w ciągu tygodnia. Klimat był duszny, kuchnia cajun, południowa i ostra, ale przede wszystkim całkiem specjalny był akcent. W studenckiej kafeterii pracujących tam pań za diabła nie mogłem zrozumieć. Jakaś przedziwna mieszanina angielskiego i kreolskiego z akcentem afroamerykańskim. Długo więc potakiwałem, udając, że coś rozumiem, zanim naprawdę cokolwiek zrozumiałem.

Do spisu amerykańskich lektur powinienem dopisać jeszcze jedną. Książka była cienka, ale ważna. Przeczytałem ją, mając 12

lat. *Love story*. Prawdę mówiąc, przeczytałem ją kilka razy. Z pamięci mogłem cytować. „Co można powiedzieć o dwudziestopięcioletniej dziewczynie, która umarła? Że była śliczna. I piekielnie inteligentna. Że kochała Mozarta i Bacha. I Beatlesów. I mnie”. W pewnym momencie zacząłem sobie robić zawody - czy dam radę dobrać do końca i powstrzymać łzy. Przestałem w którymś momencie próbować, uznając, że nie dam rady. Zresztą nic nie poradzę, miałem zawsze jakąś słabość do książek i filmów o miłości. Z oglądaniem *Notting Hill* czy *Co się wydarzyło w Madison County* było jak z *Love story*. Walkę ze łzami zawsze przegrywałem. Po przeczytaniu *Love story* po raz pierwszy zachorowałem na Amerykę, chciałem tam studiować. Campus - tysiące młodych ludzi w jednym miejscu, razem się uczą, razem trenują, razem, często dosłownie, śpią. Campus w Nowym Orleanie - to z każdego punktu widzenia wyglądało ekscytująco.

Do Ameryki przyjechałem w doskonałym momencie. Akurat w decydującą fazę wchodził wyborczy pojedynek Bush - Clinton. Amerykańskimi wyborami fascynowałem się od 1976 roku. Pamiętam dokładnie noc wyborczą w Głosie Ameryki, gdy w środku nocy okazało się, że Jimmy Carter pokonał Geralda Forda. Dwa miesiące później zaczęła się największa polska kariera w historii Ameryki - Zbigniew Brzeziński został bardzo wpływowym szefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W sprawach polityki zagranicznej był drugi po Bogu, czyli po prezydencie. Ale w tamtych czasach zawsze kibicowałem republikanom. Wśród Polaków i nie tylko panowało bowiem silne przekonanie, że w polityce zagranicznej republikanie są twardsi niż demokraci, a ta różnica jest szczególnie widoczna

w odniesieniu do ZSRR. Zresztą czy to nie demokrata Roosevelt w Jałcie sprzedał Polskę Stalinowi? Stereotyp oczywiście był kulawy, jak większość stereotypów. Wystarczy wspomnieć, że to pokonany w 1976 roku republikanin Ford palnął w debacie prezydenckiej, że „Polska nie jest okupowana przez Związek Radziecki”.

Stereotyp był jednak na tyle silny, że w 1992 roku czynił ze mnie stuprocentowego zwolennika George’a Busha. Bush był w Warszawie półtora miesiąca przed moim wyjazdem do Ameryki. Oczywiście przyjechał łowić głosy oglądającej go w USA Polonii, ale nie to było najważniejsze. Tak pięknie mówił o polskiej demokracji, a do tego był wcześniej wiceprezydentem u Reagana, który rzucił na kolana ZSRR. Sprawa oczywista. Tym bardziej że przeciw sobie miał gubernatora małego i biednego stanu Arkansas, Billa Clintona. Clinton uchylił się od służby w wojsku, a Bush był bohaterem wojennym, o czym tu w ogóle mówić. Do tego, co taki gubernator zapyziałego, prowincjonalnego Arkansas może wiedzieć o wielkiej polityce? Do głowy by mi wtedy nie przyszło, że niecałe dwa lata później w Gabinetcie Ovalnym będę robił wywiad z Billem Clintonem, a przede wszystkim, że właśnie on będzie prezydentem, który tak naprawdę zdecyduje o wejściu Polski do NATO.

Telewizja Polska na szczęście wtedy o mnie nie zapomniała. Zaproponowała mi przygotowanie 20-minutowego reportażu o wyborach, który miał być wyemitowany w Jedyńce o godzinie 20.00 w przeddzień wyborów. Było to w zamierzonych czasach, gdy telewizja naprawdę próbowała być publiczna. Czy ktokolwiek mógłby dziś sobie wyobrazić nadawanie o 20.00 w Jedyńce jakiegokolwiek dłuższego materiału poświęconego zagranicy? Choć z drugiej strony akurat to w obecnej TVP, zdominowanej

przez wybitnie prymitywną propagandę, jest być może najmniejszym problemem.

Dłuższy reportaż plus wejścia na żywo w „Wiadomościach” przed wyborami i po wyborach to było naprawdę coś. Poza wszystkim, z całym szacunkiem dla Nowego Orleanu, mogłem zobaczyć dwa miasta, o których też marzyłem – Waszyngton i Nowy Jork. Choć akurat te dwa miasta są ostatnimi, które powinno się odwiedzać przed wyborami. Z prostego względu. Wynik w tych miastach można przewidzieć 20 lat przed wyborami. W Waszyngtonie zawsze wygrywają demokraci, w Nowym Jorku – niemal zawsze. Ale Nowy Jork to jednak na całym świecie synonim Ameryki, choć pod wieloma względami jest Ameryki zaprzeczeniem. Z kolei Waszyngton to synonim prezydentury i władzy.

Do Waszyngtonu przyleciałem pod koniec października. Samolot podchodził do lądowania tak, jakby pilot chciał, by wszyscy dokładnie obejrzeliby sobie Kapitol i Biały Dom. Było to oczywiście wiele lat przed zamachami z 11 września, po których coś takiego było już nie do pomyślenia. Waszyngton wyglądał bajecznie. Mimo pory roku – słońce, zieleń.

Stać przed Białym Domem i nagrywać stand-upy – nie twierdzę, że moje młodzińcze marzenie było nadmiernie wyrafinowane. Było, jakie było. Szczególnie z dzisiejszego punktu widzenia. Kiełkowało jednak w głowie jakieś 15 lat wcześniej, gdy wyjazd do Ameryki był abstrakcją, a praca dziennikarska w Ameryce – abstrakcją totalną. Ale żyliśmy wtedy w epoce, gdy niewyobrażalne przedwczoraj było prawdopodobne wczoraj, możliwe dziś, a realne jutro. Taki moment. Może raz na sto lat. Teraz ten Waszyngton, przez lata poznawany z książek

radzieckich politologów, z których trzeba było odcedzać cały ten propagandowy szlam, był czymś namacalnym.

Z wyprawy do Waszyngtonu wróciłem z mocnym postanowieniem, że do końca pobytu w Ameryce skończę swoją pierwszą książkę – o wyborach prezydenckich w USA. I dałem radę, po drodze znajdując czas na wyprawy do Los Angeles, San Francisco i na Key West na Florydzie. Za wszystkie zapłaciłem pieniędzmi, które zarobiłem w trzy weekendy, prowadząc studio olimpijskie.

Pisanie książki, owszem, zorganizowało mi czas, narzuciło dyscyplinę, ale po pół roku z tygodnia na tydzień coraz bardziej tęskniłem za Polską i za pracą. Tym bardziej że oglądanie na co dzień amerykańskiej telewizji przypominało mi, co przerwałem, do czego chciałem wrócić i co po powrocie chciałem robić.

Dzień po przyjeździe do Nowego Orleanu wyszedłem z akademika, opuściłem campus i wsiadłem do wagonika tramwaju, który jeździł po pięknej Saint Charles Avenue. Tak wyglądało południe. Piękne białe domy, ogromne drzewa, sekwoje, platany, Faulkner na wyciągnięcie ręki. Do centrum jechało się tym wagonikiem za dolara jakieś pół godziny. W popularnym Wallmarcie kupiłem telewizor, bo bez telewizora ani rusz. Mały, czarno-biały, zapłaciłem – pamiętam dokładnie – 78 dolarów. Dopiero jakieś dwa miesiące później mój nowy przyjaciel, mieszkający w Nowym Orleanie i studiujący na Loyoli George Podos, sprezentował mi kolorowy telewizor. To była inna rozmowa. Szczególnie że po drodze zakochałem się w futbolu. W amerykańskim futbolu, broń Boże, nie mylić z tym, który znamy z Europy. Politykę można sobie oglądać na marnym, czarno-białym telewizorze, sport wymaga jakości.

Kilka dni po moim przyjeździe na południu Florydy uderzył huragan Andrew. W kilka godzin zabił 82 osoby. A potem ruszył przez Zatokę Meksykańską wprost w stronę Nowego Orleanu. W akademiku kazali nam opuścić pokoje i półtora dnia siedzieliśmy na korytarzach, na wypadek, gdyby porywy wiatru miały stłuc szyby.

Tam też przeniosłem telewizor, na którym obejrzałem dziennik telewizji CBS. Prowadził Dan Rather, który był następcą, kogóż by innego, Waltera Cronkite'a. I co ja widziałem? Rather rozpoczął wiadomości nie w studiu, ale po prostu na ulicy. Stał w jakiejś kurtce przeciw deszczowej, wiatr wiał tak, że Rather ledwo trzymał się na nogach, a w którymś momencie musiał się złapać drzewa, żeby nie pofrunąć. Cały dziennik był o huraganie Andrew. Od razu zaświtała mi myśl – to jest to – prowadzić kiedyś taki autorski dziennik, wyjść ze studia, gdy dzieje się coś wielkiego, i robić ten program z miejsca, w którym to coś się dzieje. To byłoby nadzwyczajne! Pięć, sześć lat później dokładnie coś takiego zrobiliśmy w „Faktach”, a w sumie takich dzienników w ciągu prawie siedmiu lat zrobiliśmy 35, od Nowego Jorku po Tel Awiw, od Waszyngtonu po Kopenhagę, od Rzymu po Bagdad. Ale to było lata, długie lata później. Na razie po prawie dziesięciu miesiącach wracałem do Warszawy. Traf chciał, że wyjechałem z Polski tuż po narodzinach rządu Hanny Suchockiej, a przyjechałem w momencie, gdy następowała jego agonia.

Koalicja siedmiu partii nie mogła trwać wiecznie. Tym bardziej gdy rząd co chwilę dostaje po głowie od Solidarności, a prezydent, który wywodzi się ze związku, niespecjalnie chce ten rząd chronić. Czterolecie rządów obozu Solidarności przyniosło Polsce ogromne zmiany. Zmiany łączyły się jednak z kosztami.

Koszty łatwiej byłoby ponieść, gdyby klasa polityczna demonstrowała elementarną solidarność. A powinna była to czynić choćby dlatego, że koszty kosztami, ale akurat na początku 1993 roku było widać, że Polska i polska gospodarka naprawdę wychodzą na prostą. Reformy przynosiły już rezultaty, wzrost gospodarczy zaczynał być solidny. I - jak to u nas - dokładnie w tym momencie dał o sobie znać instynkt samobójczy.

Autodestrukcja była koncertowa, bo oto rządy obozu Solidarności mieli wykończyć wspólnym wysiłkiem postowie z Solidarności, którzy postawili wniosek o odwołanie rządu, oraz prezydent, który tylko czekał, aż rząd padnie i będzie można rozpisać nowe wybory. Zabawne w tym wszystkim było to, że Solidarność liczyła, iż dzięki nowym wyborom będzie jeszcze silniejsza. A Wałęsa był przekonany, że stworzy naprędce własną partię, która jak taran wparuje do Sejmu, dając mu jeśli nie większość, to pakiet kontrolny. Nadzieje były skrajnie naiwne. W obu przypadkach.

28 maja 1993 roku rząd Suchockiej padł. Dokładnie pamiętam moment, gdy na tablicy świetlnej wyświetliły się wyniki głosowania. My, sprawozdawcy parlamentarni, patrzyliśmy na siebie, nie dowierzając. Rząd upadł. Ale to mało. Padł jednym głosem. Chwilę potem okazało się, że do przetrwania zabrakło głosu ministra sprawiedliwości Zbigniewa Dyki. Minister tłumaczył się niedyspozycją żołądkową. Scenografia historii bywa boleśnie dosłowna. Wyglądało na to, że patetycznie rozpoczęte 4 czerwca rządy obozu Solidarności zakończyły się w sejmowym wychodku. Bo Lech Wałęsa, kierując się samobójczym instynktem, natychmiast ogłosił, że parlament rozwiązuje. Polskę czekały nowe wybory, które miały doprowadzić do prawdziwej tym razem kontrrewolucji.

W maju, kilka dni przed sejmowym głosowaniem, gościłem w „Wiadomościach” wieczornych ambasadora Izraela Mirona Gordona. Po rozmowie, z głupia frant, zapytałem go, czy byłaby jakakolwiek szansa na przeprowadzenie wywiadu z premierem Izraela Icchakiem Rabinem. Zupełnie w to nie wierzyłem, ale co szkodziło zapytać? Kilka dni później telefon z ambasady Izraela. Jest pan umówiony na półgodzinny wywiad z premierem Rabinem 31 sierpnia o godzinie 12.00 w siedzibie ministerstwa obrony w Tel Awiwie. Wydawało mi się to cudownie abstrakcyjne. Wywiad z premierem Izraela załatwiony jednym pytaniem, do tego termin ustalony z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Został dotrzymany, jak się okazało, co do minuty.

Do dziś nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, skąd mi się wzięło wielkie zainteresowanie Bliskim Wschodem, ale było faktem. Już wtedy miałem na ten temat kilkadziesiąt książek. Ale oczywiście tylko do pewnego stopnia mogły mnie one przygotować do wywiadu z prawdziwym światowym przywódcą. Dziś niemal nigdy nie startuję do wywiadu z przygotowanymi wcześniej pytaniami. Ważne jest to pierwsze, później rozmowa sama idzie, w zależności od tego, jak na to pytanie odpowie wywiadowany. Wtedy jednak coś takiego nawet nie przychodziło mi do głowy. Lektury, notatki, warianty pytań, lista pytań. A to wcale nie jest takie dobre. Człowiek przygotowuje jakiś plan i podświadomie go realizuje, zamiast poprowadzić rozmowę naturalnie, złapać kontakt z rozmówcą, razem odnaleźć jakiś rytm i dać się mu ponieść.

Icchak Rabin był byłym wojskowym, w czasie słynnej wojny sześciodniowej w 1967 roku szefem sztabu izraelskiej armii. To się czuło. W późniejszych latach rozmawiałem z kilkoma amerykańskimi prezydentami, z dwoma brytyjskimi premierami

i z wieloma innymi zachodnimi politykami, ale najbardziej życzliwi, przynajmniej tak się wydawało, byli właśnie ci najważniejsi, amerykańscy prezydenci. Mieli jakiś odruch warunkowy, który kazał im traktować każdego rozmówcę jak potencjalnego wyborcę. Wyborca to potencjalny głos. Do niego trzeba się uśmiechnąć i o niego zabiegać. Tacy są, niezależnie od tego, czy rozmawiają z wielkim przywódcą, czy nieznaczącym dziennikarzem.

Z Rabinem było inaczej. Był absolutnie surowy. Zero kokieterii, zero uśmiechu. Ascetyczna osobowość. Miał w sobie coś bardzo emocjonalnego, ale kompletnie nie starał się tym epatować. Powściągliwość totalna, dystans. W pewnej chwili bardzo mnie zaskoczył. Miałem wrażenie, a potem pewność, że całkiem wyraźnie zapowiada, iż lada moment dojdzie do zawarcia pokoju między Izraelem i Palestyńczykami. Mówił o jakichś rozmowach pokojowych, ale byłem za mało czujny/doświadczony/bystry, by zapytać wprost. Poza tym, myślałem, Izraelczycy i Palestyńczycy walczą od 45 lat. Dopiero co, kilka lat wcześniej, zakończyła się intifada, w czasie której to właśnie Rabin powiedział, że rzucającym w izraelskich żołnierzy kamieniami arabskim chłopcom trzeba połamać kości. I teraz on miałby zawrzeć z Palestyńczykami porozumienie pokojowe? Jasne, porozumienie w Camp David w 1979 roku zawarł z prezydentem Egiptu Sadatem jastrząb Menachem Begin, ale to było dawno temu. Do tego wiadomo było, że jednym z głównych punktów spornych jest kwestia Jerozolimy. A tu Rabin był więcej niż stanowczy. Swym mocnym, trochę charczącym głosem powiedział twardo: „Jerozolima jest duchem i sercem Izraela i nigdy nie będzie podzielona”. Dopiero potem świat się dowiedział, że ewentualne porozumienie wcale nie zakładało podziału, lecz wspólne

władanie nad miastem.

Kilka dni później, ale jeszcze przed moim powrotem do Warszawy, gruchnął wielki news, po którym musiałem przerwać robienie reportażu i zrobić wejście na żywo do „Wiadomości”. W Oslo delegacje Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny zawarły wstępne porozumienie pokojowe. Formalnie miało być zawarte przez Rabina i Arafata 14 września w Waszyngtonie. Byłem wściekły. Oczywiście nie dlatego, że dojdzie do porozumienia. Ale byłem być może o jedno pytanie od usłyszenia informacji, która teraz była na czołówkach mediów całego świata. Coś takiego zdarza się raz w życiu, a ja to właśnie przegapiłem. Może Rabin by mi nie zdradził sekretu, pewnie nie, ale ja nawet nie dałem sobie szansy. Płynęły z tego dwie ważne lekcje: 1. Zawsze dopytuj. 2. Fakt, iż coś nie zdarzyło się przez kilkadziesiąt lat, nie oznacza nigdy, że nie zdarzy się jutro.

Wróciłem do Warszawy z wywiadem z izraelskim premierem i z materiałem na reportaż. Znowu byłem pod wrażeniem, jak działa prawdziwa telewizja publiczna. Wywiad z Rabinem i reportaż poszły po „Teleexpresie”. Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach wyobraża sobie coś takiego w TVP dziś? Już abstrahując od tego, że dziś w TVP zamiast wywiadów z izraelskim premierem w *prime time* można usłyszeć dowcipy z kloaki o Żydach i komorach gazowych.

W sierpniu i wrześniu Polska żyła już wrześniowymi wyborami. Tylko prawica wpadła po uszy w swój tradycyjny obłęd i zamiast walczyć o głosy, walczyła z Wałęsą. 4 czerwca, w rocznicę odwołania rządu Olszewskiego, od Zamku Królewskiego po Belweder przeszła wielka antywałęsowska demonstracja organizowana przez Jarosława Kaczyńskiego. Obserwowałem ją,

a w okolicach placu Na Rozdrożu się z nią zetknąłem. Nie było to sympatyczne spotkanie. Gdyby nie mój kolega ze studiów Piotr Pacholski, pod koniec lat 80. w KPN, a potem w okolicy zagorzałych prawicowców, tłum mógł mi porachować kości. Na szczęście Piotrek miał dar przekonywania i uspokoił ludzi, mówiąc, że to, co widzieli w *Nocnej zmianie*, filmie Kurskiego i Semki, ma niewiele wspólnego z prawdą.

Film ten stał się, trzeba przyznać, pewną legendą. Fascynujące było jednak coś innego. Otóż zwolennicy prawicy – i wtedy, i teraz – zdają się być święcie przekonani, że widzieli w nim coś, czego w nim nie było. Na prawicowych forach do dziś czytam, że w relacji w TVP mówiłem wtedy o jadących ulicami czołgach. Kurski rzeczywiście nagrał i puścił, jak mówię o czołgach, tyle że nie była to żadna relacja. Stojąc z koleżankami i kolegami, opowiadałem swój sen, co jasno mówiłem. Jeszcze bardziej charakterystyczna i groteskowa jest druga historia. Na prawicowych forach do dziś powielana jest fałszywa informacja, zgodnie z którą 4 czerwca na sejmowym korytarzu wzywałem Lecha Wałęsę, by ratował Polskę. Historia jest o tyle ciekawa, że w filmie dokładnie widać, iż było zupełnie inaczej. Stojąc obok Moniki Olejnik i Basi Górskiej, śmiejąc się, mówiłem im, a nie żadnemu Wałęsie: „Jeszcze teraz ktoś powinien powiedzieć Wałęsie – panie prezydencie, niech pan ratuje Polskę”. Naprawdę fascynująca jest gotowość zwolenników naszej prawicy do wiary w coś, co znajduje dokładne zaprzeczenie na ekranie. Nic to, widząc tę zdolność, w najmniejszym stopniu nie dziwiłem się lata później ich gotowości uwierzenia w totalnie absurdalne kłamstwo smoleńskie. Fakty są niczym, wiara jest wszystkim.

Miałem wrażenie, że stypa z okazji śmierci rządów obozu

Solidarności odbyła się, w tym akurat przypadku, przed pogrzebem. 15 sierpnia, w rocznicę Cudu nad Wisłą, w pałacyku w Pęcicach pod Warszawą zorganizowano wielkie przyjęcie. Nie ukrywam – i ja poddałem się próżności. Niemal cała elita III RP, ministrowie, prezesi, ważni dyrektorzy, a gdzieś obok ja, zwykły dziennikarz z „Wiadomości”. Dziś to mnie zawstydzają, ale wtedy bardzo miło łechtało moje ego. Elita III RP nie sprawiała wrażenia niezadowolonej. Suto zastawione stoły, kelnerzy roznoszący szampana. Nad stawkiem orkiestra zagrała już po zmroku „Muzykę ogni sztucznych” Haendla, a gdy tylko wybrzmiały ostatnie takty, w powietrze wystrzeliły prawdziwe fajerwerki.

W całym tym towarzystwie był tylko jeden autentycznie smutny człowiek, Jan Maria Rokita, potężny szef kancelarii premiera w gabinecie Suchockiej. Rokitę, przyznaję, wtedy podziwiałem. Był diabelnie inteligentny i urzekająco arogancki. Pamiętałem go jeszcze z końca lat 80., gdy nadawał błyskotliwe relacje dla Wolnej Europy. Opowiadał w nich, bez – jak mówi młodzież – ściemniania, o polityce, twardej, realnej polityce. – Panie ministrze, dlaczego pan jest taki smutny? – zagadnąłem. – Bo to już koniec. – Koniec czego? – Koniec naszego rządu, koniec rządów Solidarności. – Ale co pan mówi, wybory dopiero przed nami. – Nie mamy szans. – Rokita nie pozostawiał złudzeń. – Płynie przeciw nam wielka fala, nie damy rady. Trzeba się starać zminimalizować straty, ale tak naprawdę jest po wszystkim. Cztery lata, szybko to poszło – mówił.

Rokita nie grał, nie kokietował, nie udawał. Brzmiał wiarygodnie. Do bólu wiarygodnie. Po czterech latach z małym okładem Solidarność miała oddać władzę postkomunistom, o których wielu jeszcze niedawno mówiło, że za chwilę wyginą jak dinozaury. Dinozaury – abstrahując od tego, że taki Kwaśniewski

za diabła na dinozaura nie wyglądał - wyginąć nie chciały. Przeciwnie. Właśnie czyniły sobie Polskę poddaną. Zostawał jeszcze dla równowagi Lech Wałęsa, ale zaczynałem mieć wrażenie, że powoli traci formę. Nie musiał rozwiązywać parlamentu, a to zrobił. Stworzył jakiś BBWR, w którym było kilka ważnych postaci, jak Zbigniew Religa czy Andrzej Olechowski, ale nikt przytomny nie miał złudzeń, że będzie to polityczny przebój. Wałęsa doprowadził do narodzin dziecka, a potem je porzucił. BBWR wszedł nawet do Sejmu, ale w zasadzie nie wiadomo po co. Tak się nie robi poważnej polityki. To wyglądało jak kaprys.

BBWR ledwo przeskoczył przez wyborczy próg. PC Kaczyńskiego przeleciało pod poprzeczką. Podobnie KLD Tuska i Bieleckiego. Tak samo ZChN. Prawicę wymiotło z Sejmu. Najdalej na prawo była w nim Unia Wolności, która w normalnym układzie robiłaby co najwyżej za socjaldemokrację.

Mówiąc bez znieczulenia: ludzie dawnej PZPR wracali do władzy.

Dzień po wyborach na placu Powstańców pojawiła się Barbara Grad, żona gwiazdy „Dziennika Telewizyjnego” z lat 80., Grzegorza Woźniaka. Ona też była dziennikarką DTV, potem „Wiadomości”, w których jednak była spychana na margines. Redaktor Grad nie weszła do redakcji. Ona do niej wkroczyła. To była demonstracja. Była ubrana cała na czerwono i uśmiechnięta od ucha do ucha. Triumf postkomunistów był dla mnie strasznym zawodem, ale wejście redaktor Grad było naprawdę w niezłym stylu. Tupet w sumie imponujący. Przeżyła trudne dla niej lata 1989-1993, a teraz wracała. Choć tylko na krótko. SLD mógł razem z PSL wziąć władzę w kraju, ale władzę w TVP przejął dopiero trzy lata później. Barbara Grad wykonywała tylko gest.

Aleksander Kwaśniewski wracał do wielkiej gry. A w zasadzie dopiero teraz do niej wchodził.

Prowadzący obrady Sejmu marszałek Józef Zych spojrzał w lewo i w górę w stronę sejmowej łoży prasowej, po czym, patrząc wyraźnie na mnie, kiwnął głową, jakby mówiąc „chodź do mnie”. Zrozumiałem, że w czasie przerwy, którą za chwilę ogłosi, mam przyjść do jego gabinetu. Zgadłem.

- No, witaj - zaczął Zych, tradycyjnie na ty, choć ja byłem z nim oczywiście na pan. - Dzień dobry, panie marszałku. - Słuchaj, jest taka sprawa, wczoraj odbyło się posiedzenie szefostwa koalicji i zapadały ważne decyzje - kontynuował. Czułem, że za chwilę sprzeda mi jakiegoś newsa o tym, co dzieje się w koalicji SLD-PSL. - No więc rozmawialiśmy o telewizji i zarekomendowałem cię na szefa Jedyнки - oznajmił. Chyba głośno jęknąłem i zrobiłem jakąś nieszczęśliwą minę, bo Zych spojrzał na mnie, jakby stało mi się coś złego, zapewne z głową. - O co ci chodzi? - Panie marszałku, ja nie chcę być szefem. - Jak to nie chcesz? Nie chcesz być dyrektorem z samochodem służbowym? - No właśnie nie.

Zacząło mi być nawet trochę przykro. Zych na pewno chciał dobrze, ale zaangażował się w starania o coś, co nie miało sensu. Sytuacja była kłopotliwa, marszałek chyba trochę zły, na pewno zawiedziony, więc szybko się ulotniłem. Gdybym został, musiałbym mu tłumaczyć, dlaczego jego propozycja jest dla mnie cudownie nieatrakcyjna, a obawiam się, że mógłby tego nie zrozumieć. Uważałem po prostu, wtedy i w następnych latach, że największą karierą, jaką może zrobić dziennikarz, jest kariera dziennikarska, a nie dyrektorska. Zrobić świetny program, napisać tekst czy książkę, to było coś. Ale zostać jakimś dyrektorem, zagrzebać się w papierach, w pieczętkach?

Kompletny nonsens. Tym bardziej gdy znało się trochę sytuację w TVP, w której wiatr hulał bez przerwy, wymiatając całe tabuny dyrektorów i sprowadzając ich nowe zastępy. Objąć dziś stanowisko w TVP, to jutro albo pojutrze iść pod nóż. I w sumie w imię czego? Kariery? Jakiej kariery? Była to już trzecia sytuacja w ciągu trzech lat, gdy odrzucałem przedstawianą mi ofertę. Trzy razy „nie”, to już składało się na jakiś sukces.

W styczniu 1994 roku pojechałem do Pragi na szczyt przywódców Ameryki, Polski, Czech i Węgier. Powoli, powoli, ale nieuchronnie ruszała sprawa rozszerzenia NATO, wtedy na tym szczeblu poruszana po raz pierwszy. Kilka miesięcy później „New York Times” opisywał dalszy ciąg. Tuż po otwarciu Muzeum Holocaustu, w kwietniu 1993 roku, Václav Havel i Lech Wałęsa podeszli do Billa Clintona i dość stanowczo zaapelowali do niego, by rozmowy o rozszerzeniu NATO naprawdę ruszyły. Przesłanie Havla było jasne. – Panie prezydencie, nasze kraje muszą wejść do NATO i być bezpieczne, żeby żaden inny amerykański prezydent nie musiał otwierać takiego muzeum – miał powiedzieć Clintonowi. Argument celny. Szczególnie w kontekście wojny w Jugosławii, która trwała już kilka lat, o mniej niż dwie godziny lotu z Warszawy i Pragi.

Cały świat patrzył, jak Sarajewo, w którym 10 lat wcześniej odbyły się wspaniałe igrzyska olimpijskie, stało się areną straszliwej wojny, a jego mieszkańcy zostali tarczą strzelniczą, na której trenowali serbscy snajperzy. Zachód był całkowicie bezradny, a słynny generał Colin Powell, na początku kadencji Clintona przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, wypowiedział zdanie „*We do deserts, not mountains*”, co miało znaczyć: wojna na pustyni – tak, w górach – nie. Czyli przez

Kuwejt możemy się z ekspresową wojną przelecieć, ale w Jugosławii ryzyko jest zbyt wielkie. Ludzie ginęli, Zachód był beczynny, a cała sytuacja pokazywała, jak łatwo konflikt może się wymknąć spod kontroli i jak szybko pokój zamienia się w wojnę.

Któż mógł być bardziej sugestywny w domaganiu się, by za wszelką cenę zapobiec nowej wielkiej tragedii, niż dwaj ludzie legendy, autorytety moralne, dwa symbole walki o wolność i prawa człowieka - Havel i Wałęsa. Subtelny artysta i były robotnik, jeden mówiący wyrafinowanym językiem wartości, drugi bez ogródek opowiadający o okolicznościach i koniecznościach. Chyba przekonali Clintona, bo już po dwóch tygodniach do Warszawy przyjechał Strobe Talbott, numer dwa w Departamencie Stanu, przyjaciel Clintona jeszcze z czasów, gdy obaj studiowali na Oksfordzie.

Talbott w rozmowie o rozszerzeniu NATO był zupełnie niezbędny. Po pierwsze dlatego, że uchodził w Departamencie Stanu za wybitnego znawcę Rosji, która z całych sił rozszerzeniu NATO się sprzeciwiała. Po drugie dlatego, że sam się wtedy temu sprzeciwiał, a mając tak dobry dostęp do ucha prezydenta, mógł całą operację storpedować.

Chciałem się zorientować, o co dokładnie chodzi w wizycie Talbotta. Zadzwoiłem z tym do wiceministra spraw zagranicznych - Jerzego Koźmińskiego. Koźmiński wcześniej był prawą ręką Leszka Balcerowicza, a potem jednym z najważniejszych ludzi Hanny Suchockiej. Gdy w rządzie SLD-PSL Andrzej Olechowski został ministrem spraw zagranicznych, Koźmińskiemu dał funkcję zastępcy i misję reformy MSZ, a zaraz potem misję nieskończenie ważniejszą, jak się okazało po latach, zdecydowanie najważniejszą funkcję w jego życiu. Koźmiński miał

zostać ambasadorem w USA i de facto pilotować operację wejścia Polski do NATO. O swej nominacji powiedział mi już w pierwszej rozmowie.

Wyraziłem żal. Nie z powodu jego wyjazdu, ale ze względu na fakt, że najprawdopodobniej nie będziemy mogli ze sobą współpracować. A bardzo bym tego chciał, tym bardziej że mniej więcej po kwadransie byłem Koźmińskim absolutnie zauroczony. Był kompetentny, miał ogromną wiedzę, był komunikatywny, a przy tym w jakiś zupełnie niezwykły sposób delikatny. Co z tego.

Korespondent TVP w Waszyngtonie Andrzej Krajewski wiele tygodni wcześniej zadzwonił do mnie i powiedział, że za kilka miesięcy wraca do Polski, więc gdybym się chciał starać o tę funkcję, to jest właściwy moment. Bardzo chciałem. Natychmiast napisałem prośbę do ówczesnego prezesa TVP Wiesława Walendziaka, opisując wszystkie swoje atuty. Bo uważałem – przyznaję, nie nadmiernie skromnie – że byłbym dobrym korespondentem. Znałem się na polskiej i amerykańskiej polityce. Przez lata byłem reporterem politycznym w Sejmie, rok spędziłem w Ameryce, napisałem książkę o amerykańskich wyborach prezydenckich, więc CV miałem niezłe. Ale prezes do Waszyngtonu najwyraźniej chciał wysłać kogoś innego. Dostałem więc na piśmie odpowiedź odmowną z jakimś kompletnie absurdalnym uzasadnieniem: „Uważamy, że na obecnym etapie reformy Telewizji Polskiej talenty pana redaktora będą mogły być najlepiej spożytkowane na miejscu, w Polsce”.

Bullshit, pomyślałem, mają kogoś innego i tyle. Napisałem odwołanie od odmowy, ale odpowiedzią była druga odmowa. Gdy pytałem członków zarządu wprost, kto jest ich kandydatem, kogo lepszego mają – nie odpowiadali. Z plotek wynikało, że obstawiają

pewnego dziennikarza, który o Ameryce rzeczywiście wiedział bardzo wiele, za to o telewizji nie wiedział nic. Ale – i to było najważniejsze – był blisko ludzi prawicy, co zresztą potwierdził w następnym ćwierćwieczu. Jerzemu Koźmińskiemu powiedziałem więc, że bardzo chciałbym pojechać do Waszyngtonu i z nim współpracować, ale wygląda na to, że *not this time*. Zareagował spokojnie, sprawiając wrażenie nie tyle zawiedzionego, ile raczej przetwarzającego jakieś dane.

Nigdy do końca nie wyjaśnił mi, co i jak oraz kto, ale już po dwóch tygodniach dostałem sygnał z Woronicza, żebym nie pisał żadnych odwołań, bo sprawa jednak znalazła się na właściwych torach. Kilka dni później wezwał mnie członek zarządu, słynny dyrektor Stanisław Nowak, który dyrektorował w TVP za kilku kolejnych ekip, co zaowocowało na Woronicza znanym wszystkim powiedzonkiem: „tak czy owak, Staszek Nowak”. To dyrektor Nowak kilka tygodni wcześniej wręczał mi odmowę na moje podanie. Teraz poprosił, żebym usiadł, i od razu przekazał mi wieść. – Panie redaktorze, mam dla pana dobrą i oczekiwaną przez pana wiadomość. Pana sprawa stanęła na posiedzeniu zarządu. Uznaliśmy, że doskonale nadaje się pan na korespondenta TVP w USA, i zdecydowaliśmy się powierzyć panu tę funkcję.

Nie komentowałem dość nagłej zmiany stanowiska, bo i po co. Za kilka tygodni miałem jechać do Waszyngtonu.

Placówka

Z Andrzejem Krajewskim uzgodniliśmy, że pod koniec maja przyjadę, żeby mógł mi pokazać co i jak - mieszkanie, konto w banku, samochód służbowy, kontakty, a na początku czerwca już oficjalnie zamienimy się miejscami. Spełniało się kolejne marzenie. Zresztą w całkiem niezłym momencie. Pięć dni po moim przyjeździe do USA w Nowym Jorku zaczynały się piłkarskie mistrzostwa świata. A najważniejsze było coś innego. Miesiąc później do Warszawy miał przyjechać prezydent Clinton z żoną. Szybko okazało się, że jest wielka szansa na wywiad z nim w przeddzień wyjazdu. 5 czerwca - początek pracy w USA, 30 czerwca, niecałe cztery tygodnie później, miałem porozmawiać z amerykańskim prezydentem. Tempo było naprawdę niezwykle.

Z Kingą zamierzaliśmy przyjechać do Waszyngtonu na początku czerwca. Kilka tygodni wcześniej pojechałem tam na rekonesans, Andrzej odebrał mnie z lotniska. W Waszyngtonie była ciemna noc. Dość długo wiózł mnie do domu, w którym miałem spędzić kilka lat. W każdym razie wtedy wydawało mi się, że dystans jest spory, może bardziej przez to, jak bardzo byłem zmęczony, niż samą odległość. Bo w sumie na lotnisko National (drugie, Dulles, jest znacznie dalej) jechało się, co potem wiele razy sprawdzałem, nie dłużej niż 20-25 minut. Po przyjeździe ujrzałem wielkie boczysko, chyba dwudziestopięciopiętrowy apartamentowiec. Obejrzałem mieszkanie. Nieźle, ponad sto metrów, zdecydowany skok standardu w zestawieniu z niecałymi dwudziestoma metrami na Muranowie.

To, gdzie zamieszkamy, zobaczyłem rano. Widok z balkonu

naprawdę zapierał dech w piersiach. Gdzie nie spojrzeć wielki dywan zieleni, potężne drzewa. O tej porze roku nawet nie było widać schowanych pod nimi setek, może tysięcy domków i domów. Apartamentowiec był w stanie Maryland, adres pamiętam - Willard Avenue 2210. Dosłownie przez ulicę był dystrykt stołeczny - Washington DC. Jakieś trzysta metrów pod górę była stacja metra Friendship Heights, rzeczywiście w tamtym miejscu pagórki były spore, a do samego centrum, w kierunku Georgetown i Białego Domu, jechało się długo w dół. Wokół była cała masa restauracji i dość ekskluzywnych sklepów. Nie zanosilo się na to, że będziemy w nich częstymi gośćmi, to nie było na kieszeń korespondenta, ale nie to się liczyło. Okolica była po prostu piękna, wybitnie nadająca się do wygodnego życia.

Nie ukrywam, że w pierwszych dniach po przyjeździe perspektywa pracy korespondenta solidnie mnie przerażała. Byłem zdany tylko na siebie. Tu nie było producentów ani kierowników produkcji, kierowców ani biura współpracy z zagranicą, sekretarek ani newsroomów. Biuro było dokładnie trzy kroki od sypialni. W nim stał stolik. Na stoliku obok komputer, fax i drukarka. Razem jakieś 10 metrów kwadratowych. Tak w praktyce wyglądała placówka TVP w USA. Nie narzekam. Opisuję. Zresztą to akurat było najmniejszym problemem. Najważniejsze było to, że musiałem zajmować się wszystkim, a było tego tyle, że niekiedy prace organizacyjne pochłaniały większość mojego czasu.

Pierwszym materiałem, który miałem robić po przyjeździe do Ameryki, było *story* o inauguracji mistrzostw świata. Mecz na Giants Stadium w New Jersey, obok Manhattanu. Grali Włosi

i Irlandczycy, oba kraje miały w Nowym Jorku potężne wsparcie irlandzkiej i włoskiej mniejszości. Czyli opowieść o piłce, ale tak naprawdę o Nowym Jorku i Ameryce, kraju imigrantów. Żeby taki materiał zrobić, musiałem zarezerwować hotel, skontaktować się i umówić z operatorem, znaleźć rozmówców, wziąć na plecy kamerę, statyw, wielką torbę z lampami i bateriami, wsiąść do samochodu, przejechać te ponad 360 kilometrów do Nowego Jorku i dopiero tam zająć się właściwą pracą. W dniu przyjazdu do Nowego Jorku, a wcześniej do Stamford niedaleko NY, gdzie w hotelu zrzuciłem cały sprzęt, na moment włączyłem telewizor. Po raz pierwszy w życiu, będąc w Ameryce, mogłem obejrzeć *play off* rozgrywek NBA. Niemal tradycyjnie w finale konferencji wschodniej Chicago Bulls, z moim idolem Michaeliem Jordanem, grali z drużyną New York Knicks. Był 17 czerwca 1994 roku. Nagle transmisję przerwano. Na ekranie pojawił się filmowany ze śmigłowca biały ford bronco ścigany przez policyjne samochody na autostradzie pod Los Angeles. W aucie była gwiazda amerykańskiego futbolu, czarnoskóry O.J. Simpson, podejrzewany wtedy o zamordowanie byłej – białej – żony Nicole i jej kochanka. Informacja o ich kolorze skóry jest tu kluczowa. W następnych kilkunastu miesiącach Ameryka dostała na punkcie tej sprawy, która mówiła bardzo wiele o rasowych stosunkach w Stanach, absolutnej obsesji, zresztą nie minęła ona do dziś. Proces Simpsona był fascynujący. Nie wiem, ile dni spędziłem, oglądając relacje z niego. Na pewno bardzo wiele. Chyba sam zacząłem cierpieć na tę obsesję, bo będąc w następnych latach w Los Angeles, dwa razy poszedłem pod dom Nicole, mniej więcej o godzinie, o której doszło tam do morderstwa. Dziwaczne. Całkiem niedawno obejrzałem na Netfliksie serial *American Crime Story* o zabójstwie w Los Angeles i procesie Simpsona. To

było naprawdę fascynujące.

W tamtym czasie popełniałem stale jeden błąd. Śmiertelnie poważnie traktowałem wszystkie przepisy, które obowiązywały w TVP. Jeden z nich przewidywał, że za dobę hotelową w Nowym Jorku nie mogę zapłacić więcej niż 80 dolarów. Oczywiście za 80 dolarów za dobę nie można znaleźć w Nowym Jorku żadnego hotelu, który nie byłby jakimś straszliwym szczyrowiskiem. W efekcie hotel wynajmowałem w miejscowości Stamford w stanie Connecticut, ponad 60 kilometrów od Manhattanu, gdzie mieszkał mój stały w Nowym Jorku operator Andrzej Dąbrowski. Stamford było, nawiasem mówiąc, piękne, ale wyjeżdżanie tam z Manhattanu, zwykle po to, by o świcie wracać do Nowego Jorku na montaż, było logistycznym koszmarem. Szczególnie gdy – a i tak się zdarzyło – zdjęcia do materiału o sylwestrze na Times Square skończyłem o 3.00 rano, do hotelu wracałem po 4.00, a przed 7.00 musiałem wstawać, żeby pojechać na montaż. Minęły chyba dwa lata, zanim zdobyłem się na odwagę, by telewizyjny przepis w tym punkcie ominąć i zapłacić w Nowym Jorku za hotel tyle, ile trzeba.

Po drodze, przy okazji każdego służbowego wyjazdu, pobytu w hotelu, a nawet każdej opłaty za parking czy przejazd autostradą, musiałem zbierać wszystkie mniejsze i większe rachunki, by się z tego co do grosza rozliczyć. W sumie więc za każdym razem musiałem wykonać wielką pracę, zanim w ogóle przystąpiłem do pracy dziennikarskiej. Do tego trzeba było ogarnąć cały kraj, większy niż Europa. I wyjść poza politykę. Amerykańska polityka jest wybitnie ciekawa, ale Ameryka nie jest tylko polityką, o czym trzeba pamiętać, nawet jeśli mieszka się w ultrapolitycznym Waszyngtonie.

W przeddzień wywiadu z Clintonem spotkałem się w centrum Waszyngtonu z Amerykanką, producentką niemieckiej telewizji ZDF. Clinton jechał do Polski i do Niemiec, gdzie miał się spotkać z kanclerzem Helmutem Kohlem. Wywiadu miał więc udzielić telewizji polskiej i niemieckiej. Nie było sensu targać do Gabinetu Ovalnego dwóch zestawów kamer, czyli w sumie sześciu. Z radością przystałem więc na propozycję ZDF, że oni mój wywiad sfilmują, a ja tylko dostarczę kasety. Amerykańska producentka ZDF była wywiadem dla Niemców trochę zmartwiona. - Ten wywiad dostaliśmy trochę przypadkiem i burzy on to, co powtarzam od lat wszystkim niemieckim korespondentom w Waszyngtonie: niemiecka telewizja i niemieccy korespondenci nie znaczą w Ameryce absolutnie nic - powiedziała. Dla żadnego polityka nie mają najmniejszego znaczenia, powinno się dodać. Oczywiście, skoro dotyczy to Niemców, dotyczy też Polaków. Wiadomo, amerykańscy politycy zależą od amerykańskich wyborców i ich głosów. W tym sensie, poza jakimiś wyjątkami, czas poświęcony mediom zagranicznym w pewnym stopniu mogą uznać za czas stracony. To jest luksus, dodatek, w sumie niezbyt istotny.

Korepetycji, których producentka ZDF udzielała niemieckim dziennikarzom, ja musiałem udzielać koleżankom i kolegom z Warszawy, którzy regularnie dzwonili do mnie z prośbą o korespondencje na temat tego, co się mówi w Ameryce o jakiejś sprawie, którą akurat żyła Polska. Naprawdę trudno było przekonać kogokolwiek, że nic się nie mówi, bo nikt o niczym nie wie i guzik kogokolwiek obchodzi to, co się w Polsce dzieje. Z punktu widzenia Ameryki było to doskonale nieistotne. Na polonocentryzm nie było jednak lekarstwa.

Generalnie amerykańsko-niemiecka producentka miała rację,

choć akurat w momencie, kiedy przyjeżdżałem do Waszyngtonu, w odniesieniu do Polski przez kilka lat miało być inaczej. Oczywiście nie miało to żadnego związku z tym czy owym korespondentem. Miało za to duży związek z tym, co działo się w stosunkach polsko-amerykańskich. A najważniejszą kwestią w amerykańskiej polityce zagranicznej, kwestią strategiczną, było rozszerzenie NATO. W rozszerzeniu z kolei w największym stopniu chodziło o Polskę, bo to perspektywa Polski w NATO stała ością w gardle Rosji. I wyłącznie z powodu tego, co się działo w sprawie NATO, mogłem rozmawiać z Clintonem, z Talbottem, a potem z późniejszymi kandydatami republikanów na prezydenta, Bobem Dole'em i Johnem McCainem. Tylko dlatego bez większych kłopotów mogłem zdobyć wypowiedzi słynnych senatorów Joego Bidena czy Joego Liebermana. Nie mówiąc już o znakomitej demokratycznej senator z Maryland, Barbarze Mikulski, która opowiadała mi, jak tuż po wojnie w ich domu ojciec wziął portret ukochanego przez niego wcześniej Roosevelta i odwrócił go przodem do ściany. Roosevelt, mówił ojciec Barbary Mikulski, zdradził Polskę i sprzedał ją Stalinowi. Nie będziemy na niego patrzeć ani on na nas.

Pod koniec czerwca 1994 roku niemal do ostatniej sekundy bałem się, że w prezydenckim grafiku nastąpi jakaś zmiana i mój wywiad nagle z niego wyleci. A gdyby wyleciał, mógłby do niego nie wskoczyć przez następnych kilka lat. Udało się jednak. Kilka tygodni po przyjeździe do Waszyngtonu byłem w Gabinetcie Owalnym Białego Domu. Miejscu dla mnie magicznym, o którym tyle razy myślałem. Kilkanaście minut rozmowy z amerykańskim prezydentem - nie ukrywam, że gdy już było po wszystkim, byłem po prostu szczęśliwy.

Ameryka Clintona była krajem, który wydawał się być w najlepszym momencie w swojej historii. Kraj może był politycznie bardzo podzielony, ale wciąż nie tak jak dekadę później. Gospodarka rosła, giełda szła w górę. Nie było wtedy na planecie kraju, który w dającym się przewidzieć czasie mógłby rzucić Ameryce prawdziwe wyzwanie w sensie politycznym, gospodarczym czy militarnym. Terroryzmu nie było widać na horyzoncie. Jasne, już w styczniu 1993 roku dokonano pierwszego zamachu na World Trade Center, ale w zestawieniu z tym, co się stało w roku 2001, wyglądał on na incydent. Toczyła się wojna w Bośni, mniej więcej wtedy doszło do ludobójstwa w Rwandzie, wcześniej sama Ameryka miała kłopoty w Somalii, zresztą prawdziwe, jak pamięta każdy, kto widział film *Helikopter w ogniu*. Ale z perspektywy Waszyngtonu były to jakieś egzotyczne terytoria.

Tuż po przyjeździe, w sierpniu, relacjonowałem ucieczkę z Kuby w kierunku Florydy na łódkach i tratwach kilkudziesięciu tysięcy Kubańczyków. We wrześniu byłem w Port-au-Prince, gdzie Amerykanie właśnie dokonywali inwazji, by obalić juntę pułkowników. Jedno i drugie to było świetne *story* dla telewizji – prawdziwi ludzie, realne dramaty. Ale z *punktu* widzenia Ameryki to były drobiazgi. Ameryka była spokojna. Przeciętni Amerykanie koncentrowali się głównie na tym, gdzie kupić następny dom i jakiej marki powinien być kolejny SUV. Za to rozpasanie przyszło im zapłacić ponad dekadę później, ale na razie na horyzoncie nie było ani jednej chmurki. Rywalizacja z Rosją, która przez kilkadziesiąt lat zajmowała umysły, była, jak się wydawało, definitywnie zakończona. Rosja wciąż pozostawała problemem, ale był to w równym stopniu problem psychologiczny co polityczny. Jak zinstytucjonalizować swoją przewagę i dominację,

nadmiernie Kremla nie urażając, by upokorzony nie wierzgał.

Początek mojej korespondenckiej kadencji był wymarzony. Materiały o uciekających Kubańczykach i inwazja na Haiti to było najlepsze reporterskie przetarcie, jakie mogłem sobie wymyślić. Uczyło pracy w trudnych warunkach, gdy jest się zdanym tylko na siebie i gdy trzeba czasem użyć fortelu.

Inwazja na Port-au-Prince miała się zacząć, tak plotkowano, 20 września. W Santo Domingo, stolicy Dominikany, która graniczy z Haiti, wylądowaliśmy 18 września. Do granicy przedostaliśmy się z łatwością, ale potem zaczęły się kłopoty. Miałem w paszporcie haitańską wizę, ale była ona wydana przez ambasadę Haiti w Waszyngtonie, której reżim Raula Cedrasa nie uznawał. Żeby móc przekroczyć granicę, należało mieć specjalny dokument, zwany z francuska *laissez-passer*. Dokument wydawało reżimowe ministerstwo informacji w Port-au-Prince. Do tego trzeba było być jeszcze na liście niejakiej madame Chatelain, której biuro podróży, i tylko ono, organizowało przejazdy z granicy do Port-au-Prince. Nie miałem ani *laissez-passer*, ani nie byłem na żadnej liście, a o tym, że potrzebne jest jedno i drugie, dowiedziałem się dopiero na miejscu. Co robić? W niedzielę 19 września późnym popołudniem ostatnia grupa dziennikarzy pakowała się do autobusu pani Chatelain. Cała reszta miała jechać w następnych dniach, czyli prawdopodobnie już po inwazji. Nie, nie mogłem się spóźnić, to nie wchodziło w grę.

Podszedłem na kilka kroków do dyrygującej całą operacją logistyczną pani Chatelain. Na szyi miała złoty łańcuszek z krzyżykiem. Na Haiti z wielkim prawdopodobieństwem znaczyło to, że jest katoliczką. No to próbuję. – Madame Chatelain, czy

mogę panią poprosić na sekundę na bok? – zapytałem. – Tak, słucham. – Jestem dziennikarzem z Polski, widzi pani, nie mam ani *laissez-passer*, ani nie jestem na pani liście. Jeśli pani mi nie pomoże, nie dotrę do Port-au-Prince na czas. Jest pani katoliczką, prawda? – Tak, ale o co chodzi? – Przepraszam, że to mówię, ale skoro jest pani katoliczką, to doskonale wie pani, kto jest papieżem. Jan Paweł II to Polak. Gdyby w tym momencie poprosiła go pani o spełnienie jakiejś prośby, z całą pewnością by to zrobił. Teraz ja panią proszę o pomoc.

Pani Chatelain obróciła się i odeszła na kilka kroków. Stanęła tyłem do mnie. Po kilku sekundach odwróciła się i podeszła. – Dobrze, pomogę ci. Jesteś sam? – Nie, z operatorem. – W porządku, wchodźcie do autobusu, połóżcie się z tyłu pod siedzeniami i już teraz dajcie mi swoje paszporty. Na granicy wszyscy wyjdą z autokaru, wy zostaniecie, mój syn pójdzie, by do paszportów wbić pieczętki. Wszędzie dookoła będą żołnierze, więc nawet nie podnoście głów. – Tak jest, oczywiście.

Kilkanaście minut później byliśmy w drodze. Cała operacja na granicy trwała jakiś kwadrans, w czasie którego zalewał mnie zimny pot. Ale oczekujący na inwazję Amerykanów żołnierze nie byli aż takimi służbistami. W naszych paszportach były pieczętki, jechaliśmy do Port-au-Prince. Nie miałem pojęcia, gdzie będziemy spać, ale w tym momencie było to nieistotne. Udało się. Cud. Nie wiem, czy powoływanie się na polskiego papieża przy załatwianiu służbowej sprawy nie było jakimś świętokradztwem. Jeśli tak, to proszę o wybaczenie.

Tej nocy nie spaliśmy ani sekundy. O świcie ruszyliśmy na zdjęcia, a po kilku godzinach nad Port-au-Prince pojawiły się amerykańskie śmigłowce. Inwazja. Kilka godzin później relacja z tego, co się działo na Haiti, była w „Wiadomościach”.

Kilka tygodni wcześniej, gdy byłem na Florydzie, mój przełożony, szef redakcji zagranicznej Maciek Stasiński, polecił, bym błyskawicznie załatwiał sobie kubańską wizę, bo lada moment komunizm na Kubie może upaść. Byłem zły, bo miałem z tą wizą straszny problem, a rzeczywiście mogło się wydawać, że reżim Castro pada. Wizę w końcu załatwiłem. Trwało to 14 miesięcy - na Kubie wylądowałem w listopadzie 1995 roku. Powstał z tego reportaż. Jego wartość artystyczną oceniam raczej nisko, ale dawał on widzom - jak sądzę - całkiem niezłe wyobrażenie o tym, jak wyglądała wtedy Kuba. Tym bardziej że za pieniądze można tam było kupić niemal wszystko i zobaczyć niemal wszystko. Jeszcze w Waszyngtonie słyszałem, że w Hawanie organizowane są w tajemnicy przed władzą występy transwestytów dla publiczności. 100 dolarów i mogliśmy je nagrać. Dokładnie za 300 dolarów ministerstwo sportu zorganizowało mi spotkanie z rekordzistą świata w skoku wzwyż Javierem Sotomayorem (jego rekord - 2,45 metra - przetrwał zresztą do dziś). Tak po prostu, za kilkaset dolarów, niemal z ulicy wejść do domu wielkiego mistrza (na ścianie miał wielkie zdjęcie Diego Maradony) - coś takiego mogło się udać wyłącznie w kraju wygłodniałym dewiz. Po ponad tygodniu na Kubie nie miałem poczucia, że komunizm na wyspie lada moment upadnie. Miałem wrażenie, że nie upadnie jeszcze bardzo długo. Ludzie wiedzieli, że jest biedniej, niż mogłoby być, o niebo biedniej niż w tak niedalekiej Ameryce. Ale też byli autentycznie przerażeni, że gdy komunizm runie, Kuba zostanie de facto wykupiona przez bogatych Kubańczyków z Miami, a ci, którzy są na wyspie, staną się niewolnikami już nie komunistycznego reżimu, ale rodaków. Z jakichś względów woleli tę pierwszą niewolę.

Prezydentura Billa Clintona na tym etapie, czyli w połowie pierwszej kadencji, była pełna aferek bardziej niż afer, aferek jednak przykrych i rzucających na prezydenta mało sympatyczny cień. Po dwóch latach jego prezydentury wydawało się, że nie ma on najmniejszych szans na reelekcję, ale już w 1996 roku, po 12 miesiącach sensownych działań i zaadaptowaniu całej masy republikańskich pomysłów i rozwiązań typu obowiązek noszenia w szkole mundurków, Clinton dość spokojnie żeglował w kierunku drugiej kadencji.

Jego republikański rywal Robert Dole był wspaniałą osobą, miał świetne CV bohatera II wojny światowej (był ciężko ranny w czasie walk we Włoszech), ale nie miał żadnych szans na wygraną. Zadowolona Ameryka nie potrzebowała prezydenta 70-latka, który nie miał żadnej sensownej recepty na przyszłość i sam wyglądał jak człowiek z dawnej epoki.

Korespondent w Ameryce latami czeka na kampanię prezydencką. To jest dla niego gwóźdź programu. Jednak już wiosną 1996 roku, gdy kampania nabierała tempa, wiadomo było, że prawdopodobnie będą to jedne z najnudniejszych wyborów w historii. Całe szczęście, że po drodze były jakieś ekscytujące chwile, na przykład igrzyska olimpijskie w Atlancie. Ale i one, może nie w sensie sportowym, ale pod względem klimatu, atmosfery, nastroju, wypadły dość marnie, choćby na tle igrzysk w Barcelonie cztery lata wcześniej. Ot, takie igrzyska Coca-Coli, która miała swoją centralę w Atlancie. Zdaje się, że właśnie to zdecydowało o przyznaniu temu miastu prawa organizacji igrzysk, a nie Atenom – jak można się było spodziewać w setną rocznicę nowożytnych igrzysk olimpijskich. O ileż byłoby ciekawiej, gdyby za czasów, gdy byłem korespondentem, wybuchła jakaś afera podobna do skandalu z Monicą Lewinsky.

Nic takiego nie było. Ale na szczęście była cała historia z rozszerzeniem NATO. Z punktu widzenia Polski rzecz fundamentalna.

Amerykę kochałem, uwielbiałem robić materiały z politycznego Waszyngtonu i całkowicie apolityczne materiały z Alabamy, Florydy, Arizony czy Kolorado. Ale gdy z perspektywy już ponad 20 lat patrzę na tamten czas, to dochodzę do wniosku, że największą atrakcją tamtych kilku lat, obok samej Ameryki, byli Polacy, których tam spotkałem.

Chyba najbardziej intrygujące były dwie postacie absolutnie wybitne, które bardzo wiele łączyło i równie wiele dzieliło: Jan Nowak-Jeziorański i Jan Karski. W czasie wojny obaj byli słynnymi potem kurierami. Jan Nowak-Jeziorański kursował między Londynem i Warszawą, między rządem londyńskim a dowództwem AK. Jan Karski poinformował świat, w tym prezydenta Roosevelta, o tragicznym losie Żydów w okupowanej Polsce. Los obu rzucił na emigrację, Karskiego - do Waszyngtonu, Nowaka-Jeziorańskiego - do Monachium, a potem również do Waszyngtonu. Ten pierwszy został wykładowcą na Uniwersytecie Georgetown, ten drugi - dyrektorem rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa, a potem nieoficjalnym ambasadorem Polski w Waszyngtonie. Razem ze Zbigniewem Brzezińskim stworzyli tandem wpływowych Polaków w stolicy USA. Razem z Jerzym Koźmińskim stanowili polski tercet, który w połowie lat 90. zyskał ogromny wpływ na amerykańską politykę w sprawie NATO.

Jana Nowaka poznałem tuż po przyjeździe do Waszyngtonu. Podziwiałem go bez zastrzeżeń i tego nie ukrywałem, nasze relacje szybko stały się bardzo sympatyczne. Nie powiem serdeczne, bo nie był to ten stopień zażyłości, ale sympatyczne

z całą pewnością.

Nowak mieszkał w Annandale w stanie Wirginia, na przedmieściach Waszyngtonu, razem z żoną. Karski był moim sąsiadem w stanie Maryland, mieszkał dosłownie w bloku obok. Był wdowcem. Jego żona, tancerka Pola Niereńska, popełniła kilka lat wcześniej samobójstwo.

Jan Nowak-Jeziorański był wielkim adwokatem członkostwa Polski w NATO. Czasem mówił otwarcie, że jest to jego życiowa misja i nie umrze spokojnie, póki Polska do NATO nie wejdzie. Gdy mówił o Polsce, w oczach często miał łzy wzruszenia. Zabrzmiał to może nazbyt patetycznie, ale Polska była dla niego marzeniem, obowiązkiem, ale i miłością bez granic.

Z Janem Karskim było inaczej. Wiele razy siedziałem w fotelu w jego mieszkaniu i prowadziliśmy długie rozmowy o Polsce, Ameryce i Europie. Karski o Polsce mówił z dystansem. Powiem szczerze - czasem z ogromnym dystansem, co najlepiej podkreślało często używane przez niego sformułowanie „ta wasza Polska”. O tej „naszej Polsce” niekiedy mówił zresztą ze złością i z niechęcią. Z odrazą mówił o polskim nacjonalizmie, z wielką niechęcią - o endecko-kościelnej tradycji, wręcz z pogardą - o polskim antysemityzmie, a z ironią - o polskiej politycznej naiwności. - Zarzucacie Rooseveltowi, że zdradził Polskę - mówił na przykład. - Ale to był amerykański prezydent. A nie polski - dodawał z przekąsem.

Szczególnie przeżywał polski antysemityzm. Pola Niereńska była Żydówką. Niemal cała jej rodzina zginęła w Holokauście. Ona sama, choć ocalała, z tej traumy nigdy się do końca nie podniosła. Efektem była wieloletnia depresja, a jej finałem - samobójstwo. Żona Jana Karskiego stale mówiła o polskim antysemityzmie. Karski myślał i czuł tak samo.

Waszyngton to spore miasto, ale dla Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Jana Karskiego było za małe. Panowie, powiedzmy to delikatnie, nie przepadali za sobą. Ot, tak ogólnie i tak szczególnie. Kwestia wejścia Polski do NATO była tu swego rodzaju dodatkiem, bo to, co dla Nowaka-Jeziorańskiego było celem i świętą sprawą, dla Karskiego było głupotą. I tak jak Nowak był wielkim aliantem Jerzego Koźmińskiego, tak Karski był dla niego potencjalnie wielkim kłopotem.

Karski o swym sprzeciwie wobec rozszerzenia NATO o Polskę mówił dość głośno, a w interesie Polski zdecydowanie było to, by mówił o tym ciszej albo w ogóle. Misja była tu delikatna, bo głos Karskiego znaczył wiele, był on powszechnie szanowany, a ze względu na jego wielkie zasługi trzeba było się z nim naprawdę bardzo liczyć. Dla Koźmińskiego oznaczało to wiele długich, szalenie uprzejmych i delikatnych rozmów. Ale było coś jeszcze.

Misję rozbrojenia Karskiego dostał sekretarz ambasady Mariusz Handzlik, mój przyjaciel z ambasady i z piłkarskiego boiska. Bo Mariusz, którego działką był Pentagon, zorganizował specjalny turniej piłkarski tylko po to, by mieć nieformalny dostęp do ważnych ludzi z różnych ambasad, którzy piłkę też kopali. Mariusz był także osobą od kontaktów z ludźmi senatora Hanka Browna. Dziś o tym republikańskim senatorze ze stanu Kolorado niesłusznie zapomniano, a to on sprawę wejścia Polski do NATO stawiał w Kongresie jako pierwszy. W odniesieniu do Jana Karskiego zadanie było konkretne: uczynić z niego przyjaciela polskiej ambasady, nawet jeśli nie zgadzał się z celami, które ta ambasada sobie stawia. Mariusz przynajmniej raz w tygodniu przyjeżdżał więc do Karskiego. Panowie grali w szachy. Oczywiście nie była to operacja tylko polityczna. Jerzy Koźmiński widział, że Karski jest po prostu samotny i kontakt ze stosunkowo

młodym, sympatycznym, inteligentnym i dobrze zorientowanym człowiekiem z Polski był dla niego cenny. Dla Mariusza relacja z Karskim była bezcenna, bo mieć szanse na regularne rozmowy z takim świadkiem historii to było coś nadzwyczajnego. Do tego dochodziła sprawa NATO. Jan Karski swój sprzeciw ukrył. A w każdym razie go nie manifestował.

Tak jak dla Mariusza czymś nadzwyczajnym był kontakt z Janem Karskim, tak dla mnie czymś wyjątkowym było obserwowanie Jerzego Koźmińskiego w akcji. Ten delikatny i fizycznie niepozorny człowiek koordynował najbardziej koronkową operację w historii polskiej dyplomacji. Dyplomata był świeżym, ale na dyplomatycznych instrumentach grał niezwykle umiejętnie. A pułapek było wiele. Niechęć wielu kongresmenów w sprawie rozszerzenia NATO, sceptycyzm wielu znanych postaci w departamencie stanu i w całej administracji Clintona, wątpliwości wpływowych środowisk żydowskich. A także wpływy opiniotwórczych publicystów i naukowców, jak Thomas Friedman i Michael Mandelbaum, którzy w najważniejszych amerykańskich gazetach pisali, jaką to wielką geostrategiczną katastrofą będzie rozszerzenie NATO i co strasznego się stanie, gdy cała ta operacja na dobre zantagonizuje Rosję.

Dziś członkostwo Polski w NATO wydaje się oczywistością, ale wtedy oczywistością wcale nie było. Toczyła się naprawdę szalenie intensywna batalia, w którą angażowali się także ludzie z polityką niemający nic wspólnego. Na przykład Ben Cohen i Jerry Greenfield, założyciele firmy produkującej słynne – i niestety fantastyczne – lody Ben & Jerry, wielokrotnie płacili za całostronicowe ogłoszenia w „New York Timesie”, w których mobilizowali Amerykanów do sprzeciwiania się planom

rozszerzenia. Pułapek, zasadzek, przeszkód, przeciwników cichych i otwartych było więc multum, problemów do rozwiązania – co niemiara. Naprawdę trzeba było wirtuoza, by to wszystko opanować. A sytuacja w kraju nie zawsze sprzyjała całej operacji.

W listopadzie 1995 roku prezydentem Polski został Aleksander Kwaśniewski. To był szok. Może nawet nie sam wynik wyborów. Sondaże wskazywały, że jego zwycięstwo jest dość prawdopodobne. Szokujące było to, że sześć lat po przełomie z 1989 roku postkomuniści mieli już nie tylko parlament, ale także całą władzę w Polsce. Jakby tego było mało, tuż po zwycięstwie Kwaśniewskiego w Warszawie eksplodowała afera Oleksego. Z perspektywy Waszyngtonu wyglądało to tak – lider Solidarności pokonany przez postkomunistę, a więc postkomuniści, którzy nigdy nie byli entuzjastami wejścia Polski do NATO, a przez lata wypowiadali się o tym z wielkim dystansem, zdobyli pełnię władzy w Polsce. Na dodatek postkomunistyczny premier został w Polsce oskarżony o szpiegostwo na rzecz Rosji. Sprawa była niezwykle poważna. Nawet jeśli Kwaśniewski natychmiast zadeklarowałby wolę kontynuowania starań o wejście Polski do NATO, to sprawa Oleksego była prezentem dla wszystkich w Waszyngtonie, którzy przekonywali, że dla dżentelmenów rządzących teraz w Warszawie w NATO nie powinno być miejsca.

Moment był trudny, ale w ogromnym stopniu dzięki Koźmińskiemu wyszliśmy z opresji. W czerwcu 1996 roku do Waszyngtonu przyjechał Lech Wałęsa. Choć protokół nie wymaga, by prezydenci przyjmowali byłych prezydentów, Clinton Wałęsę przyjął. Nie wszyscy w Polsce pewnie o tym wiedzą, ale to właśnie w czasie tego spotkania Wałęsa otworzył Kwaśniewskiemu drzwi

do Białego Domu. Bo gdyby w Waszyngtonie powiedział, że Kwaśniewskiemu absolutnie nie można wierzyć, bo to komuch i diabli wiedzą co jeszcze, przeciwnicy rozszerzenia znowu dostaliby wiatru w żagle. Ale Wałęsa nic takiego nie powiedział. Przeciwnie, podkreślał, że ten Kwaśniewski to niby były komunista, ale w Waszyngtonie mogą mu ufać. - Wiecie, Kwaśniewski jest jak rzodkiewka, na zewnątrz czerwony, ale w środku biały - przekonywał Clintona i jego ludzi w swoim stylu Wałęsa. Metafora nie była może nadmiernie subtelna, ale dość sugestywna. A przede wszystkim - działała.

Już miesiąc później Aleksander Kwaśniewski został przyjęty w Białym Domu. Wątpliwości i obawy Amerykanów wyparowały. Do załatwienia zostało jeszcze wiele spraw, w tym ostateczne rozwiązanie kwestii pułkownika Ryszarda Kuklińskiego, na którym w Polsce wciąż ciążył wyrok śmierci, a który dla Amerykanów był bohaterem i „pierwszym polskim oficerem w NATO”. Ale najważniejsza przeszkoda została usunięta. W tym momencie było już wiadomo, że sprawa wejścia Polski do NATO jest na właściwych torach. Została jeszcze ostateczna decyzja administracji, potem w sprawie wejścia Polski do NATO musiał głosować Senat, ale było już decydowanie bliżej niż dalej.

Wizyta Lecha Wałęsy w Waszyngtonie była w sumie dość niespodziewana. Wypadła akurat w momencie, gdy pojawiła się szansa na moje spotkanie w Watykanie z papieżem Janem Pawłem II. Dominikanin Maciej Zięba mówił, że jeżeli przyjadę do Rzymu na tydzień, audiencja będzie niemal pewna, ale ze względu na Wałęsę, którego wizytę musiałem obsługiwać, z tygodnia zrobił się dla mnie jeden dzień - piątek. Z wielkiej szansy zrobiła się szansa maleńka. Ostateczna informacja nadeszła w czwartek po

godzinie 23.00. Tak, przed 7.00 rano mieliśmy czekać przed drzwiami pałacu apostolskiego, skąd mieli nas poprowadzić do prywatnej kaplicy papieskiej na mszę, po której miała się odbyć audiencja.

Dziś, także w Polsce, toczą się wielkie debaty o pontyfikacie polskiego papieża, o jego dziedzictwie, o tym, co się udało, a co nie. Jedni, jak amerykański historyk George Weigel, nie mieli wątpliwości, że był to wielki pontyfikat wielkiego człowieka, który przestawił papieżstwo na inne tory, który zrozumiał, że we współczesnym świecie papieżstwo, jeśli ma odgrywać naprawdę dużą rolę, musi być na swój sposób ekspansywne i wychodzić poza mury Watykanu. A papież z kolei musi być swoistym globalnym celebrytą, a nie tylko najwyższym watykańskim urzędnikiem. Obok pojawiały się jednak głosy krytyczne, czasem nawet bardzo, a krytyka dotyczyła pontyfikatu w kontekście świata i precyzyjniej – Polski. Papieżowi Wojtyłe do dziś wiele osób zarzuca bagatelizowanie skandali pedofilskich w Kościele. W Polsce mówi się, że jeśli episkopat w którymś momencie zaczął dryfować w stronę Torunia i ojca Rydzyka, to jest to wina Jana Pawła II, bo to w praktyce on decydował przez dwie i pół dekady o wszystkich biskupich nominacjach.

Nie lekceważę tej krytyki, rozumiem ją, wciąż jednak ewentualne błędy i zaniechania tego papieża, nawet jeśli ważne, wydają mi się zdecydowanie mniej istotne niż jego zasługi, szczególnie dla Polski. Przyznaję, że nie jestem w stanie myśleć o Janie Pawle II bez wielkiego poczucia wdzięczności, bez wielkiego szacunku i – tak – bez miłości. Moment, gdy okazało się, że świat ma papieża z Polski, pamiętam dokładnie, jak każdy w Polsce, kto ma więcej niż 50 lat. Pierwsza papieska pielgrzymka. Potem druga i następne. Spotkania papieża

z Lechem Wałęsą, ale także z Edwardem Gierkiem i Wojciechem Jaruzelskim, i to przejmujące poczucie, że stojąc obok niekoronowanego króla Polski, człowieka, który uosabiał polskie marzenia i nadzieje, ci komunistyczni przywódcy błyskawicznie karleją, jakby sami nagle wyczuwali swą nieistotność. Bo oto obok był ten, którego los uczynił prawdziwym depozytariuszem autentycznych aspiracji narodu.

Dokładnie o tym wszystkim i o minionych 20 latach myślałem, patrząc w papieskiej kaplicy na plecy pogrążonego w modlitwie papieża. W środku kaplicy trzy siostry zakonne i jeszcze kilka osób. Absolutna cisza. W tej kaplicy papież z Polski modlił się o poranku już kilka tysięcy razy. W większości przypadków to na lata komunizmu, gdy intencją modlitw była na pewno wolność Polaków. Niecałe 18 lat temu usłyszałem w domu radosny krzyk: „Polak papieżem”. 11 lat później Polska była wolna. Teraz była w przedsiönku do NATO, czyli do poczucia bezpieczeństwa, którego prawie nigdy w swej historii, w każdym razie w ostatnich niemal trzech stuleciach, nie zaznała. Być teraz tu, obok tego człowieka, było czymś niezwykłym i wzruszającym. Sama audyencja w jednej z sal przylegających do kaplicy była krótka. I może dobrze. Byłem tak przejęty, że nie bardzo byłem w stanie mówić, a nawet – jak się okazało – zapamiętać, co powiedział papież. Pamiętam za to nastrój. Doskonale pamiętam.

Różnie się mówi w Polsce o amerykańskiej Polonii i przyznam szczerze, że niewiele z krytycznych opinii można uznać za rzeczywiście niesprawiedliwe. Ale w Waszyngtonie miałem wielkie szczęście do Polaków. Spotkałem tam ludzi fantastycznych. Wspominałem już o Jerzym Koźmińskim, Janie Nowaku-Jeziorańskim, Zbigniewie Brzezińskim i Janie Karskim,

a także o moim przyjacielu Mariuszu Handzliku, który później tragicznie zginął w Smoleńsku. Ale byli i inni. Wspaniali – Bartek Kamiński i jego żona Ewa (ich syn Maciek wcześniej w „Financial Times” i „Wall Street Journal”, potem szef europejskiej części Politico, a ostatnio tak zwany *global editor at large* w Waszyngtonie – ojciec chrzestny mojej młodszej córki Igi), oboje pracujący w Banku Światowym. Ewa i Maciek Wierzyńscy, Anna Erdman (wnuczka Melchiora Wańkowicza) i jej mąż Tadeusz Walendowski. Jerzy Różyło, wykładowca z Pennsylvania State University, i jego żona Ewa. Korespondent „Gazety Wyborczej” Jacek Kalabiński (wszyscy pamiętają Lecha Wałęsę mówiącego w Kongresie „My, naród” i mają w uszach tłumaczenie Jacka Kalabińskiego, który siedział wtedy obok Wałęsy) i jego żona Barbara. Animatorzy życia towarzyskiego w polskim Waszyngtonie – Jacek i Barbara Tomorowiczowie. Anita Ensor i jej mąż David, były korespondent ABC News w Moskwie i w Warszawie, gdzie spotkał Anitę (byli jedną z ostatnich par, którym ślubu udzielił ksiądz Popiełuszko). Jarosław Anders (tłumacz Susan Sontag) i Piotr Niklewicz z Wolnej Europy. W komplecie cudni ludzie. Wszyscy łączący to, co najlepsze w Amerykanach i w Polakach – trzeźwość spojrzenia, inteligencję, otwartość, serdeczność. Przyznaję szczerze, że nigdy nie byłem zwierzęciem towarzyskim. Lista zaproszeń, które dostawałem, była dla mnie zwykle grafiką nieobecności. Nic nie poradzę, wieczorem najbardziej lubię siedzieć w domu, czytając książkę albo oglądając mecz. Ale w Waszyngtonie było inaczej. Spotkania z tymi ludźmi były czymś specjalnym. Polityka, sport, Polska, Ameryka, dyskusje, plotki. Czasem spory, jak z Teresą Torańską i jej mężem Leszkiem, który wtedy pracował w Międzynarodowym Funduszu Walutowym.

Z Teresą, z czego potem oboje bardzo się śmialiśmy, pokłóciliśmy się na śmierć i życie o wybory prezydenckie w Polsce. Teresa popierała Aleksandra Kwaśniewskiego, ja - Lecha Wałęsę. To w ogóle nie była dla mnie kwestia politycznych kompetencji kandydatów. Nie mogłem sobie wyobrazić popierania kogoś, kto był przeciw kandydatowi z obozu Solidarności. Dla mnie była to forma zdrady. Dla Teresy było oczywiste, że lepszym kandydatem jest Kwaśniewski, a skoro tak, to należało go popierać i tyle. Oczywiście jakiś czas później to, kto kogo popierał, było już doskonale nieistotne. Wspominam o tym tylko po to, by jasne było, że nawet ludzie, którzy się lubią, czasem skaczą sobie do oczu, ale wyłącznie z powodów śmiertelnie poważnych, czyli z powodu polityki.

W Waszyngtonie poznałem jeszcze jednego człowieka, z którym przyjaźnię się już prawie ćwierć wieku. Spotkanie to było zresztą przypadkowe. Gdzieś w okolicach Wielkanocy 1995 roku amerykański operator Ed Kastner, z którym czasem pracowałem, powiedział mi, żebym przyszedł do waszyngtońskiej siedziby telewizji ZDF na przyjęcie z okazji wizyty w Waszyngtonie szefa niemieckiej dyplomacji Klausea Kinkela. Naprawdę musiałem nie mieć nic do roboty, bo poszedłem. Przyjęcie odbywało się w pięknej kamienicy w Georgetown, ekskluzywnej dzielnicy Waszyngtonu. Siedziba ZDF była zdecydowanie bardziej imponująca niż waszyngtońska siedziba TVP.

Już zaczynałem nabierać przekonania, że źle robię, przychodząc na to przyjęcie, gdy nagle podszedł do mnie wysoki trzydziestokilkuletni facet. Zaczął coś do mnie mówić po niemiecku, więc odpowiedziałem po angielsku, że niemieckiego nie znam. - A, sorry, nazywam się Steffen Seibert, jestem

korespondentem telewizji ZDF. - Miło mi - przedstawiłem się i wyjaśniłem, że jestem korespondentem polskiej telewizji. - Bardzo cię przepraszam - powiedział Steffen - ale tak naprawdę podszedłem do ciebie, bo było tu tak strasznie nudno, a pomyślałem, że jesteś chyba ochroniarzem Kinkela i rozmowa z tobą będzie ciekawsza. - Sorry, nie jestem ochroniarzem Kinkela i nie mogę ci zagwarantować, że rozmowa będzie tak ciekawa jak ta, którą miałbyś z jego ochroniarzem - zaśmiałem się.

Tak się poznaliśmy. Relacja ta miała wszelkie szanse, by umrzeć śmiercią naturalną, bo już kilka miesięcy później Steffen wracał do Niemiec. Najpierw do Berlina, potem do Mainz, czyli do centrali ZDF. Znajomość mogła być chwilowa, ale tak się jakoś złożyło, że jak najbardziej przetrwała. Kilka lat później Steffen został ojcem chrzestnym mojej starszej córki Poli. Gdzieś po drodze, dodaję to, by podkreślić, że ma na to dobre papiery, przeszedł z protestantyzmu na katolicyzm. Wiem, że mało kto mi uwierzy, ale pod moim wpływem. Więcej nawet - Steffen nauczył się polskiego. Nie mówi bardzo płynnie, ale jest się w stanie porozumieć. W czasie specjalnego wydania „Faktów” z Berlina we wrześniu 2002 roku, w dniu wyborów w Niemczech, Steffen wystąpił w programie i mówił po polsku. W 2010 roku został rzecznikiem kanclerz Angeli Merkel. Od tego czasu jest jednym z jej najbliższych współpracowników. Jak to się mówi w Polsce z uśmiechem: Przypadek? Nie sądzę.

Czasem więzienie może być całkiem przestronne. Uwielbiałem pracę korespondenta w Ameryce, ale gdzieś od kwietnia 1996 roku zaczynała mi ona ciążyć. Właśnie wtedy całą telewizję przejęła czerwono-zielona koalicja. Prezesem TVP został ludowiec

Ryszard Miazek, a rządy na placu Powstańców objęło trzech dżentelmenów zwanych „tv-grubasami”. Dostali do ręki wszystkie trzy programy informacyjne i nie była to dobra zmiana. „Wiadomościami” zaczął rządzić niejaki Jarosław Grzelak. Dobrze pamiętałem go jeszcze z czasów studium wojskowego na UW, gdzie specjalizował się w nadszkakiwaniu wojskowym trepom. Teraz na dzień dobry oznajmił mi, że Ameryka poza polityką w zasadzie za bardzo go nie interesuje, więc żeby siedział w Waszyngtonie i robił tak zwane oficjałki. Gość był z zupełnie innej galaktyki niż Adam Pieczyński (za czasów prezesa Walendziaka szefem „Wiadomości”) i Maciej Stasiński (szef zagranicy w tamtych „Wiadomościach”). Oni chcieli ode mnie tylko jednego. – Rób jak najwięcej materiałów – mówił Maciek Stasiński. – Nie ograniczaj się do Waszyngtonu, jeśli coś ciekawego zdarzy się w jakimkolwiek miejscu w Ameryce, to wsiadaj i leć.

To była najlepsza instrukcja pracy, jaką mógł dostać korespondent, ale najwyraźniej stawała się właśnie nieaktualna.

Którejś lipcowej nocy obudziłem się na kanapie. Była chyba druga po północy. Najwyraźniej padłem przed telewizorem, oglądając transmisję z igrzysk w Atlancie. Na ekranie telewizora coś bardzo migotało, ale jeszcze nie widziałem dokładnie co. Wreszcie przebudziłem się na tyle, żeby zrozumieć, co się zdarzyło – wybuch w parku olimpijskim w Atlancie. Był siódmy dzień igrzysk. Trzeba było jechać. Szybko sprawdziłem połączenia lotnicze. Jeśli w Atlancie chciałem być wcześniej rano i mieć czas na zrobienie materiału, musiałem wyruszyć najpóźniej o świcie. O tej porze żaden samolot z Waszyngtonu do Atlanty nie leciał. Ale jeden odlatywał z oddalonego o jakieś 60 kilometrów od

amerykańskiej stolicy Baltimore. A więc Baltimore. Mniej więcej o 9.00 zacząłem robić materiał, jednocześnie planując swoje wejście w wydaniu „Wiadomości”. Mniej więcej po dwóch godzinach dostałem telefony z Warszawy, z sekretariatu dyrektora Telewizyjnej Agencji Informacyjnej – ten jeden materiał tak, ale następnego dnia muszę wracać do Waszyngtonu. Tak zdecydowali dyrektorzy. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. W Waszyngtonie nic się nie działo, a działo się w Atlancie, w związku z czym jako korespondent powinienem być w Waszyngtonie? Pachniało to skrajną złośliwością lub skrajną głupotą. Albo jednym i drugim.

Ale już następnego ranka te instrukcje stały się nieaktualne. Panowie dyrektorzy zostali zawieszeni, bo okazało się, że zorganizowali w jakiejś knajpie imprezę z mafiosami z Pruszkowa. Tym, że zorganizowali, specjalnie zaskoczony nie byłem. Dziwiłem się tylko swojemu fartowi, który sprawił, że afera wybuchła akurat w tym momencie.

Dzięki temu w Atlancie spędziłem prawie dziesięć dni. O świcie montowałem materiał do „Wiadomości”, potem kilka godzin robiłem zdjęcia, by mieć z czego montować materiał na następny dzień. A przez resztę dnia mogłem spełniać się w roli kibica, i to w najlepszym możliwym wariacie. Siadałem po prostu na miejscach komentatorskich obok moich kolegów z TVP, którzy na bieżąco, poza anteną, opowiadali mi o kulisach sportu, o tym wszystkim, czego przy włączonym mikrofonie dziennikarz nie mówi. Przez kilka dni razem z Andrzejem Personem oglądałem zawody pływackie – kiedyś, lata wcześniej, uprawiałem pływanie, więc teraz miałem swoistą pointę do tamtych czasów. Zawody lekkoatletyczne oglądałem z Włodkiem Szaranowiczem i Markiem Józwickiem, koszykówkę – z Darkiem Szpakowskim, siatkówkę – ze

świętej pamięci Zdziśkiem Ambroziakiem. To było dla mnie, kibica, wielodniowe wspaniałe święto.

Igrzyska się jednak skończyły, wróciła waszyngtońska młócka. Robiłem jakieś materiały, ale nawet z tymi z kampanii wyborczej nie za bardzo byłem się w stanie przebić na antenę. Zamiast dostać minimum dwie minuty na materiał, żeby mieć szansę widzom cokolwiek wyjaśnić, dostawałem półtorej minuty, a jak tylko robiłem materiał dłuższy, to brutalnie go skracano albo rzucano z anteny. W końcu zacząłem pytać, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego materiały dobre przez dwa lata teraz nagle okazały się za długie. Odpowiedź nie była nadmiernie merytoryczna. – O co ci chodzi, siedzisz w Ameryce, płacą ci i jeszcze się miotasz, zamiast odpoczywać i mieć wszystko w d...

Cóż, taką radę zawsze i wszędzie bym odrzucił, ale akurat był to jeden z tych niewielu momentów w życiu, gdy miała ona dobre strony. Przynajmniej przez jakiś czas.

15 listopada 1996 roku urodziła się Pola. Praca z dnia na dzień stała się zdecydowanie mniej istotna. Choć była połowa listopada, było ciepło. Rutynowo wstawałem o 6.00, bo europejski korespondent w Ameryce tak wstaje, żeby nadgonić różnicę czasu z Europą, ale ponieważ niewiele ode mnie chciano, o jakiejś 12.00, czyli 18.00 czasu warszawskiego byłem wolny. Tym razem cudownie. Właściwie codziennie można było iść w środku dnia na wielogodzinny spacer z dzieckiem. Być z nią od rana dosłownie do nocy, bo wieczorem kładłem się na kanapie z Polą obok siebie i przy ściszonej muzyce oglądałem mecze NBA. Może to wtedy przez jakąś dziwną osmozę zaraziła się szaleńczą miłością do sportu, bo nigdy jej w tym kierunku nie indoktrynowałem.

Karmienie, przewijanie, myślę, że i dziś poradziłbym sobie z tym bez najmniejszych problemów, bo wprawę miałem niezłą. Tak, to było prawdziwe szczęście. Po pierwsze, bo dziecko. Po drugie, bo w epoce przed urlopami tacierzyńskimi mogłem spędzać z córką długie miesiące niemal non stop. Kilka miesięcy po urodzinach Poli Kinga pojechała na tydzień robić reportaż w Los Angeles. Zostałem sam z małym dzieckiem. To była wielka frajda i wielki stres. A do tego wielki wysiłek. Po całym dniu pracy i opieki nad dzieckiem padałem przed telewizorem. Później już nikt nigdy nie musiał mnie przekonywać, że kobieta, która wychowuje dzieci i pracuje, jest w praktyce na dwóch etatach. A czasami trzech.

Gdzieś na początku 1997 roku dotarła do mnie plotka, że za kilka miesięcy, prawdopodobnie jesienią, wystartuje telewizja TVN Mariusza Waltera, który już niedługo zacznie kompletować zespół. I rzeczywiście zaczął. Nie trzeba być niecierpliwym, myślałem. Mariusz Walter już raz mi złożył wstępną propozycję, ale była to jesień 1993 roku, gdy wydawało się, że jego telewizja dostanie koncesję ogólnopolską. Tę jednak dostał Polsat, z mojego punktu widzenia może nawet dobrze, bo pewnie ta moja Ameryka nie doszłaby do skutku. Teraz sprawa wracała. Ale mijały kolejne tygodnie, a żadna oferta nie nadchodziła. Z gazet i od znajomych dowiadywałem się o kolejnych osobach, które dostawały propozycje od Waltera, ale mój telefon milczał.

Nadszedł tydzień wielkanocny. Dokładnie Wielki Piątek. Telefon z Warszawy. Po drugiej stronie Mariusz Walter. – Panie redaktorze, pewnie spodziewał się pan tego telefonu. – Prawdę mówiąc, tak – odpowiedziałem szczerze. – Chciałem panu zaproponować pracę w mojej telewizji. – Ale w jakiej roli? – W

takiej, jaką pan sobie wybierze.

Moja odpowiedź była prosta. Przecież od siedmiu lat wiedziałem, że chciałbym spróbować być tym Cronkite'em, prawda? - Panie prezesie, chciałbym stworzyć autorski program informacyjny i prowadzić go od poniedziałku do piątku. - Dobrze.

Umówiliśmy się na rozmowę za kilka tygodni, gdy będę w Warszawie. Warunki finansowe ustaliliśmy w parę chwil.

W tym momencie zacząłem się bać, miałem, jak mawiają Amerykanie, „drugie myśli”. Waszyngton, fantastyczne miejsce do życia, szczególnie gdy ma się malutkie dziecko. Praca, która może daje mi w ostatnim czasie mało satysfakcji, ale zapewnia stabilizację. Jakkolwiek by patrzeć, jednak wielka TVP, a tam nieistniejący TVN, który nawet nie miał koncesji ogólnopolskiej, ale jakąś obejmującą jedynie pół Polski, a więc z założenia na starcie, i być może przez długie lata, będzie niezdolny do rywalizacji z TVP czy Polsatem. Pewność kontra niepewność. W tym departamencie zdecydowanie wygrywała TVP.

Ale powoli niszczyła mnie ta pewność przygotowywania kolejnych materiałów, których nikt za bardzo nie chciał, czego w zasadzie nie ukrywano. Do tego dochodził ważny czynnik - Mariusz Walter. W porządku, koncesja nie jest ogólnopolska. Nowa telewizja nie ma nawet jednego studia, ma raczej wielkie plany i aspiracje. Ale przecież niemożliwe, by Walter, który o własnej stacji marzył tyle lat, ładował się w coś, w co nie wierzył, co nie jest dobrze zaplanowane. A że na telewizji się znał, sam udowodnił. W każdym razie znał się tysiącrotnie lepiej niż ludowiec Miazek.

Jednak najważniejsze było coś innego. Od pięciu lat, gdy pierwszy raz zobaczyłem dziennik CBS News oraz Dana Rathera i gdy pierwszy raz poczułem, o co chodzi z tym Cronkite'em,

marzyłem o własnym dzienniku. Marzenie było może odległe, trudno było przewidzieć, jak ten concept uda się wprowadzić w polskich warunkach, czy zaakceptuje go publika. Tego wszystkiego nie wiedziałem, ale jedno wiedziałem na pewno - to był ten moment. Prawdopodobnie pierwszy i jedyny, bo jest wielce prawdopodobne, że już nikt ogólnopolskiej koncesji nie dostanie, a ze mną czy beze mnie jakiś program informacyjny w TVN będzie. Przestrzeń zostanie zajęta na zawsze. A przecież nie przez przypadek przez kilka lat, ostatni raz niemal tuż przed wyjazdem do Ameryki, odrzucałem propozycje poprowadzenia głównego wydania „Wiadomości”. Właśnie po to, by kiedyś być wydawcą własnego dziennika, a nie prowadzącym w cudzym.

To równanie było w sumie jednak bardzo proste. Mogłem się bać zamiany Ameryki na Polskę, Waszyngtonu na Warszawę, TVP na TVN, pracy korespondenta na pracę prowadzącego i wydawcy programu informacyjnego, ale jeszcze bardziej bałem się, że pociąg z moim marzeniem odjedzie definitywnie. TVN, owszem, mógł teoretycznie kilka miesięcy po starcie paść i wtedy pojawiłby się inny problem, ale rozumiałem, że będę częścią wielkiego zespołu z Mariuszem Walterem, który stanie na głowie i będzie walczył jak lew, żeby do tego nie doszło. Klamka zapadła. Miałem wielkie nadzieje i wielkie obawy, ale konsultacje rodzinne prowadziły nas do tego samego wniosku. Kierunek: Warszawa.

Fakty i akty

Telewizja Polska zdążyła mi jeszcze zrobić na złość, nie wiedząc, że idzie mi bardzo na rękę. Chciałem być wobec niej fair i zaproponowałem rozstanie w terminie jak najszybszym. A w okresie wypowiedzenia chciałem wykorzystać zaległy urlop. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego mi odmówiono, ale specjalnie się nie zmartwiłem. Był koniec czerwca. TVP jasno zadeklarowała, że nie chce już, bym cokolwiek dla niej robił, ale do 25 sierpnia miałem siedzieć w Waszyngtonie, a potem wrócić do Polski i odebrać ekwiwalent za zaległy urlop, którego było bardzo, ale to bardzo dużo. *Not bad*, pomyślałem. Dwa miesiące płatnych wakacji, a potem ekwiwalent za płatne wakacje.

Czasu miałem więc sporo, także na to, by oglądać „Wiadomości”, nadawane na żywo na jednym z kanałów w mojej amerykańskiej kablówce. Pamiętam, jak na przełomie maja i czerwca oglądałem relacje z pielgrzymki papieża do Polski. Szczególnie słynne zdjęcia w materiale Kasi Kolendy – Jan Paweł II w białej kurtce na Kasprowym Wierchu. Miały jakąś niezwykłą moc. Sędziwy już papież spoglądający na wspaniałe Tatry, które tak uwielbiał. Już wtedy sam się pewnie zastanawiał, ile razy jeszcze w Polsce będzie, ile razy zobaczy Tatry.

To były pierwsze dni czerwca. W pierwszych dniach lipca Polska czekała na Billa Clintona. Przyjechał do Warszawy 10 lipca. Trzy lata wcześniej istotą jego wizyty było jasne stwierdzenie, że pytanie brzmi nie „czy”, ale „kiedy” Polska wejdzie do NATO. Teraz nie było „kiedy”. Już, teraz. Została jeszcze kwestia głosowania w Senacie, ale sprawa była przesądzona. „Wolność odrodziła się tutaj osiem lat temu, kiedy

zmieniliście bieg historii. A teraz razem przywróciliśmy Polskę Europie i przywracamy Polsce los, na jaki zasługuje. Sto lat bezpieczeństwa” – mówił Clinton i dodawał: „Nic o was bez was”. Tak domykała się historia, a w każdym razie jeden z jej rozdziałów. W ciągu prawie 300 lat od wojny północnej na początku XVIII wieku, obcych, rosyjskich wojsk nie było na naszym terytorium tylko przez jakieś 30 lat. 30 z prawie 300! Teraz Polska miała być nie tylko niepodległa i demokratyczna, ale i bezpieczna. Naprawdę spełniało się wielkie marzenie pokoleń Polaków.

Ale patos, tak to bywa, uleciał z Polski razem z balonikami, które wypuszczano wtedy w powietrze na placu Zamkowym, gdzie przemawiali prezydenci Kwaśniewski i Clinton. Następnego dnia newsem było już zupełnie coś innego. Wielka powódź.

Powoli trzeba było się pakować i żegnać z Ameryką. W dniu wyjazdu byłem smutny. Mała Pola przeciwnie. Stała na moich kolanach w samolocie i serdecznie pozdrawiała wszystkich pasażerów. Nie był to ostatni raz, gdy leciała z Ameryki do Polski. Urodziła się w Waszyngtonie, więc miała także amerykańskie obywatelstwo, jednak zawsze w zdecydowanie lepszym nastroju była, gdy samolot brał kurs na Warszawę i Okęcie.

Jej imię, które miało być proste, a jednocześnie jasno powiązane z Polską, okazało się swoistą przepowiednią. Choć jeszcze rok wcześniej Pola nie miała być wcale Polą. Faworytami w wyścigu byli Martyna i Jędrzej. Gdy w Atlancie powstawał park olimpijski, można w nim było za kilkadziesiąt dolarów, chyba 35, wykupić cegłę, a na niej umieścić jakiś napis. Na cegle, która w tym parku niezmiennie jest, co ostatni raz sprawdziłem w styczniu 2005 roku, jest napis: M.J. Lis, November 1996. Czyli

pierwsze litery jednego z imion, które miała nosić, plus miesiąc, w którym miała przyjść na świat. Sama Pola w Atlancie jeszcze nie była, więc nie widziała ani parku, ani cegły. Może kiedyś przyjdzie czas, że zobaczy.

We wrześniu 1997 roku zespół „Faktów” przygotowywał się do pierwszego wydania, zaplanowanego na 3 października. Niecałe dwa tygodnie wcześniej miały się odbyć wybory parlamentarne. Było to w zamierzonych czasach, gdy wybory nie wydawały się „być albo nie być demokracji”, bo nie było nikogo, kto chciał ją podeptać albo wysadzić w powietrze. Jarosław Kaczyński, owszem, w tamtych wyborach kandydował, ale był na kompletnym marginesie i do głowy nikomu by nie przyszło, że może się to zmienić. Wtedy kibicowałem chyba AWS. Nie był to wybór serca. Uważałem po prostu, że lepiej będzie dla polskiej demokracji, gdy w ramach władzy wykonawczej będziemy mieli równowagę. Prezydentura plus parlament i rząd w rękach jednego ugrupowania to jednak czasem zdecydowanie zbyt wiele, choć przyznaję, że nie miałem nic do premiera Włodzimierza Cimoszewicza, który budził mój szacunek. Ironizując - może nawet aż za bardzo. Bo jednak złożenie swych szans wyborczych na ołtarzu prawdy, która wcale nie musiała być wypowiedziana, wydawało się straceńcze. Jesteśmy w Polsce, a jak pokazały tamte wybory, jak również wiele następnych, dla wyborców najważniejsze są pieniądze. Te, które dostajemy, i te, które na swe potrzeby wydaje władza. Ale ważne jest też to, jak władza wypowiada się o pieniądzach, które mają ludzie. W obliczu powodzi premier Cimoszewicz okazał się politycznym kamikadze, bo jak inaczej określić stwierdzenie, że rolnicy, którzy ponieśli wielkie straty w wyniku powodzi, sami są sobie winni, bo powinni

byli się ubezpieczyć?

Z logicznego punktu widzenia Cimoszewicz stwierdził fakt. Tak, taka była prawda. Definicja prawdy zmienia się jednak znacznie tuż przed wyborami. Prawdą często okazuje się nie to, co nią jest, ale to, co ludzie za prawdę chcą uznawać, zupełnie niezależnie od tego, czy te pragnienia mają jakieś zakotwiczenie w rzeczywistości.

Z jednej strony byli więc SLD i Cimoszewicz, z drugiej - AWS i Marian Krzaklewski. AWS budziła we mnie cieplejsze uczucia niż Krzaklewski. Słuchałem go bardzo uważnie kilka miesięcy wcześniej w czasie spotkania w polskiej parafii pod Waszyngtonem. Dziwny to był człowiek. Operował jakimś inżynierskim językiem, przekonywał tym językiem, że Chrystus powinien być intronizowany na króla Polski; dowodził, że konstytucja, której ojcami byli Tadeusz Mazowiecki i Aleksander Kwaśniewski, według mnie bardzo sensowna, to straszna Targowica, a targowiczanie za tę zdradę muszą zapłacić. O tym, co chce zrobić po dojściu do władzy, mówił niewiele, w każdym razie niewiele w sposób spójny i sensowny. Sprawiał raczej fatalne wrażenie. Ale jednocześnie to on przedziwną fastrygą zszył polską prawicę, totalnie poturbowaną cztery lata wcześniej. A więc to dzięki niemu znowu była w Polsce szansa na elementarną równowagę polityczną. Krzaklewski był więc dość egzotyczny w formie, ale w sumie wydawał się figurą niegroźną. Mógł być niespójny, ale nie był niebezpieczny.

W wyborach, które odbyły się 21 września 1997 roku, wygrała AWS, zdobywając 34 proc. głosów. Miała w Sejmie ponad 200 mandatów, ale widać było, że będzie potrzebowała koalicjanta. Mogła nim być, tak wynikało z sejmowej wyliczanki, tylko Unia

Wolności, która pod przywództwem Leszka Balcerowicza zdobyła 13 proc. głosów. SLD zdobył 27 proc., słodko-gorzki wynik. Sukces, bo był to wynik aż o 7 punktów procentowych lepszy niż cztery lata wcześniej. Ale zdecydowanie za słaby, by zachować władzę.

Wygrała AWS, ale nikt nie wiedział, kto zostanie premierem. Wszystko wskazywało na to, że zdecydowanie nie chce nim być Marian Krzaklewski, który wolał rządzenie z tylnego siedzenia. Ale kto miał siedzieć za kierownicą? Pojawiały się różne kandydatury, wreszcie stanęło na Jerzym Buzku.

Nie wiedziałem, kim jest Jerzy Buzek, ale spodobał mi się ten pomysł, gdy się dowiedziałem, że jest profesorem nauk ścisłych, protestantem, do tego ojcem młodej aktorki. Nie żartuję. Ścisłowiec oczywiście mógł mieć zapędy ideologiczno-klerykalne, czego świetnym przykładem był Krzaklewski, ale ścisłowiec protestant - niekoniecznie. Krzaklewski mógł z tylnego siedzenia kierować Buzkiem, ale rząd kierowany przez protestanta nie mógł być jak wyjęty z kościelnej kruchty. Tworzyli go w dużej części ludzie wierzący, ale nie wyglądało to na projekt mechanicznego powiązania władzy z Kościołem, tronu z ołtarzem. Poza tym działo się to w czasach, gdy polski Kościół miał twarz Jana Pawła II. Polski papież mógł mieć jasne i twarde poglądy w sprawie aborcji czy kapłaństwa kobiet, ale niewątpliwie był za tolerancją, miłością bliźniego i szukaniem tego, co ludzi łączy, a nie dzieli. Nie jest więc przypadkiem, że czas jatki w polskim życiu publicznym, czas brutalizacji naszej polityki, czas pogardy i nienawiści nastąpił w momencie, gdy papieża Wojtyły zabrakło. Kończąc kwestię Jerzego Buzka - córka aktorka też była jego atutem. A może lepiej - jakimś znakiem. Jeśli profesor chemii z Gliwic ma córkę, wrażliwą artystkę, to chyba całkiem wiele

mówi to o domu, w którym się wychowywała, i o jej rodzicach. Agata Buzek szybko wystąpiła zresztą w programie telewizyjnym „Tok Szok” Jacka Żakowskiego i Piotra Najsztuba i wypadła tak, jak można by się tego spodziewać, obserwując jej ojca – delikatna, subtelna, wrażliwa, inteligentna młoda osoba.

W tamtych miesiącach polityka zajmowała mnie jednak w sposób umiarkowany. Walczyliśmy o życie. Dokładnie. Już po kilku dniach w „Faktach”, na początku września, wiedziałem, co się święci. Było w zespole kilku naprawdę utalentowanych ludzi, którzy – nie miałem co do tego wątpliwości – mają wszelkie szanse zrobić w przyszłości kariery. Ale też o telewizji nie wiedzieli nic albo wiedzieli bardzo niewiele. Przyspieszone kursy dają czasem imponujące efekty, ale nie było szans, by w cztery tygodnie zrobić z grupy młokosów, w większości ze stacji radiowych, dobrych reporterów telewizyjnych. Za dwa – trzy miesiące, za pół roku, pewnie tak, ale nie teraz, nie od razu. Czułem, że ci w większości młodzi ludzie, pełni pasji i ambicji, wkrótce rozbiją bank, pokażą, jak naprawdę może wyglądać program informacyjny, spowodują, że sztywne i pozbawione wdzięku „Wiadomości” jeszcze bardziej będą przypominały starą ramotę. A potem sprawią, że to „Wiadomości” będą nas naśladować. Ale to miało być potem. Teraz było teraz.

A balonik oczekiwań nadmuchany był strasznie, bo Mariusz Walter w kilku wywiadach niezmiennie opowiadał o nowej, nieporównanie lepszej niż w TVP jakości. Czytając te wywiady, byłem przerażony. Walter miał być może rację w sensie promocji, którą chciał zapewnić nowej stacji. Może rzeczywiście trzeba było krzyczeć, że będziemy najlepsi, i przeć do przodu. Ale ja wolałem wtedy obniżać oczekiwania, wiedząc, że nawet te wcale

niewygórowane na dzień dobry solidnie zawiedziemy.

Rzadko czas mija tak szybko jak wtedy, we wrześniu i w pierwszych dniach października. Stres był coraz większy, jadłem coraz mniej, wskazówki zegara poruszały się coraz szybciej. Nie trenując ani minuty, błyskawicznie traciłem na wadze. Zabawnie zresztą ogląda się po latach pierwsze wydanie „Faktów”. Taki zestaw szczypiorków, wszyscy wyglądamy na niedożywionych. Młodość, stres, pewnie jedno i drugie.

Jakieś dwa tygodnie przed startem jeszcze raz poprosiłem Mariusza Waltera, a była to chyba prośba błagalna, o opóźnienie startu. - Panie prezesie, to będzie niewypał, poniesiemy wizerunkowe straty, będziemy odrabiali je miesiącami - tłumaczyłem. Ale nie było mowy o zmianie terminu. Machina ruszyła. Uroczystość otwarcia, zaproszenia, wszystko poszło w ruch. Nie było odwrotu. Trzeba było jak na linii frontu zamknąć oczy i ruszyć naprzód.

Pierwsze wydania „Faktów” miały mieć 18 minut. W tym gościa. Zwykle programy informacyjne mają po 25 minut. Tyle że 25 minut żadną miarą na tym etapie nie bylibyśmy w stanie przygotować. 18 zresztą też nie. Stąd pomysł z gościem. Gość to, powiedzmy, cztery minuty plus czołówka i końcówka - w sumie pięć minut. Na prawdziwy dziennik zostawało więc jakieś 13 minut. Cztery dni przed startem zrobiliśmy pierwsze wydanie próbne. Kompletna katastrofa. O 19.30 gotowy był jeden materiał. Jeden. Dwa dni później kolejne wydanie próbne. Trzy materiały - czyli osiem minut. Następnego dnia kolejne wydanie - 13 minut. Lepiej. Przy odrobinie szczęścia i jakichś materiałach zapasowych byliśmy już pewnie w stanie uzbierać te 14 minut. Niespecjalnie przejmowałem się jakością materiałów. Naszym

sukcesem nie miała być jakość programu. Nie wtedy. Sukcesem miało być jego ukazanie się. Inaczej mógł myśleć tylko ktoś, kto nie wiedział, jak wielkim będzie to problemem.

3 października, piątek. Ten jeden jedyny dzień spośród prawie dwóch tysięcy wydań „Faktów”, które prowadziłem, gdy garnitur włożyłem jakąś godzinę przed samym wydaniem. Później już zawsze byłem w mundurku od rana. Trochę to mobilizowało, a przede wszystkim oszczędzało czas. A on był, szczególnie w tamtych pierwszych miesiącach, absolutnie bezcenny, gdy wszystko się sypało.

„Fakty” się ukazały. To był sukces. Nie będę się pastwił nad sobą i innymi. To zdecydowanie nie był program marzeń. Do marzeń to było ho, ho, a pewnie i dalej. W „Wiadomościach” musieli mieć tego dnia niezłą radochę. Ale gdyby lepiej popatrzyli, to wcale nie mieliby aż tak dobrych humorów. Dostrzegliby potencjał czegoś nowego i autentycznego.

Ale na razie ta perspektywa mogła się wydawać całkowicie abstrakcyjna. W poniedziałek, 6 października, przyszły dane o oglądalności. W piątek pierwsze wydanie oglądało 2,4 proc. widzów. Co oznaczało jakieś 850 tysięcy. Przy 18 proc. „Wiadomości” wyglądało to marnie, ale to w końcu tylko pierwszy dzień. Problem polegał na tym, że w następnych dwóch dniach wyglądało to dość dramatycznie. W sobotę - 0,6 proc. oglądalności. W niedzielę - 0,4 proc. W dwa dni zjechaliśmy więc z 850 do 150 tysięcy widzów. Trzeba było dwóch, trzech miesięcy, by odzyskać grunt pod nogami i znowu dobić do tych dwóch procent z groszami, ale oczywiście nie udawało się nam to codziennie. Raczej od święta do święta. Generalnie debiut TVN nie był wielce udany. Symbolicznym klopsem była transmisja

z walki Andrzej Gołota - Lennox Lewis, którą TVN kupił za 100 tysięcy dolarów. Transmisja wypadła w środku nocy. O jakiejś 3 rano złapałem początek transmisji w stacji RMF. - To początek walki, połączymy się z państwem za dwie minuty - mówił reporter. Szybko sprawdziłem, czy jakaś inna stacja nadaje relację na żywo. Nie. Wróciłem więc do RMF. Niestety, jest po wszystkim, kończył reporter. W drugiej minucie walki po ciężkim sierpowym Lewisa Gołota poleciał na deski i już nie wstał. Hmm, wyglądała ta walka jak metafora debiutu TVN.

Program informacyjny kosztuje. I to sporo. Szczególnie taki jak „Fakty”. Mariusz Walter i jego biznesowy partner Jan Wejchert nie szczędzili środków. Studio było piękne, prawdziwe newsowe studio. Gdy patrzy się na dzisiejsze studio „Faktów”, naprawdę wielkie i imponujące, tamto pierwsze wyglądało wręcz ascetycznie, ale wtedy, w 1997 roku, robiło wrażenie. W gruncie rzeczy było to pomniejszone studio programu CBS News. Uwielbiałem je. Szybko poczułem się w nim naprawdę u siebie.

Ale poza studiem nie było widać innych powodów, by mieć poczucie komfortu. Mijały kolejne miesiące, oglądalność szła trochę w górę, jednak zdecydowanie za mało. Przy takim wzroście nakłady nie miały najmniejszych szans się zwrócić. Wiadomo było, że cierpliwość właścicieli stacji będzie poddawana coraz cięższej próbie. Wydatki rosły bowiem potężnie, a efekty były mizerne. Pytanie brzmiało, czy złapiemy grunt (niekoniecznie dno), zanim ta cierpliwość się wyczerpie i nastąpią cięcia, być może takie, które zdemolują pierwotne plany stworzenia programu, o jakim marzyliśmy - takiego, który w jakiejś perspektywie mógł wyprzedzić „Wiadomości” i zdominować rynek telewizyjnej informacji.

Na razie wieści były złe. Potem bardzo złe. W lutym 1998 roku Mariusz Walter ogłosił, że na początku maja kończymy z nadawaniem programu o 19.30 i przechodzimy na 19.00. Zebraliśmy się z zespołem w knajpie hotelu Warszawa, tuż obok siedziby „Wiadomości”, i ostro popiliśmy. Ze smutku. Zespół był załamany. Mieliśmy walczyć z „Wiadomościami”. Mieliśmy być królami 19.30. Tymczasem uciekamy z pola walki. Uważaliśmy, że to PR-owa katastrofa. Oraz prestiżowa klęska. I trochę tak było. Ale Walter miał rację. Po kilku miesiącach od startu robiliśmy już całkiem niezły program informacyjny, ale widzowie byli tak przywiązani do „Wiadomości” i do 19.30, że większość z nich nie miała szans, by się przekonać, że jesteśmy coraz lepsi. Prezes chciał po prostu pozbawić ich bólu wyboru i dać szansę na obejrzenie obu programów. Obejrzenie i porównanie.

Nadszedł długi weekend majowy, ale nie przyniósł wielkiej zmiany. 3 maja oglądalność wyniosła 3,3 procent, 1,2 miliona widzów. To było o procent więcej niż tydzień wcześniej, ale co to jest procent. Siedzieliśmy z Grzegorzem Miecugowem, który był szefem programów informacyjnych w TVN, i wspólnie biadoliliśmy. Nie, nie odczuwaliśmy satysfakcji, że Walter – jak sądziliśmy wtedy – popełnił błąd. Raczej smutek, że zmiana nastąpiła i praktycznie nic nie dała. Tyle że smutek był nie na miejscu. Po prostu nie mieliśmy zielonego pojęcia, jak czytać dane. W efekcie porównywaliśmy oglądalność z deszczowego końca kwietnia z nieprawdopodobnie ciepłym początkiem maja, i to z długim weekendem, gdy publiczność zawsze dość masowo odpływa sprzed telewizorów. Teoretycznie niewielki wzrost był więc wzrostem imponującym, bo bez zmiany godziny byłibyśmy nie na poziomie 3,3, ale 1,3 proc. Wystarczyło czekać, aż pogoda

się trochę pogorszy, i wyniki powinny się poprawić.

Jak się okazało, nie trzeba było czekać do jesieni. W lipcu mieliśmy 4 proc., w sierpniu - 5 proc., we wrześniu - 7. Niecały rok po starcie programu mieliśmy już 2,5 miliona widzów. A dopiero się rozpędzaliśmy. To uczucie było fantastyczne. Gdy pękały kolejne procenty (procent oglądalności to 360 tysięcy widzów), na stołach w naszym newsroomie lądowały kolejne butelki szampana, taka była moja umowa z Grzegorzem. Zasuwalismy do przodu, w czym pomagała nam pewna kobieta. Nazywała się Esmeralda. *Esmeralda* to tytuł meksykańskiej telenoweli, która leciała przed „Faktami”. Obejrzałem to raz i nie bardzo wiedziałem, dlaczego ludzie chcą coś takiego oglądać, ale nie miało to znaczenia. Chcieli. I to coraz bardziej. *Esmeralda* wspinała się na kolejne szczyty oglądalności, a my wraz z nią.

Kluczowy był początek marca 1999 roku. Mieliśmy już wtedy ponad 10 proc. oglądalności, 3,6 miliona widzów. Ale *Esmeralda* zmierzała do finału. Serial się kończył. Czyli za chwilę musiał paść rekord. I padł. Chyba 8 marca oglądało nas 11,1 proc. widzów. Ponad cztery miliony. Rok wcześniej zastanawiałem się, czy eksperyment pod nazwą „Fakty” za chwilę nie zostanie zgruchotany, budżet obcięty, ludzie zwolnieni i zamiast torpedy zostanie dzida. Teraz zwiększyliśmy oglądalność ośmiokrotnie.

Ale prawdziwa próba miała nadejść następnego dnia. Jak wypadniemy bez wspomaganie przez *Esmeraldę*? Czy nie okaże się, że byliśmy wyłącznie wagonikiem, który wyląduje na bocznym torze, gdy tylko zabraknie lokomotywy? Nie, jednak nie. To już nie był sukces, mieliśmy poczucie triumfu. Tego dnia zapanowała naprawdę szalona radość. *Esmeraldy* już nie było. A „Fakty” miały taką samą oglądalność jak dzień wcześniej. Niesłychana

euforia. „Fakty” są i będą, za rok i za 25 lat, to już było oczywiste. Prawdziwy sukces w sumie garstki ludzi. Grzesiek Miecugow, Tomek Sekielski, Tomek Sianecki, Kasia Sławińska, Grzesiek Jędrzejowski, Czarek Grochot, Mikołaj Kunica, Romek Młodkowski, Marcin Pawłowski, Marzanna Zielińska, Grzesiek Kajdanowicz, Marcin Wrona, Piotr Salak, Marek Nowicki. Kilkanaście osób w kilkanaście miesięcy dokonało czegoś naprawdę nadzwyczajnego. Był to też wielki sukces Mariusza Waltera i Jana Wejcherta. Zdecydowali, że program informacyjny nie będzie w TVN piątym kołem u wozu, że będzie robiony na serio. Że nic nie będzie zgrzebne, tanie, marne i prowincjonalne, ale właśnie z rozmachem i światowe. Że polska stacja telewizyjna i polski program informacyjny będą mogły być z dumą pokazywane na Zachodzie jako nie gorsze, a często lepsze niż to, co tam budowano przez dziesiątki lat.

Po drodze udało się spełnić jeszcze jedno marzenie, to, które zakiełkowało, gdy Dan Rather opowiadał o huraganie Andrew, trzymając się drzewa. We wrześniu 1998 roku zrobiliśmy pierwsze wydanie wyjazdowe, z wyborów w Niemczech. „Era się kończy”, brzmiało wyborcze hasło na plakatach kandydata socjaldemokratów, Gerharda Schrödera. Era kanclerza Helmuta Kohla po 16 latach dobiegała końca. Po Bushu seniorze, Margaret Thatcher i François Mitterandzie odchodził ostatni przywódca poprzedniej epoki. Jego hasło wyborcze, *Weltklasse für Deutschland* (Światowa klasa dla Niemiec), nie podbiło serc wyborców. Hasło jak hasło, nie w nim był problem. Niemcy, tak jak wcześniej Amerykanie czy Francuzi, zamykali po prostu erę zimnej wojny. W normalnych okolicznościach polityka zagraniczna mogłaby mobilizować wyborców, zapewniając odpowiednie poparcie kandydatom takim jak Kohl. Ale polityka

zagraniczna stawała się w tamtym czasie, tak przynajmniej wielu uważało, nieistotna. Czym tu ludzi straszyć? Prezydentem Rosji Jelcynem, który wydawał się postacią anegdotyczną i zaskakiwał wyłącznie wtedy, gdy był trzeźwy?

Niemcy chcieli *Weltklasse*, tak jak Amerykanie, Francuzi i inni. Ale z nowymi przywódcami, nowymi ideami i nowymi perspektywami.

Dla Polski też miała się wkrótce zacząć nowa era. 12 marca 1999 roku na placu Piłsudskiego odbyła się wielka uroczystość. Na maszt wciągano flagę NATO. Polska, tak często osamotniona, tak wiele razy pobita, stawała się częścią największego militarnego sojuszu w historii świata. Wszystko to 10 lat po wyborczym zwycięstwie Solidarności i prawie 20 lat po słynnej papieskiej homilii wygłoszonej w tym samym miejscu w pierwszym dniu pielgrzymki do Polski. „Niech zstąpi duch Twój, niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Dwie dekady. Oblicze ziemi, tej ziemi, zmieniało się dramatycznie. Czy za sprawą Ducha Świętego, czy nie, tu pewnie wielu toczyłoby spory. Ale skala zmian była nieprawdopodobna.

Flaga NATO poszła w górę punktualnie o 19.00. Dokładnie w tej samej chwili, o godzinie 12.00 miejscowego czasu, w Independence w stanie Missouri, gdzie urodził się Harry Truman, za którego prezydentury powstało NATO, minister spraw zagranicznych Bronisław Geremek przekazał Madeleine Albright, amerykańskiej sekretarz stanu, akt przystąpienia Polski do Traktatu Północnoatlantyckiego. Było coś niezwykle mocnego w tej scenie. Były polski opozycjonista, człowiek, który w sierpniu 1980 roku w Stoczni Gdańskiej doradzał z Tadeuszem Mazowieckim Lechowi Wałęsie, serdecznie ścisnął się z pierwszą

w historii szefową amerykańskiej dyplomacji, której rodzice uciekli z Czechosłowacji do Ameryki, bo nie chcieli żyć w komunizmie. Początkowo gospodarze zaplanowali, że w uroczystości w Independence wezmą udział ambasadorowie nowych państw członkowskich, Polski, Czech i Węgier. Jerzy Koźmiński poprosił jednak Amerykanów, by ceremonia odbywała się o szczebel wyżej. Koźmiński wiedział, że zdjęcia z tego wydarzenia przejdą do historii, tak jak później zdjęcia Leszka Millera i Aleksandra Kwaśniewskiego, gdy Polska wchodziła do Unii Europejskiej. Pewnie pomyślał, że będąc na takim zdjęciu, wszedłby na zawsze do podręczników historii. Ale uważał, że w tej uroczystości nasz kraj powinien reprezentować właśnie profesor Geremek, człowiek łączący obecny wielki sukces Polski z tradycją Solidarności. Wielki gest, prawdziwa klasa.

Miesiąc później w Waszyngtonie odbywał się szczyt NATO. Zaplanowaliśmy z niego trzy specjalne wydania, naprawdę wielkie przedsięwzięcie, biorąc pod uwagę, że pojechało nas tam trzech, Marcin Wrona, ja i Maciej Sojka, który był producentem całości. Jak to się wszystko udało, nie wiem, ale się udało. To był w każdym razie dla Polski wielki finał. Taki był też tytuł mojej książki o kulisach wejścia Polski do NATO. Byłem z tej książki bardzo zadowolony, uważam do dziś, że była o wiele lepsza niż wiele z tych, które napisałem przedtem i potem. Ale wyniki sprzedaży akurat tego nie potwierdzały. Bywa.

Szczyt w Waszyngtonie chciałem wykorzystać na moją minimisję dyplomatyczną. Uważałem, że byłoby świetnie, gdyby prezydenci Wałęsa i Kwaśniewski, którzy nie rozmawiali ze sobą od czasu słynnego „mogę panu podać nogę” w telewizyjnym studiu, z okazji tak wielkiego dla Polski wydarzenia po prostu

uścisnęli sobie ręce. Przez moment wydawało się, że było blisko, naprawdę bardzo blisko. Ale nie udało się. Czasem rzeczy gdzie indziej proste i oczywiste w Polsce są bardzo skomplikowane. Wałęsa i Kwaśniewski w końcu podali sobie ręce. Dokładnie sześć lat później, kilka dni po śmierci Jana Pawła II. Przy okazji pogrzebu papieża naprawdę nie można było być małostkowym.

W czasie tamtego szczytu NATO doszło do spotkania, na którym zależało mi od lat, ale mimo wielu starań wcześniej jakoś się to nie udawało. W garażu jednego z waszyngtońskich hoteli spotkałem się z pułkownikiem Ryszardem Kuklińskim. Pułkownik najwyraźniej zachowywał środki ostrożności, miałem nawet wrażenie, że ktoś za nami idzie, gdy udaliśmy się na bardzo długi spacer, od okolic Białego Domu do Kapitolu i z powrotem. Wielu ludzi w Polsce wciąż uważało go za zdrajcę. Ja nie miałem wątpliwości, że rozmawiam z bohaterem. Moją opinię o Kuklińskim wzmocniło to, co mówili o nim Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak-Jeziorański i Jerzy Koźmiński. A mówili o bohaterstwie, trudnych wyborach, rodzinnej tragedii. Jednak dla mnie może najważniejsze było wrażenie, jakie Kukliński robił. Szczery, otwarty, dobry człowiek. Naprawdę nie miałem wrażenia, że wybitny agent gra taką rolę. Po prostu taki był. Jack Strong. Oficer armii PRL, LWP, człowiek, który przekazał Amerykanom najważniejsze radzieckie tajemnice i - co wielce prawdopodobne - dzięki pomocy Zbigniewa Brzezińskiego i Jana Pawła II, który interweniował wtedy w Moskwie, w grudniu 1980 roku uchronił Polskę przed sowiecką inwazją.

W czerwcu 1999 roku zrobiliśmy kilka wyjazdowych, specjalnych wydań „Faktów” w czasie pielgrzymki papieża. Pierwsze w dniu jego przyjazdu z hipodromu w Sopocie. Drugie z placu

Zamkowego w dniu papieskiego wystąpienia w Sejmie. Trzecie z okna w Wadowicach dokładnie w momencie, gdy papież opowiadał o kremówkach. Ta opowieść papieska była, dosłownie, słodka i ujmująca. W kolejnych latach kremówki zaczynały mnie jednak coraz bardziej irytować. Lubię słodczyce, ale nie lubię dostawać mdłości. Tymczasem wielkie *story* o papieżu z Polski, o niezwykłym pontyfikacie zaczynało być sprowadzane do jakiejś żalostnej cepeliady. Z przesłania papieża dla wiernych i dla świata, z którego naprawdę warto było ocalić jak najwięcej, najlepiej się miało „po maturze chodziliśmy tam na kremówki”. Uwielbiam anegdoty, nie mam problemu z prostymi wzruszeniami, ale nie wszystko można sprowadzić do anegdoty. Nie wszystko można przesłodzić tak bardzo, że staje się już tylko tanio sentymentalne. A może jednak wszystko, skoro właśnie na taką poetykę jest wielkie zapotrzebowanie.

Te wydania „Faktów” zbliżały nas do tego, co kiedyś sobie wymarzyłem. Rozmach, wielka skala, nieprawdopodobny postęp w porównaniu z tymi pierwszymi przymiarkami z Berlina. Wszyscy naprawdę już rozumieli, o co w tym wszystkim chodzi i jak to robić. Kilka miesięcy później robiliśmy kolejne specjalne wydania – z Tel Awiwu, w czasie pielgrzymki papieża do Ziemi Świętej, i z Moskwy, gdzie prezydentem zostawał nikomu nieznany pół roku wcześniej Władimir Władimirowicz Putin. „Fakty” wypłynęły na szerokie wody.

Czasem zastanawiam się, jak wyglądałyby różne polityczne zdarzenia i różne polityczne kariery, gdyby miały miejsce w innej epoce. Pytanie, czy w innej epoce w ogóle by się zdarzyły. Aleksander Kwaśniewski, z perspektywy wielu lat po zakończeniu jego prezydentury, był jednym z najinteligentniejszych

i najsprawniejszych polskich polityków po 1989 roku. Według mnie w tej kategorii na czele, bez żadnej konkurencji, są Kwaśniewski i Donald Tusk. Nie pomijam oczywiście Jarosława Kaczyńskiego, ale mówiąc o Kwaśniewskim i Tusku, myślę o nowoczesnych politykach w epoce globalnej i medialnej demokracji. Kaczyński ma talenty realne, ale sprawia wrażenie przybysza z innej planety, planety przeszłość. To, że wszystko, co robi, bardzo mocno zaciąży na historii i na sytuacji Polaków, to już zupełnie inna sprawa. Umówmy się jednak, że nie jest Kaczyński przywódcą w tym samym sensie co Obama, Blair, Merkel, Macron czy Tusk. Inna sprawa, że ktoś może teraz powiedzieć, iż z planety przeszłość są Kwaśniewski i Tusk, a z planety teraźniejszość i może przyszłość są Trump, Putin, Erdoğan, Orbán i Kaczyński.

Ale wracając do przenoszenia polityków do innych epok – jak taka prezydentura Aleksandra Kwaśniewskiego wyglądałaby w świecie współczesnych mediów? Bo miał Kwaśniewski szczęście. Podejrzewam, że tabloidy i internet rozszarpałyby go na przykład za sesję w „Vivie”, w której występował z żoną jako pan hrabia z hrabiną. Przywódca podobno lewicy, prezydent podobno wszystkich Polaków, w luksusowym magazynie jako hrabia. Powiedzmy sobie szczerze, że było to PR-owo wybitnie ryzykowne i szalenie niefortunne. Ale w tamtej epoce nie było samobójcze. Dziś by było. Wtedy? Na rynku był jeden tabloid, „Super Express”, zdecydowanie softowy i nawet nie ocierał się o jakąś brutalność. Przykład? „Bestia z pałacu”, donosił kiedyś „Super Express”. Tekst był o tym, że pies państwa Kwaśniewskich podobno ugryzł w łydkę któregoś z BOR-owców.

Kolejne pytanie, co stałoby się z prezydenturą Aleksandra Kwaśniewskiego, gdyby w epoce silnych tabloidów i internetu

zdarzył się Charków. Bo Charków miał, a w każdym razie mógł mieć, moc porażającą. A dziś mógłby, według mnie, zniszczyć prezydenturę najpopularniejszemu prezydentowi.

Był wrzesień 1999 roku. Z Ukrainy dzwonił do mnie reporter „Faktów”, Mirek Rogalski, który obsługiwał wizytę polskiego prezydenta w Charkowie i w Piatichatkach, na cmentarzu polskich oficerów zamordowanych przez Sowieców. – Mam, mam zdjęcia pijanego Kwaśniewskiego, który chwieje się nad grobami oficerów – mówił strasznie podekscytowany Mirek. – Ale czy masz pewność, że był pijany? – Według mnie nie ma żadnych wątpliwości, że był. – Ale ja nie pytam, jak jest według ciebie, tylko jak się będziemy bronić, gdy Kwaśniewski i jego ludzie zarzucą nam, że kłamiemy. – Zobacysz, to będziesz wiedział – odpowiedział reżolutnie Mirek. – O której będziesz w Warszawie? – Mamy lądować tuż przed 19.00. – To nie damy rady. – Ale jak to nie damy – jęczał Mirek. – Masz w rękach granat. Chcesz wyrwać zawleczkę bez chwili refleksji. Jeśli wylądujecie w Warszawie przed 19.00, to na zmontowanie materiału będziecie mieli pięć minut, czyli nic. Wróć spokojnie. Usiądziemy nad tym jutro i zrobimy materiał – przekonywałem. Jakie jutro, powie ktoś, 24 godziny to epoka. Dziś, w erze internetu i TVN24, oczywiście tak, ale prawie 20 lat temu cykl medialny wyglądał zupełnie inaczej – od poranka do poranka, od jednego wydania gazet do następnego, i od wieczora do wieczora, od jednego programu informacyjnego do następnego. Spokojnie można więc było poczekać.

Działąłem nadzwyczaj spokojnie, ale wieść o tym, co ma przywieźć Mirek, zaczęła krążyć po redakcji. Mariusz Walter zdążył już przyjść do mnie do pokoju i z wielką irytacją w głosie

zapytać, czy chcę mu stację wysadzić w powietrze.

Dziś brzmi to dziwacznie, ale wtedy kontekst był zupełnie inny. Można było z łatwością zgadnąć, że oprócz nas nie ma nikogo, kto opublikuje zdjęcia z Charkowa. Nie wiadomo było nawet, kto o tym wszystkim napisze. W „Rzeczpospolitej”, owszem, ukazała się maleńka notatka, ale nikt jej nawet nie zauważył. Zresztą bez zdjęć nikt nie wiedział nawet, o co chodzi. Pokazanie ich musiało wywołać tornado. Pałac Prezydencki dostałby szału, a akurat w tamtym czasie, gdy TVN wciąż miał ograniczony zasięg i starał się o nowe nadajniki, Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, która je przyznawała, kontrolowali ludzie prezydenta Kwaśniewskiego. Dziś wiadomo, że nie ma takich zdjęć, które dałoby się „schować”. Wtedy można było schować niemal wszystko. Szef stacji musiał się zastanawiać, czy emitując jakiś materiał, nie zostanie na placu boju zupełnie sam. Z ręką w nocniku i bez nadajników. W przypadku Charkowa było to wielce prawdopodobne. Gdy pojawiły się zarzuty, że Kwaśniewski był w Charkowie pijany, a Kancelaria Prezydenta wydała oświadczenie, że to nieprawda, że prezydent ma po prostu uraz goleni prawej (nie było potem końca żartom o tej goleni), „Gazeta Wyborcza” dała następnego dnia kawałek tego komunikatu. „Wiadomości” nie poświęciły tej sprawie ani słowa.

W sobotę rano zadzwonił do mnie Mirek Rogalski. Mieliśmy uzgodnić na spokojnie, jak ma wyglądać materiał. Mirek jednak dzwonił w innej sprawie. – Nie mam taśmy. – Jak to nie masz? Zgubiłeś nagranie? – Nie, prezes je wziął – wyjaśnił. Już rozumiałem, ujawnienie tych zdjęć nie będzie takie proste. Trzeba było tutaj fortelu. – Mirek, powoli – starałem się go uspokoić. – Za kilka dni Rodziny Katyńskie wydadzą prawdopodobnie jakieś oświadczenie, w którym z dezaprobatą wypowiedzą się

o zachowaniu prezydenta. Kancelaria Kwaśniewskiego nie będzie mogła tego zlekceważyć i wyda oświadczenie, w którym wszelkie niekorzystne dla prezydenta sugestie odrzuci. Wtedy wkroczymy my i powiemy, że są dwie opinie, my nie mamy własnego zdania, ale mamy zdjęcia, które sami państwo ocenią.

Byłem niezwykle zaskoczony tym, co działo się w kolejnych dniach. Rodziny Katyńskie wydały oświadczenie, w którym z dezaprobatą wypowiedziały się o zachowaniu prezydenta. Kancelaria Prezydenta sugestie odrzuciła. Nadszedł czas na nas. Musiałem po prostu przekonać prezesa Waltera do ich emisji. Z biznesowego punktu widzenia doskonale rozumiałem jego opory. Było wielce prawdopodobne, że po ujawnieniu zdjęć prezydent i jego ludzie, w tym ci od częstotliwości w Krajowej Radzie, wpadną w furję. Z drugiej strony - my te zdjęcia przecież mieliśmy. Miałem poczucie, że to jedna z tych chwil, gdy tak naprawdę decyduje się, kim jesteśmy. Wiedziałem, że Mariusz Walter też to wie. I gdy siedzieliśmy, rozmawiając w cztery oczy w jego gabinecie, musiałem użyć jednego argumentu. W tym kontekście, z tym człowiekiem, było to na granicy faulu, ale inaczej nie mogłem. - Panie prezesie, proszę sobie tylko wyobrazić. Ci, którzy zginęli wtedy w Charkowie, w Starobielsku i Ostaszkowie, tak sobie na nas teraz z góry patrzą, jak rozmawiamy o tym, czy te zdjęcia dać, czy nie dać. Ciekawe, co sobie myślą - mówiłem. Było to na granicy faulu, bo wiedziałem, że ojciec Mariusza Waltera, sędzia ze Lwowa, zginął w Katyniu. Podobnie ojciec żony prezesa, pani Bożeny. Miałem wyrzuty sumienia, gdy patrzyłem na poruszonego Mariusza Waltera, ale czułem, że nie można inaczej.

- Dobrze - powiedział - dajcie te zdjęcia, mam tylko jedną prośbę. Proszę, żebyście zaprosili do studia kogoś z Kancelarii

Prezydenta, żeby mógł odpowiedzieć na zarzuty.

Wiem, dziś naprawdę nie wygląda to na żaden heroizm. I pewnie żadnym heroizmem nie było także wtedy. A jednak szef TVN podejmował ryzyko biznesowe. Taka była sytuacja. Wywiązanie się z elementarnych obowiązków wobec widzów oznaczało, że stacja nie dostanie nadajników, na których jej tak bardzo zależało. Ale taką decyzję podjął. Gdyby nie my, być może nikt by tych zdjęć nigdy nie zobaczył. Czy była to jakaś kluczowa sprawa dla Polski? Nie. Czy była to kluczowa sprawa dla „Faktów” i TVN? Według mnie tak. I choć przez lata nikt nie wiedział o tej rozmowie, ja miałem poczucie, że tamten dzień dopełniał wszystko to, co zaczęło się 3 października, gdy TVN startował. Pewne poczucie misji. Stacja była komercyjna, program był w telewizji prywatnej, ale nie uchylał się od ważnych powinności wobec widzów. Różnie układały się moje relacje z TVN. Nie zawsze uczucia między nami były gorące, delikatnie rzecz ujmując. Ale z dzisiejszego punktu widzenia to zupełnie bez znaczenia. TVN, a potem TVN24, stacja, która – co podkreślał kilka razy Mariusz Walter – nigdy nie powstałaby bez wielkiego sukcesu „Faktów”, stały się filarem, ścianą nośną wolnych mediów w Polsce. Szczególnie widać to w epoce PiS bis, czyli rządów Kaczyńskiego po 2015 roku. I już jako widz, ktoś, kto w TVN nie pracuje od prawie 15 lat, mogę ze spokojem i z szacunkiem powiedzieć, że swej publicznej misji, swym obowiązkom wobec widzów i, tak – kraju, ta stacja stara się być wierna. Czasem w średnio sprzyjających okolicznościach.

W następnym roku mieliśmy w Polsce wybory prezydenckie. Aleksander Kwaśniewski, trudno go za to potępiać, chciał, by były to nie wybory, ale swego rodzaju koronacja. Koronacją miało być

zwycięstwo w pierwszej turze. I było ono dość prawdopodobne. Głównym rywalem Kwaśniewskiego miał być Marian Krzaklewski. Krzaklewski był wielkim prezentem od niebios dla Kwaśniewskiego. Nie miał w sobie absolutnie nic, co Polakom pozwalałoby sądzić, że to on powinien być prezydentem. A jednocześnie nie było takiej siły, która przed startem w wyborach mogła go powstrzymać.

Kwaśniewski miał aprobatę dla sposobu, w jaki pełnił urząd, na poziomie 75 proc., słabych rywali i prostą drogę do reelekcji. W tym momencie mógł naprawdę łatwo stracić czujność. Bo właściwie po co się gimnastykować, starać, ruszać w Polskę i walczyć o głosy, skoro wszystko wydawało się przesądzone, zanim kampania w ogóle się zaczęła. I tu wyszedł polityczny zmysł prezydenta Kwaśniewskiego, którym nie wykazał się 15 lat później prezydent Komorowski. Kwaśniewski zgromadził swoich współpracowników i miał dla nich najprostsze przesłanie - nic nie jest zdecydowane, o każdy głos trzeba walczyć; przyjmijcie, że jestem po prostu jednym z kandydatów, a nie urzędującym prezydentem; przyjmijcie, że absolutnie nic mi się nie należy z racji funkcji czy urzędu. Walczymy, jakby minionych pięciu lat nie było.

Wtedy, w roku 2000, Kwaśniewski naprawdę nie mógł przegrać. Tajemnicą było tylko to, czy wygra w pierwszej turze. On sam niczego nie pozostawił przypadkowi. Pokora pozwala unikać błędów i wpadek, a nadmierna pewność wygranej jednak zwiększa ich prawdopodobieństwo.

Pod koniec września, dwa tygodnie przed wyborami, sztab Krzaklewskiego zorganizował konferencję prasową i odpalił kasetę kaliską. Na zdjęciach było widać błazeńskie popisy

prezydenckiego ministra Marka Siwca, który tuż po lądowaniu śmigłowca na lotnisku koło Kalisza, podpuszczany przez prezydenta, wykonywał gesty à la papież, błogosławił piękną ziemię kaliską i przyklęknął, by ją pocałować. To nie była miękka piłka, ale mocny cios. Około godziny 17.00 dotarło do mnie, bo ktoś mi to powiedział, że mamy tych zdjęć nie pokazywać. Powtórka sprzed roku, pomyślałem. Znowu konieczna była rozmowa z prezesem. Tym razem nie była ona jednak miła. Wręcz przeciwnie. Był koniec września. Za kilka dni tracił ważność mój trzyletni kontrakt w TVN, który – jeśli miałem dalej pracować w „Faktach” – musiał być odnowiony przed 3 października. Efekt naszej rozmowy w sprawie puszczenia zdjęć z Kwaśniewskim i Siwcem był podobny jak rok temu. Ale czułem, że – inaczej niż wtedy – po tej sprawie pozostaną blizny. Zdjęcia poszły, nie straciliśmy twarzy, ale prawdę mówiąc, nie miałem pewności, co będzie z moim kontraktem. W końcu, kilka dni przed wyborami, został odnowiony. Wraz z kontraktem dostałem jednak kartkę. Była na niej informacja o konieczności wykorzystania zaległego urlopu. Sporo tego było. Dokładnie sześć tygodni. Półtora miesiąca. W ciągu następnych czterech miesięcy równie często byłem w pracy, co mnie w niej nie było.

Wybory wygrał oczywiście Aleksander Kwaśniewski. Oczywiście w pierwszej turze, w której zdobył ponad 53 proc. głosów. Marian Krzaklewski nie zajął nawet drugiego miejsca. Drugi był Andrzej Olechowski – ponad 17 proc. głosów. Wszyscy skupiali się na wygranej Kwaśniewskiego, ale z perspektywy dziejów III RP być może ważniejsze było drugie miejsce Olechowskiego.

W grudniu 2000 roku odbył się w Warszawie zjazd Unii Wolności. W grę wchodziły dwa warianty. Albo porozumienie

między szefem partii Bronisławem Geremekiem a liberałami - Donaldem Tuskiem, Janem Krzysztofem Bieleckim, Januszem Lewandowskim i innymi, albo konfrontacja i zapewne rozłam. Profesor Geremek i jego ludzie nie zamierzali iść na żaden kompromis. Liberałowie byli zatem wycinani równo z trawą i we władzach partii praktycznie ich nie było. A więc wojna.

Miesiąc później, w drugiej połowie stycznia, w gdańskiej Hali Olivii odbył się zjazd założycielski nowej partii, Platformy Obywatelskiej. Na jej czele stanął triumwirat: Andrzej Olechowski, Donald Tusk, Maciej Płażyński. Nawet patrząc na zdjęcia w telewizji, czuło się w tym politycznym projekcie jakiś autentyzm, prawdziwą energię. Unia Wolności sama strzeliła sobie w kolano. Już pierwsze sondaże pokazały, że Platforma ma o wiele większe poparcie. Oczywiście był w tym efekt nowości. Jasne, losy tej partii były tajemnicą, nie można ich było żadną miarą przewidzieć. Już zupełnie nieprzewidywalne było to, jak wielką rolę w politycznej historii Polski odegra Platforma w następnych dwóch dekadach. Było jednak oczywiste, że Unia Wolności zjeżdża do zajezdni. To był praktycznie koniec wielkich politycznych wpływów środowiska, bez którego nie można sobie wyobrazić ani wielkiego triumfu demokratycznej opozycji, ani wielkiego przełomu lat 1989/90, ani wielkich zmian z pierwszej dekady nowej Polski. Geremek i Mazowiecki, Kuroń i Michnik, Frasyniuk i Wujec, Balcerowicz i Lityński. Była w Unii ogromna rzesza wspaniałych postaci, wielkich patriotów, którym Polska zawdzięczała bardzo, bardzo wiele. Czas tego środowiska nieuchronnie jednak mijał. I trudno do końca rozstrzygnąć, czy dlatego, że choć byli to ludzie wielce zasłużeni, nie do końca potrafili czytać znaki czasu. A może dlatego, że swój tytuł do władzy uważali za naturalny, do czego poniekąd uprawniały ich

zasługi i pozycja, ale co jednakowoż w polityce jest niewybaczalne. A może dlatego, że nie mieli tego politycznego instynktu zabójcy, który kazał walczyć twardo, a gdy była okazja, bezwzględnie wbijać wrogowi sztylet w plecy. Może po prostu ta inteligencka partia była zbyt inteligentna, zbyt wyrafinowana, zbyt skłonna do dzielenia włosa na czworo, szczególnie w epoce, gdy zaczął dominować prosty przekaz dnia, a partie szybko zamieniały się w oddziały karnych żołnierzy i grupy interesu. Z perspektywy czasu wygląda to jednak tak, że bez tych wybitnych ludzi nie byłoby wolnej Polski, bez nich nie weszłaby ona na właściwe tory, ewentualnie szybko by z nich wypadła. Ale jednocześnie wszystko to, co tych ludzi czyniło wspaniałymi akuszerami polskiej demokracji – wiedza, rozwaga, subtelność, swoista delikatność – skazywało ich na to, że po odegraniu swej roli muszą zejść ze sceny. Ten moment właśnie nadszedł.

W moim pokoiku w TVN miałem telewizor. Czasem był włączony, ale raczej rzadziej niż częściej. Gdyby TVN24 istniał wcześniej, pewnie telewizor byłby włączony non stop. Ale koleżanki i koledzy z „największej zakładowej telewizji świata”, jak ich złośliwie nazywaliśmy, dopiero zaczęli nadawać. Nasze relacje nie były najcieplejsze. „Fakty” były starszym dzieckiem, które stanęło już na własnych nogach. Rodzice mieli tymczasem nowe dziecko, TVN24, i nawet nie próbowali ukrywać, że właśnie ono budzi ich totalny entuzjazm, podczas gdy dziecko starsze, cóż, jest. Dlatego w „Faktach” patrzyliśmy na raczkującą TVN24 z irytacją. Wychwytywaliśmy każde ich potknięcie, a była tego cała masa. Mniej więcej tak wielka jak ta, która była naszym udziałem cztery lata wcześniej.

Tak więc nie było jeszcze wtedy żadnego specjalnego powodu, by telewizor w moim gabinecie był bez przerwy włączony. Jeśli był, to raczej ze względu na wydarzenia sportowe niż polityczne. Na przykład w lipcu namiętnie oglądałem zawsze Tour de France i kolejne nieprawdopodobne zwycięstwa Lance'a Armstronga. Historia była trochę zbyt sentymentalna, ale jednocześnie wystarczająco romantyczna, by łatwo ją kupić. Utalentowany kolarz dostaje raka jąder, jakimś cudem nie tylko wygrywa pojedynki z nowotworem i wraca na kolarskie trasy, ale także zaczyna absolutnie dominować i raz za razem wygrywa w Tour de France, budząc niebywałą wściekłość Francuzów. Było to w czasach, gdy Amerykę nadal kochałem na zabój, a Francję, z jakichś względów, wręcz przeciwnie. Każda wygrana Armstronga budziła więc we mnie wielką satysfakcję. I tak rok po roku, rok po roku. Wszystko, co stało się później, i zawstydzająca, koszmarna afera dopingowa Armstronga, wydawało się wtedy zupełnie nieprawdopodobne. No bo niby jak - nienawidzą go, kontrolują, więc gdyby grał nieczysto, złapaliby go błyskawicznie. Tak w każdym razie myślałem.

Tego dnia, był wtorek, żadnego Tour de France nie było, ale telewizor jednak miałem włączony. Leciał CNN. Spojrzałem na ekran i zobaczyłem jakąś dziurę w jednym z wieżowców World Trade Center w Nowym Jorku. Wyglądało to tak, jakby uderzył tam mały samolot. Zadzwoniłem do Grześka Jędrzejewskiego, który wydawał „Fakty”. - Grzesiu, włącz CNN, jakiś samolot, chyba mały, uderzył w wieżę WTC, zrobmy z tego jakiś *voice over*. *Voice over*, czyli krótki tekst, „przykryty” kilkunastoma sekundami zdjęć. Wydawało się, że wydarzenie zasługiwało dokładnie na coś takiego.

Jednak dalej oglądałem CNN. Na ekranie widać było jakiś

samolot lecący w stronę wież. Byłem święcie przekonany, że realizator CNN właśnie popełnia wielki błąd. Pokazuje obrazki sprzed kilkunastu minut i nie zdjął napisu *live*, informującego, że to relacja na żywo. Ale to nie realizator CNN popełniał błąd, a ja. Po kilku sekundach samolot wbił się w drugą wieżę World Trade Center. Boże, pomyślałem, przecież gdy samolot uderzał w wieżę, ta pierwsza już płonęła, to nie była powtórka, to był *live*, to się działo, najpierw jedna wieża, teraz druga, nie było takich przypadków. Teraz płonęły obie wieże. Przypomniałem sobie styczeń 1993 roku, gdy byłem w Nowym Orleanie, i pierwszy zamach na WTC. Ale tamto, w porównaniu z tym, co się działo teraz, to był wprawdzie groźny, ale jednak incydent. Tu widać było skoordynowany atak na wielką skalę, na dwa budynki, które były symbolem Manhattanu, Nowego Jorku, Ameryki, kapitalizmu. To był wielki, największy w historii, ponad wszelką wątpliwość, zamach terrorystyczny.

Następne minuty były absolutnie dramatyczne. Wieże płonęły, ludzie wyskakiwali z pięter ponad poziomem, na którym samoloty się w nie wbiły. Nadeszła informacja o kolejnym uderzeniu, tym razem w Pentagon. Porwany został jeszcze jeden samolot, potem okazało się, że się rozbił, choć nie było dokładnie wiadomo jak i dlaczego, w Pensylwanii. Dochodziła godzina 16.00. Zbieraliśmy strzępy informacji, po drodze zastanawialiśmy się, jak ułożyć dziennik. Jedno było oczywiste. Temat jest tylko jeden. Wszystko przygotowane wcześniej ląduje w śmietniku. Już wiedziałem, że będzie to najtrudniejsze wydanie „Faktów”, jakie w ciągu czterech lat zrobiliśmy. Dziś takich wydań specjalnych TVN24 robi wiele każdego roku. Wszyscy są do tego przyzwyczajeni, dla nikogo nie jest to nic nadzwyczajnego. Dla nas w „Faktach” był to pierwszy raz.

W sumie samego wydania niemal nie pamiętam. Jakies materiały, konferencje prasowe z Nowego Jorku i Waszyngtonu, które na żywo tłumaczyłem, goście. Pamiętam nastrój po powrocie do domu, gdy niemal do rana oglądałem CNN. Stało się coś strasznego. Jak wszyscy myślałem o pewnie tysiącach ludzi, wówczas ich liczba była nieznana, którzy musieli zginąć - w momencie uderzenia, wtedy, gdy wyskakiwali z okien z ogromnej wysokości, by nie spłonąć, wreszcie w chwili, gdy obie wieże runęły. Wielka tragedia tak wielu ludzi, którym walił się właśnie świat. Trudniej było odczytywać ten dramat w kategoriach czysto politycznych. Na pewno akt terroru. Terroryzm islamski? Pewnie tak. Co zrobi administracja Busha? Co zrobi jutro i za tydzień, miesiąc, rok? Co to będzie oznaczało dla Ameryki i dla świata? Pytania bez odpowiedzi. Oczywiście było tylko to, że zdarzyło się coś niezwykle istotnego, coś na skalę historyczną. I że było to być może największe wydarzenie w historii telewizji. Na własne oczy oglądaliśmy wielką tragedię tysięcy ludzi. To budziło przerażenie. W tym sensie bin Laden i Al-Kaida, bo szybko okazało się, że to oni stali za zamachem, osiągnęli gigantyczny sukces. To, co zrobili, pobudzało wyobraźnię i porażało zmysły.

Na dłuższy moment na dalszy plan zeszła kampania wyborcza w Polsce. A do jej zakończenia zostało raptem 12 dni. Wybory nie budziły być może nadmiernej ekscytacji. Może dlatego, że od wielu miesięcy interesujące było wyłącznie to, czy SLD zdobędzie w Sejmie większość bezwzględna. I pewnie by zdobył, gdyby nie Marek Belka, kandydat na nowego ministra finansów, który kilka dni przed wyborami zapowiedział, że nowy rząd będzie musiał ograniczać deficyt budżetowy, czytaj: podnieść podatki albo

obciąć wydatki. Nie wiadomo, ile punktów procentowych kosztowała SLD ta deklaracja, ale nie ma wątpliwości, że dokładnie tyle, ile różni rząd koalicyjny od rządów samodzielnych. SLD był szalenie blisko tych ostatnich. W wyborach zdobył bowiem 41 proc. Wynik był podobny do wyniku Platformy Obywatelskiej z roku 2007 i 2011, a wszystkie trzy wyniki były znacząco lepsze niż ten, który w 2015 roku osiągnął PiS. Jednak w polityce trzeba mieć nie tylko wynik, ale i szczęście. Wyniki SLD, a potem dwukrotnie PO, za każdym razem oznaczały koalicję z PSL, czyli długi marsz z gwoździem w bucie. 37 proc. PiS z 2015 roku, dzięki totalnemu seppuku lewicy, oznaczało większość parlamentarną.

Platforma w 2001 roku zajęła w wyborach drugie miejsce. Należałoby jednak powiedzieć - dalekie drugie miejsce, bo jej poparcie było mniejsze niż jedna czwarta poparcia dla SLD - 12,7 proc. PiS był na miejscu czwartym - 9,5 proc. Na trzecim miejscu wyładowała Samoobrona - 10 proc. Na piątym PSL - prawie 9 proc., dalej LPR - prawie 8 proc. Naprawdę, trzeba by Davida Copperfielda, żeby odgadnąć, że cztery lata później SLD ulegnie niemal totalnej autodestrukcji, a prawie pełną kontrolę nad polską polityką przejmą PO i PiS, które teraz w sumie zdobyły mniej niż jedną czwartą głosów. Jedno w polskiej polityce wciąż było niezmiennie. Dzisiejsza hegemonia często oznaczała nicość jutro, dzisiejsza walka o życie czasem oznaczała wszechwładzę jutro. Trudno było znaleźć kogoś bardziej kapryśnego niż polscy wyborcy. Ich gotowość zakochiwania się i odkochiwania, flirtowania i odrzucania, nielubienia i nagłej akceptacji zapierała dech w piersiach. Naprawdę, nic i nigdy nie było tu dane raz na zawsze. Wszystko, co dziś wydawało się oczywiste i trwałe, jutro zaliczało się do kategorii „przeminęło z wiatrem”. Przewidywalne

było tylko to, że lepiej nie bawić się w jakiegokolwiek przewidywania. Tak było w każdym razie w zamierzonych czasach, gdy partie nie były jeszcze finansowane z budżetu.

Lata 2001-2005 pokazały, jak blisko w polskiej polityce wielkość sąsiaduje z klęską, władza z upadkiem, moc z nicością. AWS nie tworzyła z Unią Wolności koalicji cynizmu, braku programu i jakiegokolwiek idei. Przeciwnie, szybko zaczęto tej ekipie zarzucać, że wzięła sobie na głowę zbyt wiele zadań, że w reformatorskim zapale otworzyła zbyt wiele frontów. Reforma edukacji i emerytalna, administracyjna i służby zdrowia. Niejeden rząd wyleciał w powietrze na każdym z tych tematów, i to w demokracjach o niebo bardziej stabilnych niż nasza. Być może więc całkowicie uzasadnione są zarzuty wobec tamtej koalicji o nazbyt mickiewiczowskie mierzenie sił na zamiary, a nie – jak raczej powinno być w polityce – zamiarów podług sił. Trudno jednak z tamtego reformatorskiego zapachu czynić fragment aktu oskarżenia. Być może bowiem był to ostatni moment w polskiej polityce, gdy władza na serio podejmowała wielkie wyzwania stojące przed państwem, i to w imię prostej zasady – władza jest po to, by życie ludzi czynić łatwiejszym. Tak po prostu. Drugi plus tamtego rządu, szczególnie wart podkreślenia w sytuacji, gdy partnerem silniejszym było ugrupowanie prawicowe, to stosunkowo niska ideologizacja władzy. Czy to efekt protestantyzmu Jerzego Buzka, czy tonizującego wpływu Unii Wolności – trudno powiedzieć. Ale tamta władza nie bawiła się w ideologiczne ekscesy i nie włąziła obywatelom z buciorami do ich życia.

Jeśli jednak ta ekipa skończyła w sumie tragicznie, to musiały być po temu powody. I oczywiście były. Marian Krzaklewski użył

jakichś algorytmów, by posklejać teoretycznie niesklejalne, ale pułapka była widoczna w samej nazwie. Akcja była wyborcza, podobnie jak solidarność była akcyjna. Łatwiej było o jednolitą wolę wśród ludzi, którzy chcieli władzy i stanowisk, zdecydowanie trudniej, gdy mieli jedno i drugie. Akcja powyborcza dość szybko zaczęła się sypać. Tym szybciej oczywiście, im słabszy był ten, kto w normalnym układzie koalicję i ekipę rządzącą spala. Jerzy Buzek był człowiekiem zacnym, uczciwym, pełnym dobrej woli. Ale nie był żadnym politycznym liderem. Prawdę mówiąc, nie był nawet politykiem. Był raczej, niech to nie zabrzmii ironicznie – działaczem państwowym. Kierownikiem układu władzy był Marian Krzaklewski, ponieważ jednak miał wielkie wpływy, ale bez odpowiedzialności, układ władzy szybko zaczął być dysfunkcyjny. Pękało to wszystko w szwach, szczególnie w zderzeniu z oporem materii i zdyscyplinowanymi oddziałami wroga pod dowództwem doświadczonego generała Millera.

Mniej więcej w drugiej połowie 2000 roku widać było jak na dłoni, że ta władza zaczyna się dokumentnie sypać. 6 czerwca koalicja została zerwana i rząd nie miał już większości. AWS słabła błyskawicznie i nie było wiadomo, czy w ogóle dotrwa do wyborów. Wielu już szykowało szalupy ratunkowe. Jedną pomógł zresztą zwodować sam Jerzy Buzek. Nie pojmując zapewne, że jego jedna, w sumie wcale nie najważniejsza decyzja kadrowa może wyrzucić wielki wpływ na następnych kilkanaście lat polskiej historii (czy nie dłużej, to zobaczymy).

W pierwszej połowie czerwca 2000 roku Buzek powołał Lecha Kaczyńskiego na stanowisko ministra sprawiedliwości. Bracia Kaczyńscy byli już wtedy głęboko przekonani, że z pierwszej ligi polskiej polityki wypadli na amen i żadnego powrotu nie ma.

Buzek rzucił tonącym koło ratunkowe. Jarosław Kaczyński wiedział, jak je wykorzystać. Nie udało mu się zbudować partyjnej potęgi na bazie kancelarii prezydenta Wałęsy 10 lat wcześniej, ale po pierwsze - Wałęsa na początku swej prezydentury był bardzo silny, po drugie - kancelaria nie nadawała się do tego tak dobrze jak Ministerstwo Sprawiedliwości.

Słaba władza AWS stwarzała wrażenie, że słabe jest też całe państwo, a gdy słabe jest państwo, pojawia się zapotrzebowanie na szeryfa. Kaczyńscy wiedzieli to doskonale i wsiedli na konia, którego im podstawiono. Lech Kaczyński był wielkim agentem surowości i twardości aparatu wymiaru sprawiedliwości - więcej zatrzymań, więcej aresztów, więcej wyroków skazujących, wyższe kary. A nastrój w Polsce był taki, że padło to na podatny grunt. Tym bardziej że Kaczyński znalazł niespodziewanie sojuszników, o których dzisiaj niesłusznie się nie pamięta, o co owi sojusznicy nie mają nadmiernych pretensji, bo trochę, a nawet bardzo, swej roboty w tamtym czasie dziś się wstydzą.

Telewizja Polska Roberta Kwiatkowskiego brutalnie zwalczała wszystkich przeciwników SLD, a skala degrengolady AWS zdecydowanie zwiększała prawdopodobieństwo, że po następnych wyborach będziemy mieli powrót do przeszłości, czyli totalną dominację prezydenta wywodzącego się z SLD oraz rządu SLD przy opozycji albo nieistniejącej, albo rachitycznej. Kazało to życzliwym okiem spoglądać na tych, którzy zajmowali się akurat szalupami ratunkowymi. Jedną szykował tercet Donald Tusk, Andrzej Olechowski, Maciej Płażyński, drugą - bracia Kaczyńscy. Nie chodziło rzecz jasna o udzielanie im medialnego wsparcia, tym bardziej o stawianie na kogokolwiek w jakiejś rozgrywce. Z perspektywy lat mam wrażenie, że było to raczej podświadome

patrzenie przychylniejszym okiem na tych, którzy i tak obrywają od konkurentów i potężnego aparatu propagandowego TVP. Nie była to żadna walka o pluralizm, raczej strach przed utratą elementarnej równowagi politycznej. W tamtym czasie braci Kaczyńskich odsądzano od czci i wiary, a w TVP ukazywały się często na ich temat materiały w stylu „Dramat w trzech aktach”, czyli reportażyki w tonacji insynuacyjno-esbeckiej. Kaczyńskich ustawiało to w roli ofiar, a w „Faktach”, niejako dla równowagi, reporter X, Y albo Z nie raz i nie dwa opiewał sławę szeryfa Kaczyńskiego.

Rok później szeryf razem z bratem nie zawracał już sobie nadmiernie głowy rządem ani Ministerstwem Sprawiedliwości, bo szalupa o nazwie PiS właśnie zaczynała płynąć, a wybory już były na horyzoncie. Jeśli popłynęła sprawnie, to odpowiedź na pytanie dlaczego, częściowo można znaleźć w archiwum „Faktów” TVN. Tym bardziej żałosna jest anti-TVN-owska obsesja PiS i samego Jarosława Kaczyńskiego. Stawiam bowiem tezę, że bez „Faktów”, a w jakimś stopniu także „Kropki nad i” (Monika Olejnik zdawała się sympatyzować z Lechem Kaczyńskim), naprawdę nie wiadomo, jak by tej szalupie szło. Oczywiście było to w zamierzchłych czasach, gdy Bronisław Wildstein pisał o mnie entuzjastyczne komentarze jako o gwarancie medialnego pluralizmu i bojowniku o wolność słowa. On sam pewnie woli tego nie pamiętać, ale prawdy to nie zmienia.

À propos AWS – jest jeszcze jedna rzecz, która powinna się znaleźć w jej nekrologu. To coś to relacje prezydenta Kwaśniewskiego i premiera Buzka. Następne naście lat pokazało, jak często relacje prezydentów i premierów były trudne – od szorstkości między Kwaśniewskim a Millerem przez aksamitne

relacje między braćmi Kaczyńskimi, pełne niechęci i ostrych zagrań stosunki między Lechem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem, przyzwoite, ale naznaczone dominacją premiera związku Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego po totalną dominację Jarosława Kaczyńskiego nad Andrzejem Dudą. Relacje Kwaśniewski - Buzek były wzorcowe. Być może po części ze względu na to, że premier jako nie-polityk, już zdominowany przez Mariana Krzaklewskiego, nie musiał, bo i nie mógł, bić się o polityczną supremację z prezydentem. Tak, Buzek z pewnością nie był politykiem testosteronowym, który musiał walczyć o prymat w stadzie. Ale też jako człowiek przyzwoity i państwowiec wiedział po prostu, że jest lepiej dla Polski, gdy prezydent z premierem dogadują się dobrze, a gorzej, gdy dogadują się źle. Te związki oczywiście nie były tak ciepłe, jak niecałą dekadę później relacje Lecha i Jarosława, ale też umówmy się, sytuacja, gdy bracia bliźniacy pełnią w kraju funkcję premiera i prezydenta, jest umiarkowanie standardowa.

W 2001 roku premierem został Leszek Miller. Przyznaję, że nigdy nie znalazłem w sobie sympatii dla SLD, ale z niektórymi politykami tej formacji było inaczej. Po historii z Charkowem przez pięć lat nie miałem najmniejszej szansy na zbliżenie się na odległość rzutu kamieniem do Aleksandra Kwaśniewskiego. Włodzimierza Cimoszewicza i Józefa Oleksego też nie widziałem całe wieki, ale w polskiej polityce to były osobistości. Wszyscy oni nie tylko zrzucili z siebie postkomunistyczny garb, ale pokazali, że są prawdziwymi politykami demokratycznej Polski. O tym, że mieli do tego mandat, wielokrotnie dany im przez wyborców, nawet nie mówię, bo to oczywiste.

Z Leszkiem Millerem było podobnie. Było wiele powodów, by

Millera nie lubić. Jeszcze na początku polskich przemian wybuchła sprawa moskiewskich pieniędzy, które ugrupowanie postkomunistów miało wziąć od dawnych towarzyszy pracy i walki z Moskwy. Nawet Włodzimierz Cimoszewicz uważał, że ta sprawa, która obciążała Millera, powinna powodować relegowanie go do tylnych sejmowych rzędów, co oczywiście, ku wściekłości Cimoszewicza, nie nastąpiło.

Po pierwszych prawdziwie wolnych wyborach w 1991 roku niemal wszyscy poza SLD traktowali w Sejmie Millera jak persona non grata i zgniłe jajo. Afront gonił afront. Gdy Miller wchodził na trybunę, często połowa posłów opuszczała salę. Miller spokojnie to znosił, chyba doskonale zdając sobie sprawę, że czynili mu tym wielką przysługę, budując mu mocną pozycję w partii, szczególnie jej hardcore'owej części.

Gdy w 1993 roku SLD zdobył władzę, Millera wciąż trzymano na zapleczu wielkiej polityki. Nadal musiał przechodzić swoistą kwarantannę, którą było dwa i pół roku w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej. Na początku 1996 roku został szefem Urzędu Rady Ministrów, a rok później – szefem MSWiA. Szybko zaczęto go nazywać kanclerzem. Kanclerstwo, jak się okazało, niebawem dobiegło końca, ale Millera nie musiało to specjalnie martwić. Czuł, że na następnym okrążeniu nadejdzie jego kolej. W 1999 roku z koalicji SLD uczynił niezwykle mocną partię, która była oczywistym pretendencem do zdobycia władzy po nieuchronnym upadku AWS. Po drodze, trzeba przyznać, jako szef opozycji był czasem niezwykle brutalny – niewiele było chwytów, które uznałby za zagrania nie fair. Gdy w mroźną zimę doszło do wielu przypadków zamarzeń, Miller bez chwili zawahania obciążył winą za to rząd AWS i premiera Buzka.

19 października 2001 Miller został powołany na premiera.

SLD, jako się rzekło, nie był mi bliski, ale Miller zasługiwał na to, by przyjrzeć się jego drodze. Już po wyborach, a przed objęciem przez niego funkcji, zrobiłem z nim duży wywiad, częściowo nagrywany w Żyrardowie. Oprowadzał mnie tam po, powiedzmy sobie szczerze, slumsie, w którym się wychowywał, i zakładach włókienniczych, gdzie pracował. Patrzyłem na rozpadający się dom, z którego trzeba było wyjść i przejść kilkadziesiąt metrów, by dojść do wychodka, i przyznaję, że o karierze Millera myślałem z podziwem. Z Żyrardowa do Warszawy jest kilkadziesiąt kilometrów, ale ten człowiek pokonał dystans o niebo większy. Ze slumsów na salony wielkiej polityki. Może nie wszystkie epizody po drodze były chwalebne, ale przebył imponującą drogę. Tak, Miller miał bezdyskusyjnie papiery na to, by być pełnokrwistym liderem partii socjaldemokratycznej. Paradoksalnie, ale o tym później, zgubiły go nie postkomunistyczne korzenie, nie robotniczy *background*, ale to, że stracił rewolucyjną czujność, gdy wszedł na salony władzy. Bojkoty, afronty, a nawet skandale mu nie zaszkodziły – miał dość asertywności, by spokojnie dać sobie z nimi radę. Poległ, gdy postkomunistyczne i lewicowe szaty zrzucił do końca.

Po części pchały go do tego wydarzenia. By utorować Polsce drogę do NATO, a jednocześnie pokazać Amerykanom, których koalicjantem miał w przyszłości zostać, że jest partnerem wiarygodnym, pomógł rozwiązać sprawę pułkownika Kuklińskiego. Potem, jako premier, wysyłał polskich żołnierzy na Bliski Wschód, żeby udowodnić, że sojusznikiem Ameryki jesteśmy nie tylko na papierze. Wreszcie to on stał na czele marszu Polski do Europy. Ta Europa Millera uwiodła. Uwiódł go też Adam Michnik. Czy Miller rozumie dziś, że świętowanie udanych negocjacji w sprawie wejścia Polski do Unii

z Michnikiem niespecjalnie wzmacniało jego pozycję we własnym elektoracie? Pewnie tak. Ale akurat w tamtym momencie Miller miał prawo tego nie rejestrować.

12 grudnia w Danii rozpoczęła się ostatnia runda rokowań akcesyjnych. Z perspektywy czasu niby wiadomo, że musiały się one zakończyć sukcesem. Ale wtedy wcale nie było to oczywiste. Gdy więc Miller jechał do Kopenhagi z Włodzimierzem Cimoszewiczem, Danutą Hübner, Markiem Polem i Jarosławem Kalinowskim, naprawdę nie było wiadomo, czy wróci z tarczą. Pamiętam ten chłodny wieczór obok centrum kongresowego w Kopenhadze, w którym toczyły się negocjacje. Było diabelnie zimno i być może zamarzłbym, poświęcając się na ołtarzu wejścia Polski do Unii, gdyby nie rozgrzewająca mnie farelka. Mieliśmy wtedy z Kopenhagi specjalne wydanie i modliliśmy się, żeby o wyniku negocjacji udało nam się powiedzieć w „Faktach”. Niemal w ostatnim momencie nadeszła wiadomość – tak, udało się, negocjacje skończone, przed Polską już tylko formalności w ramach Unii i wcale niebędące formalnością referendum, ale główna część pracy była wykonana.

14 lat i cztery miesiące wcześniej, wracając z pracy na czarno na norweskim torfowisku, dotarłem autostopem do Helsingborgu w Szwecji, skąd promem przepłynąłem do Helsingoru w Danii, a potem kilkadziesiąt kilometrów do Kopenhagi, skąd do Świnoujścia miałem następnego dnia wracać promem. Wtedy spałem na kopenhaskim dworcu. Teraz miliony widzów „Faktów” informowałem, że Polska będzie w Unii Europejskiej. Znowu niezwykły moment i jakaś niesamowita pętla zdarzeń. Chciało się wtedy naprawdę fruwać.

Pewnie w tamtym momencie zaczadzony sukcesem był także

Leszek Miller. W sobotę 14 grudnia 2002 roku świętował swój wielki triumf razem z Adamem Michnikiem. Dwa tygodnie później uważnie pewnie czytał sensacyjny tekst w „Gazecie Wyborczej” – „Przychodzi Rywin do Michnika”. Kilkanaście lat po tym wciąż nie wszyscy zgadzają się, jaką rolę premier Miller odegrał w tej aferze, ale w jednym panuje zgodność. Okręt pod nazwą „rząd Millera” zaczął wtedy nabierać wody. W przypadku tego rządu potwierdziło się to, co uderzało w AWS, a potem zniszczyło rząd PO i uderzyło w rząd PiS – wielkie procesy polityczne wielkimi procesami, NATO, UE, wojny, wielkie reformy z pewnością mają wpływ na losy rządów, ale najczęściej potykają się one o własną arogancję, która budzi szczególną alergię u wyborców, gdy pojawiają się wątpliwości dotyczące osobistej uczciwości polityków. W tym sędzie opinii publicznej nie zawsze potrzebne są dowody. Same wątpliwości są jak komórki rakowe, które w błyskawicznym tempie roznoszą się po organizmie, osłabiając go i niszcząc. A na końcu często samemu choremu odbierając siły i ochotę do życia.

Dziś wszyscy rozumieją piorunujący efekt afery Rywina, ale w pierwszym momencie po opublikowaniu tekstu w „Wyborczej” sam Leszek Miller najwyraźniej tego nie rozumiał. Kilka dni przed sylwestrem, będąc w Zakopanem, dostałem zaproszenie na noworoczną imprezę od znanych powszechnie, bardzo zamożnych ludzi. Nawiasem mówiąc, ludzi bardzo miłych. Nie tylko ze względu na dość silną niechęć do hucznych zabaw wiedziałem, że z zaproszenia nie skorzystam. Leszek Miller tego problemu nie tylko nie miał, ale także się z tym afiszował. W sylwestrowym wydaniu „Wiadomości” usłudźnie pokazały szefa rządu w stroju góralskim, który właśnie wybierał się na wystawne przyjęcie. Byłemu robotnikowi, sekretarzowi KC, ministrowi pracy i polityki

socjalnej, szefowi lewicowej partii ewidentnie puściły hamulce. I to dokładnie w momencie, gdy największa w Polsce gazeta opublikowała tekst, z którego wynikało, że w wielką aferę finansową zamieszany był nie tylko jego znajomy, ale być może także ludzie z jego najbliższego politycznego otoczenia, a nawet z samego rządu. Człowiekowi, któremu nigdy nie brakowało asertywności, nagle zabrakło instynktu samozachowawczego.

W lipcu 2002 roku, kilka dni przed tym, gdy Rywin przyszedł do Michnika, ja pojechałem do Waszyngtonu. W Białym Domu, po ośmiu latach, znowu miałem zrobić wywiad z prezydentem USA. Amerykańscy prezydenci naprawdę rzadko udzielają wywiadów mediom zagranicznym. Jeśli to robią, muszą mieć dobry powód. Osiem lat wcześniej robiłem wywiad z Clintonem, bo zaczynała się operacja „Polska w NATO”. Tym razem było dla mnie oczywiste, że powoli, ale nieuchronnie, zaczynała się operacja „wojna w Iraku”.

Jak zwykle, jeszcze przed wywiadem, z góry określono czas, jaki mam na rozmowę. Maksymalnie 7-8 minut, powiedziano mi kilkakrotnie. Wiedziałem już z doświadczenia, że z 7-8 może się zrobić 9-10 albo i więcej. Ale zawsze wymagało to jakiegoś fortelu. Gdy trzy lata wcześniej Jerzy Koźmiński i Bronisław Geremek przedstawili mnie prezydentowi Bushowi seniorowi, z którym miałem zrobić wywiad dla „Faktów”, i jego żonie Barbarze, ambasador Koźmiński wytłumaczył, że jestem w Polsce takim anchorem. Natychmiast wtrąciłem, że niezupełnie takim, jak Dan Rather. To była aluzja do słynnego starcia na wizji, jakie w kampanii wyborczej w 1988 roku George Bush miał właśnie z Ratherem, który nie ukrywał, że zdecydowanie bliżej jest mu do demokratów. – No, mam nadzieję – rzuciła Barbara Bush, śmiejąc

się i udając groźną minę. Detal, ale po czymś takim, w sumie nieistotnej, choć sympatycznej wymianie zdań, gdy pół godziny później siadałem naprzeciw Busha seniora, wiedziałem, że nie potraktuje mnie jak gościa, z którym trzeba odfajkować wywiad, na który nie ma się żadnej ochoty. A w każdym razie tego nie pokaże.

Tym razem Bush junior bardzo się spóźniał i zaczynałem mieć wątpliwości, czy cokolwiek z tego wyjdzie. Uspokoilem się, gdy usłyszeliśmy dźwięk śmigłowca lądującego przed Białym Domem, a zaraz potem szczekanie psa Bushów, który biegł korytarzem.

- Panie prezydencie, świetny portret pana mamy wisi tu przed wejściem do gabinetu Roosevelta - zacząłem. - Tak pan myśli? Też uważam, że jest dobry, chociaż mamie nie bardzo się podobał - odparł. Taktyka była ryzykowna, zamiast przystąpić do rzeczy, gadałem o jakimś obrazie. Ale taki był właśnie pomysł. Wspomniałem o obrazie tylko po to, by móc nawiązać do spotkania z rodzicami prezydenta w Warszawie. - Serio, poznałeś ich, doskonale - powiedział Bush. W tym momencie tworzy się jakaś miniwięź z prezydentem, która sprawia, że za kilka minut, gdy ludzie z jego otoczenia zaczną wykonywać gwałtowne ruchy, że czas się skończył, prezydent okaże łaskawość, wiedząc, że nie bardzo wypada inaczej. Poszedłem w to całkiem śmiało, wspominając jeszcze Bushowi o dorocznym meczu gwiazd ligi baseballowej, który - co absolutnie niezwykle - zakończył się remisem. Prawdę mówiąc, guzik mnie obchodził baseball, którego reguł zresztą nigdy nie rozumiałem. Wiedziałem jednak, że prezydent ma fioła na jego punkcie. - Widziałeś to, niesamowite, to pięćdziesiąta All Star Game, którą widziałem, i nigdy nie było remisu - powiedział. - Panie prezydencie, przepraszam, bo my tu o pana mamie i o baseballu, a czas leci. - To był mój czas, teraz

zaczyna się twój - odpowiedział. Świetnie, dokładnie o to mi chodziło.

Przez długie miesiące po zamachu na wieże WTC i wojnie w Afganistanie, którą Amerykanie zaczęli kilka tygodni później, z uwagą przyglądałem się wszelkim doniesieniom w sprawie Iraku. Widać było, że ludzie prezydenta ostro prą do tej wojny. O Bushu juniorze mówiono, że być może spróbuje dokończyć dzieło ojca, który z Saddamem Husajnem wygrał, ale na Bagdad nie ruszył. Junior miał mieć też motyw osobisty. W 1993 roku Irakijczycy mieli przeprowadzić w Kuwejcie nieudany zamach na jego ojca. Kilka miesięcy później Chris Hill, ambasador USA w Warszawie, powiedział mi, że dokładnie tak tłumaczył Bush swą chęć uderzenia na Irak polskiemu prezydentowi. - Alex, ten gość chciał zabić mojego tatę - mówił. Fakt, może nie jest to najbardziej racjonalny motyw, by rozpocząć wojnę, ale nieracjonalny nie oznacza nierealny.

Chciałem usłyszeć od Busha choćby sugestię, czy on i jego administracja zmierzają do wojny, ale by to uzyskać, postanowiłem nie pytać „czy”, lecz „kiedy”, jakby samo uderzenie na Irak było czymś oczywistym. Bush rzecz jasna nie powiedział, że chce wojny i że wojna będzie, ale sposób, w jaki mówił o Husajnie i o Iraku, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Po tej rozmowie wiedziałem, że rzeczywiście jest tylko pytanie: kiedy.

Wywiad z prezydentem Bushem juniorem był jednym z najbardziej znaczących wywiadów, jakie zrobiłem z zagranicznymi politykami. A jednocześnie, by tak rzec, jednym z najmiłszych. Wywiadem najmniej mówiącym i zdecydowanie najmniej sympatycznym w sensie relacji między wywiadowanym a wywiadującym był ten z sekretarzem obrony USA, Donaldem

Rumsfeldem. Rumsfeld był w administracji Busha jednym z dwóch największych jastrzębi. Inteligentny jak diabli, twardy jak cholera – taką opinię miał od czasów studiów na Harvardzie, gdzie walczył w drużynie zapaśniczej. Rumsfeld miał jeszcze dwie inne cechy. Organicznie nie cierpiał dziennikarzy i miał potrzebę, by to manifestować. Dlaczego udzielał czasem wywiadów? Mam wrażenie, że wyłącznie po to, by pokazać światu, jak bardzo nienawidzi ich udzielać i jak niskie ma mniemanie o tych, którym ich udziela. Rumsfeld był arogantem absolutnym. Powie ktoś – co włączam telewizor, to takich widzę. Rozumiem. Ale nie mówię o jakichś niezbyt mądrych prostakach, którzy tną państwo na kilometrówkach albo drą się do przemawiających z sejmowej mównicy posłanek opozycji. Mówię o takiej specyficznej, powiedzmy harvardzko-oxfordzkiej arogancji. Rumsfeld zademonstrował ją najlepiej w lutym 2002 roku, w swojej słynnej odpowiedzi na pytanie dziennikarza o brak dowodów na to, że Irak ma broń masowego rażenia i że dostarcza ją grupom terrorystycznym. Rumsfeld odpowiedział na to tak: „Informacje, że coś się nie zdarzyło, zawsze są dla mnie interesujące, ponieważ – jak wiemy – są rzeczy, o których wiemy, że je wiemy (*known knowns*). Wiemy także, że są rzeczy, o których wiemy, że ich nie wiemy (*known unknowns*). Ale są także rzeczy, o których nie wiemy, że ich nie wiemy (*unknown unknowns*). Gdy patrzymy na historię, ta ostatnia kategoria wydaje się najbardziej interesująca”. O, to był właśnie *vintage* Rumsfeld, jak powiedzieliby Amerykanie.

Z Rumsfeldem rozmawiałem we wrześniu 2002 roku. Rozmowę nazwałem niesympatyczną, bo za taką na pewno uznali ją widzowie. Ale jednocześnie była ona zabawna. Rumsfeld właściwie od razu dał do zrozumienia, że na żadne pytanie

odpowiadać nie chce, ale proponuje zapasy słowne. Konwencja wydała mi się interesująca, więc zamiast normalnego wywiadu wyszło to:

T.L.: - Zanim pójdę w stronę Iraku, że się tak wyrażę, chciałbym pana poprosić o skomentowanie wyników wyborów w Niemczech i zwycięstwa kanclerza Schrödera, za którego rządów stosunki amerykańsko-niemieckie zdecydowanie się pogorszyły.

D.R.: - Nie mam opinii na temat tego wyniku.

T.L.: - Żadnej?

D.R.: - Na temat wyniku?

T.L.: - Na temat kanclerza Schrödera. Jest pan zadowolony ze zwycięstwa SPD?

D.R.: - Nie mam na ten temat zdania. To sprawa Niemców.

T.L.: - Co pan myśli, gdy słyszy pan ministra sprawiedliwości Niemiec, porównującego prezydenta Busha do Hitlera?

D.R.: - Myślę, że to haniebnie.

T.L.: - Tylko tyle? Jak takie słowa wpłyną na stosunki amerykańsko-niemieckie?

D.R.: - Cóż, ma to wpływ zatruwający.

T.L.: - Jak długo po takich słowach jak te trzeba będzie te relacje odbudowywać?

D.R.: - To zależy od zachowania ludzi.

T.L.: - Powinni się poprawić?

D.R.: - To nie ja powinienem o tym mówić.

T.L.: - Wczoraj powiedział pan, że prezydent nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji w sprawie Iraku.

D.R.: - Prezydent podjął decyzję, że coś trzeba zrobić. W tym celu pojechał do siedziby ONZ i powiedział tam, że Irak złamał 15 rezolucji Rady Bezpieczeństwa i jeśli chce ona mieć jakiegokolwiek

znaczenie, nie może niczego nie zrobić.

T.L.: - Prawdopodobnie Saddam Husajn nie będzie chciał się podporządkować żądaniom USA i rezolucjom, ale mogą minąć miesiące, zanim będzie wiadomo czarno na białym, że je ignoruje. Jak długo zamierzacie czekać?

D.R.: - To nie moja decyzja, ale ONZ, prezydenta i Kongresu.

T.L.: - A jeśli ONZ nie zajmie jednoznacznego stanowiska, będziecie działać samodzielnie?

D.R.: - Rozmowy wśród stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ trwają.

T.L.: - Tak, ale Chiny, Rosja i Francja mają inne zdanie niż wy.

D.R.: - Interesujące, że koncentruje się pan na tych, którzy się nie zgadzają, a nie na tych, którzy się zgadzają.

T.L.: - Bo spośród członków Rady Bezpieczeństwa większość jest przeciw.

D.R.: - Czas pokaże.

T.L.: - Chyba amerykański „Newsweek” nazwał pana największym jastrzębiem w administracji Busha.

D.R.: - Kim?

T.L.: - Największym jastrzębiem.

D.R.: - Serio? To kretyńskie.

T.L.: - Nie zgadza się pan z tym określeniem?

D.R.: - Jestem mianowany przez prezydenta i zatwierdzony przez Senat. Moim zadaniem jest wykonywanie poleceń prezydenta. To wszystko.

Tak wyglądały te zapasy. A może lepiej – tak wyglądał ten ping-pong, z którego potem długo się śmiał ambasador Hill. W gruncie rzeczy miałem wtedy w sprawie Iraku takie zdanie jak Rumsfeld, nawiasem mówiąc, uważam, że miałem zdanie błędne. Ale gdy rozmawiałem ze zwolennikiem wojny, starałem się zadawać

pytania, które skomplikowałyby mu życie.

Wojna z Irakiem wydawała mi się uzasadniona, bo gdyby uznać, że Saddam Husajn ma broń masowego rażenia albo za chwilę będzie ją miał, należałoby dojść do wniosku, że niebezpieczeństwo wojny na Bliskim Wschodzie rośnie dramatycznie. Sądziłem, że temu niebezpieczeństwu trzeba za wszelką cenę zapobiec. Na dodatek amerykańska administracja twierdziła, że ludzie Husajna kontaktowali się z przedstawicielami Al-Kaidy. Al-Kaida plus broń masowego rażenia. Trudno było nawet myśleć o tym, jakie mogłyby być skutki takiej kombinacji.

W tym rozumowaniu jest oczywiście zasadniczy błąd. Trudno było wtedy uznać, że Amerykanie po prostu kłamią, że na przykład Colin Powell na oczach całego świata przedstawia w ONZ dowody na to, że Irak ma broń masowego rażenia, które są spreparowane. No bo przecież nawet gdyby tak było, Saddam Husajn by zaprzeczył. A tego nie robił. A więc?

Lata 2001-2003 pokazują, jak pełne meandrów i nagłych zwrotów bywają relacje między państwami. To Amerykanie pomagali mudżahedinom w Afganistanie, w tym Bin Ladenowi, gdy ci walczyli ze Związkiem Radzieckim. Teraz ci sami mudżahedini byli największym wrogiem Amerykanów. Na początku lat 80. to Amerykanie dostarczali broń Irakowi, gdy ten prowadził wojnę z Iranem, a z Saddamem Husajnem spotykał się wtedy sam Donald Rumsfeld. Teraz Rumsfeld był jednym z tych, którzy uważali, że Saddama trzeba odsunąć od władzy. Takie historie oczywiście się zdarzają, bo układ na światowej szachownicy się zmienia. Oskarżenia, które wówczas kierowano pod adresem Waszyngtonu z tego paragrafu, były więc całkowicie

nonsensowne. Amerykanie mieli na Bliskim Wschodzie swoje interesy. Rosjanie czy Francuzi też je mieli. Amerykanie okazywali lekceważenie, a nawet pogardę, Francuzom czy Niemcom, więc Paryż i Berlin odpowiadały tym samym. Napięcie było wielkie nie tylko na linii politycznej. W tamtych dniach frytki, nazywane zwyczajowo przez Amerykanów *french fries*, czyli, powiedzmy, frytkami francuskimi, ochrzczono w Ameryce frytkami wolności. Nazwa, jak można się było spodziewać, na dłuższą metę się nie przyjęła.

Błyskawicznie rosnący antagonizm między Ameryką a Francją i Niemcami był dla Polski i szansą, i pułapką. Szansą, bo wśród sojuszników Ameryki mogliśmy błyskawicznie awansować, ale jednocześnie nasze notowania w Paryżu i w Berlinie w tym samym momencie by spadły. Notowania w Waszyngtonie były ważne, bo od wejścia Polski do NATO minęły raptem trzy lata i trzeba było zademonstrować, że nie jesteśmy członkiem papierowym. Ale akurat w tamtej chwili chcieliśmy bardzo wejść do Unii Europejskiej i notowania w Berlinie czy Paryżu były dla nas równie ważne lub ważniejsze. Aleksander Kwaśniewski mógł wtedy oczywiście w nieskończoność powtarzać, że kochamy i mamusię, i tatusia, więc nie chcemy między nimi wybierać, ale mamusia i tatuś byli w stanie wojny i trudno było zachować neutralność. Szczególnie w momencie, gdy Biały Dom postanowił podziałów nie tylko nie łagodzić, ale chciał je wręcz zaostrzyć. Znowu pomocny okazał się sekretarz Rumsfeld. W styczniu 2003 roku pytany o konflikt wewnątrz NATO na tle Iraku odpowiedział, że mówiąc o NATO, wielu wciąż myśli o Francji czy Niemczech, ale środek ciężkości w NATO przesuwa się na wschód, w kierunku nowych członków sojuszu. Rumsfeld powiedział więc

w istocie, że Francja i Niemcy mogą sobie podskakiwać i protestować, ale to nie ma wielkiego znaczenia, bo obok Wielkiej Brytanii także Polska popiera stanowisko amerykańskie.

W tym punkcie Rumsfeld miał rację. Chwilę wcześniej premier Miller znalazł się wśród ośmiu europejskich premierów popierających amerykańskie stanowisko w sprawie Iraku. Niemcy zareagowali na to spokojnie. Po pierwsze, kanclerz Schröder miał z Millerem dobre relacje. Po drugie, z oczywistych względów, w odniesieniu do Polski niemieckie władze są od kilkadziesiąt lat wybitnie powściągliwe, co zademonstrowała najlepiej Angela Merkel po 2015 roku. Francuzi powściągliwi nie byli. Bo nie musieli i nie chcieli. W szczególności prezydent Chirac, który lubił się wypowiadać z ostentacyjną bezczelnością, a w sprawie Iraku potraktował Polskę jak chłopca do bicia, którego postanowił spoliczkować, nie mogąc spoliczkować Ameryki. „Stracili dobrą okazję, by siedzieć cicho”, powiedział o Polsce Chirac, dodając, że kraje, które postanowiły poprzeć wojnę w Iraku, postąpiły infantylnie i lekkomyślnie. My, jak wiadomo, daliśmy Francuzom widelce, a tu żadnej wdzięczności. Może nie wiedzieli.

W połowie lutego znowu leciałem do Waszyngtonu. Nigdy wcześniej z taką łatwością nie zdobywałem wywiadów z najważniejszymi ludźmi w amerykańskiej administracji. Udawało się to co kilka miesięcy, a potem nawet tygodni. Tym razem miałem rozmawiać z doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, Condoleezą Rice.

W Waszyngtonie rozpętała się akurat burza śnieżna i z Białego Domu do położonego za płotem Old Executive Office Building, w którym urzędowała pani Rice, przedzieraliśmy się w warunkach arktycznych. Rozmowa dotyczyła wyłącznie klimatu pustynnego,

czyli Iraku. Żadna data oczywiście znowu nie padła, ale wiadomo było, po co był ten wywiad. Condoleezza Rice miała pomóc polskim władzom przekonać polskie społeczeństwo do słuszności uderzenia na Irak. O ile rozmowa z prezydentem Bushem pół roku wcześniej była znakiem, że uderzenie nastąpi, o tyle rozmowa z panią Rice była dowodem, że to kwestia tygodni. I tak się stało. 20 marca rozpoczęła się wojna. Amerykanie nie zaniedbali niczego, poza - jak się okazało - przedstawieniem wiarygodnych dowodów wojnę uzasadniających. Operacja w Iraku szła wybitnie sprawnie. Operacja, powiedzmy, perswazyjna - również. Już w pierwszych dziesięciu dniach miałem kolejne wywiady, najpierw z zastępcą sekretarza stanu Richardem Armitage'em, potem z samym sekretarzem stanu Colinem Powellem. Biały Dom wiedział, że na sojuszników trzeba chuchać i dmuchać, bo nie byli oni tak liczni - wojna wywołała na Zachodzie furję. W protestach w zachodnioeuropejskich stolicach wzięły udział miliony ludzi.

W marcu 2003 roku rząd Leszka Millera przystąpił do antysaddamskiej koalicji. Czy mógł zrobić inaczej? Oczywiście mógł, ale czy powinien? Moim zdaniem - nie. Nawet biorąc pod uwagę sfiogowanie dowodów na posiadanie przez Bagdad broni masowego rażenia. Polska doskonale wiedziała, że choć jesteśmy w NATO, do załatwienia będziemy mieli w Waszyngtonie jeszcze bardzo wiele spraw przez bardzo wiele lat. Formalnie byliśmy już sojusznikami, ale w wielu kwestiach wciąż pozostawaliśmy petentami. Wystawienie Amerykanów do wiatru w takim momencie byłoby fundamentalnym błędem. Kalkulacja była, jak się okazało, słuszna. Bush wygrał drugą kadencję i był prezydentem, gdy Schrödera nie było już w urzędzie kanclerskim w Berlinie, a Chiraca - w Pałacu Elizejskim w Paryżu. Na dłuższą metę okazało się, że nie musieliśmy definitywnie wybierać między

mamusią i tatusiem.

Inna sprawa, czy za swój akces do koalicji nie mogliśmy uzyskać więcej. Mogliśmy. Sami Amerykanie mówili mi, że w sumie byli bardzo zdziwieni, jak bezwarunkowa była zgoda polskich władz na udział w irackiej operacji. Nie chodziło o wystawianie rachunków za wywiązywanie się z roli sojusznika. Szło o załatwienie przy okazji swoich interesów. Nawet najlepszy sojusznik nie w powinien mieć poczucia, że czyjeś poparcie ma za darmo. Ale być może w tym przypadku była to kwestia „korzeni”. Aleksander Kwaśniewski i Leszek Miller po tej decyzji już nigdy dla nikogo nie byli w Ameryce postkomunistami. Byli najprawdziwszymi demokratami i wzorowymi sojusznikami, nie tak jak tacy Schröder czy Chirac. Jednych operacja w Iraku pobrudziła, dla innych miała najwyraźniej moc oczyszczającą.

„Fakty” miały już pięć lat. Udziały w rynku w okolicach 30 proc. były niemal normą. 3,5-4 miliony widzów było standardem. Konkurencja próbowała nas naśladować, ale z umiarkowanymi sukcesami. Wciąż chciałem jednak czegoś więcej. Owym więcej byłoby pokazanie, że robimy program informacyjny, który może się mierzyć z najlepszymi programami informacyjnymi na świecie. Mistrzostwo Polski było bezcenne, ale marzyła mi się Liga Mistrzów. W tym sensie, jakkolwiek zabrzmiałoby to niezbyt szczęśliwie, wojna w Iraku dla „Faktów” były okazją niepowtarzalną. Największy powojenny konflikt na świecie i mamy w „Faktach” ekskluzywne wywiady z amerykańskim prezydentem, sekretarzem stanu, sekretarzem obrony i doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego. O wojnie w krótkim czasie mówi polskiemu widzom czworo najważniejszych ludzi w Ameryce. To było coś, ale nie wszystko.

Zresztą nie wszystko, co robiliśmy na początku wojny, było takie, jak wyobrażałbym to sobie dziś. Grafiki komputerowe, jakich nikt wcześniej w Polsce nie używał, pisanie na monitorze i zakreślanie ruchów wojsk, tak że widzowie mieli wrażenie, że ktoś pisze na ekranie ich telewizorów, technologicznie wszystko było, jak należy. Ale newsroom „Faktów” za bardzo przypominał wtedy centrum dowodzenia, a za mało – newsroom właśnie. Moje myśli zdecydowanie wybiegały już jednak poza studio. Trochę za bardzo wtedy te „Fakty” „zmilitaryzowałem”. Nie sądzę, żeby im to wtedy zaszkodziło. Nic, szczególnie oglądalność, na to nie wskazywało. Uważam po prostu, że poszliśmy wtedy o jeden most za daleko. Zachowywaliśmy się trochę, ja się zachowywałem, jakbyśmy byli sojusznikami amerykańskiego i polskiego rządu, a nie chłodnymi obserwatorami. Błąd.

À propos mostów, to już na początku wojny myślałem o wyjściu poza studio. Wiadomo było, że w niedługim czasie do Iraku pojedą polscy żołnierze. Mieli oni kontrolować jedną ze stworzonych po wojnie trzech stref (pozostałe nadzorowali Amerykanie – ta obejmowała Bagdad, i Brytyjczycy – w tej była Basra, na południu Iraku). W polskiej strefie miało być między innymi święte dla muzułmanów miejsce – Nadzaf. Pomysł był prosty. Zrobić specjalne wydanie „Faktów” z Camp Babilon, gdzie znajdowało się centrum dowodzenia polskiej strefy, a drugie wydanie – z Bagdadu, z łączeniami z kilkoma miejscami w Iraku. W historii telewizji w Polsce takiej figury nikt jeszcze nie robił. Uważałem, że jesteśmy gotowi. A swoistą próbą generalną było specjalne wydanie z Nowego Jorku w pierwszą rocznicę zamachu na WTC. Stałem na 35. piętrze budynku, obok czeluści, która pozostała po obu wieżach. Łączyłem się z kolegami, którzy byli

w Nowym Jorku, w Waszyngtonie i w Pensylwanii, w programie mieliśmy materiały, rozmowy i dłuższy reportaż o krewnych ludzi, którzy zginęli. Całość miała 40 minut i tego dnia mieliśmy wyższą oglądalność niż „Wiadomości”. Wystarczyło je, jak mówiliśmy, „przykryć przez 10 minut”, czyli skończyć o 19.40.

Poza kwestiami logistycznymi wydanie z Camp Babilon czy z Bagdadu w zasadzie niewiele się od tego nowojorskiego różniło. Pytanie brzmiało, czy byliśmy w stanie zapanować nad logistyką i technologią w trudniejszych niż normalnie warunkach.

Po obowiązkowych szczepieniach ruszyliśmy do Iraku w drugiej połowie sierpnia. I od razu okazało się, że za chwilę wszystko może się wysypać. W Kuwejcie, gdzie się zatrzymaliśmy, akurat nie było transportu, który zabrałby do celu nas, a przede wszystkim wielkie skrzynie ze sprzętem. Jeśli nie dojedziemy tam na czas, nie zdążymy z wydaniem z Camp Babilon, jeżeli nie wyrobimy się z pierwszym wydaniem, szlag trafi i to drugie, z Bagdadu. W końcu się udało, ale poślizg był już spory i w potwornym upale trzeba było zasuwać w zdwojonym tempie.

Nie wiem, kto wpadł na pomysł, by bazę w polskiej strefie organizować właśnie w Camp Babilon. Ale wyglądało to tak, jakby robił to producent telewizyjny. Baza była tuż obok ruin starożytnego miasta Babilon i tuż obok pałacu Saddama Husajna, zresztą wybitnie obskurnego. Dyktator w pałacu podobno nie był ani razu. W sumie niewiele stracił. Inna sprawa, że jego pałac w Bagdadzie, który kilka dni później pokazywał mi Marek Belka, wiele lepiej nie wyglądał.

Sam Babilon był częściowo odbudowany, choć - prawdę mówiąc - trzeba było solidnie wysilić wyobraźnię, by wyobrazić sobie, jak to miejsce wyglądało za czasów Hammurabiego, który

stworzył imperium ze stolicą w Babilonie. Ale ślady odbudowanych murów miast nad Eufratem były, odbudowana Brama Isztar, Brama Boga, stała (oryginał jest w Muzeum Pergamonu w Berlinie). Tylko wiszących ogrodów Semiramidy nie było. Byliśmy dokładnie w miejscu, w którym 2300 lat wcześniej zmarł Aleksander Wielki, który pragnął, by to właśnie Babilon był sercem jego uniwersalnej monarchii. Trudno było sobie wyobrazić lepszą scenografię. „Fakty” prowadziłem oczywiście sprzed Bramy Isztar, w każdym razie przed kopią, w miejscu, w którym stał kiedyś oryginał.

Następnego dnia część naszej ekipy została w bazie. My ruszyliśmy do Bagdadu. W Bagdadzie chciałem zrobić materiał o tym, jak wygląda to miasto pięć miesięcy po rozpoczęciu wojny. Potem chciałem pojechać do Nadżafu, stolicy strefy, koniecznie w piątek, gdy odbywało się tam wielkie nabożeństwo odprawiane przez słynnego szyickiego duchownego Muhammada al-Hakima.

Bagdad sprawiał wrażenie, jakby zastygł w swoistym letargu. Nie przypominał miasta wojennego, ale też nie wyglądał normalnie. Wszędzie opancerzone wozy amerykańskiej armii, uzbrojeni po zęby żołnierze. Sprawiali wrażenie życzliwych, ale była to swego rodzaju ostrożna życzliwość. Bagdad był miastem zmilitaryzowanym, ale rynek funkcjonował w nim znakomicie. Wzdłuż ulic ciągnęły się kilometrami stoiska z wszelkimi towarami. Szczególnie rzucały się w oczy talerze satelitarne – za Saddama nielegalne. Irak powojenny z pewnością nie był typowym muzułmańskim krajem. Przed wejściem do naszego hotelu, niedaleko centrum miasta, można było na straganiku kupić niemal wszystkie alkohole świata.

W lokalnej gazecie, rozprowadzanej między innymi w hotelach,

przeczytałem, że w porachunkach ulicznych ginie codziennie z broni palnej mniej więcej tylu ludzi, ilu każdego dnia traci życie w wyniku wojny. Liczby były oczywiście nie do zweryfikowania, ale uznałem, że skoro mam robić materiał o Bagdadzie pięć miesięcy po wojnie, taki wątek musi się w nim znaleźć. Pojechaliśmy więc do kostnicy, by sfilmować zwożone do niej podobno non stop ciała. Kostnica była specyficzna. Trupy leżały wszędzie, ale nie było lodówek. Wszyscy koledzy błyskawicznie zorganizowali sobie jakieś chusteczki, żeby solidnie zatkać nosy. Ja wciąż nie musiałem, bo mam słaby węch. Do czasu. W pewnym momencie ta słodkavo-zgniła woń uderzyła mnie z jakąś straszną siłą. Już dawno wyszliśmy z kostnicy, a nie mogłem się jej pozbyć. W hotelu próbowałem przy pomocy whisky. Próbowałem usilnie. Bez skutku. To może papierosy. Po drugim rzeczywiście przeszło. Tego dnia po dziewięciu latach przerwy wróciłem do palenia. Na 13 lat.

Następnego dnia pojechaliśmy do Nadżafu, który jest położony niedaleko Eufratu, od Bagdadu oddalony o 150 kilometrów. Miasto nie jest wielkie - pół miliona mieszkańców. Dla muzułmanów to miejsce święte, bo to w nim jest meczet z grobem zmarłego w 661 roku kalifa Alego, kuzyna i zięcia Mahometa. To w Nadżafie mieszkał przez kilka lat ajatollah Chomeini, od 1979 roku przywódca Iranu.

Przyjechaliśmy tam z Maćkiem Worochem 29 sierpnia. Chciałem zrobić reportaż z miasta, pokazać nabożeństwo w meczecie Alego i zrobić wywiad z Muhammadem Bakir al-Hakimem. Al-Hakim był wieloletnim przywódcą Najwyższej Rady Rewolucji Islamskiej w Iraku. Wiele lat spędził w Teheranie, z którego wrócił po zakończeniu wojny, kilka miesięcy wcześniej.

Nabożeństwo było w samo południe. Z al-Hakimem miałem się

spotkać przed wejściem do meczetu, już po nabożeństwie. Staliśmy z kamerą koło muru otaczającego meczet, gdy przyszedł do nas ktoś z ludzi al-Hakima z informacją, że wywiad, owszem, będzie, ale o godzinie 16.00. W porządku. Zbieraliśmy się więc do wyjścia, bo nabożeństwo właśnie się skończyło. Gdy byliśmy na schodach prowadzących poza mury, usłyszeliśmy potężne uderzenie. Pobiegliśmy na górę. Na placu wokół meczetu totalna panika. Ludzie biegają we wszystkie strony, a zza muru spadają na plac kawałki gumy i blachy. Pobiegliśmy więc wyżej, na szczyt muru, a potem w stronę ulicy, tam unosiły się kłęby dymu. Widok był straszny. Kilka zniszczonych budynków i kilkanaście wraków samochodów to nic. Tuż za murem widać było z góry kałuże krwi, ludzkie szczątki, jakiś mężczyzna, z którego wybuch zerwał ubranie, nago czołgał się w tej krwi. Gdy zaraz potem znaleźliśmy się obok naszego samochodu, już po chwili otaczał nas gęstniejący tłum ludzi, którzy - nie bardzo wiedzieliśmy dlaczego - wygrażali nam. Jasne, pewnie brali nas za Amerykanów, a ponieważ uważali, że zamach zdarzył się przez nich i tę ich wojnę, to właśnie w naszą stronę kierowali złość. Nie było sensu tłumaczyć, że z tym, co się stało, nie mamy nic wspólnego. Tym bardziej że nasz kierowca wyraźnie panikował i krzyczał, że musimy wsiadać do samochodu i odjeżdżać, bo za chwilę będzie za późno.

W Iraku nadawało wtedy po angielsku radio BBC. Wracając do Bagdadu, dowiedzieliśmy się, co zdarzyło się chwilę wcześniej. Najpierw była mowa o 17 ofiarach. Potem o 30, 80, wreszcie o ponad 100. W sumie przez zupełny przypadek byliśmy świadkami największego zamachu bombowego w Iraku od zakończenia wojny. To była dość brutalna zapowiedź tego, co miało się dzieć w następnych miesiącach.

O tamtej wyprawie, o Iraku i o naszym kierowcy szybko zapomniałem. Przypomniałem sobie o wszystkim kilka miesięcy później, gdy w Iraku zginął Waldek Milewicz. Mówiło się wtedy, że Waldka „wystawił” zabójcom kierowca, z którym jeździł. Gdy padły strzały, Waldek siedział na tylnym siedzeniu. Przyjrzałem się publikowanym wtedy zdjęciom. To był ten samochód, którym jeździliśmy my. Kierowca też był ten sam.

W Bagdadzie od razu zacząłem przygotowywać materiał do „Faktów”. Takich zdjęć nie miał nikt, bo i po co jakakolwiek światowa telewizja miałaby tego dnia przyjeżdżać do Nadżafu. Sami byliśmy tam wtedy do pewnego stopnia przez przypadek.

Dwa dni później robiliśmy wydanie z Bagdadu. Dziś pewnie nie wywarłoby to większego wrażenia, ale w tamtych czasach to było naprawdę coś. Prowadziłem „Fakty”, stojąc na placu Rajskim w Bagdadzie. Stamtąd łączyłem się z Maćkiem Worochem, który był w Nadżafie, i z Tomkiem Sekielskim w bazie Babilon. W programie pokazaliśmy pięć długich materiałów, polscy żołnierze, baza, Bagdad, Nadżaf. Wszystko udało się, jak należy. To była wielka ulga, ale w sumie nie uważaliśmy nawet, że zrobiliśmy coś nadzwyczajnego ponad to, co kilka razy nam już wyszło. Skala trudności była na pewno większa. Ale w zasadzie to wszystko.

Uwielbiałem te wydania wyjazdowe, gdy znowu, jak lata wcześniej, nie tylko prowadziłem program, ale także ruszałem w teren z kamerą i sam robiłem materiały. Jednak takie wydania mieliśmy raz na kilka miesięcy. Codziennosc tonęła zaś w rutynie. Pobudka o 7.00, o 8.00 lektura gazet, o 9.00 kolegium, o 10.00 śniadanie z kolegami. Potem kilka godzin na czytanie polskich i zagranicznych gazet, o 13.00 obiad z kolegami, potem praca nad szpigłem, czyli układem programu, potem pisanie zapowiedzi

(sztuk 8-10), o 18.00 charakteryzacja, o 18.30 byłem w studiu, o 19.00 program, o 19.30 postkolegium i ocena tego, co zrobiliśmy, o 20.00 wolne. Czasem zdarzał się jakiś news, który ten porządek dnia wywracał do góry nogami, wprowadzając w tę rutynę trochę życia. Ale tylko czasem.

Gdzie te czasy z początku „Faktów”, gdy zwykle pięć minut przed początkiem programu nie wiedziałem, który materiał wejdzie pierwszy, bo żaden nie był gotowy. Wtedy napięcie bywało rzeczywiście straszne. I to w czasie któregoś z tych wieczorów pod napięciem eksplodowałem, widząc to coś, co miało przypominać mapę blokad na drogach, którą przygotowywaliśmy podobno cały dzień, a z której naprawdę niewiele można było odczytać. Tamto nagranie wyciekło do sieci, co - nawiasem mówiąc - było złamaniem elementarnych reguł lojalności, a wielu hipokrytów i świętoszków załamywało ręce nad wulgarnymi słowami, które padały, jakby nie wiedzieli, że tuż przed programem atmosfera jest często jak na linii frontu i że językiem koszarowym posługują się ludzie w newsroomach na całym świecie. Oczywiście pomijano to, co w tym nagraniu było najważniejsze - obsesyjne dbanie o jakość tego, co pokazujemy widzom. Oni włączają telewizory, dzięki nim są reklamy, oni więc płacą nasze pensje, a skoro tak, to trzeba dla nich pracować na sto procent, a nie na pięćdziesiąt. To mniej więcej tyle, zresztą świętoszków lepiej ignorować. Przecież oglądając jakiś obraz, byliby w stanie oburzać się, że w trakcie malowania malarz przeklinał.

Powoli czułem, że w „Faktach” zaczyna mi być za ciasno, a właściciele TVN najwyraźniej uważali, że jest mnie w nich za dużo. Gdy toczyły się negocjacje nad trzecim trzyletnim

kontraktem, zaproponowano mi w pierwszej wersji, bym prowadził „Fakty” raz w tygodniu. Potraktowałem to jak wyjątkowy despekt i przez długie miesiące kolejnych rozmów nie było. Potem, w bólach, doszliśmy w końcu do kompromisu, ale – jak to się mówi – niesmak pozostał.

Czułem, że to końcówka. Tym bardziej że już wiedziałem, jak oddycham, gdy mogę nie tylko informować o wydarzeniach, co robiłem od tylu lat, ale gdy mogę także je skomentować, co od kilku miesięcy robiłem u Jacka Żakowskiego w poranku Tok FM, gdy mogę napisać tekst do „Wyborczej” czy do „Wall Street Journal” (za jeden z nich zresztą oberwałem, bo pisałem go bez informowania szefów, rzeczywiście błąd). A najbardziej oddychałem, pisząc wtedy książkę *Co z tą Polską*, którą właśnie kończyłem. Zamiast pisać 20–25-sekundowe zapowiedzi do materiałów w „Faktach”, na kilkuset stronach zapisywałem, co myślę o tym, w którym kierunku idzie Polska, a w którym powinna iść. To, przyznaję, była praca komentatora, a nie dziennikarza informacyjnego. Można było próbować te role łączyć, ale zadanie było karkołomne. Na dłuższą metę niewykonalne.

W przeciwieństwie do wydawcy nie wiązałem z książką *Co z tą Polską* jakichś wielkich oczekiwań. Chciałem po prostu napisać o tym, jak funkcjonuje w Polsce władza, jak działają media, szczególnie publiczne, jakich zmian potrzebujemy w demokracji, co nam się w Polsce udaje, a co nie. Co musimy zrobić, by odbudować solidarność społeczną między tymi, którym wiedzie się coraz lepiej i bogacą się coraz szybciej, a tymi, którzy bardzo często bez jakiegokolwiek własnej winy zostali z tyłu. Co zrobić, by dziecko z małego miasteczka albo ze wsi miało takie same szanse edukacyjne, jak dziecko bogatych rodziców z dużego miasta.

Solidarność, szacunek, wspólnota, w sumie moje postulaty można by zamknąć w tych trzech słowach. Nie sądziłem, że książka na taki temat może odnieść jakiś sukces wydawniczy, więc byłem bardzo zdziwiony, gdy w listopadzie sprzedaż przekroczyła 10 tysięcy egzemplarzy (założyłem się z wydawcą, że 10 tysięcy nie przekroczy na pewno), w grudniu - 20 tysięcy, w styczniu - 30 tysięcy, a to wciąż był tylko początek. Początek, jeśli idzie o książkę. Bo jeśli idzie o „Fakty”, był to początek końca.

Chyba na przełomie stycznia i lutego 2004 roku „Newsweek” przeprowadził sondaż, z którego wynikało, że miałbym niemałe szanse w wyborach prezydenckich. Nie miałem zielonego pojęcia, że ktoś robi taki sondaż. Powiedział mi o nim, gdy był już przeprowadzony, dominikanin, ojciec Maciej Zięba, który usłyszał o tym „w mieście”. Nie ekscytowałem się tym nadmiernie. Sondaż jak sondaż, dziś jest taki, jutro będzie inny - cmentarze pełne są ludzi, którzy uwierzyli w korzystne dla siebie sondaże. Mniej więcej to powiedziałem wtedy Maćkowi. - A może jednak nie zamykaj tej furtki - przekonywał. Skorzystanie z tej rady miało sens tylko przy jednym założeniu, biorąc pod uwagę, że w żadnych wyborach startować nie chciałem. Moje dni w TVN - to czułem coraz silniej - są policzone. Jeśli furtki związanej z sondażem od razu nie zamknę, to albo stracę pracę natychmiast, albo sondaż stanie się jakąś polisą ubezpieczeniową i szansą na pozostanie w TVN przynajmniej na jakiś czas. Za bardzo w ten drugi wariant nie wierzyłem, pierwszy wydawał mi się dużo bardziej prawdopodobny. Ale sprawy były już na takim etapie, że właściwie można było sobie pozwolić na ten hazard. W końcu minimalna szansa jest lepsza niż zła pewność. W sumie było tak, jak sądziłem, o czym głośno mówiłem znajomym

w weekend, tuż przed ukazaniem się „Newsweeka” ze mną na okładce i wynikami sondażu.

W poniedziałek „Newsweek” z okładkowym tytułem „Szok. Muszę to przemyśleć” był już w kioskach. Godzinę później byłem zawieszony. Osiem dni później zostałem zwolniony. Nic mnie tu nie zaskoczyło i samo pożegnanie z Piotrem Walterem odbyło się bez żadnych zgrzytów.

Prawie siedmioletnia bajka dobiegła końca i tyle. Zazgrzytało mi tylko wieczorem, gdy prowadzący tego dnia „Fakty” (jak otwarcie mówiono w stacji – potraktowano go wtedy jak mięso armatnie) o moim zwolnieniu poinformował z głupawym półuśmieszkiem. Robił to w fotelu, który mu solidnie przez prawie siedem lat rozgrzałem, więc mógłby sobie darować. Na szczęście nie prowadził tego dnia Marcin Pawłowski, który był moim naturalnym zmiennikiem i byłby naturalnym następcą, zresztą Marcinowi klasy nigdy by nie zabrakło. Ale w tym wypadku mieliśmy do czynienia z koncertowym popisem braku klasy. Piszę to, że tak to ujmę – kawa na ławę.

Był początek lutego. Po sześciu latach i sześciu miesiącach pracy w „Faktach” miałem przed sobą ponad sześć miesięcy przerwy. Finał nie był zaskoczeniem, ale nie będę ukrywał, że był dla mnie smutny. „Fakty” były dla mnie więcej niż programem i więcej niż pracą. To była – przepraszam za patos, ale tak było – misja, pasja, wyzwanie, cel. Uważałem, że z grupą młodych ludzi, w sumie w krótkim czasie, zrobiliśmy coś naprawdę wyjątkowego. Byli wspaniali. Dali z siebie wszystko, a często więcej. I zawsze będę tych kilka lat wspominał jako czas niezwykły. Na końcu tamtego wydania „Faktów”, jak prawie zawsze przez tyle lat, był materiał Tomka Sianeckiego. Tym razem o mnie, o nas, o „Faktach”. Trwał

pewnie 120 sekund, tyle co zawsze. Dość by przypomnieć sobie te fantastyczne, wspólnie przeżyte chwile. Naprawdę strasznie musiałem się starać, żeby się w tym momencie zupełnie nie rozkleić. I nawet mi się udało. W każdym razie do końca materiału.

Na szczęście nie miałem wtedy zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Już kilka razy w życiu byłem w sytuacji, gdy traci się pracę i - o czym wie każdy, komu to się zdarzyło - nie są to momenty proste. Przeciwnie, z dnia na dzień jest coraz trudniej. „Tuż po” jest w człowieku żal albo złość i „jedzie się na adrenalinie”. Potem, gdy adrenaliny już nie ma, trzeba się zmierzyć z trudnymi porankami, gdy nie idzie się do pracy, gdy organizm zdaje się krzyczeć, że o tej i o tej porze powinien być tu i tu, czyli dokładnie gdzie indziej. Potem pojawiają się zwykle dwa pytania - gdzie znajdę pracę i czy jeszcze kiedyś będzie mi tak dobrze jak wcześniej. Jasne, całkiem często potem okazuje się, że jest znacznie lepiej, ale na tym wcześniejszym etapie nadzieje prawie zawsze przegrywają z wątpliwościami.

Po odejściu z „Faktów” wielu kłopotów unikałem. Po pierwsze zupełnie nie miałem czasu, by usiąść w fotelu. 2-3 dni w tygodniu jeździłem po Polsce, promując *Co z tą Polską*. W każdej wolnej chwili pisałem kolejną książkę, chodziłem na siłownię, bo uznałem, że trzeba wrócić do dobrej formy, a przede wszystkim skupiałem się na nowej pracy. Kierunek był oczywisty. Już rok wcześniej kilka razy spotkałem się z moim sąsiadem, Piotrem Nurowskim, prawą ręką Zygmunta Solorza. Z Piotrem oglądaliśmy w jego domu mecze, pijąc doskonałe wino. Na winach nigdy się nie znałem i nic tu się nie zmieniło. Piotr natomiast znał się na nich doskonale, piwniczkę miał zresztą ogromną. Specem od win nie będąc, stwierdzam, że wina

serwował doskonałe, zupełnie inne niż te, które często piłem wcześniej, a nabywałem je w znanych sklepach marki Orlen.

Przy tych meczach i winie mówiliśmy z Piotrem o moim ewentualnym transferze do Polsatu, ale nigdy nie doszliśmy nawet do żadnych liczb. Czułem się wciąż bratem syjamskim „Faktów” i TVN, możliwe tu było rozstanie, ale wymagało jakiegoś dramatycznego, dotkliwego, ostrego, chirurgicznego cięcia, na które w tamtym czasie ani ja, ani TVN nie byliśmy gotowi, w każdym razie nie definitywnie. A zupełnie nie czułem stosowanej przez wielu w różnych branżach taktyki negocjacyjnej – dowiem się, ile mi zaproponują, by w miejscu pracy podbić swą stawkę. Zresztą zawsze uważałem, że TVN płaci mi bardzo dobrze, i akurat pieniądze nigdy w najmniejszym stopniu nie były przedmiotem sporu.

„Obwąchiwaliśmy się” więc trochę z Piotrem, czując, że kiedyś może tak, ale teraz nie. Było jednak na czym budować na następnym okrążeniu, na wiosnę 2004 roku. Tym razem rozmowy toczyły się już głównie z Zygmuntem Solorzem, zwanym przez znajomych Piotrem. Ja zresztą też szybko przeskoczyłem na Piotra. I tym razem pieniądze były w rozmowach sprawą najprostszą. Problem tkwił w czymś innym. Piotr bardzo chciał, żebym prowadził program informacyjny w Polsacie. Ja mówiłem mu, że jeśli tylko zdecyduje się na konieczne inwestycje, zrobię mu w Polsacie program, który spokojnie będzie się ścigał z „Faktami”, ale prowadzić go nie będę. Dlaczego? Bo czułem, że ten etap mam za sobą. Powiedziałem zresztą Piotrowi, że program informacyjny poprowadzę jeszcze kilka razy w życiu. Wtedy, gdy umrze polski papież i gdy będzie się odbywał jego pogrzeb. Chciałem kierować programami informacyjnymi, pójść w samym dziennikarstwie krok dalej i prowadzić program

publicystyczny, wreszcie zająć się nie tylko dziennikarstwem, ale i zarządzaniem. Po kilku tygodniach porozumieliśmy się. Miałem być członkiem zarządu odpowiedzialnym formalnie za cały program, choć tak naprawdę za informację i publicystykę, plus miałem prowadzić swój program publicystyczny, którego nazwa wydawała się oczywista, tym bardziej że wciąż ją promowałem.

Co z tą publiką

Nie ukrywam, że lubiłem spotkania z publicznością. Szczególnie gdy sala była nabita, a na wiosnę 2004 roku nabita była prawie wszędzie. Czasem 300 osób, czasem 500, zdarzało się i 1000, i 1500. Lubię kontakt z ludźmi, tę energię, która wypełnia salę. Uwielbiam, gdy publiczność jest tuż obok, dosłownie. W Polsce, gdy wymyślano scenografię programu „Co z tą Polską”, poprosiłem nawet, żeby miejsca dla publiczności ustawić tak, bym widzów miał blisko, z każdej niemal strony. Miało być jak na Anfield Road Liverpoolu albo Old Trafford Manchesteru United – trybuny zaraz przy boisku, żadnej bieżni.

Lubię rozmowy, pytania i odpowiedzi, czasem spór. Drenują energetycznie, bo rozmawiając z ludźmi, traktuję ich serio, daję z siebie tyle, ile mam. Jednak jest to wymiana obustronna, bo i ja w czasie takich spotkań niesamowicie ładuję swoje baterie. Tamten *tour* po całej Polsce był niezwykłym doświadczeniem. Od lat siedziałem w studiu telewizyjnym i mówiłem o tym, co – jak podejrzewałem – interesuje Polaków. Teraz nie musiałem zgadywać, co ich interesuje, dowiadywałem się tego z pierwszej ręki. Po kilkudziesięciu takich spotkaniach w różnych punktach kraju człowiek wie z całą pewnością więcej, niż jest w stanie wyczytać codziennie z gazet. Naprawdę nie bagatelizuję znaczenia solidnej wiedzy i regularnych lektur. Mówię tylko o tym, że nic nie zastąpi prawdziwych kontaktów z ludźmi. Człowiek zaczyna naprawdę czuć ich emocje i rozumieć, dlaczego są, jakie są. To już nie są abstrakcyjni widzowie. To konkretni ludzie, z troskami, emocjami, sympatiami, nadziejami, niechęciami, czasem frustracjami, ze swoimi opowieściami

i wątpliwościami. Nikt i nic nie zastąpi wiedzy, jaką zdobywa się w czasie takich spotkań. Z tego korepetycji wziąć nie można.

W tamtym czasie, choć o polskiej polityce mówiłem niemal codziennie, przyglądałem się jej trochę mniej, bo niemal non stop fruwałem po kraju. A w wielkiej polityce działo się sporo. W marcu 2004 roku de facto rozpadł się SLD, kilka tygodni później żelazny kanclerz Leszek Miller stracił władzę, szefem rządu został premier teoretycznie tylko techniczny, ale silny, choć zdecydowanie bardziej zapleczem intelektualnym niż parlamentarnym - Marek Belka. Wreszcie faktem stał się olbrzymi, historyczny sukces Polski i wszystkich Polaków - weszliśmy do Unii Europejskiej. Doskonale pamiętam tamten majowy długi weekend, gdy niby nic wielkiego się nie stało, a tak wiele się zmieniło. To było niezwykle, że coś bardzo ważnego działo się inaczej niż zwykle w Polsce - tak doskonale łagodnie, bezszelestnie. Nie lubię akademii ku czci, IX symfonię Beethovena wolę w filharmonii niż na wiecu, zresztą tyle jest lepszych dzieł Beethovena, ale czasem patos jest dobry. Czasem, byle nie za często, patos jest po prostu odpowiednim środkiem wyrazu. Wyłącznie w chwilach wyjątkowych. Tamta niewątpliwie taka była.

11 października ruszyły „Wydarzenia” Polsatu. Zadanie było łatwiejsze, ale jednocześnie o wiele trudniejsze niż w przypadku „Faktów”. Nie startowaliśmy od zera. „Informacje” Polsatu miały około 14-15 proc. udziałów w rynku. Zespół częściowo był gotowy, ale w dużej mierze trzeba go było zbudować od nowa. Małgosia Ziętkiewicz, Ewa Jarosławska, Agnieszka Mosór, Piotr Michalak i Radosław Kietliński pracowali w „Informacjach”,

Beata Grabarczyk, Małgorzata Mikulska i Piotr Maślak - w „Dzienniku” TV4, Iwona Wieraszko i Robert Mojsak dołączyli z Trójki, moja zastępczyni Ola Karasińska i Tomasz Machała - z TVN24, Jakub Sobieniowski - z „Faktów”. Program prowadziła Hanna Smoktunowicz. Wybór był oczywisty. Program miał odnieść sukces, a jednocześnie miał odmienić wizerunek, według wielu, prząsnego Polsatu. Nikt nie nadawał się do tego lepiej niż doświadczona dziennikarka, wcześniej prowadząca „Teleexpress”, która po angielsku mówiła tak, że w Nowym Jorku uznawali ją za urodzoną na Manhattanie, po włosku tak, że w Rzymie mieli ją za rzymiankę, a po szwedzku tak, że nikt w Sztokholmie nie wpadłby na pomysł, że nie urodziła się w szwedzkiej stolicy. W „Faktach” niemal dla wszystkich były one pierwszym miejscem pracy w telewizji, w przypadku „Wydarzeń” niemal dla wszystkich były miejscem kolejnym. Przez tych, którzy pracowali w „Informacjach” Polsatu, cała reszta, która nagle się pojawiła, mogła być uznawana za intruzów. Nowa nazwa, nowe studio, nowi ludzie, nowy szef. To była rewolucja. Było w zasadzie niemożliwe, żeby w przypadku takiej mieszanki uzyskać chemię porównywalną do tej, która była w „Faktach”. Ale też widziałem, jakie umiejętności mają ci, którzy już są, i ci, którzy dochodzą. Wiedziałem, że „Wydarzenia” nigdy nie będą miały takiego wsparcia marketingowego jak „Fakty”. Do tego w tamtych latach Polsat nie był w pakiecie Cyfry Plus, z którego korzystały setki tysięcy wielkomiejskich, najbardziej opiniotwórczych widzów. Z drugiej strony miały wystarczająco dużo atutów, z których najważniejszym był zespół, by skutecznie rzucić wyzwanie „Faktom”.

I rzuciliśmy. W sumie nastąpiło to zdecydowanie szybciej, niż mogłem się spodziewać. Po trzech tygodniach „Wydarzenia” pod

względem udziałów w rynku ustępowały „Faktom” o kilka dziesiątych punktu procentowego. A dopiero się rozpędzaliśmy. W każdym razie tak mi się wydawało. Bo oto niemal następnego dnia różnica dość gwałtownie znowu się powiększyła. Szybko się wyjaśniło dlaczego. TVN, chcąc ocalić pozycję „Faktów”, zlikwidował przerwę reklamową, która je poprzedzała. „Wydarzenia” startowały po 5-6 minutach reklam, „Fakty” jakieś 10 sekund po poprzednim programie, czyli zminimalizowano ryzyko, że widz gdzieś ucieknie. Sposób na ponowne i to natychmiastowe dogonienie „Faktów” był prosty – zrobić to samo, skasować przerwę reklamową przed „Wydarzeniami”. Próbowałem przekonać do tego szefa stacji. – Piotr, jeśli skasujemy ten *break*, dopadniemy ich w tydzień, a potem zatopię TVN ich flagowy okręt. Całemu Polsatowi będzie łatwiej. – Jasne, a wiesz, ile kosztuje ten *break* reklamowy? – odpowiedział prezes. Wiedziałem. Bardzo dużo. Razy siedem dni w tygodniu. – Sorry, nie ma mowy – zakończył Piotr.

Nie miałem do niego żalu Dla niego „Wydarzenia” były ważnym, ale po prostu jednym z wielu programów w ramówce. Wcześniej zgodził się praktycznie na wszystko, o co prosiłem. Nie mogłem mieć pretensji o to, że chce zarabiać pieniądze. Po to stworzył tę stację. Ja uczestniczyłem w ambicjonalnym pojedynku. Chciałem się odgryźć TVN i szybko zobaczyłem, że jest to łatwiejsze, niż mogłem sądzić, ale z takim handicapem, jaki miały „Fakty”, nie mieliśmy z nimi szans. To jakby biec maraton z plecakiem, w którym jest dziesięć kilogramowych paczek cukru. Można biec, ale z tym, który biegnie bez plecaka, wygrać się nie da. Pojedynek z „Faktami” skończył się więc w momencie, w którym się zaczął. Trzy lata później, dzień po tym, gdy zrezygnowałem z pracy w Polsacie, spotkałem się z szefem TVN,

Piotrem Walterem.

- Piotr, wiesz, że gdybyście nie zdjęli tego breaku reklamowego, to w ciągu kilku tygodni byśmy was dopadli i prześcignęli.

- To prawdopodobne, dlatego go zdjęliśmy.

- I co, przywróćcie go teraz?

- Już to zrobiliśmy. Wczoraj.

Zaśmiałem się. W sumie trudno było o większy komplement.

W przypadku „Wydarzeń” sukcesem największym było pokonanie „Faktów”. Planem minimum - doprowadzenie ich do stałego wyniku powyżej 20 proc. udziałów w rynku. We wrześniu 2007 roku, gdy odchodziłem z Polsatu, było to prawie 24 proc. W przypadku programu „Co z tą Polską” cel był ani mniej, ani bardziej ambitny. Chodziło o to, by program publicystyczny utrzymał się na antenie stacji komercyjnej. O tym, że cel nie jest łatwy do osiągnięcia, świadczą ramówki podobnych stacji. Od lat nie ma w nich publicystycznych programów poświęconych polityce.

Utrzymanie programu na antenie tylko pozornie nie jest celem ambitnym. Ale ile jest w największych telewizjach programów prawdziwie autorskich, które na „dużej” antenie są od lat? Autorskich, czyli takich, które zdechłyby momentalnie, gdyby ktoś wpadł na szalony pomysł zmiany prowadzącego. Do głowy przychodzą mi trzy. „Sprawa dla reportera” Eli Jaworowicz, „Kuchenne rewolucje” Magdy Gessler, program Kuby Wojewódzkiego. Pierwszy jest na antenie ponad 20 lat, drugi - chyba dekadę, trzeci - kilkanaście lat. Trwają i mają się dobrze. Cztery stacje i trzy takie programy w *prime time*, czyli w czasie najlepszej oglądalności. Plus jeszcze „Kropka nad i” Moniki

Olejniki w stacji mniejszej. Dlatego gdy ktoś zadaje mi niezbyt mądre pytanie o największe telewizyjne gwiazdy w Polsce, odpowiadam zgodnie z prawdą - ja nie wiem, ale telewidzowie wiedzą, a liczy się wyłącznie ich opinia. Jest więc, z całym szacunkiem dla wielu świetnych ludzi, którzy pojawiają się w różnych programach, kilka takich osób, testowanych przez widzów sezon po sezonie, rok po roku, nie gwiazdy chwilowe czy kilkusezonowe, ale prawdziwe.

Prowadząc program publicystyczny w dużej telewizji, człowiek niezmiennie balansuje na linie, chcąc zachować jednocześnie pracę i twarz. Żeby zachować twarz, nie można zejść poniżej pewnego poziomu merytorycznego i estetycznego. Żeby zachować pracę, nie można zejść poniżej pewnego poziomu oglądalności. Można się oczywiście nisko pokłonić ambicji, ale jest wielce prawdopodobne, że dostanie się wtedy po głowie. Widzowie, testowani w ramach różnych grup fokusowych, niezmiennie powtarzają, że chcą programów bardzo poważnych, a szczególnie przedstawień teatralnych, a w programach informacyjnych to chcą jak najwięcej informacji z zagranicy. Niestety, codzienność pokazuje, że badani widzowie robią ankieterów w konia. Bo teatr, poza wyjątkami, oglądalność ma niską, publicystyka, gdy jest zbyt ambitna, widzów traci, a gdy w programach informacyjnych pojawiają się wiadomości z zagranicy, widzowie sięgają po pilota. Ambicji można się więc od czasu do czasu pokłonić, ale będąc świadomym zgubnych często konsekwencji.

W listopadzie 2004 roku pojechałem do Kijowa, żeby zrobić specjalne wydanie programu „Co z tą Polską” z placu Niepodległości. Pomarańczowa rewolucja, na żywo, w programie prosto z Kijowa. Nie mam wątpliwości, że był to najlepszy

program publicystyczny z tych prawie pięciuset, które zrobiłem w Polsce, a potem w TVP 2. Rozmowy z Wiktorem Juszczenką i Julią Tymoszenko, reportaż z przeprowadzanymi w nocy wywiadami z uczestnikami protestu, spędzającymi nocę w namiotach na placu; rozmowy z mieszkańcami Kijowa w ich mieszkaniach na typowych kijowskich blokowiskach; goście na żywo w trakcie programu. Program był, według mnie, najlepszy, ale oglądalność z całą pewnością była najgorsza. Tak niskiej nie miałem przez kolejnych 11 lat.

Czasem były wyjątki. Wywiad z Dalaj Lamą, kilka miesięcy po starcie programu „Tomasz Lis na żywo”, miał ponad dwa miliony widzów. Obawiam się, niestety, że w dużej części była to zasługa Leo Beenhakkera, trenera naszej piłkarskiej reprezentacji, która lada moment miała wystartować w mistrzostwach Europy w Austrii i Szwajcarii. Beenhakker występował po prostu przed Dalaj Lamą. Programy z gośćmi z zagranicy, to w zasadzie była reguła niezmienna, niemal zawsze miały oglądalność średnią albo małą. Często niezależnie od tego, kto występował i w jakich okolicznościach. Mój wywiad z Tonym Blairem ukazał się w „Co z tą Polską” dokładnie w dniu, w którym po 10 latach przestał on być premierem Wielkiej Brytanii. Na naszych widzach ten, jak sądziłem, fantastyczny *timing* wielkiego wrażenia nie zrobił.

Choć byłbym niesprawiedliwy, mówiąc, że goście z zagranicy nigdy nie zapewniają oglądalności. Owszem, są tacy, którzy zapewniają. Pod jednym wszakże warunkiem. Muszą być z Rosji. Serio. Ta reguła potwierdzała się zawsze, nie było wyjątków. I wcale nie musieli to być z założenia goście najbardziej znani. Rozmowy z Michaiłem Gorbaczowem i prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem miały w „Tomasz Lis na żywo” oglądalność bardzo dużą. Ale rozmowy ze słynnym szachistą, a potem

opozycjonistą Garrim Kasparowem i legendarnym obrońcą praw człowieka Siergiejem Kowaliowem – niewiele mniejszą. Z jakichś względów, których do końca nie rozumiem, ale po prostu je przyjmuję, jeśli Polacy chcą masowo oglądać polityków z zagranicy, to wyłącznie tych z Ameryki (to potwierdziło się kilkakrotnie w TVN) i z Rosji. Ci europejscy takiego zainteresowania nie budzą. Jeśli więc ktoś chciałby mieć w którejś z polskich telewizji wywiad z zagranicznym politykiem i mieć pewność, że będzie to hit, możliwości są tylko dwie. Jedna nazywa się Trump. Druga – Putin.

Czas, kiedy prowadziłem program „Co z tą Polską”, nadawany od 2004 roku, był szczególny, także lata 2005–2007, gdy u władzy był PiS. Albo zupełnie inaczej. Tamte lata, widziane z perspektywy studia telewizyjnego, nawet lata 2005–2007, były niewiarygodnie normalne w zestawieniu z latami późniejszymi, a już szczególnie z zupełnie inną epoką, która w Polsce rozpoczęła się po katastrofie w Smoleńsku. Przede wszystkim praktycznie nie zdarzało się, że ktokolwiek odmawiał udziału w programie. Przychodzili wszyscy, bez najmniejszych oporów. Także w czasach, gdy PiS jechał ostro, a ja niespecjalnie ukrywałem, że jedzie, według mnie, za ostro i nie w tym kierunku, co trzeba. Przychodzili do programu Kaczyński i Macierewicz, Rokita i Tusk, Miller i Ziobro, Giertych i Lepper, wywiadów udzielali prezydenci Kwaśniewski i Kaczyński. To nie wszystko. Rozmowy z nimi miały sens. To nie był jeszcze czas partyjnych komunikatów dnia i przekazów wysyłanych o poranku SMS-ami, które politycy potem recytują w radiowych i telewizyjnych studiach. Rozmowy miały więc sens, bo – inaczej niż potem – nie sposób było przewidzieć, kto i co odpowie na jakie pytanie.

Poziom agresji w tych rozmowach był zadziwiająco niski. Także między politykami, którzy dziś razem nigdy nie weszliby do studia, a gdyby przez przypadek weszli, prawdopodobnie błyskawicznie rzuciliby się sobie do gardeł.

Nie były to też czasy, w których gości do programu wyznaczało, tak jak potem, szczególnie w PiS, biuro prasowe. Jeśli chciałem rozmawiać z Joachimem Brudzińskim, to rozmawiałem z Joachimem Brudzińskim, a nie jakimś X-em, którego wysłała partia. Jeszcze jedna różnica. Normalność. Dziś, gdy rozmawiam z politykami opozycji, mówią właściwie zgodnie, że nawet w Sejmie, czyli we wspólnym miejscu pracy, praktycznie nie rozmawiają z koleżankami i kolegami z PiS. Gdy zadaję pytanie dlaczego, niemal niezmiennie odpowiadają - bo oni się boją. Ale czego? Że ich koleżanki i koledzy zobaczą i podkablują. Bo teraz w polskiej polityce i okolicach zupełnie normalnych relacji nie ma. 11 czy 12 lat temu zdarzało mi się gdzieś na ulicy spotkać Joachima Brudzińskiego i dłuższą chwilę rozmawiać choćby o dzieciach, o szkołach, do których chodzą, czy o wakacjach, na które pojedą. Dziś? Zapomnijcie.

Reguły wciąż były cywilizowane, gdy prezydentem był Lech Kaczyński, choć on i jego ludzie naprawdę doskonale zdawali sobie sprawę, że niewiele jest kwestii, w których się zgadzamy. W maju 2008 roku rozmowa z prezydentem Kaczyńskim w Belwederze zajęła cały program. Gdy tylko skończyliśmy, podszedł do mnie ktoś z ludzi prezydenta, chyba Michał Kamiński, i powiedział, że prezydent zaprasza na górę. Na górę była kolacja, którą skończyliśmy grubo po północy, po drodze nie zgadzając się chyba w żadnej kwestii. Pewnie najbardziej nie zgadzaliśmy się w sprawie Anny Fotygi, którą ośmieliłem się nazwać najgorszym ministrem spraw zagranicznych w III RP.

Prezydent nasrożył się całkiem serio i natychmiast odpowiedział:
- Absolutnie się nie zgadzam, absolutnie. Według mnie pani Anna Fotyga jest najlepszym szefem dyplomacji, bezdyskusyjnie najlepszym. - Zaśmiałem się tylko, mówiąc do Lecha Kaczyńskiego: - Panie prezydencie, w tej kwestii protokół rozbieżności został zaznaczony całkiem wyraźnie i chyba będzie lepiej, jeśli nie będziemy kontynuowali tematu, tym bardziej że jest naprawdę sympatycznie.

Bo było, tylko mniej więcej co 20 minut prezydent sięgał po swą starą nokię i zanim przystawił ją do ucha, za każdym razem powtarzał: - Marylka dzwoni. - Tak, Marylko, już kończymy, tak, tak, za chwilę jadę. To naprawdę było całkiem sympatyczne i po prostu, po ludzku, normalne. Właściwie o czym tu pisać, sam się zastanawiam. Prezydent spotyka się z dziennikarzem, który, delikatnie rzecz ujmując, nie podziela jego poglądów. Niby co w tym dziwnego. No niby nic. Tyle że od lat czegoś takiego nie sposób sobie nawet wyobrazić. Dowód? Prosty. Czy ktoś widział jakikolwiek wywiad prezydenta Dudy z dziennikarzem spoza grupy dziennikarzy prawicowo-PiS-owskich? Nie. Dlaczego? Bo takiego w najważniejszych mediach nie było. Czy ktokolwiek widział konferencję prasową prezydenta Dudy, na której przez pół godziny albo godzinę odpowiadałby na pytania różnych dziennikarzy, jak to się dzieje w normalnych demokracjach? Nie. Dlaczego? Bo takiej konferencji za czasów tej prezydentury po prostu nie było. Ani jednej. Pan prezydent od kontaktów z mediami wobec niego choćby w najmniejszym stopniu krytycznymi się powstrzymuje. Trzeba mu oddać - wybitnie niezłomnie.

Nieszczęsny sondaż prezydencki z 2004 roku dopadł mnie znowu

w roku 2005. Na dwa całkiem różne sposoby. Politycy, szczególnie dwaj, ci dwaj, przez kilka miesięcy nie chcieli przychodzić do mojego programu. Zakładali bowiem, że być może będę chciał się ubiegać o prezydenturę, którą jeden z nich uznał za coś, co należy się jego bratu. W żadnych wyborach nie chciałem startować, ale na tamtym etapie już w kilku wywiadach o tym mówiłem, nonsensem byłoby więc składanie jakiegoś oficjalnego oświadczenia w sprawie, która została wyjaśniona. Taka deklaracja byłaby wyłącznie dowodem na to, że albo wcześniejsze nie były na serio, albo obecna wcale nie jest taka pewna. Presja jednak rosła, a do polityków PiS dołączyli propagandyści PiS. Panowie Mazurek i Zalewski zrobili ze mną jakiś wywiad do „Wprost”. W przysłanym mi tekście nagle znalazła się moja rzekoma wypowiedź o udziale w wyborach prezydenckich. Gdy powiedziałem im, że to ordynarna manipulacja, bo w ogóle nie było o tym mowy, napisali tekst o tym, że wciąż nie chcę jasno zadeklarować, iż nie chcę brać udziału w wyborach.

Była to raczkująca wtedy, a potem, gdy PiS nabrał wiatru w żagle, już często używana, metoda propagandowa. Skoro protestujesz przeciw oszustwu i manipulacji, to znaczy, że jesteś krętaczem. Ale partyjna operacja się rozkręcała. W którymś momencie jeden z bliskich doradców braci, Adam Bielan, powiedział mojej producentce Barbarze Hrybacz, że Lech Kaczyński przyjdzie do programu, jeśli prześlę do PAP oficjalne oświadczenie, że nie zamierzam brać udziału w wyborach prezydenckich. To już zakrawało na paranoję. Może jeszcze oświadczenie, że nie zamierzam brać udziału w wyścigach Formuły 1 i w Tour de France? Paranoja ma jednak to do siebie, że nie należy jej nadmiernie racjonalizować. Ponieważ nie

zamierzałem wydawać żadnego oświadczenia - poza wszystkim, dlaczego miałbym robić coś, ponieważ życzy tego sobie jakiś pan Bielan - trzeba było po prostu przeczekać. Mogło to oczywiście nie być proste i pewnie szaleństwo dalej mogłoby eskalować, gdyby nie wydarzenia z kwietnia 2005 roku.

W poniedziałek wielkanocny 2005 roku pewnie ogromna większość Polaków miała ściśnięte gardła. Obraz Jana Pawła II, który stanął w papieskim oknie, chwycił mikrofon i próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie, paraliżował. Niby wszyscy wiedzieli, że papież jest chory. Przecież przez lata widzieliśmy jego walkę z cierpieniem i to osuwanie się w stan coraz głębszej fizycznej niemocy. W 1996 roku byłem zaszokowany tym, jak bardzo papież zmienił się dosłownie w ciągu ośmiu miesięcy, od momentu, gdy w październiku 1995 roku pełen wigoru przyjechał z pielgrzymką do USA. Siedem lat później, znowu dzięki Maćkowi Ziębie, ponownie byłem na prywatnej papieskiej mszy. Z tyłu patrzyłem na zgarbioną, zanurzoną w modlitwie postać. Gdy po mszy papież, siedząc na wózku, rozdawał obecnym różańce, z jego oczu biły smutek i ból. Nie było w nich tej radości, którą zarażał i którą czarował. Tak, wszyscy wiedzieliśmy, jak bardzo stan zdrowia papieża się pogarszał, ale pogarszał się od tak dawna, że może gdzieś po drodze przestaliśmy to wiązać z nadchodzącą ostatecznością. Chyba było tak właśnie do tego poniedziałku wielkanocnego, gdy zobaczyliśmy to, czego tak długo nie chcieliśmy zobaczyć.

Dla Polaka choroba i perspektywa śmierci papieża były osobistym przeżyciem. Ale dla mediów, taka ich natura, były też wielkim wyzwaniem. To było potencjalnie olbrzymie przedsięwzięcie. W poczuciu taktu mówiło się o szczegółach

cicho, ale w pewnym momencie zaczęli o tym mówić wszyscy, wiedząc, że nadchodzi chwila, gdy w każdego uderzy fala emocji, ale wówczas również trzeba będzie pracować. Na końcu przecież trzeba napisać artykuł, zrobić materiał czy program. Kilka dni przed śmiercią papieża do Rzymu pojechała moja zastępczyni, Ola Karasińska. To ona w dużym stopniu ogarniała w TVN24 sprawy producenckie, a w „Wydarzeniach” ogarniała je całkowicie. W Rzymie Ola miała znaleźć miejsce, z którego moglibyśmy nadawać specjalne wydania „Wydarzeń”. Nie było jasne, gdzie miałyby być to miejsce, bo wszyscy wiedzieli, że te najlepsze zajęte są już od dawna przez telewizje z całego świata. Wiedziałem tylko tyle, że jeśli ktoś takie miejsce mimo wszystko znajdzie, to będzie to Ola. I rzeczywiście. Po kilku dniach zadzwoniła.

- Mam.
- Co masz?
- Miejsce.
- Gdzie?
- Na barce.
- Gdzie?
- Na barce. Zaraz wyślę zdjęcie.

To miejsce było rzeczywiście niesamowite. Ola po prostu wynajęła na tydzień zakotwiczoną nad brzegiem Tybru barcę. Widok był nieprawdopodobny. Na pierwszym planie rzeka i rzymskie kamienice. Dalej Watykan i Bazylika Świętego Piotra. „Swoją barcę pozostawiam na brzegu”...

O tym, co się wydarzy, często myślałem. Dziwne, wszyscy wiedzieli, że to się wydarzy, a jednocześnie wiadomo było, że nastąpi szok. A gdy już się to stanie – pojawi się pytanie: czy, jak

i co mówić. Mimo wszystko trudno było sobie wyobrazić, co się będzie działo w sercach i w domach ludzi, trudno więc było powiedzieć, jaka reakcja na antenie będzie właściwa. Trzeba po prostu pozwolić, by wszystko działo się naturalnie.

Gdy w końcu nastąpiło to, czego wszyscy się obawiali, po prostu weszliśmy do studia i zaczęliśmy mówić. Potem dowiedziałem się, że w TVN Grzegorz Miecugow postanowił milczeć. Nie wiem, czy któreś podejście było lepsze. Jedni, gdy zdarzy się nieszczęście, pragną ciszy. Inni wolą, by do nich mówiono. Nie ma więc jednej metody.

Pamiętam nastrój tamtej nocy z soboty na niedzielę. Tamten smutek i jakąś pustkę, która najbardziej mnie uderzyła, gdy chyba o 4.00 rano wracałem samochodem z pracy. W radiu Tok FM puszczali fragmenty wystąpień papieża, jego homilii, ale przede wszystkim relacje z jego spotkań z Polakami.

Dokładnie w 13. rocznicę śmierci papieża rozmawiałem z księdzem Adamem Bonieckim. - Wiedziałem, że tamten nastrój minie, ale nie myślałem, że minie tak szybko i tak doszczętnie - powiedziałem. - A ja wiedziałem - odpowiedział spokojnie ksiądz Adam.

Wtedy rzeczywiście nie myślałem, jak niewiele zostanie z tej atmosfery jedności i współodczuwania. A gdy już ostatecznie się ulotniła, nastąpił pierwszy akt staro-nowego dramatu „W polskim piekle”. Akt główny nastąpił po katastrofie smoleńskiej. Ale wtedy żadnych wątpliwości już nie miałem. Nawet w chwili, gdy limuzyny z ciałami prezydenta i jego żony jechały ulicami Warszawy, ludzie rzucali kwiaty, a cała Polska płakała. Prawdę mówiąc, w 2010 roku nie miałem żadnych wątpliwości, nawet przez sekundę. To była jedna z pierwszych myśli po katastrofie: - Nadchodzi piekło.

Gdy zmarł papież, perspektywa ludzi na jakiś czas się jednak zmieniła. Małostkowość wyparowała, nikt nie zawracał sobie głowy detalami. Także takimi jak jakiś program. Zresztą następnym kilka programów było poświęconych papieżowi i Polsce po papieżu, bez papieża, o zapraszaniu gości decydował więc już zupełnie inny klucz. Po trzech czy czterech tygodniach do sprawy bojkotu mojego programu już nikt nie wracał, jakby tematu nigdy nie było.

Temat był, ale wrócił z drugiej strony. W kwietniu i w maju w sprawie mojego ewentualnego startu w wyborach dwa razy rozmawiał ze mną Tadeusz Mazowiecki. Nie tylko o tym mówiliśmy w jego mieszkaniu na Mokotowie. Były premier był autentycznie zatroskany tym, że młodzi ludzie nie chcą wchodzić do polskiej polityki. Mazowiecki ani ich nie potępiał, ani się im nie dziwił. Przeciwnie, uważał, że stworzono warunki, w których decyzja o wejściu do polityki z bardzo wielu punktów widzenia jest pozbawiona sensu. Ludzie tracą prywatność, wystawiają się jak na patelni, obrywają od mediów, a zarabiają tak sobie. Oczywiście mają w zamian przywilej służenia państwu, ale cena korzystania z tego przywileju była, według premiera, tak wysoka, że w przypadku ogromnej większości kandydatów jej zapłacenie było wykluczone. Mazowiecki mówił, że ich rozumie, ale jednocześnie - podkreślał - chce ich namawiać, by postąpili trochę wbrew sobie.

To był długi wstęp do słów osobistej zachęty, której adresatem byłem ja sam. Subtelnej, ale bardzo wyraźnej. Byłem zakłopotany. Po pierwsze, tym, że z takim pomysłem zwraca się do mnie ktoś taki, człowiek wybitny, wielce zasłużony, zawsze przeze mnie bardzo szanowany. Po drugie, tym, że były premier odwoływał się

do uczuć i motywacji wyższych, a ja nie miałem wtedy wątpliwości, że w żadnych wyborach nie wystartuję. Jan Paweł II używał w rozmaitych sytuacjach greckiego słowa *kairos*, które w tym kontekście bardzo mi pasowało. *Kairos* oznacza z jednej strony zwrotny moment życiowy, w którym los zmusza człowieka do podjęcia kluczowej, rozstrzygającej decyzji, ta zaś ma moc odwracania biegu wydarzeń. *Kairos* ma jednak także inne znaczenie. Znaczy po prostu odpowiedni, właściwy moment. Na wszystko, na działania, czyny i zdarzenia, musi być właściwy moment. Owszem, może nigdy nie nadejść, ale czasem nadchodzi. Pewne decyzje w jakiejś chwili nie mogą zostać podjęte, bo ich czas nie nadszedł albo już minął. W innym momencie te same decyzje wydają się naturalne i wtedy się je po prostu podejmuje. Taki jest sens *kairos*. W 2005 roku *kairos* nie było, choć z Tadeuszem Mazowieckim o tej sprawie rozmawiałem jeszcze raz. Premier dzwonił do mnie, gdy byłem na lotnisku w Kijowie – międzylądowanie ze Stambułu po słynnym finale Ligi Mistrzów. Rozmowa była bardzo uprzejma, ale w sumie bezprzedmiotowa. Nic się tu nie zmieniło i nie mogło zmienić.

Kilka tygodni później dostałem jeszcze jedną propozycję, przyznaję, zadziwiającą. Jan Rokita, którego wielu nazywało wtedy przyszłym premierem z Krakowa (on sam z tym określeniem nie polemizował), zaprosił mnie do nieistniejącej już restauracji Biblioteka w bibliotece UW. Dość szybko przeszedł do rzeczy.

- Chciałbym panu zaproponować stanowisko w moim rządzie.

Co za chwilę usłyszę, błyskawicznie kalkulowałem. MSZ? Byle nie sport albo stanowisko rzecznika rządu, pomyślałem.

- Naprawdę? A o jakim resorcie pan myśli?

- O obronie - odpowiedział Jan Rokita.

Zbaraniałem.

- Panie pośle, przyznaję, że bardzo lubię wojsko, w szkole zawsze brałem udział w zawodach z przysposobienia obronnego, mam kategorię A1, a nawet medal zasłużony dla obronności kraju, ale to za książkę o wejściu Polski do NATO, tylko to wszystko razem wzięte chyba niekoniecznie czyni mnie kandydatem na ministra obrony.

Uciekłem w autoironię, bo naprawdę miałem wrażenie, że propozycja nie jest nadmiernie poważna, a nawet gdyby była, lepiej było jednak zademonstrować pewien dystans. Poseł nie wydawał się zrażony moim dystansem.

- Słyszałem, że lubi pan dowodzić, trzyma pan ludzi krótko i potrafi pan przekląć, a to w wojsku najważniejsze.

- No tak, jeśli w ten sposób opisuje pan niezbędne kwalifikacje, to w istocie mógłbym się nadawać - zażartowałem.

Na szczęście chwilę potem przeszliśmy do kwestii bardziej ogólnych. A dokładniej nie my przeszliśmy, ale pan poseł przeszedł, bo dał, jak zawsze fascynujący, wykład o tym, jak czyta sytuację w kraju. Rokita niewątpliwie był jednym z kilku najwybitniejszych umysłów polskiej polityki. Gdy opowiadał o zamierzeniach swojego ewentualnego rządu, była w tym jakaś głębia myśli, ale i churchillowski rozmach. W sumie szkoda, że nigdy premierem nie został. Niektórzy mówią, że całe szczęście (i przypominają choćby rzeczywiście nieszczęśliwe hasło „Nicea albo śmierć”), ale zupełnie się z tym nie zgadzam, szczególnie gdy zestawia się go z niektórymi, zwłaszcza ostatnimi, premierami. Rokita uważał, że życie publiczne musi mieć sens, a sens w dużej mierze powinna mu nadawać zorientowana na mądry cel polityka. Przyznaję, też mi się wydaje się, że Jan Rokita

nie pasował do swego czasu. Choć w przeciwieństwie do innych uważam, że więcej mówiło to o tamtych czasach niż o Rokicie.

Prawda, w epoce, gdy polityków pochłania swoiste szukanie lajków, nieustanne kokietowanie, a często mizdrzenie się do wyborców, ktoś taki jak Rokita był raczej bez szans. Być może w czasie kryzysu te szanse gwałtownie by wzrosły, ale akurat żadnego takiego kryzysu nie było. Dziś wydaje mi się, że niektóre jego analizy i intelektualne wolty mogły wynikać z kaprysów i pewnej nonszalancji, ale wciąż uważam, że warto Rokicie oddać co Rokitowe. Ten człowiek przez prawie dwie dekady był w polskiej polityce kimś ważnym. Zupełnie nie fair jest dziś pointowanie jego publicznej służby szyderczym: - A, to ten z Lufthansy, co krzyczał: „Niemcy mnie biją”. I tylko czasem myślę sobie, jak ten rząd Jana Rokity miałby wyglądać. Premier Rokita, szef MSZ - Jacek Saryusz-Wolski, szef MSW - Bartłomiej Sienkiewicz, szef MON... Dość perwersyjna układanka.

Gdy z perspektywy kilkunastu lat myślę o podwójnych wyborach z 2005 roku, najbardziej intryguje mnie to, w jak spokojnej atmosferze one przebiegały. W zestawieniu z dzisiejszą wysokooktanową polityką wszystko było niemal senne. A przecież nie powinno być. SLD ślaniał się jak cztery lata wcześniej AWS. Aleksander Kwaśniewski kończył drugą kadencję. Powszechnie mówiono, że w bardzo wielu aspektach III RP się skompromitowała. Mówiono o potrzebie powołania IV RP, o konieczności przeprowadzenia moralnej rewolucji, pociągnięcia cugłami, zerwania z tym, co było. Zaczynał się czas swoistego moralnego wzmożenia. Ale paradoksalnie wcale nie towarzyszyło temu wielkie wzmożenie polityczne, choć w III RP nigdy pole gry nie było tak otwarte - zaczynała się nowa epoka i naturalne

byłoby, że wszyscy będą się rozpychać, jak to tylko możliwe.

Ale nic takiego nie miało miejsca. W marcu 2005 roku w Sali Kongresowej odbyła się wielka konwencja wyborcza kandydata na prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Chwilę potem śmierć papieża kampanię na długie tygodnie uśpiła. A gdy okres uśpienia się skończył, Lech Kaczyński wyjechał w lipcu na wakacje. Donald Tusk w sondażach był bardzo daleko, ale on z kolei w lipcu pojechał na Białoruś, by spotkać się z przedstawicielką białoruskiej Polonii, Andżeliką Borys. Samo w sobie wystarczyło to, by notowania Tuska znacząco poszły w górę. W wyścigu liczył się jeszcze kandydat SLD Włodzimierz Cimoszewicz, ale on sam nie sprawiał wrażenia, że jest absolutnie pewien, iż będzie kandydował, choć na dzień dobry poparcie miał znakomite, około 30 proc. Prawdę mówiąc, nie miałem też całkowitej pewności, czy entuzjastą kandydowania jest Donald Tusk.

W czwartek 1 września 2005 roku pogoda była piękna. Było niemal upalnie. Lecieliśmy akurat do Gdańska, na pierwszy program „Co z tą Polską” po wakacjach. Gościem miał być Donald Tusk. Gdy jechałem samochodem na lotnisko, radio podało dwie ważne informacje. Zbigniew Religa zrezygnował ze startu w wyborach prezydenckich. Druga – w najnowszym sondażu poparcie dla Donalda Tuska osiągnęło 50 proc. Z punktu widzenia kandydata PO był w tych dwóch dobrych informacjach tylko jeden problem. Druga nadeszła zbyt szybko. Niby dobrze jest mieć najlepsze notowania i prowadzić, ale kampanie wyborcze często przypominają kolarski wyścig na dochodzenie. Temu, który jedzie trochę z tyłu, łatwiej jest zaatakować. Prowadzący zaś wciąż musi oglądać się przez ramię.

W rozmowie z Tuskiem chciałem zadać w zasadzie jedno

pytanie, bardzo podobne do tego, które w 1979 roku dziennikarz CBS Roger Mudd zadał kandydatowi Edwardowi Kennedy'emu: „Dlaczego chce pan zostać prezydentem?”. Kennedy odpowiedział logicznie, ale w sposób całkowicie wyprany z jakiegokolwiek pasji i w sumie niedający widzom poczucia, że wiedzą, dlaczego ten gość chce być prezydentem – pytanie, przynajmniej, dość istotne. Ku mojemu zdziwieniu Donald Tusk odpowiedział na to pytanie w stylu Kennedy'ego. Mówił o Gdańsku, o roku 1970, o dziedzictwie Solidarności i o czymś jeszcze, ale nie było wątpliwości, że nie jest to odpowiedź, w której pełen pasji kandydat daje widzom poczucie, że naprawdę warto na niego głosować. Nie, nie przeceniałem wagi jednego wywiadu. Do wyborów było wciąż dość daleko. Tu nie było problemu wywiadu, tu był problem Tuska. Nie była z niego wola walki i absolutna determinacja. Mogło się to teoretycznie zmienić. Teoretycznie.

Tydzień później moim gościem był Lech Kaczyński. Skłamałbym, że wypadł lepiej niż Tusk. Odpowiedzi udzielał dość niezbornych, ale jedno o nim można było powiedzieć z całą pewnością. Chciał być prezydentem. Myli się, kto sądzi, że to mało. Wyborcy bardzo często głosują nie na tego, z którym się zgadzają, lecz na tego, który najbardziej chce. Kaczyński niewątpliwie bardzo chciał. Tydzień później w rozmowie jeden na jeden wystąpił Włodzimierz Cimoszewicz. On z kolei sprawiał wrażenie, że nie ma głębokiego przekonania, iż nadal chce startować. Już kilka tygodni wcześniej zdołał zgłosić swą kandydaturę, potem zrezygnować, by za chwilę znowu pojawić się w wyścigu. Akurat zaliczył dwa ciężkie ciosy. Zarzucono mu nieprawidłowości w zeznaniach majątkowych, a dochodziła do tego niejasna rola jego byłej asystentki Anny Jaruckiej. Ale nie zeznanie i nie Jarucka były największymi

problemami Cimoszewicza, lecz właśnie to, że i on nie sprawiał wrażenia, że naprawdę chce. Przecież gdyby naprawdę chciał, powinien skoczyć swym przeciwnikom do gardła, oskarżyć ich o próbę przekręcenia wyniku wyborczego i podkreślić, że go to nie złamie, lecz wręcz wzmocni to jego determinację, by nie tylko startować, ale także wygrać.

Cimoszewicz miał w sondażach 17-18 proc. i wciąż realną szansę na awans do drugiej tury. Ale w rozmowie z Tuskiem w moim programie w żadnym momencie nie przeszedł do naprawdę frontalnego ataku, a kilka dni później ostatecznie zrezygnował. Na placu boju pozostało dwóch kandydatów.

Wcześniej jednak miały się odbyć wybory parlamentarne, z nieznanymi powodami budzące wtedy zdecydowanie mniejsze napięcia, a przecież o wiele ważniejsze. Chyba nigdy wybory w Polsce nie budziły tak niewielkich emocji. Przez długie miesiące mówiono bowiem wyborcom, że ktokolwiek je wygra, rządzić będzie koalicja PO-PiS. A skoro tak, czy warto się w ogóle fatygować do lokali wyborczych? W wyborach 25 września frekwencja nie była niska ani dość niska. Była katastrofalna. 40 procent. Na każdym dziesięciu Polaków sześciu albo się wyborami nie interesowało wcale, albo nie interesowało się na tyle, by głosować, albo interesowało się, i to bardzo, ale wciąż nie widziało sensu w głosowaniu. Przy takiej frekwencji większe szanse miał PiS. I wygrał. Zdobył 27 proc., a PO - 24 proc. głosów. W wyborczy wieczór niezmiennie najbardziej prawdopodobnym wariantem rządowym była koalicja PO-PiS, choć już kilka dni później wydawała się ona zdecydowanie mniej prawdopodobna. Wiadomo było, że kimkolwiek będzie premier, to nie będzie on z Krakowa.

Dzień po wyborach parlamentarnych prowadziłem w Polsce debatę prezydencką Tusk - Kaczyński. Moment był źle wybrany. Wszyscy wciąż żyli ogłoszonymi dzień wcześniej wynikami wyborów. Kampania prezydencka na razie była w zawieszeniu i naprawdę miała ruszyć z kopyta dopiero za kilka dni. Widzowie nie usłyszeli więc w ciągu godziny chyba nic, co mogłoby wzmocnić albo zmienić ich sympatie. Co nie znaczy, że program nie miał sensu. Miał, ale przez to, co się zdarzyło po programie. Prezes Solorz zaprosił obu kandydatów na lampkę szampana i mały poczęstunek w pomieszczeniu z widokiem na studio. Obaj z zaproszenia skorzystali. Tusk i Kaczyński w którymś momencie, przy kilku świadkach, zaczęli ze sobą rozmawiać. W sumie sympatycznie, ze złośliwościami i z uszczypliwościami, ale w granicach dobrego smaku. Poza wszystkim można było odnieść wrażenie, że czują do siebie trochę sympatii. Do siebie wzajemnie, należy być może sprecyzować. W pewnej chwili Lech Kaczyński spoważniał i spojrzał Donaldowi Tuskowi w oczy.

- Donald, ale ty przecież wiesz, tak doskonale jak ja, że przegrasz. To twoje prowadzenie w sondażach jest kompletnie bez znaczenia. Ja te wybory wygram.

- Ja bym jednak zaczekał na wyniki - starał się dowcipem odpowiedzieć Tusk, ale patrząc na niego, miałem wrażenie, że Kaczyński trafił w punkt.

Donald Tusk kilka tygodni wcześniej zrobił na mnie wrażenie kandydata, który nie jest pewien, czy chce kandydować. Teraz wyglądał, jak ktoś, kto kandydować chce i chce wygrać, ale ma wielkie wątpliwości, czy da radę.

Przyznaję, że ten obraz utkwił mi w głowie na długo, każąc się zastanawiać, czy Donald Tusk ma rzeczywiście żelazną wolę odniesienia zwycięstwa. Te wątpliwości unicestwił sam, i to

z przytupem, ale dopiero dwa lata później.

Na razie wciąż toczyła się kampania, a w kampanii nagle najważniejsze przestało być to, co kandydaci sobą reprezentują i co zapowiadają. Najważniejszy był „dziadek z Wehrmachtu”. Jacek Kurski, zwany bulterierem Kaczyńskich, robił, co mógł, by wszyscy dowiedzieli się, że dziadek Donalda Tuska służył w Wehrmachcie. Nie fatygował się nadmiernie, żeby dowiedzieli się, że został do niego wcielony i sam z niego uciekł. Cel był prosty – po jednej stronie wyborcy mieli widzieć Lecha Kaczyńskiego, twórcę Muzeum Powstania Warszawskiego, dziedzica Armii Krajowej (kolportowano wtedy informacje o udziale w powstaniu jego matki, choć ta powstanie spędziła w Starachowicach). Z drugiej strony mieli widzieć niezupełnego Polaka Tuska. Z tym dziadkiem historia była naciągana, ale przylepiła się do Tuska jak guma do żucia do spodni od garnituru. Rzekomą niemieckość Tuska i jego rzekomą uległość wobec Berlina PiS-owscy propagandziści wbijają ludziom do głów do dziś. Jutro zresztą też to będą robić.

Sztab Tuska popełnił błąd. Mógł udawać, że rozpuszczanych informacji nie słyszy, albo mógł się z nimi brutalnie zmierzyć, atakując sztab Kaczyńskiego. Wybrał niby to drugie rozwiązanie, ale na pół gwizdka. Efekt był taki, że zdaniem wielu wyborców Tusk miał chyba jednak coś do ukrycia.

W piątkowy poranek 14 października, dziewięć dni przed wyborami, w studiu Tok FM gościem Katarzyny Kolendy-Zaleskiej był Jacek Kurski. Gdy wyszedł ze studia, zapytałem go, dlaczego w ogóle zaczął akcję z tym „dziadkiem z Wehrmachtu”. – Z tym Wehrmachtem to lipa, ale jedziemy w to, bo ciemny lud to kupi –

odpowiedział ubawiony Kurski. Spojrzałem na Kasię, na Wiesława Władykę i na Tomka Wołka. Nie, nie przesłyszeliśmy się.

Chwilę później wchodziliśmy do studia. Generalnie jest zasada, że nie ujawnia się treści prywatnych rozmów z politykami. Ale nie sądziłem, że ta generalna zasada ma zastosowanie w tym przypadku. Oto jeden z PR-owców kandydata na prezydenta wyznał w rozmowie z kilkoma dziennikarzami, że cynicznie wykorzystuje insynuacje na temat jego rywala, by go pogrążyć. Kurski przyznawał otwarcie, że robi wielkie świństwo. Czy zachowanie dla siebie tej wiedzy byłoby formą respektu dla niepisanych reguł, czy cyniczną akceptacją dla łamania elementarnych zasad przyzwoitości, które także w polityce powinny jednak obowiązywać? Uważałem, że zdecydowanie to drugie, i w studiu opowiedziałem o naszej wymianie zdań. Kurski został chwilę potem zawieszony w prawach członka PiS, niby dlatego, że Lech Kaczyński był przeciw chwytom poniżej pasa, ale nikt nie wziął tego poważnie. Wszyscy wiedzieli, że za chwilę zostanie odwieszony. Zrobił w końcu przecież tylko to, co było w interesie partii i jej kandydata.

Cały Kurski. Nie ukrywam, że przez lata go lubiłem, mimo jego wielu ekscesów, awantur między nami i jego niezliczonych kłamstw. Jest inteligentny, cyniczny, ale ma też wiele wdzięku. Do wygłupów towarzysz znakomity. Tylko nie wszystko w życiu publicznym może być wygłupem, cynizmem i grą. A dla Kurskiego pojęcie prawdy nie istnieje, ona go nie interesuje. Nie ma prawdy, są wyłącznie słowa, które może są prawdziwe, a może nie, to dla niego zupełnie bez znaczenia. Słowa nie służą do opisywania rzeczywistości, ale do uzyskiwania przewagi nad przeciwnikiem. Nie ma słów, których nie można wypowiedzieć, jeśli przyniosą

one korzyści. Nie ma bariery wstydu, nie ma zahamowań. Jeśli jest perspektywa korzyści, mówi się to, co korzyść przyniesie. Jeżeli jest to kłamstwo, to się kłamie. Kłamstwo nie jest problemem. Tak wygląda w skrócie filozofia Kurskiego. A ponieważ Jarosław Kaczyński doskonale Kurskiego zna, mianując go szefem TVP, sam pokazał, że jest to także jego filozofia. Kaczyński jest kłamcą, więc na szefa swej telewizji wybrał kłamcę. Cynik wybrał cynika. Ktoś gotowy na wszystko wzięł innego gotowego na wszystko, wiedząc, że u wybrańca nigdy, przenigdy nie wystąpi odruch wstydu. Z banalnego zupełnie powodu. On wstydu nie zna.

W styczniu 2016 roku, chwilę przed objęciem przez Jacka Kurskiego stanowiska szefa TVP, zaprosiłem go do mojego programu, który chwilę potem miał spaść z anteny. Propozycja mogła się wydawać dziwna. Przecież już od ponad trzech lat politycy PiS mój program bojkotowali. Jeśli jednak był wśród nich jeden, który mógł przyjść do studia, to był to Kurski. Mógł to zrobić dla zgrywy, dla radości ze słownego pojedynku, który musiał być ostry. – Przyjdę, jeśli powiesz, że skłamałeś, wkładając mi w usta to o „ciemnym ludzie”. – Jacuś, tak powiedziałaś, nie moja wina, nie będę nazywał prawdy kłamstwem tylko dlatego, że jest to w twoim interesie. Aż tyle twój udział w programie nie jest wart. Zresztą za chwilę to będzie twoja telewizja i będziesz w niej występował, kiedy będziesz miał na to ochotę.

23 października 2005 roku w wyborach prezydenckich Lech Kaczyński pokonał Donalda Tuska. W sumie wyraźnie – 54 proc. do 46 proc. Wtedy nikt jeszcze nie myślał, że wkrótce dwa najważniejsze stanowiska w państwie będą zajmowali bracia bliźniacy.

Zaraz po wyborach w świetle kamer doszło do negocjacji między politykami PO i PiS w sprawie powołania nowej koalicji. Chyba Bismarck powiedział, że ludzie nie powinni widzieć, jak się robi politykę i parówki. Widzowie oglądający te rozmowy łatwo mogli zrozumieć, co Bismarck miał na myśli. Zwykle negocjacje toczą się w celu osiągnięcia porozumienia. Te wyglądały tak, jakby obie strony potrzebowały alibi na to, że do żadnego porozumienia nie dojdzie. Bo że nie dojdzie, widać było błyskawicznie. Przez wiele miesięcy, w sumie ponad rok, wyborców mamiono wizją PO-PiS-u, ale wystarczył kwadrans, by zorientować się, że wizja była całkowicie nierealna. Często potem mówiono, że polityków obu partii podzieliły wyłącznie ambicje. Do dziś mówi się zresztą, szczególnie na lewicy, że PiS i PO to to samo. Oczywiście to nieprawda. Inna sprawa, że szczególnie w latach 2005–2007 można było znaleźć wiele przypadków zdecydowanie zbyt daleko idącej zgodności między tymi partiami. Głosowanie nad likwidacją WSI, gdy można było podejrzewać, że likwidatorem będzie Macierewicz, i za powołaniem CBA, gdy wiadomo było, że jego szefem zostanie Mariusz Kamiński, to przykłady najbardziej charakterystyczne. Wciąż nie uzasadniało to jednak tezy o wielkim podobieństwie „między dwiema prawicowymi partiami”. Po pierwsze, jeśli Platforma jest prawicą, to w stylu niemieckiej CDU. A PiS prawicą żadną nie jest, czego w 2005 roku wyraźnie nie było może jeszcze widać, ale co dziś bije po oczach każdego, kto ich nie zamyka i chce widzieć rzeczy takimi, jakimi są. Zupełnie inną sprawą jest to, że PiS z roku 2005 bardzo różnił się od tego z roku 2015. A jeszcze większa była różnica między rządem Kazimierza Marcinkiewicza a rządami Beaty Szydło czy Mateusza Morawieckiego.

Marcinkiewicz mógł być drażniący jako premier, szczególnie

gdy Polacy go pokochali, a on uznał, że słusznie. Ten natrętny PR z lepieniem bałwana, uczestnictwem w studniówkach i sztucznymi gestami (*Yes, yes, yes*) sprawiał wrażenie, jakby Marcinkiewicz chciał być cheerleaderem, a nie liderem. Rząd Marcinkiewicza, z ministrami Religą i Mellerem, Gilowską i Sikorskim, był jednak w sumie dość centrowy, sensowny i przewidywalny. Gdy negocjacje nad powołaniem PO-PiS-u zakończyły się fiaskiem i powstawał nowy rząd, Bronisław Komorowski rzucił słynne „Szkoda Polski”. Ale prawdę mówiąc, w tamtym czasie poczucie, że szkoda Polski, wcale nie było powszechne. Raczej przeciwnie. Polska miała mniejszościowy rząd, prawicowy, ale wcale nie jakoś strasznie zideologizowany. Nic takiego złego się nie działo. Zaczęło się dziać później, gdy Marcinkiewicza i Sikorskiego oraz Mellera w rządzie już nie było, a stery przejęli Jarosław Kaczyński i najważniejszy z jego ministrów, Zbigniew Ziobro.

Dopiero wtedy można było poczuć i zrozumieć, jaki będzie ten rząd i co mogłoby się zdarzyć w Polsce i z Polską, gdyby ci dwaj panowie mogli wcielić w życie swą wolę bez żadnych ograniczeń. Na swoje nieszczęście, a nasze szczęście, ograniczenia wciąż istniały, co zasmucony Marek Jurek nazywał imposybilizmem. To, co według Jurka było imposybilizmem, czyli nieuzasadnionymi barierami dla władzy, było w gruncie rzeczy po prostu państwem prawa. Niezależne sądy, silny Trybunał Konstytucyjny, prawdziwe media publiczne, normalna służba cywilna, silne społeczeństwo obywatelskie. Dokładnie to jest gwarancją rządów prawa i przeszkodą dla samowoli autokratów i dokładnie to, jak gwóźdź w bucie, uwierało Kaczyńskiego. Widać było, jak strasznie się męczył, nie mogąc w stu procentach narzucić Polsce swojej woli, tak jak narzucał ją swej partii i swemu bratu. Było oczywiste, że

jeśli kiedykolwiek Polacy pozwolą, by wola Kaczyńskiego stała się prawem, jeśli pozwolą, by miał on poczucie, że może wszystko, Polska zamieni się w republikę bananową i państwo, w którym najważniejsze są nie prawo i instytucje, ale kompleksy, fobie i kaprysy władcy. Naprawdę, wystarczyło nie zamykać oczu i patrzeć.

Z percepcją jest trochę jak z krzywym zwierciadłem. Coś, co wydaje się prawdziwą traumą, z perspektywy doświadczeń o wiele bardziej traumatycznych nabiera charakteru niemal łagodnego. Wielki stres po jakimś czasie wydaje się całkiem niewielki, szczególnie gdy nadchodzi po nim stres potężny.

Gdy w roku 2001 do Sejmu weszła Samoobrona, Jan Nowak-Jeziorański napisał w „Gazecie Wyborczej” dramatyczny tekst, w którym przywoływał duchy nazizmu. Nie twierdził ani nie sugerował, że Lepper i Samoobrona to nazizm. Pisał jedynie, że Polska, wpuszczając do Sejmu takich ludzi, wkracza na bardzo niebezpieczną drogę. Diagnoza była ostra. Przesadzona? Samoobrona była po prostu kolejnym wcieleniem polskiego populizmu. Najpierw był Tymiński, potem był Lepper. Kilka lat później byli Kaczyński i Lepper. Potem był już tylko Kaczyński. Strumyczki i strumyki polskiego populizmu zlały się w rwący potok.

Ale gdy dziś mówi się o Samoobronie czy o LPR Romana Giertycha, z jednej strony myśli się o ekscesach demokracji, o jakiejś swoistej wysypce na jej obliczu. Z drugiej jednak można o nich myśleć jak o może felernym, ale na końcu całkiem skutecznym falochronie broniącym Polskę przez dwa lata przed samowładztwem Jarosława Kaczyńskiego.

W 2005 i 2006 roku Lepera i Giertycha odbierano oczywiście

zupełnie inaczej. Wejście przez ich partie do koalicji z PiS traktowano jak świadectwo moralnej degrengolady władzy. Przecież to Jarosław Kaczyński sugerował, że partia Leppera jest tworem SB. Teraz z tym tworem miał romans. Ale przecież to tylko polityczna gra, to zawsze jest wyłącznie gra, prawda? Czyż Kaczyński nie sugerował, że ojciec Rydzyk jest częścią rosyjskiej agentury? Sugerował. To było jednak, zanim dostrzegł korzyści z aliansu z Rydzykiem. Mało kto dziś już pewnie pamięta, jak to w lutym 2005 roku podpisywano w Sejmie tak zwany pakt stabilizacyjny między PiS, Samoobroną i LPR. Podpisanie to transmitowała wyłącznie Telewizja Trwam. Znak, że akuszerem tego dziecka był właśnie ojciec dyrektor.

Kaczyński, Rydzyk, Lepper, Giertych - wtedy był to swoisty kwartet z czarnych snów, który niecałe trzy miesiące później został sformalizowany. Trzy partie oficjalnie stworzyły koalicję. Premier Marcinkiewicz z niejakimi problemami skrywał odruch wymiotny. Jakoś sobie z nim poradził. Bracia Kaczyńscy nie poradzili sobie natomiast z odruchem eliminowania każdego, kto temu duetowi mógłby stanąć na drodze do pełni władzy w Polsce. Los Marcinkiewicza był przesądzony. W sumie był zresztą przesądzony od zawsze. W polskiej polityce, w polityce w ogóle, duety funkcjonują raczej średnio. Ale ten jeden, duet bliźniaków, funkcjonował doskonale. Zgrzytało w nim tylko wtedy, gdy bracia mieli do siebie pretensje, że ten drugi nie zajął, albo nie zajął odpowiednio wcześniej, stanowiska, na które zasługiwał. A zasługiwali obaj oczywiście wyłącznie na stanowiska najwyższe. Jarosław Kaczyński był przekonany, że prezydentury Polski godzien jest tylko Lech Kaczyński, że każdy poza nim jest albo uzurpatorem, albo pomyłką, albo jednym i drugim. Lech

Kaczyński z kolei uważał, że w Polsce na premiera nadaje się tylko Jarosław Kaczyński. I strasznie obraził się na brata, gdy ten tego stanowiska nie wziął. Oczywiście nie było tak, że nie zajął go, bo uważał, że jest go niegodny. Nie zajął, bo na tamtym etapie priorytetem była prezydentura dla Lecha.

Los premiera Marcinkiewicza był więc przesądzony już w dniu, w którym został on premierem. Bo Jarosław mógł zrobić przykrość Lechowi, premierem nie zostając, ale przecież nie mógł mu przykrości robić stale, a premierostwo Marcinkiewicza taką przykrością dla prezydenta było. Jarosław musiał więc Lechowi ulec. Polska Polską, ale skoro tylko dwaj ludzie zasługiwali na to, by pełnić w niej najwyższe funkcje, to dla dobra Polski należało to sformalizować. Tym bardziej że dla kraju najważniejsza była współpraca dwóch braci, należało więc usunąć wszystko, co mogło choćby w najmniejszym stopniu psuć relacje między nimi. Marcinkiewicz mógłby oczywiście być premierem trochę dłużej, może nawet znacznie dłużej. To znaczy mógłby, gdyby nie to, że nie chciał być popychadłem i marionetką. To samo w sobie narażało go na nieuchronny cios. A gdy jeszcze okazało się, że Marcinkiewicz jest bardziej popularny niż Lech Kaczyński, choć w Polsce właściwie nie zdarza się, że premier jest bardziej popularny od prezydenta, odczytano to jako swoistą zniewagę, afront zasługujący na dekapitację.

W lipcu 2006 roku władze PiS zrobiły to, co robią zawsze, czyli to, czego chce Jarosław Kaczyński, faktyczny właściciel tej partii, jej pan oraz władca. Marcinkiewicz przestał być premierem. Został nim jedyny polski polityk, który na bycie premierem zasługiwał. Oczywiście nie było ani nic złego, ani nic nielogicznego w tym, że szef największej partii w rządowej koalicji zostawał premierem. Było to rozwiązanie logiczne

i powszechnie praktykowane. Jedyne problemy polegały na tym, że o ile premierostwo Kaczyńskiego mieściło się w ramach pisanych i niepisanych reguł demokracji, o tyle samego Kaczyńskiego owe pisane i niepisane reguły demokracji strasznie uwierały. Tak to zresztą często bywa z politykami o naturze autorytarnej. I gdy tylko został Kaczyński premierem, starał się na wszelkie sposoby ograniczające go ramy rozepchnąć. Stąd nadaktywność prokuratury, która zaczęła uderzać w politycznych przeciwników PiS. Stąd narady z udziałem premiera o tym, jak wyglądają poszczególne śledztwa i jak można je wykorzystać politycznie. Stąd wielka aktywność służb, które, zdaje się, od początku szukały materiałów pozwalających wykończyć i wyeliminować z gry koalicjantów Kaczyńskiego. Stąd próby politycznej korupcji, w tym najsłynniejsza, zarejestrowana przez dziennikarzy TVN, Tomasza Sekielskiego i Andrzeja Morozowskiego, w pokoju Renaty Beger z Samoobrony w sejmowym hotelu. Negocjacje u pani Beger nie były zupełnie oryginalnym politycznym targiem. Tak czasem wygląda polityka. Ale wszystko, co opisałem wyżej, było w praktyce próbą zmiany reguł gry. Kaczyński chciał pełni władzy. Przeszkadzali mu w tym koalicjanci. Chciał więc wykończyć liderów partii koalicyjnych, przekupić i skorumpować ich ludzi i doprowadzić do swych samodzielnych rządów. Jeśli nie można było tego osiągnąć przy pomocy wyborów, należało to zrobić inaczej.

Nieokiełznana łapczywość Kaczyńskiego na wszelką władzę jest oczywiście problemem Polski, ale czasem okazuje się też wielkim problemem Kaczyńskiego. Tak bardzo chciał dopaść eksponowane postaci lewicy, że tolerował operację, w rezultacie której zginęła Barbara Blida. Tak chciał dopaść swego wicepremiera Leppera, na dodatek przy pomocy swych

nieudolnych agentów, że w efekcie załatwił swój własny rząd. Afera gruntowa miała sprawić, że Lepper wyląduje w więzieniu. Sprawiała, że z Polski uciekł biznesmen Ryszard Krauze, któremu władza niedługo potem zarzuciła, że pomógł ostrzec Leppera przed akcją służb. Wskutek całej afery Kaczyński, który chciał zdobyć pełną władzę, wylądował z powrotem w ławach opozycji. Najpierw rząd stracił większość i był na łasce i niełasce opozycji. Potem, próbując zniszczyć Platformę Obywatelską, pogrążył samego siebie. Posłanka PO Beata Sawicka w istocie nie była odporna na perspektywę zarobku, ale większość Polaków zdawała się czuć, że nie o korupcję tu przede wszystkim szło. Posłanka zadurzyła się w wyglądającym jak prowincjonalny lowelas tajnym agencie Tomku. Agent Tomek nie złapał posłanki na gorącym uczynku, ale sam stawał na głowie, by zgrzeszyła korupcją. W odczuciu ludzi zachowywał się więc jak świnia, czym w rezultacie skompromitował nie tylko posłankę, ale w równym stopniu siebie, służby i władzę.

W latach 2005–2007 widziałem z bliska, jak Zygmunt Solorz stara się balansować w państwie, które nie ukrywało, że bogatych nie lubi. To wtedy padło słynne zdanie Lecha Kaczyńskiego, że jeśli ktoś ma pieniądze, to znaczy, że skądś je ma. Któremu to zdaniu, nawiasem mówiąc, nie można odmówić dość elementarnej logiki. To wtedy minister Kamiński od służb publicznie groził najbogatszym Polakom. Do Zygmunta Solorza, człowieka, który był właścicielem ogólnopolskiej stacji telewizyjnej, te słowa z całą pewnością dotarły. Gdy mówię o balansowaniu Solorza, nie mam na myśli nic złego. Balansowanie oznaczało po prostu robienie wszystkiego, by w niezupełnie normalnych okolicznościach funkcjonować na tyle normalnie, na ile się da. Co nie znaczy, że

nie było na niego nacisków. Oczywiście były, o czym nie raz i nie dwa wspominał mi Piotr Nurowski, bo sam Zygmunt Solorz nie mówił mi o tym nigdy, nie chcąc pewnie stawiać mnie w niekomfortowej sytuacji.

Trzy lata szefowania programowi informacyjnemu, trzy lata prowadzenia programu publicystycznego, w tym dwa lata robienia tego w epoce rządów PiS, i ani jednego przypadku nie tylko ingerencji, ale jakiegokolwiek sugestii, by o czymś mówić albo nie mówić, by mówić lepiej albo ciszej. To naprawdę znaczące, bo w tekstach i w książkach, które pisałem, niespecjalnie ukrywałem, co myślałem o tamtej władzy.

Zygmunt Solorz, na ile go wtedy obserwowałem, powinien być biznesmenem wzorcowym dla władzy, która wciąż mówi o polskim kapitale. Rozwijał interesy na wielką skalę, inwestował w telewizję, w bank, fundusz emerytalny i elektrownie, a gdy w wielu sytuacjach przychodziło mu prowadzić negocjacje z partnerami zagranicznymi, potrafił być naprawdę bezwzględny i bezwzględnie skuteczny. Chyba nie jestem upoważniony do zdradzania szczegółów, byłem wtedy przecież członkiem zarządu, ale niektóre jego biznesowe manewry, przy pomocy których ogrywał przedstawicieli największych zachodnich potęg, robiły wrażenie. Gdy za którymś razem powiedziałem, że nadzwyczajnie rozegrał jakąś sytuację z topowymi menadżerami z Niemiec, stwierdził szczerze i z satysfakcją: – Wiesz co, bo ja to w biznesie lubię ogrywać ludzi, ale najbardziej to Niemców i Francuzów.

Nie gadał o wstawaniu z kolan, nie napinał mięśni i nie pokrzykiwał gromko, tylko ogrywał. Po prostu.

Trzy lata w Polsce były więc, mimo wichur dookoła, w sumie

czasem dość spokojnym. Czasem cudownie spokojnym. W czerwcu i lipcu 2006 roku ponad dwa tygodnie spędziłem w Niemczech w czasie piłkarskich mistrzostw świata. Zrobiłem też wtedy coś, czego nigdy wcześniej nie zrobiłem i nigdy już nie zrobię. Przed mundialem szef redakcji sportowej Marian Kmita mówił na jakimś zebraniu, że ma problem z obsadą komentatorską inauguracji mistrzostw świata i meczu Niemcy - Kostaryka, bo wszyscy chcą jechać do Gelsenkirchen na mecz Polska - Ekwador, który miał się odbyć kilka godzin później. Od razu zgłosiłem się do komentowania. - Serio? - nie wierzył Marian. Czułem, że więcej okazji, by komentować uroczystość otwarcia mistrzostw i taki mecz, już nie będzie. 10 lat wcześniej komentowałem z Włodzimierzem Szaranowiczem uroczystości otwarcia i zamknięcia igrzysk. Teraz chciałem dorzucić do tego piłkarskie mistrzostwa. W przeddzień otwarcia pojechałem do Gelsenkirchen, skąd zrobiłem program „Co z tą Polską”, a rano poleciałem do Monachium na mecz otwarcia.

Nie, oczywiście nie miałbym odwagi, by mecz komentować sam. Za bardzo kocham piłkę, za dobrze wiem, czego o niej nie wiem. Nie wiedziałem jakichś 90 proc. tego, co wiedzą dziennikarze, którzy się na piłce znają. Ale te 90 proc. w jednym palcu miał Przemysław Pełka, świetny komentator, wtedy Polsatu, potem Canal +. Przemek więc komentował, a ja starałem się czasem odzywać, tak żeby nie przeszkadzać nadmiernie jemu, a przede wszystkim widzom.

Po tym meczu pojechałem jeszcze na siedem innych, w tym z moim tatą i starszą córką na mecz Polska - Niemcy do Dortmundu. Gdy Niemcy strzelili nam bramkę niemal w ostatniej minucie, moje dziecko straszliwie rozpaczało. Jacyś starsi państwo uspokajali ją, dając jej misia i niemiecką flagę. Gdy

wracaliśmy samochodem następnego dnia, zatknęła ją w szybie obok polskiej. Przyznaję, że gdy byliśmy już na rogatkach Warszawy, ta dziecięca demonstracja niezaangażowania w polsko-niemieckie spory lekko mnie zaniepokoiła. Na szczęście nikt nas nie zauważył. Trauma porażki w pierwszym meczu, który córka zobaczyła na własne oczy, jakoś jej do piłki nie zniechęciła. Powiedziałbym, absolutnie nie zniechęciła. Nie jest tak, że ona piłkę lubi albo bardzo lubi. Ona ją uwielbia.

W pierwszych dniach września 2007 roku na kilka dni pojechałem do Szanghaju, Pekinu i Dalian, sześciomilionowego miasta w Chinach, w którym odbywało się doroczne spotkanie Young Global Leaders. To taka odnoga Światowego Forum w Davos, które zresztą to spotkanie firmuje i organizuje. Kilka dni z ludźmi takimi jak założyciel Wikipedii, wiceprezes Google czy wiceszef nowojorskiej giełdy to naprawdę unikatowe doświadczenie. Młodym globalnym liderom z kilkudziesięciu krajów nie opowiadałem o lokalnych problemach w Polsce. Uznaliby je zapewne za doskonale abstrakcyjne. Ja z kolei, przyznaję, za odrobinę abstrakcyjne uznałem niektóre problemy poruszane przez nich. Nie dlatego, że były nieważne. Debaty, jak pokonać głód na świecie, pomysły, jak zapewnić laptopa każdemu dziecku na kuli ziemskiej, co zrobić, by poprawić sytuację mniejszości czy kobiet, były szalenie ciekawe. Tylko trochę nieprzystające do tego, czym akurat żyła Polska. A po wakacjach, kilka tygodni przed wyborami, żyła głównie jednym. Nadchodziły kolejne wybory. Polska miała podjąć prostą decyzję – zamordyzm czy demokracja.

20 września pogoda była wspaniała. Prawie koniec lata, ale

w powietrzu środek lata. Było pięknie. Gdy tylko pojawiłem się rano w pracy, zaszedł do mnie prezes zarządu Mirek Błaszczyk. O tej porze? Trochę dziwne, myślałem, żadnej afery nie mogłem sobie przypomnieć, z drugiej strony o naciskach na szefów stacji mówiło się już wcześniej. Nie zdążyłem wejść do sali konferencyjnej, gdy domyśliłem się, o co może chodzić. Na szyję rzuciła mi się wieloletnia sekretarka prezesa, pani Małgosia. – Oni tu siedzieli pół nocy, prezes był aż cały blady – powiedziała, szlochając. Nie dopytywałem, czy „oni” to tylko prezes i jego współpracownicy, czy też jeszcze jacyś „goście”. Łatwo było skleić fakty. W ostatnich dniach w prawicowych mediach trwała nagonka na Solorza za jego rzekome historie lustracyjne. Pojawiały się też informacje, że śledztwa w sprawie jakichś jego transakcji przejęła prokuratura w Katowicach, ta, która w tamtym czasie zajmowała się „najwrażliwymi” i politycznie potencjalnie najważniejszymi sprawami.

Gdy wszedłem do sali i przy stoliku zobaczyłem wszystkich najważniejszych ludzi w stacji: prezesa, Piotra Nurowskiego, Józefa Birkę, Aleksandra Myszkę i Mirosława Błaszczyka, wiadomo było, o co chodzi. Pozostawały szczegóły. Miałem przestać kierować „Wydarzeniami”, zachować miejsce w zarządzie i swój program. Nie było sensu podejmować dyskusji. Naprawdę rozumiałem kontekst. Naciski były coraz większe, do wyborów został miesiąc, o śledztwach i postępowaniach było coraz głośniej, a wszyscy pamiętali, co się działo z Krauzem, i nikt nie miał wątpliwości, że ta ekipa naprawdę jest w stanie wiele zrobić dla telewizyjnego show, a przede wszystkim zachowania władzy. Solorz przez dwa lata rządów PiS balansował, dzięki czemu to ja mogłem być szefem programów informacyjnych w Polsce, ale teraz ceną za względny spokój musiała być

najwyraźniej moja głowa. Wiadomo było, że ludzie Kaczyńskiego mieli obsesję na punkcie programów informacyjnych. Musiałem z nich zniknąć. Tyle. Teoretycznie, bo prezes Solorz mi to zaproponował, mogłem zostać, zachowując pieniądze, program i pozory prestiżu, ale mogłem tak zrobić tylko teoretycznie, bo gdybym tak postąpił, w praktyce czułbym się podle. – Panowie, jak słyszałem, długo tu w nocy dyskutowaliście, więc pozwolicie, że ja też się chwilę zastanowię, zanim dam ostateczną odpowiedź, co ja na to wszystko. Może być do jutra? – Jasne – powiedział prezes.

Żegnaliśmy się całkiem normalnie, choć chyba żadna ze stron nie miała wątpliwości, że za chwilę się rozstaniemy. Z punktu widzenia własnego komfortu powinienem był zostać. Ale komfort finansowy wiązałby się z totalnym dyskomfortem psychicznym. Zostając, de facto firmowałbym nieformalne naciski na szefów mediów. Przyjmowałem je do wiadomości, tak, zresztą nie miałem innego wyjścia. Ale gdzieś na końcu uważałem, że padam ofiarą draństwa ludzi władzy. Nie mogłem tego firmować. I tyle. Już po kilku godzinach powiedziałem więc Zygmuntowi Solorzowi, że odchodzę i tylko, jeśli pozwoli, chciałbym jeszcze poprowadzić następnego dnia ostatni program, żeby pożegnać się z widzami. Razem ze mną, tego samego dnia, zrezygnowały Hania i Ola Karasińska. Bez kalkulacji, bez wahań.

Przyznaję, że do programu raczej głowy nie miałem. Trzeba więc było zorganizować rozmowę z przedstawicielami partii o tym, co akurat się dzieje. A że trwała kampania wyborcza, z dzianiem się nie było kłopotu. Był tylko z jakichś względów kłopot z gościem z PiS. A na nim zależało mi szczególnie, by nie powstało wrażenie, że absorbuje widzów swoją sprawą i robię na antenie jakąś demonstrację. Producentka Basia Hrybacz

zadzwońiła więc do tego polityka PiS, z którym współpracowało nam się wtedy najlepiej. Tak było i tym razem. Joachim Brudziński zgodził się przyjść.

Nic, nawiasem mówiąc, z tego ostatniego programu nie pamiętam. Poza tym, że pożegnałem się słynnymi słowami z filmu *Good Night and Good Luck* w reżyserii George'a Clooneya, filmu o brutalnych atakach na media w czasach maccartyzmu w latach 50. Legendarny dziennikarz telewizyjny Ed Murrow rzuca wyzwanie senatorowi McCarthy'emu, który urządził w Ameryce wieloletnie polowanie na czarownice, domniemanych „czerwonych” lub ich zwolenników. W filmie Murrow przegrywa i kończy program swą słynną frazą – *good night and good luck*. W rzeczywistości jednak to właśnie dziennikarz pogrążył McCarthy'ego, a kilkanaście lat później dostał prezydencki Medal Wolności.

Dokładnie za miesiąc w Polsce miały się odbyć wybory parlamentarne. Dwie największe partie, PiS i PO, szły łeb w łeb i nie sposób było przewidzieć wyniku. Ale resztę kampanii i wyborczy wieczór miałem spędzić w domowym fotelu. Mój czas w Polsce się skończył. *Good night and good luck*.

Powrót na żywo

Podobnie jak w przypadku rozstania z TVN, nie miałem zbyt wiele czasu na bezczynność. Jeszcze tego samego dnia zadzwonili do mnie znajomi z propozycją, by już od następnego czwartku, dokładnie o tej porze co „Co z tą Polską”, nadawać mój program w internecie. Było to w czasach, gdy technologia nie była jeszcze na tym poziomie co dziś. Gdy więc nadaliśmy na Gazeta.pl pierwszy program i chciało go oglądać bardzo wielu widzów, łącza natychmiast się zawiesiły. Niespecjalnie się tym przejąłem. Ten program nie był, bo w tamtym czasie nie mógł być, pomyślałem na daleką przyszłość. Miał być manifestacją. Jestem i będę. Jak nie tu, to tam.

Dzień po odejściu z Polsatu był jednym z najzabawniejszych w moim życiu. W ciągu kilkunastu godzin dostałem trzy propozycje startu w wyborach, a ich rozrzut był uroczy. Platforma proponowała mi start z jednego z dwóch okręgów, które, jak sądziłem, miały już wyznaczonych kandydatów. Obaj są już dziś zresztą poza partią. Jarosław Gowin, który wtedy kandydował z Krakowa, jest niemal w PiS. Stefan Niesiołowski, który startował z Zielonej Góry, jest daleko od Platformy, a od PiS jest o kilka galaktyk. O ile ta propozycja wydawała się intrygująca, a pojedynek w Krakowie ze Zbigniewem Ziobrą to naprawdę mogłoby być coś, o tyle dwie pozostałe były naprawdę egzotyczne. SLD proponował mi start na senatora, ale z miejsca, o którym wiedziałem, że jest „niebiorące”, a Roman Giertych, to ucieszyło mnie wtedy najbardziej – start z listy Ligi Polskich Rodzin. Miałem być „jedyнкą w Lublinie”, co oczywiście też nie miałoby sensu, nie tylko ze względu na Rów Mariański między

programem LPR a moimi programami. Wszystkim oczywiście grzecznie odmówiłem. *Kairos*.

Gdy okazało się, że Jarosław Kaczyński jest za mało sprawny, by wykończyć swych koalicjantów, nie miał już wyjścia – niezbędne były nowe wybory. Wyjście miała za to opozycja. A dokładniej – miała potężną pokusę. Wystraszeni i rozeźleni Lepper i Giertych chcieli wykończyć w rewanżu Kaczyńskiego. Zależało im na sejmowym głosowaniu, po którym można by powołać nowy, większościowy rząd. Z ich punktu widzenia rozwiązanie miało wielką zaletę – unikali bezpośrednich konsekwencji pójścia do łóżka z PiS i z Kaczyńskim, a mogli partycypować w nowym podziale władzy. Naprawdę kuszące w sytuacji, gdy ich wejście do nowego parlamentu było mało prawdopodobne. Pomysł nie wyglądał jednak nadmiernie kusząco dla wszystkich innych. Po cóż mieliby płacić rachunki Leppera i Giertycha za ich romans z Kaczyńskim? Na proponowanego przez byłych koalicjantów Kaczyńskiego nowego premiera Janusza Kaczmarka, byłego szefa MSW, nikt nie zareagował entuzjastycznie. Właściwie nikt na tę kandydaturę nie zareagował.

Ale akurat to było najmniejszym problemem. Kluczowa była bowiem decyzja Donalda Tuska. Gdyby PO zdecydowała się na wariant parlamentarny, Kaczyński przestałby być premierem, ale Tusk mógłby mu niechcący zafundować legendę, jaką wcześniej miał premier Olszewski. Na dodatek brałby sobie na plecy nadbagaż w postaci Leppera i Giertycha. Z jednej strony oznaczałoby to więc natychmiastowe pozbawienie Kaczyńskiego władzy. Z drugiej byłby to jednak swoisty przewrót pałacowy, całkowicie legalny, ale zupełnie niesatysfakcjonujący. PO

kontrolowałyby rząd, ale nie miałyby prawdziwego mandatu do rządzenia. W polityce jest tak, że działania nie są złe albo dobre same w sobie. Jeśli przynoszą dobre skutki, są dobre, jeśli złe, są złe albo fatalne. Gdyby PO przegrała w wyborach, Tuska uznano by za politycznego idiotę, który poniósł niepotrzebne ryzyko. Gdyby wygrał, uważano by go za geniusza i twardziela, który postanowił zagrać o całą pulę i ją zgarnął. W momencie takiej decyzji lider jest sam. Może się konsultować z każdym, rozmawiać ze wszystkimi. Ale na końcu decyzja i odpowiedzialność są tylko jego.

Z decyzją Tuska miałem zasadniczy problem. Andrzej Lepper i Roman Giertych przerażeni perspektywą nowych wyborów padli sobie w objęcia. Efekt - postanowili powołać nowe ugrupowanie: Liga i Samoobrona. Ugrupowanie jak ugrupowanie, ale ten skrót. A obaj z uśmiechem, wyraźnie zadowoleni, ten skrót podkreślali. W tym momencie uznałem, że ich porażka to dla mnie sprawa życiowej wagi. LiS w parlamencie oznaczałby permanentne skojarzenia. LiS przegrał głosowanie, LiS zgłosił propozycję. LiS się wygłupił. LiS przedstawił demagogiczną propozycję. Oczywiście teoretycznie można było sobie wyobrazić, że ten cały LiS robi coś sensownego. Z jakiegoś względu wydało mi się to jednak mało prawdopodobne. Na całe szczęście akurat ten LiS szybko zdechł.

W przedwyborczych sondażach wynik niezmiennie był remisowy. W sierpniu i wrześniu najważniejszym aktorem kampanii wyborczej wydawało się CBA, które najpierw odpaliło akcję „Prezentacja z Marriotta”, o tym, jak doszło do przecieku w sprawie planowanych działań w związku z aferą gruntową, a potem aferę z posłanką Sawicką. Ale te akcje sytuacji zasadniczo nie zmieniły. Z każdym mijającym dniem zdawało się,

że decydujący może być wynik starcia Jarosława Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem w przedwyborczej debacie. Choć długo wydawało się, że do niej nie dojdzie. Kaczyński z uporem powtarzał bowiem, że nie widzi powodu, by pojedynkować się z pomagierem Tuskiem, skoro może to zrobić z szefem Tuska – Kwaśniewskim. Ta formułka nie była nadmiernie wyrafinowana, ale nie była też pozbawiona sensu. Ostentacyjne lekceważenie Tuska mogło wzmacniać jego wizerunek polityka nie do końca dojrzałego. Co najważniejsze, Kaczyński uniknąłby ryzyka konfrontacji, a wiadomo, że w wadze ciężkiej możliwy jest każdy wynik. Jak mawiał nasz mistrz boksu Jerzy Kulej, nie ma bokserów nie do znokautowania, są tylko źle trafieni. A to, kto wygrywa i kto leci na deski, jest często kwestią chwilowej dyspozycji i przypadku.

12 lat wcześniej debata Kwaśniewski-Wałęsa zdecydowała o całej dekadzie w polskiej polityce. Czy tym razem miało być tak samo, czy też debata okaże się nieważnym epizodem? Naprawdę nie sposób było to odgadnąć, choć dziś wiadomo już, że w karierze dwóch najważniejszych polskich polityków początków XXI wieku i w historii ich partii ten pojedynek był kluczowy. A najbardziej – dla Donalda Tuska. W ciągu półtorej godziny nastąpiła bowiem jego transformacja. Tusk po debacie był już, z politycznego punktu widzenia, zupełnie innym Tuskiem niż przed debatą. Podobnie było z jego poczuciem własnej mocy i sprawczości.

Tuskowi przez całe lata dorabiano gębę, czemu on zbyt intensywnie nie przeciwdziałiał, a często w tym mimochodem pomagał. Latami kreowano wizerunek Tuska, który może jest i bystry, ale intelektualistą nie jest. Może i jest dość sprawnym politykiem, ale nie jest zawodnikiem wagi ciężkiej. Może i nieźle

radzi sobie w operacjach partyjnych, ale polityka państwowa jest mu obca. Poznałem go w roku 1991. Już wcześniej słyszałem o rzutkim i błyskotliwym liberale z Gdańska. Takie wrażenie zresztą sprawiał. Ale czy był to ktoś, kto mógłby rzucić wyzwanie Geremkowi, Millerowi, Kwaśniewskiemu i Kaczyńskiemu? Naprawdę wymagało to sporej wyobraźni. W 1993 roku Kongres Liberalno-Demokratyczny, podobnie jak Porozumienie Centrum Kaczyńskiego, wyleciał z gry i trudno było powiedzieć, czy kiedykolwiek do niej wróci. Tusk zniknął w Gdańsku i szybko o nim zapomniano. Potem, po wyborach w 1997 roku, pojawił się znowu w Warszawie, ale wylądował na stanowisku wicemarszałka Senatu. Trochę tak, jakby z czyścica trafić na emeryturę. Mniej więcej z tamtego czasu pochodzi jego wypowiedź, w której zaskakująco nonszalancko przyznał, że do absolutnej perfekcji opanował spoglądanie w sufit i nierobienie niczego.

Przełom w politycznym życiu Tuska nastąpił w grudniu 2000 i w styczniu 2001 roku, gdy powstała Platforma Obywatelska. Partię założono w Gdańsku, gdzie urodził się niejeden ważny dla Polski ruch. I na dzień dobry miała niezłe notowania. Nikt jednak nie wiedział, czy będzie to szalupa ratunkowa, czy wielka fregata. Nie było tego wiadomo nawet po wyborach. PO zdobyła w 2001 roku prawie 13 proc. głosów. Dość, żeby istnieć i stanowić słabą opozycję. Naprawdę trudno było wtedy przewidzieć, że SLD zdolny jest w kilka lat popełnić mniej więcej takie seppuku, jak wcześniej AWS.

W Platformie niby byli trzej tenorzy ze wsparciem Jana Rokity i sprawnego organizatora Pawła Piskorskiego, ale łatwo było dostrzec, że jej przyszłością nie będzie żaden triumwirat, lecz duet. Naprawdę rzadko zdarza się widzieć między politykami taką chemię jak między Donaldem Tuskiem i Grzegorzem Schetyną.

Sam przekonałem się o tym w miejscu dla obu znaczącym, dla mnie zresztą też. Na boisku. W 2002 roku, w czasie piłkarskich mistrzostw świata w Japonii i Korei, w Warszawie odbywał się sejmowy turniej piłkarski. Dołączyłem do wielopartyjnej drużyny polityków, która występowała obok drużyny sejmowych strażników, kierowców i jeszcze trzech innych. W jednym z meczów kilka minut przed końcem przegrywaliśmy 0:2. Donald Tusk grał w ataku, Grzegorz Schetyna - w pomocy, ja - na stoperze. Widząc wynik, uznałem, że nie ma już czego bronić, pobiegłem więc na drugą stronę boiska, żeby pomóc w ataku. - Stój, gdzie biegiesz? - krzyczał Schetyna, próbując mnie powstrzymać. - Do ataku, widzisz wynik? - odkrzyknąłem. - Ale bramki ma strzelać Donald - powiedział Schetyna. Zignorowałem go i pobiegłem do ataku. Bramki nie strzeliłem, podobnie jak Donald Tusk. Sytuacja była naprawdę komiczna, ale w sumie dobrze świadczyła o Schetyńcu. Uważał się za prawdziwy numer dwa i był w stu procentach, niejako bezwarunkowo, lojalny wobec lidera. Naprawdę zaskakujące było to, co w ich relacjach stało się kilka lat później.

Przed debatą Kaczyński-Tusk w obozie Platformy nastroje były raczej pesymistyczne. Kilka dni przed spotkałem się z jednym z jego współpracowników. - Jest słabo, Donald jest rozkojarzony i rozbity. Próbują go jakoś „składać”, ale nie wiadomo, co z tego będzie.

Zaraz po tym spotkaniu pojechałem na następne, w restauracji Blue Cactus, jakiś kilometr od kancelarii premiera. Gdzieś w połowie mojego obiadu do restauracji wszedł doradca Kaczyńskiego Michał Kamiński. Był w doskonałym humorze i specjalnie tego nie ukrywał. - Właśnie zrobiliśmy sobie

z Jarkiem przerwę w próbie przed debatą. Jest w fantastycznej formie. A mamy jeszcze w zanadrzu kilka takich strzałów, że Tusk się nie pozbiera.

Kamiński nie sprawiał wrażenia kogoś, kto gra, żeby informacje o dobrej dyspozycji Kaczyńskiego dotarły do rywala i go zdeprymowały. Wyglądał po prostu na trenera, który widzi, w jakiej formie jest jego zawodnik i nie ma najmniejszych wątpliwości - jego człowiek zdmuchnie oponenta. Demoralizacja w obozie PO i doskonałe humory w obozie Kaczyńskiego. Nastroje nie wygrywają debaty, ale tworzą klimat, w którym zwycięstwo jest bardziej prawdopodobne albo niemożliwe.

W dniu debaty usłyszałem w radiu, że Donald Tusk pojechał na Śląsk. Przypomniała mi się pierwsza telewizyjna debata w historii, Nixon kontra Kennedy. Wiceprezydent, kandydat republikanów, był zmęczony, bo zamiast wypocząć, bez przerwy prowadził kampanię. Żeby dojechać na Śląsk, spotkać się tam z ludźmi na wiecu, potem wrócić, zmienić koszulę i garnitur, a wreszcie pojechać do telewizyjnego studia, Tusk musiał wstać o jakiejś 5.00 rano. Czyli nie tylko, jak słyszałem, jest w słabej formie psychicznej, ale będzie zmęczony. Nawet jeśli ludzie tego nie zobaczą, to to poczują, sądziłem.

Przyznaję więc, że siadałem przed telewizorem w przekonaniu, że Tusk będzie musiał walczyć o zminimalizowanie strat. Porażka na punkty mogła być w trudnej sytuacji nawet niezłym wynikiem. Byle nie dać się znokautować. To, co zdarzyło się później, było czymś niezwykłym. To było najbardziej niewiarygodne 90 minut w polskiej polityce ostatnich prawie 30 lat. Po wstępnej wymianie ciosów w dystansie Kaczyński stracił koncept i przeszedł do defensywy, a Tusk zaczął atakować i nie odpuszczał. Spokojne, metodyczne serie ciosów. Już po kwadransie nie było

wszechmocnego Kaczyńskiego, silnego premiera, który zdecydowanie górował nad oponentem, ale starszy pan, który się kompletnie pogubił. Z drugiej strony nie było chłopca w krótkich spodenkach, jak przez lata mówiono o Tusku, ani nawet ambitnego challenger'a. Był bokser wagi ciężkiej, który wszedł na ring, by wygrać, i na oczach publiczności demolował rywala. To nie było zwycięstwo na punkty. To nie była wygrana, to był triumf. Gdy debata się skończyła, nie było wątpliwości, kto ją wygrał. Mina Kaczyńskiego mówiła wszystko. Myny jego sekundantów mówiły jeszcze więcej.

Po takiej debacie nie mogło być też wątpliwości co do wyniku wyborów. Tu naprawdę nie mogło się już nic zdarzyć. Choć zawsze lubię dmuchać na zimne, choć zawsze powtarzam, żeby nie zapeszać, że dopóki piłka w grze, tym razem nie miałem wątpliwości. Kaczyński musiał stracić władzę. Polska miała nowego lidera. Na ring wchodził pretendent, zszedł z niego jako mistrz. W polskiej polityce następowała wielka zmiana.

W moim, jak to się ślicznie mówi, życiu zawodowym, też teoretycznie miała przyjść nowa epoka, ale nie bardzo wiedziałem, kiedy się ona zacznie i jak będzie wyglądać. TVN dawała mi do zrozumienia, że jest zainteresowany tym, bym w stacji pracował, ale na razie rozmowy były średnio konkretne. A ja instynktownie czułem, że TVN będzie dla mnie opcją ostatnią. Skoro wyrzucono mnie ze stacji, gdy byłem, jak ja nie cierpię tego słowa, gwiazdą, nie mogłem wrócić jako petent. A przynajmniej nie powinienem. Powroty bywają dobre, ale rzadko wtedy, gdy wracając, ląduje się poniżej pułapu, na którym się było wcześniej. Nie wykluczałem, że TVN będzie opcją jedyną, więc nie grymasiłem. Po prostu uważałem, że tej możliwości

lepiej by było uniknąć. Akurat w tym samym czasie nadeszły pozytywne sygnały z TVP. Dyrektor Dwójki Wojciech Pawlak chciał, żebym miał w niej program, ale w TVP program publicystyczny to decyzja polityczna i wiadomo było, że ostateczną i tak podejmie prezes Andrzej Urbański, wcześniej szef kancelarii Lecha Kaczyńskiego, co oczywiście nie wykluczało tego, że decyzja zapadnie jeszcze wyżej.

Urbański był prezesem z nadania PiS, ale nie miał w sobie nic z politruka. Intelktualista, erudyta i gawędziarz. Do tego oczywiście polityk, nawet w fotelu prezesa TVP, bo prezes musi przynajmniej umieć być politykiem, chyba że jest tępym narzędziem, wtedy politykiem nawet być nie musi. Ewentualnie gdy jest naprawdę niezależny, o co, jak wiadomo, na Woronicza było raczej trudno. Rozmowy z Urbańskim poszły zaskakująco dobrze. Może dlatego, że na pierwszym spotkaniu chyba w ogóle nie rozmawialiśmy o telewizji czy o programie. Zeszło na dzieci, córki, żony i sprawy całkiem prywatne, tak że po kilku godzinach i kilku butelkach wina wiedzieliśmy o sobie naprawdę wiele i z całą pewnością się lubiliśmy. Reszta była stosunkowo prosta.

Urbański grał ze mną w otwarte karty. - Będiesz miał prawdziwą niezależność, nie będę ci się w nic wtrącał, program będzie miał promocję, trzeba będzie znaleźć pieniądze na jakieś ekstra przedsięwzięcia, to się znajdują. To jest moja strona umowy. - A moja? - Twoja wygląda tak: chcę mieć program publicystyczny, który ma zdecydowanie wyższą oglądalność niż wszystkie inne programy publicystyczne we wszystkich telewizjach. I chcę, żeby twój program w paśmie, w którym się będzie ukazywał, był programem numer 1, niezależnie od tego, czy w TVN o tej godzinie będzie show Majewskiego, czy cokolwiek innego. I niezależnie od tego, jaki film będzie

w ramach megahitu w Polsce - powiedział.

Uważałem, że *deal* był absolutnie fair. - Wiem, że póki będziesz w TVP, umowy dotrzymasz. A ja swojej też dotrzymam - odpowiedziałem. Cała reszta to były, może istotne, ale detale.

Po cóż właściwie byłem potrzebny Urbańskiemu? Przecież wiedział, że w PiS i jego okolicach będzie miał z tego powodu raczej kłopoty. Nie pytałem go, bo w sumie po co miałem sam siać jakieś ziarna wątpliwości. Podejrzywałem, że Andrzej nie chciałby być zależny wyłącznie od PiS i jest gotowy na jakieś otwarcie w stronę Platformy. Ta jednak, jak się potem okazało, zupełnie nie była tym zainteresowana. Donald Tusk, to było już u liberałów tradycją, telewizją za bardzo się nie interesował i bardziej niż nadzieję widział w niej potencjalny problem. Wolał więc jej nie tykać, podobnie jak nie chciał tykać służb czy zbliżyć się z nadto do ludzi biznesu. Wszystkie te kontakty mogły rodzić problemy, a Tusk wiedział, że problemów i tak mu nie zabraknie.

Powściągliwość w używaniu telewizji jako politycznego narzędzia wpływu była godna uznania, ale wagi, którą mogła mieć TVP, premier Tusk niesłusznie nie doceniał. Z jakichś względów praktycznie każdy duży kraj europejski ma potężną telewizję publiczną. Nie musi być ona używana do propagandy. Ale do edukacji, promocji pewnej estetyki, pewnego modelu relacji społecznych jest niezbędna. Szczególnie w kraju, który - tak jak Polska - przechodził przez turbulencje ustrojowych zmian. Tusk w sprawie TVP wielokrotnie spotykał się z twórcami i przedstawicielami ich organizacji, padały jakieś obietnice, deklaracje i zapewnienia, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Premier nie miał do tego ani głowy, ani serca.

Andrzej Urbański wiedział, że informację o moim pojawieniu się w TVP musi opakować tak, by była w miarę choćby zjadliwa

dla jego politycznych patronów. I zrobił to naprawdę sprawnie. W styczniu 2008 roku „Wiadomości” poinformowały o pojawieniu się na antenie TVP dwóch nowych programów – Bronisława Wildsteina i mojego. Program Wildsteina absolutnie słusznie wymieniono na pierwszym miejscu. Czułem, że z prawej strony będą do mnie strzelać, ale nie miałem wątpliwości, że o wiele silniejszy będzie przez jakiś czas *friendly fire* mediów liberalnych. Miesiąc wcześniej dostałem tytuł Dziennikarza Roku, ale rozumiałem, że dostałem ją jako ktoś, kto był wierny zasadom i właśnie ze względu na nie odszedł z Polsatu. Jakby zawierano ze mną umowę. Będziemy wobec ciebie w porządku, ale najlepiej, gdybyś był bez pracy. Tymczasem ja chciałem pracować, w dodatku w swoim zawodzie. A tu traktowano mnie, jakbym sprzedał się PiS, choć przecież na antenie nie było jeszcze żadnego programu. Rozumiałem, że nie wszystkim po stronie, powiedzmy, liberalnej, ten transfer musiał się podobać, ale uważałem, że robię dobrze. Wiedziałem, że Urbański wywiąże się z danych mi gwarancji (poza wszystkim były one zapisane w umowie, czego zażądałem), a gdyby przez przypadek się nie wywiązał albo gdyby na jego miejsce przyszedł ktoś, kto wyrzuciłby je do śmietnika, zawsze mógłbym odejść i gdyby była potrzeba, po prostu bym odszedł. – Poczekajcie na pierwszy, drugi i dziesiąty program, jeśli uznacie, że jest powód, by mnie atakować, strzelajcie, ale na chwilę się wstrzymajcie, OK? – Tak tłumaczyłem tym, którzy chcieli słuchać.

Wbrew wielu, którzy uważają, że najważniejszy jest pierwszy program, że od niego zależy wszystko i w związku z tym musi to być jakiś wystrzał z grubej rury, byłem zdania, że program musi być po prostu solidny, tak by widzowie chcieli mi dać jeszcze przynajmniej kilka szans. Czy i jak je wykorzystam, będzie

zależało ode mnie. Hit? W pierwszym programie w Polsacie miałem wywiad z księdzem Henrykiem Jankowskim, który w kategorii hit się mieścił. Ksiądz kanonik z rozbijającą szczerością tłumaczył, czym według niego jest luksus, i przekonywał, że mercedes to może i dobry samochód, ale dla sekretarki. W pierwszym programie w TVP hitu właściwie nie miałem. Rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim, Kazimierzem Marcinkiewiczem i Bronisławem Komorowskim, a na dzień dobry rozmowa z Andrzejem Wajdą. *Katyń* Wajdy był nominowany do Oscara. Gdy zamawialiśmy łącza, oczywiście nie wiedzieliśmy, kto dostanie nagrodę. Ale warto było zaryzykować. W końcu nominacja do Oscara dla Polaka też nie zdarza się codziennie, a nawet co roku.

Oglądalnością pierwszego programu specjalnie się nie przejmowałem. Za dużo było hałasu wokół mojego odejścia z Polsatu i wokół pojawienia się w TVP, by była zła (ten pierwszy program obejrzało około 4 milionów widzów). Co innego recenzje. Te były oczywiście niewiadomą. Najbardziej zaintrygowała mnie jedna, w „Gazecie Wyborczej”. Pamiętam jak dziś, recenzentka gazety zjechała mnie z góry na dół. Program, ogłosiła, był po prostu słaby. Cóż, zdarza się. Najbardziej zainteresował mnie początek tej recenzji. Autorka dowodziła, że moim pierwszym błędem było zaczęcie programu od rozmowy z Andrzejem Wajdą, który mógł zostać bohaterem dnia, ale nie został. Coś mi tu nie grało. Wróciłem więc do pierwszej strony „Wyborczej”. Jakies 60 proc. jej powierzchni zajmował wywiad z Andrzejem Wajdą.

Niewiele brakowało, a kilka miesięcy wcześniej zostałbym naczelnym albo wydawcą „Dziennika” wydawanego przez Axel Springer. „Dziennik”, który wystartował w 2006 roku, od razu

pożeglował w stronę PiS. To, że rywalizował z „Wyborczą”, było naturalne, obsesja jego autorów na punkcie „Wyborczej” była mniej zrozumiała, a dobrowolne zaprzęgnięcie się do rydwanu Jarosława Kaczyńskiego wydawało się samobójcze. W sumie dziwiłem się, że wydawca na to pozwalał. Niemiecki (a potem niemiecko-szwajcarski) wydawca, wbrew temu, co sugerują PiS-owscy propagandyści, którzy u tego wydawcy pracowali, w pracę dziennikarzy nie ingeruje, o czym zresztą oskarżyciele doskonale wiedzą. Brak ingerencji jest na pewno cnotą, ale już zgoda na to, by uczyniono z gazety niemal organ władzy, wydawała mi się dziwna. Najwyraźniej miałem pomóc w tym, żeby odzyskała ona równowagę. Rozmowy, które toczyły się w Warszawie, a potem w Berlinie, poszły bardzo dobrze, ale załoga „Dziennika” się o nich dowiedziała i zagroziła wydawcy protestem. Wydawca się ugiął. Miałem, prawdę mówiąc, wrażenie, że stracił być może ostatnią okazję, by ocalić tytuł. Ja specjalnie się tym nie przejąłem. Nie miałem jakoś wtedy apetytu na totalną rewolucję w „Dzienniku”, a uważałem, że tylko ona mogłaby dać szansę na przetrwanie. Cóż, skoro tak wyszło, to widocznie tak miało być.

Ten epizod najwyraźniej jednak bardzo rozsierdził członków redakcji, bo przez następnych kilka lat „Dziennik” polował na mnie nieustannie, jakby według jakiegoś grafiku. Trzy lata później dziennik padł. A w roku 2007 oczywiście nie miałem pojęcia, że pięć lat później zasiądę w gabinecie, który wcześniej zajmował naczelny „Dziennika”.

Ci, którzy lubią w życiu porządek i harmonię, w historii i w polityce starają się dostrzec jakieś cykle. I z łatwością je dostrzegają. Na przykład w Ameryce. Po przełomowych i „konfrontacyjnych” latach Reagana i Busha – zadowolone

z siebie czasy Clintona i wchodzącego wtedy w najlepszy wiek pokolenia wyżu demograficznego. Po Clintonowskiej sielance – dwie wysokooktanowe kadencje Busha. Po nim bardziej harmonijna era Obamy. W Polsce po turbulencjach pierwszego PiS – „czas miłości” Tuska. Często ten niby uporządkowany rytm jest jednak tylko niezręczną próbą znalezienia porządku w czymś, co niekoniecznie jest logiczne i linearne. Historia, jak symfonia, ma swoje kadencje, ale niekoniecznie te wyborcze. Choć w roku 2008 można było odnieść wrażenie, że najoczywistszym porządkiem jest właśnie naprzemiennosc epok i zdarzeń w ujęciu rejestrowanym przez każdego wyborcę, tego niezwykle wyrafinowanego i tego najzwyklejszego. Bush to wojny, a Obama to spokój i harmonia. Kaczyński to nieustanny konflikt, Tusk to spokój i epoka grillowania. I tylko trudno powiedzieć, czy epoka grilla to rekompensata za wcześniejsze stesy, czy też czasy burzy i naporu to cena za gnuśne grillowanie.

Tuż po swym wyborczym zwycięstwie Donald Tusk ogłosił epokę miłości. W wywiadzie dla „Polityki” użył sformułowania, które momentalnie utkwiło mi w głowie – „ścibolenie”. Zamiast wielkich wizji – racjonalne projekty, zamiast wielkich marzeń – codzienne spełnienia. Zamiast myśli o tym, gdzie jest i powinien być horyzont, pomysł na jutro i pojutrze. Tak, po erze „gwoździ do trumny” koalicjantów Kaczyńskiego, czyli wykańczania politycznych partnerów; po ministrach zakładających togi sędziów i mówiących, że nikt przez tego pana zabity nie będzie; po czasie spekulacji kogo zamkną jutro, a kogo pojutrze pokażą w telewizji w kajdankach – ludzie potrzebowali oddechu i spokoju. Ile można żyć ze świadomością, że gdy tylko włączy się telewizor, na paskach zawsze będzie coś pilnego, bo nie ma takiej godziny, w której mistrzowie destrukcji, rozwałki i chaosu czegoś by nie

zmajstrowali. Stąd być może apel Donalda Tuska, który w 2008 roku, w przeddzień majówki, życzył ludziom udanego grilla.

Tak, Polacy potrzebowali oddechu i warto im było pozwolić odetchnąć. Zastanawiałem się jednak, czy nowy premier, tak formatując swoje rządy, nie popełnia wielkiego błędu. Jakby z góry mówił - tu jest sufit, powyżej tego pułapu nie przeskoczmy. Dlaczego tak robił? Czy uważał, że zbyt ambitna polityka musi się źle skończyć, czy sądził, że ludzie często deklarują wolę zmian, ale ich realny apetyt na zmiany zawsze jest mniejszy niż ten deklarowany? A może był to z jego strony konformizm. Na wodach przybrzeżnych trudno o dotarcie do nowych horyzontów, ale też łatwiej jest unikać sztormu.

Z drugiej strony, jakiego sztormu? Wiosna 2008 roku była spokojna. Gdy nadeszło lato, wszyscy w Polsce skupiali się głównie na piłkarskich mistrzostwach Europy, w których graliśmy po raz pierwszy. Długo na tym Euro w Austrii i Szwajcarii nie graliśmy, ale nikt się tym nadmiernie nie przejmował, bo występ na następnym turnieju za cztery lata mieliśmy już zagwarantowany. Mistrzostwa miały się przecież odbyć na Ukrainie i w Polsce. Euro 2012 było projektem idealnie pasującym do ery Donalda Tuska, tak jak on sam ją opisywał. Budujemy stadiony, lotniska i autostrady, żeby dobrze zorganizować mistrzostwa i pokazać się światu.

Skala projektu i wyzwania rzeczywiście były ambitne, choć pojawiało się pytanie, czy wymogiem czasu nie jest jednak postawienie sobie bardziej ambitnego narodowego celu, czegoś monumentalnego na skalę celów poprzednich - stworzenia fundamentów demokracji, wejścia do NATO i Unii Europejskiej. W będącej hymnem mojej szkoły podstawowej *Pieśni filaretów* padają słowa: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił”.

Donald Tusk najwyraźniej siły szacował ostrożnie, a zamiar mierzył według sił. Z siłami trzeba się liczyć, nie można ich przeszacować, bo kończy się to źle, tak w polityce, jak w biegu maratońskim. Ale niedoszacowanie własnych sił też bywa błędem.

Inna sprawa, że Tusk, zresztą całkiem niespodziewanie, 10 września 2008 roku ogłosił w Krynicy, że jego rząd zrobi wszystko, by za trzy lata, w roku 2011, Polska weszła do strefy euro. Moment wybrał wybitnie pechowo. Trzy dni wcześniej wskutek kryzysu kredytów hipotecznych udzielające ich wielkie firmy Fannie Mae i Freddie Mac zostały przejęte przez amerykański rząd wraz z gigantycznymi długami. Tydzień później, cztery dni po wystąpieniu Tuska, upadł amerykański bank Lehman Brothers, oferujący głównie usługi finansowe dla firm. Było w nim manko na ponad 100 miliardów dolarów. Tego dnia zaczął się światowy kryzys. Nagle nikt już nie miał głowy do euro. Lekko anachroniczny system finansowy w Polsce paradoksalnie pomógł nam przejść przez ten okres w miarę suchą stopą. Ale o żadnym euro przez następne lata nikt już poważnie nie mówił.

Miesiąc wcześniej, w nocy z 7 na 8 sierpnia, zaczęła się wojna w Gruzji. Akurat byłem w Ameryce, gdzie jej echa docierały z problemami. Prawdę mówiąc, trudno byłoby powiedzieć, że nikogo ona nie obchodziła. Nikt o niej nie wiedział. *War in Georgia?* Amerykanie odpowiedzieliby pewnie na to, że w stanie Georgia żadnej wojny nie ma. Zresztą kto się przejmuje wojną, gdy trwają igrzyska. W Ameryce nikt nie zajmował się żadną wojną, bo akurat wszyscy zastanawiali się, czy amerykański pływak Michael Phelps pobije rekord innego amerykańskiego pływaka Marca Spitzza i zdobędzie osiem złotych medali. Pobił, wywołując rzeczywiście niezwykłą euforię.

Oglądanie igrzysk nastrajało do ruszenia czterech liter. Upał na Florydzie, szczególnie w części nad Zatoką Meksykańską, był straszny, ale spokojnie, przecież wiadomo, „damy radę”. Zacząłem biegać wyłącznie z jednego powodu – chciałem zrzucić nadkilogramy. Plany biegowe miałem jednak niezbyt ambitne. Podejrzywałem, że gdy tylko wrócę do Polski, wieczory będą chłodniejsze, pracy będzie więcej, z biegania nic nie zostanie. A kilogramy wrócą w tempie większym niż to, w którym biegałem. Mogłem się zresztą do tego zniechęcić całkiem szybko, bo na Florydzie któreś nocy, po kolejnym biegu w strasznym upale, dopadł mnie nieprawdopodobny ból nerek. Tak witałem się z kamieniami w nerkach, które wiele razy rodziłem w różnych szpitalach, zanim okazało się, że sam już ich nie urodzę i potrzebna jest narkoza.

W Polsce pod koniec sierpnia biegało się wieczorami o niebo lepiej niż na Florydzie, ale właśnie gdy myślałem, że to końcówka mojego biegania, przeczytałem w „Wyborczej” o grupie dziennikarek i dziennikarzy, którzy przygotowują się do maratonu, choć biegają dopiero od pół roku. Coś mi zaświeciło w głowie. Jeśli amatorzy, ludzie tacy jak ja, rzeczywiście dadzą radę przebiec maraton, to dlaczego sam nie miałbym spróbować?

W ogólniaku nie przez przypadek biegałem na 200 i 400 metrów. Konstrukcji maratończyka z Etiopii czy z Kenii raczej nie mam, ale przecież nikt mi nie każe biegać maratonu w dwie godziny z małym okładem. Złamanie bariery czterech godzin całkowicie by mi wystarczyły. Na początku października okazało się, że cała ekipa „Wyborczej” przebiegła maraton w Poznaniu. Nie było odwrotu. Pod koniec września 2009 roku chciałem pobiec w Maratonie Warszawskim. Miałem do tego zresztą dodatkową motywację. Choć w tamtym czasie zbyt wiele nie

biegałem, góra 50 kilometrów tygodniowo, szybko zrzuciłem 15 kilogramów. Myśl o powrocie do wariantu „beczkowóz” naprawdę mi się nie uśmiechała.

Sport nie był dla mnie niczym nowym, w naszej rodzinie był czymś zupełnie naturalnym. Mój dziadek zakładał w Wielkopolsce Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Babcia startowała w zawodach z wybitną sprinterką Stanisławą Walasiewiczówną, a ojciec świetnie biegał na średnich dystansach i tak samo dobrze pływał. Gdy w podstawówce uprawiałem przez kilka lat pływanie, na krótkich dystansach z łatwością wygrywałem z moimi trenerami. A w okolicach sześćdziesiątki potrafiłem, trzymając krzesło rękami, wykonać tak zwaną stójkę, czyli unieść nogi pionowo w górę. Gdybym ja zrobił coś takiego, problemem byłoby tylko to, czy szybciej złamię krzesło, czy kręgosłup. Sport był więc dla mnie oczywistością, pasją. Teraz po prostu do niego wracałem.

Choć ponad 10 lat po tym, gdy zacząłem biegać, bez bicia przyznam się do jednego. Nie przepadam za długimi dystansami. Czyli masochizm? Nie. Nie lubię biegać, ale lubię dobiegać. Bieganie stało się dla mnie jak mycie zębów. Swoje trzeba przebiec, czy jest upał, czy mróz. Potrzebuje tego organizm. Gadają różni ludzie o jakichś endorfinach, hormonach szczęścia, które uwalniają się w organizmie w czasie biegania. Nigdy nie miałem specjalnego poczucia, że w czasie biegania wydziela mi się jakieś szczęście. Absolutne szczęście ogarniało mnie, gdy dobiegałem do mety albo w czasie treningów – do domu. Nie czułem hormonu szczęścia, ale czułem działanie „hormonów obowiązku”. Jeśli nie pobiegnę, nie pokonam lenistwa, ulegnę mrozowi czy upałowi, to dam ciała. A tak nie można. Samodyscyplina może być kwestią natury, o to trudno, ale łatwiej o samodyscyplinę, gdy ma się konkretny cel. Mam cel, muszę

przebiec maraton. Więc trenuję po prostu ze strachu. Dokładnie. Tyle słyszałem i przeczytałem opowieści o tym, co się z człowiekiem dzieje na 33., 37., 40. i 42. kilometrze, że po prostu się bałem – bólu, wyczerpania, diabli wiedzą czego jeszcze. We wrześniu 2009 roku miałem się przekonać, czego się bałem, a kilka lat później, czego bać się może powinienem, ale bać się nie mogłem, bo nie mogłem sobie tego wyobrazić.

Strach przed pierwszym maratonem. Miałem chyba jakieś reakcje psychosomatyczne, bo kilka kolejnych nocy przed biegiem pociełem się jak mysz. Zero gorączki, a w czasie snu wylewałem z siebie takie poty, jak w trakcie biegu. Szkoda tylko, że nie bałem się aż tak, by rzucić palenie. Podejść było wiele. 18 maratonów przebiegłem więc, będąc palaczem, czasem ostatniego papierosa zapalałem kilka minut przed startem. Głupota? Absolutna. Do dziś nie rozumiem, dlaczego biegając, nie byłem w stanie rzucić palenia, a rzuciłem, gdy wprawdzie dalej trenowałem, ale w zasadzie przestałem brać udział w maratonach. Po prostu nie wiem.

Pierwszy maraton. 3 godziny 53 minuty 47 sekund. Ostatnie kilometry były naprawdę straszne. Podbieg w stronę stadionu Polonii, kilkaset metrów Bonifraterską, skręt w stronę kościoła Świętego Jacka na Nowym Mieście, potem w prawo, w kierunku Starego Miasta, znowu w prawo, podbieg na Podwale, jeszcze raz w prawo do placu Teatralnego, kilkaset metrów ulicą Moliera, w lewo do Krakowskiego Przedmieścia i znowu w lewo, do mety. Z daleka widziałem tablicę świetlną. Tylko ktoś, kto ukończył maraton, zna tę kombinację euforii, wzruszenia, ulgi. I łez szczęścia. A więc dałem radę.

Drugi maraton miałem pobiec na wiosnę w Paryżu. Ze startem na Champs-Élysées i metą na Avenue Foch. Był leniwy sobotni poranek, dzień przed startem, gdy zadzwoniła moja starsza córka. - Była katastrofa prezydenckiego samolotu w Rosji - powiedziała. To wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. No dobrze, sam leciałem kilka razy tupolewem, to raczej rzęchy, mogła być awaria, przymusowe lądowanie, ktoś może być ranny. Zaraz potem następny telefon od Poli: - Wszyscy nie żyją.

Później telefonów i SMS-ów było coraz więcej. Kolejne nazwiska ofiar. Kolejne szczegóły katastrofy. - Może nadejdzie jakieś zjednoczenie ludzi - powiedział mi przez telefon mój bliski kolega. Nie miałem żadnych złudzeń. - Zjednoczenie potrwa kilka chwil. Jarosław Kaczyński będzie kandydatem PiS na prezydenta. A już niedługo Smoleńsk podzieli Polskę. Będzie takie piekło, jakiego u nas jeszcze nie było. - Tak mu wtedy powiedziałem.

Nie, piekło nie robi się samo z siebie. Nie miałem jednak żadnych wątpliwości, że tym razem jest człowiek, który będzie do piekielnego pieca dorzucał latami. I że zemsta, za wszystko, za cokolwiek, stanie się sensem jego życia, co będzie przekleństwem dla Polski.

Piękny sobotni poranek w Paryżu. W Smoleńsku katastrofa. W Polsce żałoba. Co robić? Pomyślałem, że trzeba być jakoś bliżej Polski. W Paryżu to znaczyło pójść do ambasady RP we Francji. Ambasadora Tomasza Orłowskiego poznałem dwa lata wcześniej. Traf chciał, że przed objęciem funkcji przez kilka lat pracował jako minister w Pałacu Prezydenckim, najpierw za Aleksandra Kwaśniewskiego, potem za Lecha Kaczyńskiego. Może wie coś więcej, zastanawiałem się. Ambasador wiele więcej nie wiedział. Wielu rzeczy się jednak domyślał. Maraton przebiegłem. Tyle.

Nie pamiętam dokładnie, kto występował w moim poniedziałkowym programie następnego dnia. Byli na pewno w jednej części Aleksander Kwaśniewski i Tadeusz Mazowiecki, w drugiej między innymi Adam Bielan, Joanna Kluzik-Rostkowska i Małgorzata Kidawa-Błońska. Nie pamiętam też, kto i co dokładnie mówił. Pamiętam atmosferę, nastrój, ton. Ktoś powiedział, że w trudnych chwilach powinniśmy być najlepszą wersją siebie. Nie miałem złudzeń, że to, co dobre, wyparuje błyskawicznie, ale w tamtych dniach, przez kilka chwil, taką najlepszą wersją siebie byliśmy. Było poczucie wspólnoty, zjednoczenia, skupienia, zadumy, współczucia, refleksji. Kilka osób powtórzyło w programie niemal tę samą myśl: Dlaczego trzeba wielkiej tragedii, byśmy zobaczyli, jak wiele nas łączy?

Ale był już w tamtych dniach podskórny, choć łatwo wyczuwalny, inny nurt. Tragedia miała być nowym aktem założycielskim Ruchu Niechęci do III RP. Miała ułatwić dzielenie i kwalifikowanie ludzi do grupy lepszej i gorszej, patriotów i niepatriotów. Ci, którzy w następnych latach rozpętali w Polsce wielką kampanię nienawiści wobec najważniejszych osób w państwie, twierdzili, że ofiarą wielkiej nagonki padł sam Lech Kaczyński. Czy mieli rację?

Po latach wracam do tekstu profesora Zdzisława Krasnodębskiego pod niemal wszystko mówiącym tytułem „Już nie przeszkadza”. Krasnodębski skonstruował, trzeba to przyznać, mocną i wielce sugestywną mowę oskarżycielską przeciw oponentom czy – jak sam uważał – wrogom Lecha Kaczyńskiego. Pisał skalpelem, bez litości: „Najbardziej dotkliwe obelgi, drwiny, poniżające wyzwiska spadły na Niego od razu po Jego wyborze. Nie oszczędzono także początkowo Jego Małżonki, zanim postępowe panie ją polubiły. Pomiatano prezydentem w sposób

bezprzykładny, nęcano go bezustannie. Nie dbano o godność najwyższego przedstawiciela Rzeczypospolitej. Pamiętamy zabierany samolot. (...) Pamiętamy wszystkie te haniebne: »nie potrzebuję tu pana prezydenta«, »jaki prezydent, taki zamach« i »durnia mamy za prezydenta«. (...) Ekscytowano się małpkami wytykanymi mu przez zapraszanego dzień w dzień przedstawiciela polskiego motłochu. (...) Czołowi politycy przekraczali granice wstydu, popisując się piskliwymi tyradami o dyplomatołkach i małpce Fiki Miki. Bo ani studia na najlepszej uczelni, ani dobra przeszłość, choćby opowiedziana tysiąc razy, nie ochronią przed obsunięciem się do poziomu motłochu”. Gdyby tego było mało, autor serwował z rozmachem deser: „Grubej kreski tym razem nie będzie. I wy miejcie odwagę, pozostańcie sobą. Już zaczęliście dzielić łupy i dobierać się do szaf. Zróbcie kolejne »Szkło kontaktowe«, wyśmiejcie tę śmierć, wypijcie małpki. Zaproście Palikota i Niesiołowskiego. Krzyczcie »cham, dureń« i »były prezydent Lech Kaczyński«. Wyśmiewajcie i drwijcie. Bądźcie sobą. Gardzę wami. Jestem dumny, że Go znałem”.

Tyle żalu, złości, niechęci, zółci w żadnym chyba tekście wcześniej nie widziałem. Czy oskarżenia były sprawiedliwe? Lech Kaczyński, jego brat i ich akolici jako ofiary nagonki? Brutalnej krytyki pewnie często tak, ale prawdziwą wiedzę o nagonkach mieliśmy w Polsce zdobyć dopiero w następnych latach, gdy sprawy wzięli w swoje ręce koleżanki i koledzy Krasnodębskiego. Gdy pogarda stała się codziennością, nienawiść – normą, lincz – ulubioną zabawą.

Tekst Zdzisława Krasnodębskiego warto było jednak uważnie przeczytać. Mówił bowiem wszystko o odczuciach drugiej strony. Prawdziwych odczuciach. Mógł być skwitowany jakimś

sztyderycznym „pojękiwania frustrata” albo „filipika nienawistnika”, ale zasługiwał na więcej. Pokazywał bowiem, jak niewielka była jednak w tamtym czasie przestrzeń emocjonalnego porozumienia. Jak głębokie były rany po obu stronach. Jak silne były urazy, skoro wychodzą na powierzchnię już w pierwszych dniach żałoby. I co się może stać, gdy żałoba się skończy. Prosił się też o jakiś prywatny bilans. I sam go na własny rachunek próbowałem zrobić, nawet jeśli Krasnodębski, tak złorzeczący na złe języki i jad oponentów prezydenta, oblewał nim tych, których sam nie lubił. W artykule przytaczał bowiem i fragment mojego tekstu, opatrzony nie zanadto życzliwym komentarzem. Pisał Krasnodębski: „Niedawno u czołowego dziennikarza, przedstawiciela ulizanego i zarazem agresywnego konformizmu, dominującego w polskich mediach elektronicznych, wyczytałem znamiennej opinii: A to obrażał się na profesora Brzezińskiego, a to nie zaprosił Adama Michnika na uroczystości z okazji Marca '68, a to pomstował (inna sprawa, że czasem słusznie) na media. To sprawiło, że większość Polaków widzi w Nim raczej prezydenta jednopartyjnego, ideologicznego i uosabiającego małość wielu ludzi z jego zaplecza niż wielkość Rzeczypospolitej”. I cóż ja poradzę, że tak jak uważałem wtedy, tak uważam dziś. I pod każdym napisanym przez siebie wówczas zdaniem mógłbym się dziś podpisać, nawet jeśli czyniłoby mnie to przedstawicielem ulizanego i agresywnego konformizmu.

Nawiasem mówiąc, dziś, niemal dekadę później, widzimy w pełnej krasie, do czego są zdolni sojusznicy Lecha Kaczyńskiego, jaki to nonkonformizm prezentują jego medialni zwolennicy, jak wygląda ta polityka szacunku, będąca – jak rozumiem – antytezą tamtej polityki pogardy. Czy nie jest ona przypadkiem polityki pogardy i samej pogardy apoteozą

absolutną i ostateczną?

Uważałem Lecha Kaczyńskiego za słabego prezydenta. Sądziłem jednak, że w przeciwieństwie do brata rozumiał wagę prawa, praworządności i instytucji. Poza tym pielęgnował jak najlepsze relacje z Ukrainą, Izraelem i Żydami. Uważałem, że rozumiał polską rację stanu i że tak jak starał się o jak najlepsze stosunki z sąsiadami, tak Rosji po prostu nie lubił, ale potrafił czasem przekroczyć linię podziałów i urazów, co udowodnił, zapraszając Wojciecha Jaruzelskiego na pokład prezydenckiego samolotu przed uroczystościami z okazji 65. rocznicy zakończenia wojny, na które już nie pojechał. Tak, śmiałem się z „Borubara” i „Irsiada”. I co z tego? Ciekawe, czy wieloletnie demolowanie „obciachowego Komorowskiego”, „ryżego psa Merkel” też budziło i budzi u Krasnodębskiego i takich jak on takie samo poczucie absmaku. Nie podobały mi się happeningi z małpkami i sam w swoim programie krytykowałem za nie Janusza Palikota. Nie podobały mi się awantury o samolot, choć to nie premier wpychał się na unijne szczyty. Ale i nie podobało mi się też odwoływanie szczytów Trójkąta Weimarskiego z powodu „dyspepsji”, wywołanej szyderczym tekstem w jakiejś marginalnej niemieckiej gazetce. Nie podobało mi się „panie prezesie, melduję wykonanie zadania”, bo określało realną hierarchię w państwie, sprzeczną z hierarchią konstytucyjną.

Gdy uważałem to za uzasadnione, prezydenta krytykowałem, choć niezmiennie go szanowałem. I po ludzku byłem wdzięczny, gdy przed 11 listopada 2009 roku dostałem z Pałacu Prezydenckiego zaproszenie na przyjęcie z okazji Święta Niepodległości. Wiedziałem, że nie spotkam tam wielu znajomych, a nawet wręcz przeciwnie. Ale zapraszał prezydent

RP, który nigdy nie złamał prawa. I zapraszał kogoś, kogo słusznie nie uważał zapewne za jednego ze swych zwolenników. To był dla mnie zaszczyt. Nie podobał mi się potem pomysł z pochówkiem na Wawelu, miałem wrażenie, że była w tym jakaś uzurpacja, ale czułbym, że robię coś niestosownego, przeciw takiemu pochówkowi protestując.

O ile tekst Zdzisława Krasnodębskiego można było teoretycznie tłumaczyć emocjami tuż po śmierci prezydenta, którego on podziwiał i lubił, o tyle chwilę potem widzieliśmy już nie przejawy publicystycznej pasji, ale narodziny smoleńskiego mitu, który miał na całe lata formatować polski spór, nadając mu cechy sporu egzystencjalnego. Bo nie był to już – według wielu wybitnych postaci obozu PiS-owskiego – spór o to, jak ma wyglądać Polska, ale o to, czy ma istnieć. Nie był to spór między Polakami mającymi różne poglądy, ale między Polakami a „ludnością polskojęzyczną”, między patriotami i „zdrajcami”. Jedni nadawali temu formę publicystyczną, inni – co potencjalnie niosło bardziej dalekosiężne skutki – poetycką. Poetyckie exposé tej Polski, tego myślenia, wyszło spod pióra Jarosława Marka Rymkiewicza niewiele ponad tydzień po katastrofie.

*Ojczyzna jest w potrzebie – to znaczy: łajdacy
Znów wzięli się do swojej odwiecznej tu pracy*

To była salwa artyleryjska na otwarcie. Potem następowało poetyckie ujęcie walki z „pedagogiką wstydu”:

*Polska – mówią – i owszem, to nawet rzecz miła
Ale wprzód niech przeprosi tych, których skrzywdziła*

Była też polemika z tymi, którzy Polski w jej obecnym kształcie rzekomo się wstydzą, co w późniejszych latach było wmawianą przeciwnikom PiS pogardą dla januszów i grażyn.

*Polska - mówią - wspaniale, lecz trzeba po trochu
Ją ucywilizować - niech klęczy na grochu
Niech zmańdrzeje, niech zmieni swoje obyczaje
Bo z tymi moherami to się żyć nie daje [...]*

Polska pogardy dla Polaków i dumna Polska, na którą nastaje współczesny car, romantyczny mit ożywał w poezji publicystycznej:

*Dwie Polski - jedna chce się podobać w świecie
I ta druga - ta, którą wiozą na lawecie [...]*

Pointa wiersza prawicowego poety była złowieszcza:

*To co nas podzieliło - to się już nie sklei
Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei,
Którzy chcą ją nam ukraść i odsprzedać światu
Jarosławie! Pan jeszcze coś jest winien bratu! [...]*

Katastrofa szybko przestała być rezultatem skrajnie nieodpowiedzialnych błędów. Wybrzmiewała już poczwórnym bum bum bum bum, jak motyw losu w V symfonii Beethovena. Nie była ekscesem, była przeznaczeniem. Nie była koszmarem konsekwencją złamania procedur - była znakiem niebios. Smoleńsk miał być echem Katynia, a gdy już zamienił się w Katyń bis, musieli też znaleźć się Stalin bis i jego pomagierzy. To, co

niewyjaśnialne, to, co odrażające w swym banale, nagle dawało się ogarnąć. Temu, co nie miało żadnego logicznego sensu, nagle nadawano sens najgłębszy. Jak zwykle, gdy nie można objąć czegoś rozumem, z pomocą przychodził romantyzm. Taki balkonik dla utykających w marszu pokoleń. Taka ściągą pozwalająca okiełznać tajemnicę i materac, na który mogła spaść zraniona dusza. Spór przenosił się w rewiry, w których musiał na zawsze pozostać nierozstrzygalny.

17 kwietnia szedłem z córką Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem w stronę placu Piłsudskiego, na którym miała się odbyć msza za ofiary katastrofy. Nie był to miły spacer. „Co tu robisz, gdzie idziesz”, jak zawsze wcześniej i potem, specjaliści od ulicznych i internetowych zaczepek uwielbiali przechodzić na „ty”, jakby samo to uznawali za fundowany nielubianej osobie despekt. „Co tu robisz, odgryź sobie język”. To ostatnie też miałem potem latami czytać w internecie, co pokazywało skalę całkowicie irracjonalnych emocji.

W połowie marca 2010 roku Jacek Żakowski, prowadząc poranek w radiu Tok FM, powiedział, że jego zdaniem Lech Kaczyński doskonale wie, że nie ma najmniejszych szans na reelekcję i zrezygnuje z kandydowania. Odpowiedziałem na to, odwołując się do tego, co wiedziałem, że jest dokładnie odwrotnie - Lech Kaczyński uważa, że ma szansę na wygraną, jest bezdyskusyjnym kandydatem swojego obozu i oczywiście będzie kandydował. Wiedziałem to na sto procent, powiedziałbym - niemal z pierwszej ręki, więc dla zabawy poprosiłem Jacka o kartkę papieru i jeszcze w czasie audycji napisałem na niej, że „jeśli Lech Kaczyński nie będzie kandydował, odgryzę sobie język”. Czasem w humorystycznych okolicznościach życie nadaje składanym

deklaracjom nieoczekiwany kontekst, ale w sumie było, jak przewidywałem - Lech Kaczyński miał kandydować i leciał do Katynia właśnie po to, by swoją kampanię rozpocząć. Z jakichś względów docenienie pozycji prezydenta i jego atutów w wyścigu część jego zwolenników uznała za formę lekceważenia. Tu naprawdę trudno było się doszukać jakiegokolwiek logiki, ale była to dosadna ilustracja poziomu emocji.

W dniach posmoleńskich miejscami spotkań przyjaciół, znajomych, nieznajomych i nieprzyjaciół były kościoły. Przez kilka dni na Starym Mieście i w okolicach niektórzy odwiedzali po kilka świątyń dziennie. W kościele Świętego Marcina odbyła się msza za duszę Mariusza Handzlika. Był oczywiście jego szef z Waszyngtonu, Jerzy Koźmiński, był i kolega z Kancelarii Prezydenta, Michał Kamiński. Wiele było łez i nikt ich nie ukrywał. Zupełnie nie ukrywał ich Michał Kamiński, który niemal cały czas szlochał.

Pogrzeb Mariusza odbył się kilka dni później, w kościele Świętego Jacka. Usiadłem w ostatnim rzędzie po prawej stronie, kiedy podszedł do mnie stary znajomy z Waszyngtonu, asystent senatora Hanka Brown, Carter Pilcher. - Chodź ze mną. - Carter pociągnął mnie za rękę i za chwilę siedzieliśmy w drugim rzędzie, tuż za rodziną Mariusza. W pierwszych rzędach po lewej stronie siedzieli oficjale z kancelarii premiera i MSZ. Nad trumną Mariusza przemawiał minister z kancelarii, Andrzej Duda. Gdy trumnę wynoszono z kościoła, a ludzie z obu stron wyszli między rzędy, by za nią podążyć, znalazłem się tuż obok Andrzeja Dudy. - Panie ministrze, bardzo fajnie pan mówił o Mariuszu - podziękowałem mu. Odpowiedzią było zimne, niespecjalnie skrywające niechęć spojrzenie.

Kilka tygodni później na dobre ruszyła w Polsce kampania prezydencka. Z jednej strony pełniący obowiązki głowy państwa Bronisław Komorowski, z drugiej – pogrążony w żałobie Jarosław Kaczyński. Choć kampania odbywała się w nasyconej emocjami atmosferze, była spokojniejsza niż wszystkie inne kampanie prezydenckie w Polsce, wcześniej i potem. Komorowski utrzymywał niewielką, ale jednak wyraźną przewagę i nic nie wskazywało, żeby miało być inaczej. Dwie debaty prezydenckie niewiele tu zmieniły. W dniu drugiej tury wydawało się więc, że jest już po wszystkim. I gdy ogromna większość ludzi jeszcze przed północą kładła się spać, robili to w przekonaniu, że wybory wygrał Bronisław Komorowski. Gdyby poczekali do 1.30 w nocy, dowiedzieliby się, że nagle na prowadzenie wysunął się Jarosław Kaczyński. Jednak gdy już się budzili, wszystko było tak, jak przed północą.

Choć w obozie PiS już całkiem głośno mówiło się wtedy o tym, że Lech Kaczyński padł ofiarą zamachu, w kampanii jego brat w ogóle tego tematu nie dotykał. Przeciwnie, wygłosił słynne orędzie, w którym z serdecznym przesłaniem zwracał się do przyjaciół Rosjan. Już po wyborach Antoni Macierewicz i Zbigniew Ziobro mieli podobno sugerować Jarosławowi, że zawiódł brata, jakby pomijając kwestię smoleńską. Chwilę potem z otoczenia Kaczyńskiego zniknęli wszyscy, którzy sugerowali niekonfrontacyjną kampanię, w tym jej szefowa Joanna Kluzik-Rostkowska. Jeszcze w lipcu zebrał się po raz pierwszy sejmowy zespół Antoniego Macierewicza do spraw katastrofy smoleńskiej. A dokładniej do sprawy udowodnienia, że w Smoleńsku doszło do zamachu. Kilka miesięcy po wyborach, gdy dziennikarze zapytali Jarosława Kaczyńskiego, dlaczego w czasie kampanii przyjął linię bardziej umiarkowaną i skąd ta jego łagodność, odpowiedział

z rozbijającą szczerością, że niezupełnie był sobą, bo cały czas był na proszkach.

Na papierze

W drugiej połowie maja przyjąłem propozycję, by zostać redaktorem naczelnym tygodnika „Wprost”. Lata swej świetności, gdy przez dłuższy czas był w Polsce tygodnikiem numer 1, „Wprost” miał zdecydowanie za sobą. Czytelnicy najwyraźniej nie byli w stanie nadążyć za woltami kierownictwa pisma, które na początku przemian politycznie kibicowało SLD, co było dość naturalne, biorąc pod uwagę, że naczelnym był były sekretarz KC PZPR. Ale potem tygodnik bez wahania wspierał rynkowe reformy Balcerowicza. W 1995 roku, gdy prezydentem został Aleksander Kwaśniewski, „Wprost” niemal z dnia na dzień zaczął kibicować polskiej prawicy, najpierw w miarę subtelnie, a potem już zupełnie bez zahamowań. Dekadę później, gdy do władzy doszedł PiS, „Wprost” stał się de facto organem władzy, a czytelnicy masowo od pisma uciekali. W sumie trudno się dziwić, niezbyt wiarygodne jest pismo kierowane przez byłego komunistę, podejrzanego o współpracę z SB, które nagle staje się organem zwolenników lustracji. W następnych latach „Wprost” Marka Króla zaczynał dogorywać i nikt się specjalnie nie zdziwił, gdy w grudniu 2009 roku pismo zmieniło właściciela. Przez kilka kolejnych miesięcy we „Wprost” nic się właściwie nie działo, a dryf zaczynał wyglądać na wstęp do utonięcia. I dokładnie wtedy dostałem propozycję, by tonący tygodnik spróbować uratować.

Wolty „Wprost” starałem się zrozumieć, ale nigdy do końca mi się to nie udawało. Tuż przed wyborami parlamentarnymi w 1993 roku pojechaliśmy z Moniką Olejnik do Wrześni, niedaleko

Poznania, gdzie „Wprost” organizował następnego dnia prawyborczy. Był to eksperyment, ale mógł być znaczący, gdyby pokazał wyraźną inklinację wyborców do głosowania na kogoś (podejrzewaliśmy, że będzie to SLD) i przeciw komuś (tu wyglądało na głosownie przeciw partiom solidarnościowym).

Dotarliśmy do Wrześni późnym wieczorem, redakcyjne towarzystwo z „Wprost” było już wyraźnie rozbawione i rozluźnione, impreza była bowiem, czego oczywiście nie potępiam, solidnie zakrapiana. Ponieważ jednak dotarliśmy na nią z poślizgiem, dość dokładnie, jak to trzeźwy, który potem donosi, pamiętam, co i kto mówił. Co i kto dokładnie jest tu mniej istotne. Generalnie nastrój był pod tytułem „Olek i Józek” (czyli Kwaśniewski i Oleksy) skopią jutro tyłek Czarnym. W tym wypadku, jak wynikało z kontekstu, Czarni to solidarnościowe, głównie prawicowe partie, a generalnie wszystko, co nie było SLD.

Następnego dnia Olek i Józek rzeczywiście skopali tyłki konkurencji. W prawyborach SLD uzyskał 40 proc. głosów. Pewnie, że nie była to żadna, jak to się ładnie mówi, reprezentatywna próbka, ale dysproporcja między SLD a całą resztą była ogromna i naprawdę w ciemno można było przewidywać, co się zdarzy w dniu wyborów.

Wynik był tak jednoznaczny, że organizatorzy prawyborów byli przekonani, iż „Wiadomości” o nim nie poinformują. W końcu była to telewizja Walendziaka, prawda? A koleżeństwo z „Wprost” nie odkryło jeszcze, że w głębi serca jest prawicowe, i z góry zakładało, że ci z prawej, jak mogą, to wszystko zmanipulują. Znałem oczywiście ludzi, którzy z nadania Walendziaka wylądowali na kierowniczych stanowiskach w „Wiadomościach”.

Na czele redakcji stanął duet, który dziś uznano by za wybitnie egzotyczny – Adam Pieczyński (od 2001 roku szef TVN24) i Piotr Skwieciński (zastępca naczelnego „wSieci” braci Karnowskich). Nie miałem jednak wątpliwości, że na placu Powstańców nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, by informacji nie puścić. Założyłem się w tej sprawie o sporą sumkę z zastępcą redaktora Króla, który też nie wiedział jeszcze, że ma prawicowe poglądy (dziś pracuje w tygodniku „Do Rzeczy”). Wygrałem.

Przez kilka lat, od 1999 roku, byłem felietonistą „Wprost”. Wcześniej, gdy przez ponad trzy lata byłem korespondentem w USA, pisałem teksty do „Polityki”. Potem byłem także felietonistą „Gazety Wyborczej”. Między pisanem do gazety a kierowaniem nią jest oczywiście mniej więcej taka różnica, jak między graniem w piłkę a trenowaniem drużyny piłkarskiej. Piłkarze często zostają trenerami i niejednokrotnie odnoszą sukcesy, ale równie często ponoszą porażki albo bolesne klęski. Dziennikarz jest singlem. Skupia się na swoim tekście, on jest dla niego celem ostatecznym i najważniejszym. Redaktor naczelny musi być jednocześnie zarządcą, trenerem drużyny i jej kapitanem. O wydawaniu gazety oczywiście nie miałem pojęcia. Mniej więcej rok pracowałem nad nową formułą „Przekroju”, ale w momencie, gdy rozpoczął się światowy kryzys i ceny papieru nagle poszły w górę, finansowy koncept „Przekroju” – wyjdźmy na rynek z niższą niż konkurencja ceną – stracił sens. Projekt zawieszono. Ale przynajmniej trening miałem już za sobą.

Dość powszechnie uważano wtedy, że „Wprost” pójdzie na dno. Pismo niemal zupełnie straciło to, co dla każdej gazety jest najważniejsze – wiarygodność. Zadanie jej odbudowania wydawało się niewykonalne, szczególnie w sytuacji, gdy właśnie

następowała gwałtowna ekspansja internetu. Wyglądało to więc na *mission impossible* albo misję straceńczą, a rola kamikadze mi się nie uśmiechała. Jednocześnie jednak nos mi mówił, że warto spróbować. Poza tym, gdyby się nie udało, wszyscy powiedzieliby po prostu, że wykazałem się niekompetencją i naiwnością, podejmując się niewykonalnego zadania. Ale gdyby się udało...

Raczej wykluczone, by ktokolwiek powierzył mi funkcję naczelnego pisma, które nie jest w kryzysie - ryzyko byłoby potencjalnie zbyt wielkie. Ale w przypadku tytułu tonącego trzeba było ryzykować. Projekt był wystarczająco szalony, by się go podjąć. Skoro kupować akcje, to wtedy, kiedy stoją nisko. Dość szybko skompletowałem mały, ale silny zespół. Sekretarzami redakcji zostali Łukasz Ramlau (wcześniej w „Gazecie Wyborczej”) i Tomasz Plata (z którym pracowałem nad projektem „Przekroju”). Do zespołu dołączyły z „Przekroju” Renata Kim i Aleksandra Pawlicka, potem z innych redakcji jeszcze Ryszard Holzer i Wojciech Cieśla. Silnym punktem zespołu szybko został Michał Krzymowski, który zaczynał we „Wprost” Króla, ale błyskawicznie odnalazł się w nowej drużynie. Dołączyli do nas jeszcze felietoniści: profesorowie Magdalena Środa i Marcin Król, Marcin Meller, Zbigniew Hołdys i Krzysztof Materna.

Czas nam sprzyjał. Wzmożenie po Smoleńsku i kampania wyborcza. Na początek trzeba było tylko wykonać strasznie niebezpieczny manewr, który w razie niepowodzenia mógłby się skończyć zgonem „Wprost”. Tak jak kiedyś z dnia na dzień pismo lewicowo-liberalne stało się pismem prawicowym, tak teraz niemal w jedną noc organ PiS stał się gazetą liberalną. Czyli zwrot przez rufę o 180 stopni. Łatwo było sobie wyobrazić, że gazeta szybko straci czytelników, których jeszcze ma, a nowych już nie zdobędzie. Ale innego wyjścia nie widziałem. Co

najważniejsze, trudno, żebym był redaktorem naczelnym pisma, z którego orientacją się nie zgadzam. Czytelnicy taką lipę wyczuliby natychmiast.

Wystartowaliśmy pod koniec maja, wiedząc, że mamy jakieś 6-8 tygodni na odbicie się w górę. Jeśli manewr się uda, będziemy w stanie jechać dalej, jeśli nie - to będziemy - jak mówią Amerykanie - *dead on arrival*, martwi na samym starcie. Ale nastąpił cud. Sprzedaż po kilku tygodniach poszła w górę. Po kilku miesiącach zrównaliśmy się z „Newsweekiem” i zaczęliśmy gonić „Politykę”. Cud zdarzył się dzięki grupie ludzi, którzy uwierzyli, że niemożliwe jest jednak możliwe, i robili z pasją to, co umieli najlepiej. Po raz kolejny potwierdziło się to, co zauważyłem już w innych mediach. Czy to jest telewizja, radio, prasa czy internet, jest jakaś magiczna więź łącząca zespół, dziennikarzy i - z drugiej strony - odbiorców. Jakieś quantum energii po jednej stronie, pasja tych, którzy tworzą gazetę czy program, w magiczny sposób jest wyczuwana przez widzów czy czytelników. Wydaje się, że to są jakieś czary albo racjonalizowanie przypadków, ale nic z tych rzeczy. Sprawdziło mi się to w kilku mediach i w wielu redakcjach. Więcej, niekiedy w ramach jednego programu czy pisma.

Gdy do zespołu wkradało się zmęczenie, może i znudzenie, gdy zaczynało brakować pasji, energii i woli walki, druga strona znakomicie to wyczuwała i czytelnicy albo widzowie odpływali. Korekta kursu, wzięcie się w garść, ofensywa i znowu wracali. W praktyce oczywiście oznacza to walkę permanentną, także ze sobą, bo utrzymanie niezmiennie wysokiego poziomu energetycznego jest naprawdę trudne. Gdy pracuje się jednak trochę w ruchu ciągłym, jak w fabryce, to poniekąd naturalne jest, że co jakiś czas popada się w rutynę albo czasem przysypia.

Ale reakcja jest natychmiastowa, bodziec błyskawiczny. Oglądalność albo sprzedaż spada – trzeba znowu zabrać się do roboty.

Praca we „Wprost” była naprawdę sporym wyzwaniem, także ze względu na właścicieli pisma, którzy – prawdę mówiąc – nigdy nie powinni się zająć mediami, bo kompletnie nie rozumieli ich delikatnej natury. Dla nich gazeta była po prostu biznesem, takim samym jak produkowanie gwoździ, frytek czy jogurtów. Wydawanie gazety to oczywiście biznes. Prawie dwie dekady pracowałem już wtedy w mediach komercyjnych i naprawdę dobrze wiem, że nie da się ich robić bez pieniędzy, a robi się je także dla pieniędzy. Ale właśnie – także. Jeśli robi się je tylko dla pieniędzy, dziennikarstwo przestaje być celem, a zaczyna być środkiem. W takich warunkach dziennikarstwo marnieje, a potem zdycha. Właściciele „Wprost” nie rozumieli, dlaczego nie powinno się na przykład zamieszczać w piśmie tekstów de facto reklamowych i udawać, że są to teksty redakcyjne. Nie czuli, że czytelnik raczej szybciej niż później to zauważy, a gdy zauważy, uzna za zdradę i od tytułu się odwróci. Nie pojmowali też, że w gruncie rzeczy najważniejszą inwestycją, jaką może zrobić jakiegokolwiek medium, także gazeta, jest inwestycja w wiarygodność. Buduje się ją latami, zniszczyć ją można momentalnie, nawet jednym głupim tekstem. We „Wprost” czasem desperacko musiałem bronić pisma przed tymi, którzy byli jego właścicielami. Często sądzili pewnie, że robię im na złość, i nie rozumieli, że właśnie staram się ocalić ich własność.

Czasem dochodziło też do zabawnych qui pro quo. Jedną ze złych, za to długich tradycji „Wprost” było przyznawanie nagrody

Człowiek Roku politykom, którzy właśnie byli na szczycie. Bywały od tego wyjątki, na przykład Wisława Szymborska, ale generalnie potwierdzały one regułę. Nie miałem żadnego pomysłu, kto powinien być Człowiekiem Roku 2010, ale instynktownie czułem, że raczej nie powinien to być polityk, a już na pewno nie premier Tusk czy prezydent Komorowski.

Kiedy pewnego listopadowego poranka przyszedłem do redakcji, pani sekretarka powiedziała mi, że czekają na mnie goście. Jacy goście, zastanawiałem się, przecież z nikim się nie umawiałem. – Dzień dobry, nazywam się Dmitrij Polanski, jestem sekretarzem prasowym ambasady Rosji – powiedział miły pan (dziś jest zastępcą przedstawiciela Rosji przy ONZ) i przedstawił mi swoją koleżankę z ambasady. Zaprosiłem oboje do gabinetu, za diabła nie wiedząc, o co tu może chodzić. – Jak mogę państwu pomóc? – zagailem, zdradzając zapewne, że naprawdę nie mam pojęcia, o co chodzi. – Panie redaktorze – zaczął Polanski – przyszliśmy w sprawie uroczystości z prezydentem Miedwiediewem.

Teraz już zupełnie zbaraniałem. Wiedziałem oczywiście, że w grudniu prezydent Rosji ma przyjechać do Polski, bo byłem na dobrej drodze, by załatwić sobie z nim wywiad. Ale o jaką uroczystość idzie, nie miałem zielonego pojęcia. Pan Polanski widział już, że naprawdę nic nie wiem, czym był bardzo zdziwiony, i wyjaśnił mi wszystko od początku. – W lipcu wydawca „Wprost”, pan Lisiecki, był u nas w ambasadzie na spotkaniu i powiedział, że tygodnik „Wprost” przyznał nagrodę Człowiek Roku prezydentowi Miedwiediewowi. Prezydent postanowił przyjąć nagrodę, a ponieważ w grudniu będzie w Polsce, chcieliśmy poznać szczegóły uroczystości, w czasie której to nastąpi. Kancelaria Prezydenta Komorowskiego wie już, że będzie

taki punkt w czasie wizyty.

Ups, *Houston, we have a problem*, pomyślałem. Czyli prezydent Rosji chce przyjąć nagrodę, o wszystkim wie prezydent Polski. Świetnie... W miesiącach po Smoleńsku stosunki między Polską a Rosją były naprawdę niezłe, ale przyznawanie nagrody Człowiek Roku prezydentowi Rosji było w tym momencie wybitnie niestosowne. „Wprost” potwornie by za to oberwał, i to nie tylko od jakichś oszalałych pravicowców. Należało z tego wybrnąć, ale jak to zrobić, żeby nie doszło do skandalu, żeby cała historia nie wyszła na zewnątrz, a najlepiej, gdyby po drodze udało się nie odstrzelić wywiadu z Miedwiediewem. Cała operacja odkręcania pomysłu wydawcy trwała kilka dni. Jakimś cudem się powiodła, ale naprawdę łatwa nie była.

Mniej więcej dwa tygodnie później właściciel „Wprost” zaproponował, by Człowiekiem Roku został dynamiczny premier Węgier, Victor Orbán. Jezu... Tym razem odstrzelenie kandydatury było prostsze, bo nikt nie poinformował jeszcze o pomysle ambasady węgierskiej. Wydawca jakoś przyjął do wiadomości, że przyznawanie tytułu Człowieka Roku przez gazetę hołdującą prawdziwej dziennikarskiej niezależności przywódcy, który na wszelkie sposoby z nią walczy, nie jest najlepszym pomysłem.

Czy limit groteskowych pomyłek już został wykorzystany? Na kolejnym wtorkowym spotkaniu z wydawcą i jego żoną dowiedziałem się, że tym razem nie tylko wybrano już zwycięzcę, ale także poinformowano go o tym. Kto to taki? – wycodziłem przez zęby. – Minister kultury, Bogdan Zdrojewski. – Kto? – Minister kultury. – Ja naprawdę nie mam nic przeciw kulturze ani ministrowi Zdrojewskiemu, którego zresztą lubię i szanuję, ale

właściwie dlaczego i za co miałyby zostać człowiekiem akurat tego roku? - zapytałem. - To zły pomysł? - zapytał z rozbrajającą szczerością wydawca. - Zły, wszyscy uznają, że upadliśmy na głowę. Trzeba to natychmiast odkręcić - odparłem. Podejrzewałem, że wydawca, który właśnie zaczął się chwalić, iż teraz będzie producentem filmowym, uznał, że nagroda dla ministra ułatwi mu uzyskanie jakichś pieniędzy na produkcję filmów. Ale szczerze mówiąc, guzik mnie to obchodziło. - No dobrze, to co mamy zrobić? - Musisz powiedzieć ministrowi, że nie dostanie nagrody. - A pojedziesz ze mną? - Dobrze - odpowiedziałem. Wiedziałem, że będzie to jedna z bardziej krępujących, żenujących i - prawdę mówiąc - idiotycznych sytuacji w życiu, ale trudno, nie było wyjścia. Minister Zdrojewski wyczuł absurd sytuacji, ale zachował się kulturalnie i z klasą. Jak na ministra kultury przystało.

Na kolejnym spotkaniu z właścicielem i jego żoną postanowiłem przejąć inicjatywę i zaproponować własnego kandydata. Jesteśmy niezależnym pismem, stawiamy na niezależność dziennikarską i wspieranie tych, którzy walczą o prawa obywatelskie. - Przyznajmy nagrodę Michaiłowi Chodorkowskiemu - zaproponowałem. - Chodorkowskiemu? Ale czy on przyjedzie ją odebrać? - zapytała całkiem poważnie żona wydawcy. - Nie wiem, to zależy od waszych wpływów - odpowiedziałem, nie wyjaśniając już nawet, że Chodorkowski od lat jest w więzieniu w okolicach rosyjsko-chińskiej granicy.

Tydzień później żona wydawcy powiedziała, że ktoś naszą galę musi sponsorować, a spółkom skarbu państwa pomysł z tym Chodorkowskim za bardzo się nie podoba. No tak, rozumiem. Czułem, że tak będzie, więc rzuciłem na stół ostatnią kartę. Proponuję, by nagrodę Człowiek Roku dostały dwie kobiety -

Justyna Kowalczyk, która we wspaniałym stylu wygrała na igrzyskach w Vancouver bieg na 30 kilometrów, i Henryka Krzywonos, która w 30. rocznicę powstania Solidarności publicznie stanęła w obronie opluwanego Lecha Wałęsy i przeciw upolitycznieniu obchodów. Dwie silne, dumne kobiety, które mogą być wzorem nie tylko dla kobiet. Propozycja przeszła. Prawie dwa miesiące kontredansów, manewrów i slalomów. Ufff.

Częścią operacji stawiania na nogi „Wprost” była reanimacja Nagrody Kisiela. Na prośbę wydawcy spotkałem się w tej sprawie z byłym premierem Janem Krzysztofem Bieleckim, który formalnie był jednym z kilkudziesięciu członków kapituły, a w praktyce był w niej osobą najbardziej wpływową. Bielecki za każdym razem prowadził obrady kapituły i potem odczytywał mediom listę laureatów, ale jego wpływy zdecydowanie wykraczały ponad to. Z jego opinią liczyli się wszyscy, wiadomo było, że bez zielonego światła z jego strony żadnej reanimacji nie będzie.

Nagroda Kisiela od początku lat 90. przyznawana była przez powiększającą się z roku na rok kapitułę. Kogóż w niej nie było: Lech Wałęsa i Władysław Bartoszewski, Wiesław Walendziak i Paweł Piskorski, Hanna Gronkiewicz-Waltz i Jan Rokita, Tomasz Wołek i Jan Kulczyk, Andrzej Olechowski i Stanisław Tym, Janina Paradowska i Andrzej Mleczko. Grono było naprawdę zacne. W 2006 roku 25 członków kapituły uznało, że ekscesy „Wprost” pod kierunkiem Marka Króla, publikowanie materiałów paskudnych, plugawych i propagandowych, wyklucza ją przyznawanie nagrody razem z tygodnikiem. Byłem wśród tych 25 jako laureat z roku 2005. Teraz, cztery lata później, miałem przekonać resztę, by zmieniła decyzję sprzed lat, uznając, że epoka Króla szczęśliwie

dobiegła końca, pismo wychodzi na prostą, warto mu dać kredyt zaufania i wrócić do Nagród Kisiela, które dla „Wprost” były i znakiem firmowym, i dowodem, że pismo jest traktowane poważnie przez polską elitę. Misja się powiodła, choć poniekąd na krótko. Już po moim odejściu, w 2014 roku, ogromna większość kapituły znowu wzięła rozwód z „Wprost”. Tym razem jednak, w przeciwieństwie do Marka Króla, który wolę kapituły uszanował, nowy właściciel postanowił, że nagrodę będzie przyznawał bez kapituły, uznając, że są to te same Kisiele, choć były to Kisiele w wersji kadłubkowej.

Chyba żadnej nagrody spośród tych, które kiedykolwiek dostałem, nie ceniłem sobie bardziej niż właśnie Nagrody Kisiela. Choć nie była przyznawana w świetle jupiterów, nie odbywały się przy tej okazji transmitowane przez telewizję wielkie fety, nie rozpisywały się o niej kolorowe pisma. Miały jednak Kisiele jakiś urok inteligenckiej intymności, zupełnie nie były *glamour*, *posh* i *cool*, za to były z klasą i w dobrym stylu. Ponieważ nie były tak głośne jak Wiktory, Telekamery czy Grand Pressy, miały też jeszcze jedną ogromną zaletę – nie budziły dzikiej środowiskowej zawiści.

Krystyna Janda powiedziała mi kiedyś, że bardzo się boi dostawać nagrody – użyła dokładnie słowa „boję się” – bo za każdym razem spotykają ją potem nieprzyjemności ze strony zazdrosnych kolegów i zawistnych koleżanek. Przyznała się nawet, że za każdym razem, gdy tylko dostaje jakąś nagrodę, „uśmierca” kogoś z rodziny albo przypisuje sobie jakąś chorobę. Twierdziła, że na wieść o jej kłopotach otoczenie było bardziej skłonne wybaczyć jej sukcesy. Miałem wrażenie, że Janda przesadza i kokietuje, ale po jakimś czasie nabrałem pewności, że ma rację –

przemawiała przez nią życiowa mądrość.

Do wszelkich nagród nabrałem więc szybko stosunku solidnie schizofrenicznego. Cieszyłem się, gdy je dostawałem, elementem radości było oczywiście to, że nie dostał ich ktoś inny, ale wiedziałem, że będą z tego kłopoty. Największe wynikały zawsze z otrzymania tytułu Dziennikarza Roku, cenionego w środowisku najbardziej. Cenionego, to zresztą niedopowiedzenie. Miałem wrażenie, że środowisko na punkcie tej nagrody miało niemal obsesję. Nie ukrywam zresztą, że częściowo ją podzielałem, i gdy w roku 1998 nagrodę dostał Jacek Żakowski, a rok później Monika Olejnik, powiedziałem sobie, że stanę na głowie, by jak najszybciej do nich dołączyć.

Gdy już dołączyłem, dostałem, ale w głowę. W głosowaniu redakcji najwięcej punktów zdobył Waldek Milewicz, ja byłem na drugim miejscu, ale – zgodnie z regulaminem – jury wybierało spośród pięciu osób z największą liczbą głosów i nagrodę przyznało mnie. Następnego dnia przeczytałem w dwóch gazetach, że nagrodę powinienem oddać. Do diabła, czy ja ją sobie sam przyznałem? Zresztą nie miałem wątpliwości, że za rok czy dwa Waldek Milewicz i tak nagrodę dostanie. I tak się stało – dostał ją w roku 2001.

Tytuł Dziennikarza Roku dostałem jeszcze dwa razy, w roku 2007 i 2009. Trzeba tu nadmienić, że pismo „Press”, organizator konkursu, rzeczywiście jest wybitnie dyskretne i chyba nigdy żaden z laureatów nie wie o tym, że nagrodę dostanie, nawet minutę przed ogłoszeniem werdyktu. Warto to docenić, bo w wypadku większości nagród jest tak, że zwycięzcy wiedzą o swym zwycięstwie na długo przed uroczystością.

W roku 2009 zwycięzca oprócz tytułu i statuetki miał dostać jeszcze samochód. Nie znam się na autach, ale nawet kompletny

dyletant, patrząc na luksusowego citröena stojącego w sali, w której odbywała się uroczystość, musiał się domyślać, że ta limuzyna nie może kosztować mniej niż sto tysięcy złotych. Miałem wrażenie, że łączenie w prestiżowego tytułu z tak drogą nagrodą to nie jest dobry pomysł, prestiż był autentyczny i nie wymagał żadnych dodatków. Ale w końcu dlaczego miałbym się tym przejmować, niech się przejmie ten, kto tę nagrodę za moment odbierze. Okazało się jednak, że problem jest mój.

Gdy wyczytano moje nazwisko i szedłem w stronę miejsca, gdzie odbierało się statuetkę, szybko kombinowałem, co z tym fantem zrobić. Chwilę potem, dziękując za nagrodę, powiedziałem, że samochodu nie przyjmę, ale bardzo chciałbym go przekazać na orkiestrę Jerzego Owsiaaka. Nie miałem, żeby była jasność, poczucia, że wykonuję jakiś wielki gest. Po prostu uważałem, że przyjęcie tego auta byłoby niestosowne, a jedyną organizacją charytatywną, która przyszła mi do głowy w ciągu kilkunastu sekund, była właśnie orkiestra Owsiaaka. Byłem dość zdziwiony, gdy następnego dnia przeczytałem w „Rzeczpospolitej” komentarz pewnego autora, który potem, w tygodniku „wSieci”, poświęcił mi ze 150 tekstów (nie przesadzam). Autor stwierdzał, że oddałem samochód, bo chciałem mieć dobry PR. Aha. Zapewne gdybym samochodu nie oddał, znaczyłoby to, że jestem pazerny, a przecież mogłem oddać auto na jakąś aukcję charytatywną.

W czerwcu 2010 roku biegliśmy z Tomkiem Smokowskim, wtedy pracującym w Canal+, teraz w Polsacie, w maratonie w Sztokholmie. Bieg kończył się na starym stadionie olimpijskim, na którym w 1912 roku odbyły się letnie igrzyska olimpijskie. W Sztokholmie Tomek był ode mnie lepszy o kilka minut, ale

umówiliśmy się na rewanż w Atenach. Siedząc w jakiejś sztokholmskiej knajpie, przeglądaliśmy masę ulotek, które maratończycy dostają przed startem. - Masz jakiś pomysł na maraton w październiku? - zapytałem Smoka. - Nie, a ty? - Ja mam - odpowiedziałem, bo właśnie wpadła mi w ręce ulotka o maratonie w Atenach.

Nie chodziło nawet o sam maraton. Okazało się, że odbywał się dokładnie 2500 lat po tym, jak po słynnej bitwie pod Maratonem posłaniec Filippides pobiegł z Maratonu do Aten. Herodot opowiada, że gdy Grecy pokonali Persów w 490 roku przed naszą erą, armia perska wsiadła na okręty i popłynęła w stronę bezbronnych w tym momencie Aten. Grecy nie mieli wyjścia. W zbrojach, w wielkim upale, musieli pobiec do stolicy. Przed nimi miał biec właśnie Filippides. Gdy dobiegł do Aten, powiedział o zwycięstwie nad Persami, ostrzegł, że Persowie za chwilę będą u wrót miasta, po czym padł. Wszystko wskazuje na to, że on i greccy żołnierze w rzeczywistości pokonali dystans 36, a nie 42 kilometrów. Ale w upale i w pełnym uzbrojeniu było to pewnie jak 50.

Nie ma nic gorszego niż pobudka przed maratonem. Szczególnie gdy - jak w Atenach - trzeba wstać o 4.00 rano. Jest zimno. Organizm krzyczy „spać”. A opiera się, bo doskonale wie, co go czeka za kilka godzin. Jakoś zwlekliśmy się przed świtem z łóżek. Po śniadaniu pojechaliśmy taksówką na plac Syntagma w centrum Aten, skąd autokarami mieliśmy dotrzeć do Maratonu. W autobusie było całkiem miło, bo ciepło. Pod koniec października w ciągu dnia w Atenach wciąż jest ciepło, a nawet bardzo ciepło, ale w nocy jest naprawdę chłodno. Autobus jechał, a my w którymś momencie spojrzeliśmy na siebie z przerażeniem. Jechał i jechał, ale cały czas w dół. Nieubłagana logika

podpowiadała, że będziemy musieli pokonać dokładnie tę samą trasę, ale pod górę. Właściwie nie byłem tym zaskoczony. Maratończyk i pisarz Haruki Murakami w swojej książce *O czym myślę, kiedy myślę o bieganiu* opisuje, jak pokonał trasę tego biegu. Ale jakoś inaczej się czuje dystans i różnicę wzniesień, gdy czyta się o nich, siedząc w fotelu, a inaczej, samemu pokonuje się tę drogę.

Na początku bieg jest bardzo miły. Jakies 3-4 kilometry prosto, skręt w lewo i bieg wokół kurhanu, gdzie pochowani są greccy żołnierze, którzy zginęli pod Maratonem. Potem w prawo, w lewo, i 34 kolejne kilometry, generalnie pod górę. Piekło zaczyna się około 15. kilometra. Mniej więcej od tego punktu biegnie się niemal cały czas pod górę. Aż do 31. kilometra. Potem jest już lekko z góry. Tym razem to ja po drodze gdzieś zgubiłem Tomka, ale tak jak w Sztokholmie, różnica między nami mieściła się w kilku minutach. Parę kilometrów przed metą na wzgórzu widać już było zatopiony w słońcu majestatyczny Akropol. Jest w tym widoku coś porywającego, ale i wzruszającego do łez. Antyczna historia, legenda, tradycja. Jakby dosłownie biegło się po śladach historii. Półtora kilometra przed metą ostry zakręt w lewo i jakiś kilometr biegnie się ostro w dół. Cóż za ulga. I jakie szczęście. Bo z daleka majaczy już stary stadion olimpijski, na którym odbyły się pierwsze nowożytne igrzyska w 1896 roku. Wbiec na ten stadion i przekroczyć linię mety dokładnie tam, gdzie 114 lat wcześniej uczynił to zwycięzca pierwszego maratonu w erze nowoczesnej, Spiridon Luis, było czymś nadzwyczajnym. Luis wygrał z czasem 2 godziny 58 minut 50 sekund. Wtedy nie marzyłem jeszcze o tym, co stało się moją obsesją kilka lat później - „złamać trójkę”, przebiec maraton poniżej trzech godzin. Ale w Atenach przebiegłem maraton w 3.48. Złamanie „trójki”

wydawało się kompletną abstrakcją.

Maraton w Atenach był wyjątkowy jeszcze pod jednym względem. Był jedynym, po którego zakończeniu nie musiałem lecieć do hotelu, a stamtąd od razu na lotnisko, by wrócić do Warszawy na poniedziałkowy program. Ten jeden, jedyny raz się udało. W poniedziałek wypadał dzień Wszystkich Świętych. Mogłem się po biegu wyleżeć w łóżku, a wieczorem pójść na kolację, na której wszystkie surowe reguły przygotowań do maratonu można było brutalnie i z wielką radością złamać.

Słynny trener Kazimierz Górski powiedział kiedyś, że naprawdę dobrą drużynę poznaje się nie po tym, jakim wynikiem kończy się jej mecz, gdy jej idzie, ale jakim się kończy, gdy jej nie idzie. Górski, którego miałem szczęście poznać całkiem prywatnie, pod maską prostoty i lwowskiej serdeczności chował jakąś prawdziwą mądrość i niezwykłą przenikliwość. Tę powyższą można spokojnie zastosować do wielu dziedzin życia. Na przykład do telewizji. Czym jest sukces w telewizji? Ktoś powie, że polega na zrobieniu czegoś nadzwyczajnego, doskonałego wywiadu, niezapomnianego reportażu. I słusznie, nie będę z tym polemizował. Fantastycznie jest mieć poczucie, że zrobiło się coś ekstra. Ale tak naprawdę miałem to poczucie bardzo, bardzo rzadko. W przypadku kilku wywiadów z zagranicznymi przywódcami, nadzwyczajnych wydań „Faktów”, gdy robiliśmy coś ponadstandardowego, czy w przypadku nielicznych programów publicystycznych, takich jak wspomniane tu wydanie „Co z tą Polską” z Ukrainy. Ale odnosząc to do myśli pana Kazimierza, takie ponadprzeciętne historie zdarzały się, gdy drużyna grała naprawdę dobrze, gdy jej szło. W przypadku cotygodniowego programu kryterium musi być inne. Ważny jest poziom, poniżej którego nie schodzę nigdy. Czasem

nie wypalają goście, ktoś odwołuje udział w ostatniej chwili, czasem wszystko sypie się w trakcie, czasem wchodzisz do studia i masz taką gorączkę, że przetrwanie tych kilkudziesięciu minut wydaje się niemożliwe. To właśnie w takich chwilach, ale także w chwilach, gdy ani nic nadzwyczajnego się nie dzieje, ani nie dzieje się nic złego, wtedy decyduje się, ile wart jest ten program, a więc też, ile wart jesteś ty jako prowadzący.

Politycy podchodzą do wyborów co cztery lata. Mają cztery lata na składanie kolejnych obietnic albo wyłgiwanie się z tych, które złożyli. Jeśli prowadzisz cykliczny program, twoje wybory, albo wybory, w których twoje nazwisko jest na wyborczej kartce, odbywają się co tydzień. Kilka milionów ludzi ma w ręku pilota. Jeden ruch palca i przeskakują na jeden z 50 albo 200 innych programów. A gdy już sobie poszli, zapewne nie wrócą, w każdym razie nie przez tydzień. Następnego dnia po 9.00 rano przychodzą wyniki i nie ma odwołania. Z dokładnością do jednego widza wiesz, ilu ludzi cię oglądało. Wiesz, w której minucie programu widzów przybywało, a w której mówili ci: *bye bye*. To jest jak wyrok. Niektórzy nazywają to terrorem słupków oglądalności. Nie przesadzałbym. Terror albo horror, i to nie cotygodniowy, ale codzienny, przeżywają ludzie, którzy nie mają pracy, albo mając pracę, zarabiają marne grosze, ci, którzy codziennie muszą się zastanowić, czy starczy na niezbędne zakupy. To jest terror. Słupki oglądalności są może problemem, może wyzwaniem, czasem zabijają programy, zwykle mobilizują autorów.

Zapomnijmy więc o terrorze, przyjmijmy, że mówimy o zawieszanej na pewnej wysokości poprzeczce. W przypadku TVP na przykład była ona zawieszona całkiem wysoko. Na początku prawie 20 proc. udziałów w rynku. Oznaczało to, że gwarantowałem głową, iż niemal co piąty widz, który włączył

telewizor o 21.10, będzie oglądał właśnie mnie. To naprawdę sporo. Nie miałem do TVP pretensji, że stawiała mi takie wymagania. Program był robiony przez producenta zewnętrznego, więc zgodnie z prawem nie można było przeznaczyć na niego pieniędzy z abonamentu. A skoro tak, musi na siebie zarobić. A skoro tak, wystarczająco wielu reklamodawców, za wystarczająco wysokie sumy, musi umieścić wokół niego reklamy. A skoro tak, to i oglądalność musi być na poziomie odpowiednim. *Fair enough*, jak powiedzieliby Amerykanie, czysty układ: „dowozisz”, jak mówią, to zostajesz, „nie dowozisz” - odchodzisz.

Działając w takich okolicznościach, musisz iść na pewne kompromisy. W porządku, nic nie musisz. Ale jeśli chcesz, by program utrzymał się na antenie - musisz. Kompromis zasadniczy polega na tym, że nie zawsze robisz dokładnie taki program, jaki chciałbyś zrobić. Co to znaczy? Ano to, że niektóre programy robisz po to, by „zrobić średnią”. Cynizm? Niech każdy to nazywa, jak chce. Ja uważałem, że jeśli w tak zwanym sezonie, czyli jesienią albo na wiosnę, w trzech czy w czterech programach kłaniam się, może nie do pasa, ale jednak, komercji, to jest to cena, którą mogę i chcę zapłacić za tych kilkanaście odcinków, w których oglądalnością mogę się nie przejmować, a w każdym razie nie muszę jej terrorowi ulegać.

Zgoda, ten balans jest ryzykowny. I trudny. Wymaga też twardej tylnej części ciała. Musisz bowiem z góry wiedzieć, że jeśli robisz kilka programów lżejszych i bardziej komercyjnych, to zapewne będziesz oskarżony o kłanianie się niskim instynktom publiczności, o tabloidyzowanie się albo gorzej - nawet o prostytuowanie się. Powiem zupełnie szczerze. Często miałem nawet już dość programu i całkiem poważnie zastanawiałem się,

czy go sobie nie odpuścić, ale wtedy dziesiątki razy dostawałem zastrzyki adrenaliny i motywacji w postaci zaliczanych ciosów, szczególnie poniżej pasa. Setki razy czytałem na przykład, że mój program w TVP ma wielomilionową oglądalność wyłącznie dlatego, że jest po *M jak miłość*. Nie przeczę, fakt, że przed moim programem był tak popularny serial, na pewno pomagał. Ale też *M jak miłość* kończył się kilkanaście minut przed „Tomasz Lis na żywo”. Potem była przerwa reklamowa, potem *Kulisy M jak miłość*, potem kolejna przerwa reklamowa. Razem 16 minut. Czy naprawdę 16 minut to za mało, by skorzystać z pilota? A potem zaczynał się mój program, który miał 50 minut, co w sumie daje ponad godzinę na skorzystanie z pilota. Całkiem sporo. To, jaką oglądalność mają programy nadawane w tym paśmie teraz, też jest do sprawdzenia.

Generalnie program się po prostu udał. Osiem lat na antenie. W dużym stopniu dzięki jego producentce, Krystynie Bystrosz. Tak, bez Kryśki ten program by padł, zginął, zdechł śmiercią fatalną. Krystyna, niech mi wybaczy, jest już po siedemdziesiątce. Mogę to spokojnie powiedzieć, bo pod względem sił witalnych brakuje jej wiele do trzydziestki. Jest niesamowicie pracowita, dokładna i metodyczna. Dla mnie była bezcenna jeszcze z jednego powodu – o TVP wiedziała wszystko. Wiedziała, jak zorganizować przepustkę i montaż, komu dać za załatwienie jakiejś sprawy czekoladę z orzechami, a komu z rodzynkami. Jeśli ktoś uważa, że to wiedza zbędna, to strasznie się myli. W TVP była to wiedza fundamentalna. Kto się nie połapie w labiryncie zależności, powiązań, sympatii i antypatii, w meandrach urzędniczo-księgowych, musi, po prostu musi zginąć. Kryśka była kamizelką ratunkową i szalupą. Basia Hrybacz z kolei była dobrym duchem. Potem nie przypilnowała jednej ważnej rzeczy i omal nie

wyleciałem w powietrze, o tym później - eksplozja była naprawdę niezapomniana. Ale nie zapominam, że wcześniej, w Polsacie i TVP, było 11 lat wspólnej, fajnej współpracy. I jeszcze coś. W zasadzie powinienem podziękować wszystkim prezesom TVP i dyrektorom Dwójki, z którymi współpracowałem i z którymi tyle razy w ciągu ośmiu lat przedłużałem umowę - w końcu naprawdę nikt nikogo do tego nie zmuszał. A wśród tych prezesów byli ludzie prawicy i lewicy, centrum i z poza centrum, ludzie sympatyzujący z PiS, z PO, z SLD, a także z Romanem Giertychem. Nigdy żaden z nich w żaden sposób w program nie ingerował, wszyscy więc przyczynili się do tego, że z sukcesami trwał, za co szczerze im dziękuję.

W 2011 roku kampania wyborcza była dość niemrawa. W sondażach prowadziła Platforma, ale nie była to przewaga, której PiS nie mógłby zniwelować. Tym bardziej że PO była jak w letargu, ospała, ślamazarna, pozbawiona sił witalnych. W sumie, podobnie jak cztery lata wcześniej, gdy aż do dnia debaty Tusk-Kaczyński, wydawało się, że Platforma idzie pod nóż. Tyle że tym razem wszyscy wiedzieli, że takiej debaty już nie będzie. Różnie mówiono o tym, czy chce jej sam Donald Tusk. Według niektórych premier marzyłby o tym, by jeszcze raz wejść z Kaczyńskim na ring i jeszcze raz spuścić mu manto. Według innych Tusk na kolejny pojedynek wcale nie miał jednak apetytu. Wiedział doskonale, że w tak złej formie jak cztery lata wcześniej Kaczyński na pewno by nie był. Poza tym debata jest swoistą grą oczekiwań. Wygrywa nie ten, który jest lepszy, ale ten, który wypada lepiej, niż oczekiwano. Po nokaucie z 2007 roku wszyscy spodziewaliby się, że Kaczyński znowu wyląduje na deskach, więc remis albo nawet niezbyt spektakularną wygraną Tuska

zinterpretowano by jako zwycięstwo Kaczyńskiego. O ile jednak były wątpliwości, czy pojedynkować chce się Tusk, o tyle nie było żadnych, że Kaczyński na powtórkę nie ma ochoty. Na logikę, właśnie ze względu na grę oczekiwań, byłby prezes PiS w dobrej pozycji wyjściowej, ale logika nie miała tutaj nic do rzeczy.

Dla Kaczyńskiego tamta klęska z Tuskiem była chyba największym upokorzeniem w karierze. Nie największą klęską, ale właśnie upokorzeniem. To on miał być wszechmocnym kanclerzem, doświadczonym zawodnikiem wagi najcięższej, który w ringu nie ma sobie równych. A już czy ktokolwiek mógłby mieć wątpliwości, że nie jest mu równy Tusk, o którym sam tyle razy szyderczo mówił w kampanii, że to pomagier Kwaśniewskiego, którego uważał wprawdzie za dość sprytnego, ale którego nigdy nie szanował? Przecież zawsze sądził, że Tusk to zawodnik wagi co najwyżej średniej. Tymczasem ów średniak wyszedł na ring i czempiona wagi ciężkiej zmiotł. Kaczyński wiedział, że w partii też mówią, iż wybory przegrał on sam. To bolało. Diabelnie bolało. Mogli go więc teraz przekonywać, że powtórki nie będzie, że warto spróbować, że wygrana jest niezbędna do zwycięstwa w wyborach, ale nie było takiej siły, która mogłaby go zmusić do powtórki.

Od jakiegoś czasu zastanawiałem się wtedy, czy próbować się starać o wywiad z Kaczyńskim w moim programie. Już poprzedni, sprzed roku z okładem, zamienił się w mordobicie. Niezły numer wywinęła mi wtedy moja producentka. Gdy wszedłem do studia i zapytałem Gutka, kierownika studia, po której stronie siedzą PiS-owcy, ten spojrzał na mnie, jakbym spadł z choinki. – Po której? Po każdej, tu są tylko PiS-owcy. Spojrzałem na Basię. – Czy on mówi serio? – No wiesz, nie chciałam cię denerwować, ale

po debacie z Tuskiem, gdy zwolennicy Tuska przeszkadzali, ludzie Kaczyńskiego powiedzieli, że on przyjdzie, pod warunkiem że w studiu będzie stu jego zwolenników. – No i chyba dokładnie tylu jest, bo przyjechali tu autokarem, który stoi na parkingu – dodał Gutek. – Aha, czyli żeby Kaczyński wziął udział w programie, zgodziłaś się, by przyszedł tu ze swoją publicznością. Ale żeby mnie niepokoić, postanowiłaś mi nie mówić, że w praktyce program robimy nie na Woronicza, ale na Nowogrodzkiej. Rozumiem.

W 2007 Tusk pokonał Kaczyńskiego, choć na widowni siły były podzielone pół na pół. W 2010 roku prawie całą publiczność miałem przeciw sobie. Efekt był taki, że cokolwiek powiedział Kaczyński, był aplauz i – jak mawiają Rosjanie – *burnyje aplodismienty*. W czasie programu raz zaznaczyłem, że Kaczyński przyszedł do studia z własną publicznością, ale jedno zdanie niewiele zmienia, liczą się reakcje na każdą wypowiedź, która pada w studiu, brawa, gdy kropkę postawił Kaczyński, i często buczenie, gdy zdanie kończyłem ja.

Rok później wiadomo było, że na niemal całą publikę zwolenników Kaczyńskiego byśmy się nie zgodzili, ale w sumie nie miało to wielkiego znaczenia. Publiczność właściwie zawsze dobieraliśmy z ludzi, którzy odpowiadali na SMS-y, czyli do studia mógł przyjść każdy. Nawet więc w najlepszym wariancie, czyli połowa publiczności Kaczyńskiego i połowa z SMS-ów, Kaczyński byłby w studiu bardziej u siebie niż ja, bo zwarte oddziały partyjnych zwolenników zapewniają prawdziwą klakę. Neutralna publiczność po drugiej stronie nigdy tego nie zrównoważy. Przyjęcie warunków prezesa stawiałoby go więc w dogodnej sytuacji. A jednak uznałem, po długich rozmyślaniach, że można

spróbować. Dokładniej – że trzeba spróbować.

Kaczyński kolejny raz, w kolejnej kampanii, fundował Polsce wielką maskaradę. Udawał łagodnego i umiarkowanego, skłonnego do współpracy z opozycją i gotowego zawierać kompromisy. Ludzie oczywiście mogą mieć gdzieś z tyłu głowy, że już kilka razy ten numer widzieli, ale obraz zawsze jest silniejszy niż ostrzeżenia i przypomnienia. Czy ten miły starszy pan naprawdę może być niebezpieczny?

Tak, nie miałem żadnych wątpliwości, że ten człowiek jest dla polskiej demokracji wybitnie groźny. Że zdobywając władzę po raz kolejny, szczególnie teraz, po Smoleńsku, będzie się kierował wyłącznie zemstą, że Polskę będzie traktował jak swoją zabawkę, że nie ma reguły, której nie złamie, jeśli tylko pozwoli mu się ją złamać. Nie miałem co do tego najmniejszych złudzeń, bo przyglądałem mu się bardzo dokładnie od ponad 20 lat. Rządy Kaczyńskiego nie byłyby rządami kolejnej ekipy i kolejnego premiera. Byłyby po prostu nieszczęściem dla Polski. Każdy rok funkcjonowania państwa bez Kaczyńskiego w roli woźnicy to dla kraju czysty zysk. Trzeba więc było skorzystać z szansy, by jeszcze raz zerwać maskę. Jeszcze raz pokazać Polakom, jaki ten człowiek jest naprawdę.

Podjęcie ryzyka ma jednak to do siebie, że jest formą hazardu. Jeśli się udaje, wszyscy uznają, że było warto, ale jeżeli nie, wszyscy są przekonani, że przedsięwzięcie było głupie i szalone, z góry skazane na porażkę. Gdyby w ciągu godziny udało się zerwać z twarzy Kaczyńskiego maskę łagodności, kosztowałoby go to w dniu wyborów kilka punktów procentowych. Ale gdyby się nie udało, parę punktów mógłby jeszcze zyskać. Co najważniejsze, to nie była, nawet jeśli ją tak przedstawiano, debata wyborcza. To, niezależnie od całego

kontekstu, wciąż był wywiad. Nie mogłem wypowiadać swojego zdania ani polemizować. Mogłem co najwyżej zadawać pytania. Trzeba więc było zerwać maskę Kaczyńskiego, nie wychodząc z konwencji rozmowy, wywiadu.

Dobrze, zerwać maskę, ale jak? Przypomniał mi się wywiad Kaczyńskiego dla „Newsweeka”. Przypomnijmy, sam powiedział, że w kampanii prezydenckiej w roku 2010 był tak łagodny, bo brał proszki. Czyli de facto mówił, że gdyby był sobą, zachowywałby się zupełnie inaczej. I tak właśnie wyglądało moje zadanie – doprowadzić do tego, żeby Kaczyński był sobą. Ponieważ przestaje być sobą, gdy bierze środki uspokajające, a zaczyna być sobą, gdy się denerwuje. Należało go więc zmusić, by pokazał, czy naprawdę panuje nad sobą, jak można było sądzić w poprzednich miesiącach.

Ważne było jedno założenie. To mój rozmówca wyznacza górny próg agresji w rozmowie. On może, a nawet powinien mnie atakować. Im ostrzej, tym lepiej. Jeśli brutalnie, to doskonale. Ale atakować ma on, ja mogę co najwyżej zadawać prowokacyjne pytania. Gdybym rzucił się Kaczyńskiemu do gardła, sympatia, a więc i wygrana, natychmiast byłaby po jego stronie. W praktyce miałem więc sprowokować Kaczyńskiego do ataku i stanąć na głowie, by samemu nie dać się podpuścić i nie ruszyć do boju. To było najtrudniejsze. Wbić sobie do głowy, że moim celem jest właśnie to, żeby Kaczyński zadawał ciosy, najlepiej poniżej pasa. I przyjmować je, nie odpowiadając na nie w żaden sposób. Cios za ciosem, minuta po minucie, prawie godzina.

Zwykle do trudnych programów przygotowywaliśmy się w ten sam sposób. Trzeba było zgromadzić materiał, zastanowić się, w którą stronę w rozmowie chcę iść, i przygotować sobie kilka

kluczowych pytań, nigdy za dużo, bo najważniejsze były zawsze te, które wynikały z samej rozmowy. Był jeszcze tradycyjnie jeden element przygotowań. Zadawałem na próbach pytania, a Basia serwowała mi jak najostrzejsze odpowiedzi, na które musiałem znaleźć jakieś riposty. Tym razem przygotowania wyglądały inaczej. Najważniejszą ich częścią było sporządzenie profilu psychologicznego Kaczyńskiego. Jaki on naprawdę jest? Co go cieszy, co drażni, irytuje i wścieka? Na co reaguje obojętnie, a co wywołuje w nim furję? Jak się wtedy zachowuje? Muszę oddać Basi, że pracę domową odrobiła doskonale. Na kilku stronach maszynopisu miałem chyba wszystkie możliwe informacje i analizy psychologiczne, które można było zdobyć. Były tam także wskazówki dla mnie. Co zrobić, by na zaczepki, uderzenia i ciosy Kaczyńskiego nie reagować, niezależnie od tego, jak bardzo by się chciało. Więcej - nie reagować dokładnie wtedy, gdy chciałoby się tego najbardziej. Temu służyło pewne wyobrażenie Kaczyńskiego, które miałem sobie wbić do głowy. Nie był to pan prezes w garniturze, pod krawatem, w całym tym politycznym rynsztunku. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Nawet nie wiedziałem, że w czasie programu tak dobrze to zadziała.

Poza przygotowaniem potrzebne było już tylko uodpornienie się na reakcje części mediów i internautów. Dobrze wiadomo, że propagandowe oddziały PiS są wybitnie zdyscyplinowane. Tu nie ma odstępstw. Jest komunikat, z którym trzeba się przebić, i komunikat ten powtarza się całkowicie bezrefleksyjnie. Rozbieżność między tym, co się mówi, a tym, jak wygląda rzeczywistość, jest dla tych oddziałów nieistotna. Rzeczywistością jest to, co mówimy - tylko to jest prawdą, zdają się twierdzić. W tej propagandowej formule PiS ma rację zawsze, a jego oponenti

- nigdy; Kaczyński jest geniuszem, a wszyscy inni są głupcami; prezes zawsze wygrywa i zawsze nokautuje swych rywali. Dlatego kochają pisać o tym, co Kaczyński albo ktoś inny z PiS zrobił ze swoim przeciwnikiem, używając formułki - zaorał go. Taki werbalny agraryzm. Przy czym nie jest ważne, że na przykład Kaczyński wypadł źle albo fatalnie. Jakkolwiek by wypadł, z góry wiadomo, że zaorał, bo zawsze już tak jest, że jak powiedział, to zaorał. Trzeba więc było się przygotować na to, że niezależnie od tego, jak wypadnie program, PiS-owcy i ich propagandyści i tak będą euforycznie pisać o triumfie Kaczyńskiego.

Tym razem Jarosław Kaczyński przez arogancję własną albo swego sztabu sam sprawił, że serwowany wyborcom teflon się zadrapał. Przed wyborami ukazała się książka Kaczyńskiego, w której znajdowały się jego opinie na temat kanclerz Angeli Merkel. Szczególną uwagę przykuły dwa zdania. „Nie sądzę, żeby kanclerstwo Angeli Merkel było wynikiem czystego zbiegu okoliczności. Nie będę jednak tego przeświadczenia rozwijał”. Oto był stary, znany wszystkim Kaczyński. W tych dwóch zdaniach była przecież jasna sugestia, że Merkel została kanclerzem dzięki jakimś knowaniom, pewnie służb, czy dawnych NRD-owskich, czy rosyjskich, to już bez znaczenia. Człowiek, który chciał być premierem Polski, pozwalał sobie na insynuacje na temat najważniejszego europejskiego polityka i najważniejszego europejskiego partnera Polski. Więcej, robił to w charakterystyczny dla siebie sposób. Kaczyński przecież od zawsze rzucał insynuacje na zasadzie „wiem, ale nie powiem”. Wysuwanie niepopartych niczym oskarżeń pod adresem przywódcy innego państwa było powtórką z Kaczyńskiego, jakiego wszyscy znali, nieumiejącego powściągnąć emocji i ugryźć się w język. Najdziwniejsze było w tym wszystkim to, że

nie była to nawet jakaś wypowiedź na konferencji prasowej czy na sejmowym korytarzu, gdzie czasem każdy palnie o jedno zdanie za dużo. To było zdanie w książce. Wypowiedziane, spisane, zredagowane, jeszcze raz przeczytane, zrecenzowane, puszczane do druku. Tu nie było więc przypadku, bo trudno było podejrzewać Kaczyńskiego i jego ludzi o aż taką głupotę i aż tak bezbrzeżny brak wyobraźni.

Ktoś pilny przeczytał uważnie całą książkę i wychwycił to zdanie kilkadziesiąt godzin przed programem i – natychmiast zrobił się wokół tego szum. Kaczyński musiał o tym wiedzieć i musiał się tym denerwować. Przecież wszystko szło tak gładko. Tak długo udawało się uniknąć wszelkich kontrowersji. I właśnie teraz, w najgorszym momencie – bum. Wiedziałem, że to będzie czuły punkt, w który w czasie rozmowy musiałem trafić. I wiedziałem, że ludzie Kaczyńskiego to wiedzą.

Nigdy do żadnego programu nie przygotowywałem się tak długo. Dwa tygodnie pracy. Miałem dość silne przekonanie, że będzie to najważniejszy program w moim życiu. Przy czym do wygrania sam, osobiście, nie miałem nic. Do stracenia – wszystko. Z tego punktu widzenia kalkulacja zysków i strat powinna podpowiadać, by ryzyka nie podejmować. Ale ryzyko było zbyt wielkie, by go nie podjąć. Odwrotu już nie było.

Chodził za mną ten program bez przerwy i miałem ochotę, żeby na dłuższą chwilę o nim zapomnieć. Jak? To akurat było proste. 2 października, w przeddzień wywiadu, w Zielonej Górze odbywał się rewanżowy mecz finału drużynowych mistrzostw Polski między miejscowym Falubazem a Unią Leszno. Większości czytelników pewnie nic to nie mówi. Może poza tymi z Zielonej Góry, Leszna, Gorzowa, Wrocławia, Gdańska, Rzeszowa,

Tarnowa, Częstochowy, Torunia czy Bydgoszczy, które mają albo miały bardzo mocne drużyny żużlowe. W Zielonej Górze czy Gorzowie żużel nie jest sportem. Jest religią, tradycją, wyznaniem wiary. W tych miastach żużlem żyją po prostu wszyscy.

Nie lubię sportów motorowych i generalnie wszelkie pasje motoryzacyjne są mi obce. Nie jestem w stanie zrozumieć facetów, którzy rozmawiają o koniach mechanicznych, gaźnikach, rozrusznikach, przyspieszeniu na pierwszych stu metrach i takich tam. Samochód jest narzędziem do przemieszczania się i tyle. A na motor się nie wsiada, bo to niebezpieczne. To tyle, jeśli idzie o moje pasje motoryzacyjne. Ale z żużlem jest inaczej. Rodzice wzięli mnie na pierwsze zawody, gdy miałem pół roku. Na żużlu hałas jest wielki, ale darłem się podobno głośniej niż motory. Jakoś niespecjalnie mnie to jednak zraziło. W Zielonej Górze nie jest bowiem tak, że człowiek rośnie i dojrzewa do decyzji, czy żużlem się interesować, czy nie, czy kibicem zostać, czy nie. Ta decyzja jest podjęta w dniu i w miejscu urodzenia. Stajesz się po prostu kibicem. I jesteś nim całe życie. Chłopcy z Zielonej Góry chodzą na żużlowe mecze z ojcami, tak jak przez całe lata chodziłem ja. Mieliśmy zresztą na stadion niedaleko. Jakieś 20 minut drogą przez las. Stadion był na tyle blisko, że nawet przez zamknięte okna w mieszkaniu rodziców słychać było warkot motorów w czasie treningów.

W Warszawie, w ciągu pierwszych prawie 25 lat po przyjeździe, od tego żużla trochę się oddaliłem, ale po 2007 roku stara miłość wróciła dzięki mojemu bardzo dobremu koledze, Robertowi Dowhanowi, który był prezesem klubu. Robert wciągnął mnie znowu w to falubazowe szaleństwo po same uszy i tak już zostało. A mecz z Unią Leszno o mistrzostwo Polski był szansą na drugi złoty medal za jego prezesowskiej kadencji.

Szansą wykorzystaną, co solidnie świętowaliśmy w budynku klubowym mniej więcej do drugiej w nocy. W każdym razie ja do drugiej, bo musiałem się odrobinę wyspać przed pobudką o szóstej i lotem do Warszawy z oddalonego o 40 kilometrów lotniska w Babimoście. Najpierw lot do Zielonej Góry, potem mecz, impreza, spacer w środku nocy do domu rodziców, pobudka, lot do Warszawy, poranne kolegium w redakcji, jazda do domu, garnitur, jazda na Woronicza. Nie brzmi to jak dobry pomysł na przygotowanie do być może najważniejszego programu w życiu. Ale wiedziałem, że lepiej się przygotować nie mogłem, a zmęczenie nie będzie miało znaczenia, gdy przed programem nastąpi skok adrenaliny. Odprężenie i zapomnienie o tym na kilka godzin było bezcenne.

Z adrenaliną rzeczywiście nie było problemu. Takiego cyrku przed programem nie widziałem nigdy. W studiu atmosfera była wybitnie energetyczna. Zwolennicy Kaczyńskiego wyglądali na totalnie zmobilizowanych, ale to, co najciekawsze, działo się na zapleczu. Szybko mi doniesiono, że kuzyn Kaczyńskiego, Jan Maria Tomaszewski, który pracował zresztą w TVP, robi dziką awanturę i próbuje wejść do studia przez prowadzącą do niego tak zwaną kamerownię, czyli pomieszczenie na sprzęt. – Co mamy robić? – pytał mnie Gutek. – Wpuścić ich? – Mowy nie ma – odpowiedziałem. – Ani jednego, była umowa, nikt więcej nie wchodzi. – OK.

Może i OK, ale przepychanki w kamerowni trwały jeszcze, kiedy ruszyła czołówka programu.

Powitanie z Jarosławem Kaczyńskim było ważne. Gdy zaczynałem program, stałem na wysokim na jakieś pół metra podeście. Prezes musiał na niego wejść. Pamiętałem, by uścisk

dłoni był długi, jak najdłuższy. Zwolennicy Kaczyńskiego na jego widok wpadli w euforię, muzyka dla jego uszu. Dla równowagi musiałem mu zapewnić odrobinę dyskomfortu.

Na każde pytanie Kaczyński odpowiadał agresją. A podbechtywany przez swych klakierów, którzy wpadali w ekstazę, nawet gdy robił sobie wielką szkodę, brnął coraz bardziej. Nie trzeba było go specjalnie zachęcać, by wszedł do klatki. Sam to zrobił, całkowicie dobrowolnie, a nawet z ochotą.

Chciałem, żeby widzowie zobaczyli prawdziwego Kaczyńskiego, czyli aroganta, który ma potrzebę totalnej dominacji nad każdym rozmówcą, a on sprawiał wrażenie, jakby idąc po sznurku, w stu procentach spełniał te oczekiwania. Wiedziałem, że kluczowe będzie to, co powie o wpadce z Merkel. On był świadomy, że tu ma problem i jeśli będzie w stanie na spokojnie z niego wyjść, będzie wiadomo, że kontroluje sytuację. Jeśli się zagotuje – popłynie na dobre. I tak doszliśmy do wątku Merkel.

- Napisał pan książkę *Polska naszych marzeń*. O Angeli Merkel napisał pan: „Nie sądzę, żeby kanclerstwo Angeli Merkel było wynikiem czystego zbiegu okoliczności. Nie będę jednak tego przeświadczenia rozwijał”. Co pan chciał o niej powiedzieć?

- A czy pan nie zna polskiego?

Kaczyński właśnie sam podkładał sobie nogę i oklaskiwany przez swych ludzi najwyraźniej nawet tego nie zauważał.

- Co pan chciał powiedzieć, panie prezesie?

- To chyba bardzo wyraźnie zostało napisane.

- Przeciwnie, bardzo niewyraźnie. „Nie było wynikiem czystego zbiegu okoliczności”. Co pan chciał przez to powiedzieć?

- Bo z całą pewnością nie było. Było wynikiem tego, że połączyły się dwie części Niemiec, że powstały w związku z tym

różnego rodzaju napięcia i że w związku z tym potrzebna była osoba z tej wschodniej części Niemiec.

Jarosław Kaczyński tym razem mówił więc coś zupełnie innego niż wcześniej i w oczywisty sposób kręcił. Gdyby bowiem w istocie szło mu w książce wyłącznie o kwestie równowagi między zachodnimi a wschodnimi Niemcami, nie byłoby najmniejszego powodu, by swą wypowiedź oblewał sosem insynuacji.

- A resztę proszę zostawić historykom - ciągnął Kaczyński.

- Panie prezesie, nie mogę reszty zostawiać historykom. Z całym szacunkiem dla pana, wytrawnego polityka na naszej politycznej scenie, który chce być premierem prawie 40-milionowego kraju w środku Europy, muszę traktować pana słowa poważnie. Więc jeszcze raz zapytam, co naprawdę chciał pan powiedzieć o Angeli Merkel, bo gdyby to było to, o czym pan mówi teraz, to w książce napisałby to pan dokładnie w ten sposób.

- A skąd pan to wie?

- Bo pobrzmiewa w tym zdaniu ton insynuacyjny, który człowiekowi, który chce być premierem Polski, nie przystoi.

- Tak pan mówi?

- Tak mówię.

- To ja panu na to mówię, że stanie na baczność przed jakąkolwiek inną stolicą, nie tą w Warszawie, tylko tą w Berlinie, naprawdę nie przystoi polskiemu premierowi. Polski premier nie powinien się obawiać kanclerza Niemiec ani prezydenta czy premiera Rosji. Powinien pisać to, co uważa za właściwe i stosowne. Ja właśnie to zrobiłem. Z pełną świadomością. Właśnie dlatego, że nie chcę być premierem dużego, ale klienckiego państwa, które jest degradowane, tylko państwa

suwerennego, niepodległego i dzięki temu mogącego załatwiać swoje sprawy.

- Jasne, i myśli pan, że takie zdanie ułatwi panu kontakty z przywódcą naszego wschodniego sąsiada, czy utrudni?

- Z całą pewnością nie utrudni.

- Nie utrudni?

Kwestia wydawała się skończona, ale Kaczyński dawał się ponieść brawom i jechał dalej.

- Ale pan zdaje się tak bardzo obawiać tych z zewnątrz. No żal mi pana bardzo. Pan należy do pewnej formacji, niestety, w Polsce bardzo często spotykanej, która nam szkodzi.

- Wam szkodzi?

- Szkodzi, szkodzi.

- A kto to jesteście „wy”?

- Szkodzi Polsce. Szkodzą ci, którzy się tak straszliwie obawiają tych w Berlinie, tych w Moskwie. Ciągłe są przytłoczeni tą naszą historią. Wyzwólmy się z polskiej historii, niech pan się z niej wyzwoli.

- Panie prezesie, chciałem tylko sprawdzić, czy pan jest w stanie zweryfikować swoją myśl, bo to jest kwestia odpowiedzialności za słowo, która powinna być właściwa ludziom chcącym stać na czele wielkich narodów.

- Dlatego wyjaśniłem to, co powiedziałem, i zapewniam pana, że to, co powiedziałem, jest dobrym wstępem do poważnych rozmów z panią Angelą Merkel.

- I mówi pan poważnie?

- I mówię poważnie. Chciałbym, żeby polscy dziennikarze byli śmielsi.

- Jak pan mówi, panie prezesie, „wy nam przeszkadzacie”, to mam wrażenie, że jeszcze dzień wyborów nie nastał, a pan już

nas dzieli. Wy nam przeszkadzacie, pewna formacja, wraca pan do starego języka. Dlaczego? Nie tak miało być.

- A czy Donald Tusk nie nawiązuje do tych moherowych beretów?

- Panie prezesie, ale mówił pan, że Polska zasługuje na więcej.

- Bo zasługuje. A czy ja kogoś wykluczam?

- Wyklucza pan, właśnie pan powiedział: przeszkadzacie nam.

- Tak, ci, którzy się boją, że Polska zostanie silnym narodem.

- A skąd pan wie, że się boją?

- No, pan się cały czas pyta o jedno zdanie w sprawie Andżeli Merkel.

- Ja pytam, ja nie powiedziałem, że się boję.

Kaczyński już dwa razy powiedział „Andżela”. Stracił panowanie nad sobą. Była 26. minuta programu. Nawet nie półmetek. Ale w zasadzie było po wszystkim. Kaczyński potwierdził wszystkie podejrzenia swych oponentów, ożywił wszystkie obawy milionów wyborców. Rzuczał insynuacje na temat przywódców innych państw, nie przedstawiał żadnych dowodów uzasadniających jego sugestie. Pytany o to kręcił i obrażał pytającego, o tych, których nie lubił, mówił, że stanowią jakąś złą grupę, która przeszkadza. Wystarczył zwykły stres, by stracił panowanie nad sobą.

Gdy program się skończył, wiedziałem, że nie mogło być lepiej. Jak się okazało następnego dnia, prawie cztery miliony widzów na własne oczy zobaczyły, czym pachnie premierostwo Kaczyńskiego. Bezcenne.

Zupełnie niemrawa kampania Platformy zaczęła wyglądać zupełnie inaczej, gdy Donald Tusk wsiadł do Tuskobusa i ruszył w Polskę. Wychodził do ludzi, odpowiadał na najtrudniejsze pytania, pokazywał, że wciąż ma wielką wolę walki i wygrywania.

Gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości co do wyniku wyborów, chyba rozwiało je to, co zdarzyło się nazajutrz po wywiadzie, we wtorkowy poranek. O sprawę Merkel na krótkiej konferencji prasowej przy okazji wizyty Kaczyńskiego w terenie dopytał Jakub Sobieniowski.

Wyraźnie wściekły Kaczyński tej wściekłości już nawet nie ukrywał. - Warto być polskim dziennikarzem, naprawdę warto być polskim dziennikarzem, a nie niemieckim - cedził. Było po wszystkim. 12 dni później wybory wygrała Platforma, pokonując PiS stosunkiem 39 do 29 proc. głosów.

Wprost do „Newsweeka”

Rok 2011 zacząłem od maratonu w Tokio. Potem, w kwietniu, była Genewa, a we wrześniu - Berlin. Punktem kulminacyjnym miał być słynny maraton w Nowym Jorku. Jak zawsze w pierwszą niedzielę listopada. I tym razem mieliśmy biec razem z Tomkiem Smokowskim.

Gdy pierwszy raz przyjechałem do Nowego Jorku, poczułem odruchowo niechęć do tego miasta. Waszyngton był swojski, zielony, rodzinny, kameralny, a w niektórych miejscach nawet intymny w charakterze. Nowy Jork był jego przeciwieństwem. Stal, beton, drapacze chmur, wszędzie wielkie tłumy ludzi, jakiś zabójczy rytm miasta, jakby miało ono stale podwyższony puls, jak maratończyk po 30. kilometrze. Gdzie ci wszyscy ludzie się spieszą, dlaczego wszyscy pędzą, kompletnie nie zwracając na siebie uwagi? Trzeba było wielu lat, bym Nowy Jork polubił. Nie byłbym w stanie tu mieszkać, chyba nie, ale kilka dni na takich podwyższonych obrotach dawało się znieść.

Maraton nowojorski nie jest ani najstarszy, ani najszybszy, właściwie trudno powiedzieć, z jakich względów właśnie on stał się legendarny. Powód jest chyba jeden. Nowy Jork. Może jeszcze jeden. Maratończycy prawdopodobnie aż tak kochają maraton nowojorski, bo po prostu odwzajemniają miłość. Nowy Jork ich kocha. Tak jak w Warszawie w Nowym Jorku maratończycy blokują przez pół dnia niemal całe miasto, ale inaczej niż w Warszawie, nikt na blokady, zapory i korki nie narzeka. Wszyscy mają poczucie, że ten bieg to wielkie doroczne święto, i je po prostu celebrują. I jest tylko jeden sposób, by się przekonać, że nie jest to żaden frazes. Trzeba ten maraton

przebiec.

Pod jednym względem maraton nowojorski jest podobny do ateńskiego. Tu też trzeba wstać o jakiejś 4.00 nad ranem, bo około 5.00 rano autobusy zwożą wszystkich na miejsce startu, na Staten Island, daleko, ale to bardzo daleko od centrum. Noce w pierwszy weekend listopada są już w Nowym Jorku bardzo chłodne. Czasem mroźne. Gdy pierwszy raz byłem tutaj, kilka dni przed wyborami prezydenckimi w 1992 roku, temperatura spadła do minus 5 stopni Celsjusza, i to w ciągu dnia. Tym razem w dzień miało być 13-14 stopni. Obaj, jak wszyscy, byliśmy w dresach, swetrach, bluzach i kurtkach, by tych kilka godzin czekania na start jakoś przeżyć. Wielki zysk ma z tego Armia Zbawienia, bo tuż przed startem wszyscy zdejmują z siebie to opakowanie i nagle wyrasta góra rzeczy, które potem przekazywane są potrzebującym.

Około godziny 10.00 start. A przed startem - to w Nowym Jorku rytuał - leci z głośników *New York, New York* Franka Sinatry. *I wanna wake up in the city that doesn't sleep* (Chcę obudzić się w mieście, które nie śpi), śpiewa Sinatra. To już mieliśmy za sobą. A co z metą? *If I can make it there, I'll make it anywhere, its up to you, New York, New York*, co w bardzo wolnym tłumaczeniu znaczy: „Dasz radę tak czy owak, wszystko zależy od ciebie”. Zaraz potem jest strzał i start.

W Nowym Jorku nie bije się żadnych maratońskich rekordów. To robi się na trasach płaskich. A w Nowym Jorku od początku jest pod górkę. Bo na dzień dobry trzeba wbiec na most Verrazano, którym biegnie się do kolejnej nowojorskiej dzielnicy, na Brooklyn. Widok z mostu na oddalony o kilkanaście kilometrów Manhattan jest bajeczny. I niespecjalnie przejmując się czasem, obaj go podziwialiśmy.

W maratonie nowojorskim startuje prawie 50 tysięcy ludzi, więc żeby się nie zdeptali, wypuszcza się ich w trzech falach co 20 minut, a i tak jest tak wielki tłum, że na pierwszych kilometrach nie ma mowy o tym, by przyspieszyć. Zresztą po co? Maraton w Nowym Jorku jest jak studiowanie etnicznego i rasowego składu mieszkańców miasta. Gdy biegnie się przez dzielnicę Williamsburg, widać tłumy ortodoksyjnych Żydów. Na Greenpoincie - Polacy. Na Bronksie - Afroamerykanie, na samym Manhattanie - wszyscy wymieszani w jednym gigantycznym kotle.

Na Manhattan wbiega się bardzo długim mostem Queensborough. Jest dwupoziomowy, a biegnie się na poziomie niższym, jakieś sto metrów nad East River, przylegającą do Manhattanu od strony wschodniej. Zaraz potem jest jeden z najbardziej magicznych momentów, jakie może przeżyć maratończyk. Zbiega się z mostu ślimakiem, po czym jest zakręt w lewo i nagle wpada się na Pierwszą Aleję. Po obu stronach tłumy ludzi. Tłumy, czyli dziesiątki, setki tysięcy. Wrażenie jest porywające. Publiczność, stojąca w wielu rzędach po każdej ze stron, robi nieprawdopodobny hałas i choć na tym etapie biegu czuć już w kościach przebyty dystans, nagle podświadomie niemal wszyscy przyspieszają. Po biegu sprawdza się wydruki wskazujące na międzyczasy każdej kolejnej „piątki”. Nie byłem zdziwiony, że moja szósta, między 26. a 30. kilometrem, była najszybsza.

Potem było już dużo gorzej. Kilkukilometrowy podbieg wzdłuż Central Parku dał mi naprawdę potwornie w kość.

Wiedziałem tylko jedno - nie mogę stanąć. Nawet na moment. W maratonie jest jak w wielu sprawach w życiu. Biegniesz i czasem musisz zagryzać zęby. Teoretycznie można przystanąć i odetchnąć, ale nagle w głowie otwiera się jakaś furтка.

Organizm dostaje sygnał, że może stanąć, a gdy już wie, że może, zatrzymuje się co kilka minut. Po którymś maratonie miałem już nawet swoją prywatną klasyfikację - maratony, w których nie zatrzymałem się ani razu, rywalizowały z tymi, w których przystawałem, a gdy już przystawałem, to zawsze wielokrotnie. Oczywiście te pierwsze były tymi najszybszymi.

Nie ma chyba maratończyka, który na trasie nie przeżywałby kryzysu, a czasem kryzysów, niekiedy trudnych, niekiedy nie do zniesienia. Wiadomo, że kryzys nadchodzi niemal zawsze. I dokładnie wtedy maraton zaczyna się naprawdę. Bo jego sensem nie jest pokonanie dystansu. Jest nim pokonanie własnej słabości. Brzmi to jak tania gadka z jakiegoś wykładu motywacyjnego, ale właśnie tak jest. Umierasz z bólu, cały organizm krzyczy: zatrzymaj się, odpocznij, a ty wiesz, że tego nie możesz zrobić. A nawet jeśli zrobisz raz, drugi i dziesiąty, wiesz, że za wszelką cenę musisz dobiec do mety.

Kocham maratony, bo to najbardziej demokratyczne zawody. Startują biedni i bogaci, wykształceni i niewykształceni. Tacy, którzy mają naturalne predyspozycje do biegów długodystansowych, i tacy, którzy wojny z nadwagą do końca nie wygrywają nigdy, nawet jeśli biegają codziennie. Biegają kobiety i mężczyźni, ludzie młodzi i seniorzy. Każdy ściga się ze sobą. I rzeczywiście wszyscy mają dla siebie ogromny szacunek.

W największych maratonach zwykle niebieską linią zaznaczona jest trasa idealna, jeśli się nią biegnie, pokonany dystans rzeczywiście wynosi 42 kilometry 195 metrów. Gdy biegnie się w tłumie, by przedostać się do stanowisk z jedzeniem i piciem, zwykle trzeba do tego dołożyć całkiem sporo, niekiedy nawet kilkaset metrów. Nikt z biegnących „zwykłych” ludzi nie zawraca

sobie oczywiście głowy żadną niebieską linią. Może tylko czasem pomyśli o fantastycznych biegaczach z Etiopii czy z Kenii, którzy biegną po niej o wiele wcześniej. Ale choć najlepsi maratończycy budzą podziw biegających – w końcu biec przez ponad dwie godziny w tempie około 20 kilometrów na godzinę to wręcz niewiarygodne – to jednak mój największy szacunek budzili zawsze inni. Ci, którzy biegli nie na początku, ale na końcu, często zmagając się z limitem sześciu godzin, którego nie można przekroczyć, jeśli nie chce się być zdyskwalifikowanym i „zdjętym” z trasy. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej inspirującego, budzącego większy podziw niż widok ludzi, którzy podejmują heroiczny wysiłek, zmagając się często w strasznych bólach z każdym kilometrem, z każdym metrem, także wtedy, gdy większość biegaczy już dawno jest w domu. Wysiłek tych ostatnich z założenia jest o niebo większy niż tych, którzy dobiegają do mety wiele godzin wcześniej. I jeśli słowa „ostatni będą pierwszymi” czasem mają naprawdę głęboki sens, to jest tak właśnie w przypadku maratonów.

Na 25. kilometrze Tomek, który w pewnym momencie zaczął mnie wyraźnie wyprzedzać, stanął i na mnie zaczekał. Myślałem, że chce mi dodać otuchy, ale on miał po prostu wielki kryzys. – Zatkaną mnie, biegnij. – Dasz radę? – Spokojnie, za chwilę ruszę. I oczywiście ruszył. Mnie zatykało na ostatnich kilometrach, tak że do mety znowu dobiegliśmy w sumie w podobnym czasie. Mój czas, 3:47:01, był moim nowym rekordem. Ale choć był to już mój ósmy maraton, w sumie w porównaniu z pierwszym maratonem w Warszawie poprawiłem się tylko o niecałe siedem minut. Zabrało mi trzy lata, by zorientować się, że nie mam w zasadzie żadnych szans na poprawienie tego wyniku, bo na treningach

biegam niemal zawsze w tym samym tempie. A by przebiec maraton szybciej, trzeba organizm do tego szybszego biegania po prostu przygotować. I zamiast codziennie w tym samym czasie pokonywać ten sam dystans, czasem przebiegać 28 kilometrów, a czasem trenować tylko podbiegi albo robić tak zwane interwały. Generalnie idzie bowiem o to, żeby przyzwycząić organizm do biegania na wysokim tętnie. Im wyższe jest tętno, na którym potrafi się przebiec dłuższy dystans, tym wolniej organizm przechodzi w stan zakwaszenia, po którym błyskawicznie słabnie.

Interwały, bieganie na tętno, długie rozbiegania. Tak, zaczynało to być moją obsesją. Z jakiegoś punktu widzenia doskonale idiotyczną. Człowiek żyje jak mnich, odżywia się jak profesjonalista, biega, myśli o bieganiu, żyje bieganiem, studiuje trasy, mierzy puls w czasie ich pokonywania, sprawdza konfigurację trasy i pogodę. Zachowuje się więc jak profesjonalny sportowiec. Jest tylko jeden drobiazg. Nie jest żadnym profesjonalnym sportowcem. Nawet jeśli „życiówkę” wyśrubuje maksymalnie, dalej będzie to tylko życiówka amatora. A w sumie jaka jest różnica, czy amator przebiega maraton w 4 godziny, czy w 2:48? Czyż nie dowodziłem właśnie, że to właściwie bez znaczenia?

To rzeczywiście zupełnie bez różnicy, jeśli idzie o to, jak ja oceniam każdego, kto maraton przebiega. Ale z jakichś powodów dla mnie samego różnice między moimi czasami miały znaczenie wielkie. Dlaczego? Szczerze? Nie wiem. Ambicja? Też, coś pewnie chciałem sobie udowodnić. A czy miało to sens? Nie mam przekonania. I nie mam nawet żadnych argumentów, by polemizować z tymi, którzy mówią, że to wariactwo i kompletny nonsens. Tylko w zasadzie co z tego, że nonsens? Nowy Jork był po Tokio i Berlinie moim trzecim z grupy sześciu największych

światowych maratonów. Zostawały mi jeszcze Boston, Londyn i Chicago. Chciałem tę szóstkę zaliczyć, ale nagle zaczęło mi zależeć, by poprawić swój rekord. Nie jak dotąd, o kilkadziesiąt sekund, minutę czy parę minut. Naprawdę poprawić. Wtedy pierwszy raz na serio zaświtał mi w głowie plan, biorąc pod uwagę mój wiek i mało maratońską konstrukcję, szalony - poprawić swój rekord o 47 minut i złamać tę cholerną „trójkę”. Mieć, jak mówią maratończycy - dwójkę z przodu, czyli czas zaczynający się od dwóch godzin. Na razie trzeba było jednak zrobić to, co zawsze. Przez wielki tłum przebiec się do hotelu, szybko wziąć prysznic, spakować się, złapać taksówkę, pojechać na lotnisko Kennedy'ego, zdążyć na samolot do Warszawy, wylądować w niej rano, prosto z lotniska ruszyć na kolegium, stamtąd do domu, przebrać się, po czym pojechać na Woronicza, by zrobić program. Taki maraton po maratonie.

Na początku 2012 roku nastąpiło to, co nastąpić musiało. Prawdę mówiąc, dziwiłem się, że stało się tak późno. 20 miesięcy trwały walki z wydawcą „Wprost” o to, by pismo nie było słupem ogłoszeniowym, w którym teksty reklamowe udają teksty dziennikarskie. Apetyt właścicieli pisma na gotówkę nie znał granic, a pragnienie zysku niemal całkowicie wyłączało im hamulce powstrzymujące przed ciągłymi naciskami, by wcisnąć do „Wprost” jakieś kryptoreklamy. Uznałem, że w tej sprawie jedynym wyjściem jest asertywność. - Chcecie publikować „krypciochy”, to musicie zmienić naczelnego - powiedziałem im w końcu. Właściciele próbowali mnie okrążyć i wciskać te materiały na przykład sekretarzom redakcji. Ale nic to nie dawało, bo z góry poprosiłem wszystkich, by w razie takich prób materiałów nie puszczali, a właścicielom mówili po prostu, że

o tych sprawach muszę zdecydować ja. Drzwi dla kryptoreklamy nie były uchylone nawet na centymetr. Pozostawało więc zwolnić naczelnego. Co też nastąpiło w pierwszej połowie lutego 2012 roku.

Zupełnie się tym nie przejąłem. Po pierwsze - pracy w takich warunkach zaczynałem mieć dość. Po drugie - jakiś czas wcześniej wydawca „Newsweeka” zaczął podchody, by przekonać mnie do zmiany drużyny. Gdy już byłem wolny, rozmowy poszły naprawdę błyskawicznie. W dniu, w którym mnie zwolniono, wypowiedzenie złożyły najważniejsze osoby w redakcji. A w następnych kilku tygodniach zrobiła to niemal cała reszta. Jakies dwa miesiące później niemal w komplecie pracowaliśmy już w „Newsweeku”.

Na „Newsweeku” nigdy nie dokonywano tak bolesnych operacji, jakie przez lata były normą we „Wprost”. Ale tuż przed moim przyjściem sprzedaż zaczęła lecieć i spadła niemal do poziomu, na którym dwa lata wcześniej była sprzedaż „Wprost”. Niezbędna była operacja ratunkowa numer dwa. O tyle prostsza, że „Newsweek” nie musiał zmieniać swojego liberalnego profilu i mógł liczyć na silnego właściciela. Wiedziałem, że tym razem nie powtórzą się historie, jakie we „Wprost” były na porządku dziennym. Mur między wydawcą a pismem, który w poważnych tytułach i poważnych wydawnictwach jest normą, tu był bardzo wysoki. Co zresztą wcześniej najlepiej pokazywała historia „Dziennika”, który swej niezależności często nadużywał.

Operacja ratunkowa zawsze jest niewiadomą. Lekarz może dobrze diagnozować chorobę, może być, jak mówią w szpitalach, „dobrym operatorem”, może mieć najlepszy możliwy zespół, ale dalej nie ma gwarancji, że się uda. W przypadku „Newsweeka”,

podobnie jak dwa lata wcześniej w przypadku „Wprost”, odpowiedź miała przyjść szybko.

W każdy poniedziałek około godziny 14.00 dostawaliśmy prognozy sprzedaży i na bieżąco wiedzieliśmy, w jakim punkcie jesteśmy. Znowu się udało. Z tygodnia na tydzień linie pokazujące sprzedaż „Newsweeka” i „Wprost” się rozjeżdżały. Zależność była oczywista. Mniej więcej tyle, ile „Wprost” tracił, „Newsweek” zyskiwał. Po kilku miesiącach między tygodnikami była już przepaść, a „Newsweek” zaczął się zbliżać do bezkonkurencyjnej od lat „Polityki”. Rok później byliśmy już na pierwszym miejscu, w następnym roku byliśmy drudzy, a w kolejnym – znowu na miejscu pierwszym.

Ale to było dużo, dużo później. Najpierw był pierwszy i drugi numer. Oba wyszły fantastycznie. W obu przypadkach sprzedaż była rewelacyjna. W żadnym z nich nie była to moja zasługa. W stu procentach był to sukces dziennikarki absolutnie wybitnej. Ja miałem tylko dość szczęścia, że akurat było to maleńkie „okienko szansy”, jak mawiają Anglicy i Amerykanie, by z nami pracowała.

Jeszcze gdy byłem we „Wprost”, usłyszałem, że rozeszły się drogi Teresy Torańskiej i „Gazety Wyborczej”. Dlaczego, nieważne. Ważne, że była nagle szansa, żeby zadzwonić do Teresy, zaproponować współpracę i modlić się, by propozycję przyjęła.

Uważam, że miałem i mam w „Newsweeku” naprawdę znakomity zespół i świetnych dziennikarzy. Ale też jestem pewien, że nikt z nich się nie obrazi, jeżeli powiem, że Teresa była w dziennikarstwie zjawiskiem odrębnym, jedynym i wyjątkowym. Nigdy nie została Dziennikarzem Roku, może dlatego, że bardziej należała się jej nagroda na przykład Dziennikarza Dekady. A

zresztą, chyba guzik ją obchodziły nagrody i fanty. Kręciły ją rozmowy. I wywiady. I książki, które pisała. Nie ma tu nawet potrzeby tłumaczyć, dlaczego rozmowy Torańskiej były wyjątkowe i specjalne. Kto czytał, to wie, kto nie czytał, niech przeczyta, to się dowie.

Teresa już wtedy, w 2011, 2012 roku, walczyła z nowotworem. Zaproponowałem więc jej najlepszy możliwy układ. - Tereso, kochana, ty jesteś gwiazdą, a ja mam się starać, żeby ci było wygodnie. Przychodzisz do redakcji albo nie, zależy to tylko od ciebie. Pisziesz, co chcesz, wywiad robisz, z kim chcesz, my to drukujemy i jesteśmy wdzięczni. Powiedz tylko, czego chcesz, miejsce parkingowe, cokolwiek.

Teresa czasem przychodziła do redakcji, co było bezcenne, bo była dobrym duchem, świetnym obserwatorem i życzliwym doradcą. Skoro z nami była, chciała, by pismu wiodło się dobrze, a więc radziła i podpowiadała.

Traf chciał, że tuż przed moim pojawieniem się w „Newsweeku” Teresa powiedziała, że ma zrobiony wcześniej wywiad z Adamem Bielanem o braciach Kaczyńskich i o Smoleńsku. Powie ktoś - też mi coś, wywiad z Bielanem. Otóż błąd. Po pierwsze - wywiad był zrobiony w czasie, gdy Bielan wyleciał spod skrzydeł Jarosława Kaczyńskiego i mówił, co chciał, z sensem i uczciwie. Problem polegał na tym, że od momentu udzielenia wywiadu minęło sporo czasu i Bielan zorientował się, że życie bez Kaczyńskiego może i jest, ale kariery nie ma. I zaczął, by opisać choreografię jego ruchów, pełzać w stronę prezesa. Mieliśmy więc problem z autoryzacją, bo jeśli Bielan chciał wrócić do Kaczyńskiego, musiał wyeliminować wszystkie sensowne słowa, które powiedział w czasie, gdy Kaczyński nie był, jak teraz, adresatem każdego wypowiedzianego przez Bielana

słowa. Bielan najpierw oznajmił Teresie, że wywiad autoryzuje, potem to odkładał, wreszcie zaczął kręcić, aż w końcu odmówił. Teresa stała na stanowisku, że skoro wywiad jest uczciwy, a jest, to polityk nie może go uznać za nieistniejący, jeśli akurat opublikowanie go przestaje mu się opłacać. Całkowicie się z nią zgadzałem. Wiedziałem jednak, że teoretycznie Bielan może oddać sprawę do sądu.

W dziale prawnym wydawnictwa postawiłem sprawę jasno. Bielan rzeczywiście może nas pozwać, ale głowę daję, że nie pozwie. Owszem, zagrozi pozwem, ale tylko po to, by móc potem mówić Kaczyńskiemu, że go zmanipulowaliśmy. Do sądu nas jednak nie poda. Po pierwsze dlatego, że przegra. Po drugie dlatego, że będzie zainteresowany tym, by Kaczyński o sprawie zapomniał i go w końcu przytulił, a nie na tym, by stale sobie o niej przypominał i być może w rezultacie go odtrącił. Główny prawnik wydawnictwa zgodził się z tymi argumentami.

Był jeszcze jeden problem. Wywiad był diabelnie długi. Miał ze 40 tysięcy znaków. W tygodnikach nikt takich długich wywiadów nie publikuje, bo to wbrew przyjętym regułom. Postanowiłem, że wywiad damy w dwóch częściach, w dwóch kolejnych numerach, i do tego za każdym razem zrobimy z tego okładkę. Sprzedaż pisma, które dopiero ma się ukazać, oczywiście zawsze jest tajemnicą, do końca nigdy nie wiadomo, czy trafi się w oczekiwania czytelników, ale w tym wypadku mieliśmy solidną rękojmię powodzenia. Dawał nam ją Adam Bielan.

Bielan całkowicie spanikował, że wywiad unicestwi jego szanse na powrót w roli syna marnotrawnego, i zaczął na całą Polskę wrzeszczeć, jaką to straszną krzywdę chcemy mu wyrządzić. Nie trzeba było nawet z nim specjalnie polemizować. Wystarczyło powiedzieć, że wywiad jest świetny, wypowiedzi poła Bielana

może nie spodobają się prezesowi Kaczyńskiemu, ale na pewno zainteresują czytelników. Trzeba obecnemu wicemarszałkowi Senatu oddać, że w sprzedaż pierwszego numeru pod moją redakcją zaangażował się rzeczywiście całym sercem. I jak przystało na prawdziwego fachowca – osiągnął spektakularny sukces. Świetna sprzedaż dwóch kolejnych numerów, i to na starcie mojej kadencji, naprawdę nie można było prosić o więcej.

Pięć lat wcześniej poseł Bielan spędził sporo czasu, antyszambrując w imieniu pana Kaczyńskiego w Polsacie i stając na głowie, by mnie tam utracić. W sumie udało się. Nigdy nie pamiętałem, żeby mu za to podziękować. Za jego wkład w zwodowanie „moich” pierwszych dwóch numerów „Newsweeka” też nigdy mu nie podziękowałem. Robię to tutaj. Aha, zapomniałbym. Adam Bielan nigdy nie pozwał nas do sądu.

Redaktor naczelny, w sensie prawnym, ponosi oczywiście odpowiedzialność za wszystko, co się w piśmie ukazuje. Czasem przybiera to wymiary kuriozalne, ale wciąż zrozumiałe. Ponieważ wymiar sprawiedliwości zakłada ciągłość instytucji, gdy ktoś wytacza proces pismu w czasach, gdy redaktorem był X, często wygrywa ten proces, gdy naczelnym jest Y albo Z. Zdarzało mi się więc kilkakrotnie po przegranych przez pismo procesie przeproszać na łamach za teksty, które publikowali moi poprzednicy. Zdarzało się nawet, że przepraszałem za teksty, których sam nigdy bym nie opublikował, a nawet za takie, z którymi publicznie polemizowałem. Cóż, takie są reguły gry. Kiedyś ktoś będzie pewnie przepraszał za teksty, które do druku puszczam ja.

Odpowiedzialność naczelnego nie powinna jednak oznaczać, że ma on prawo ingerować w treść wszystkich artykułów. Nie

odmawiam tu naczelnym, a więc i sobie, prawa do redakcji i poprawek. Ale i nie przyznaję sobie prawa do ingerowania w czyjeś poglądy. Szczególnie w poglądy publicystów, komentatorów czy felietonistów. Jest coś takiego jak linia pisma i choć zwykle nie jest spisana ani narysowana, mniej więcej wszyscy wiedzą, gdzie przebiega, i starają się ją respektować. Jeśli piszą konsekwentnie wbrew linii, powinni odejść albo trzeba się z nimi pożegnać. Ale to sytuacja skrajna. Codziennosc, albo raczej „cotygodniowosc”, wygląda inaczej. Autorzy piszą, ja czasem zgrzytam zębami, ale drukuję. Nie zawsze oczywiście to, co się publikuje, podoba się czytelnikom albo samym zainteresowanym, dokładniej, opisywanym. Ci mogą wtedy napisać sprostowanie albo podać nas do sądu. Czasem można próbować wybić im to z głowy.

Któregoś dnia, po felietonie Marcina Mellera, w którym kpił on niemiłosiernie ze Stefana Niesiołowskiego, dowiedziałem się, że Niesiołowski chodzi po mieście i odgraża się, że poda nas do sądu. Niby procesy to kłopot wydawnictwa i działu prawnego, a nie mój, ale to także ja w końcu muszę zeznawać, a w razie przegranej – przeproszać. A kto lubi przeproszać, gdy przeprosiny wrywają mu z gardła. Sam zadzwoniłem więc do pośła Niesiołowskiego, by go „rozmasować”.

- Panie pośle, słyszę, że chce nas pan podać do sądu, no przecież to bez sensu.

- A czytał pan, co napisał ten cały Meller? To oburzające, to jakaś kpina.

- No tak, czytałem, ale napisał to w swoim felietonie.

- To pan puszcza je do druku.

- No niby tak, panie pośle, ale jakbym reagował za każdym

razem, na przykład zdejmując tekst, gdy coś mi się nie podoba, to żadnego felietonisty bym nie miał.

- Tak? A ja uważam, że Mellera powinien pan wywalić.

- Rozumiem, ale nie mogę go wywalić.

- A Sokorski by mógł. (Przypomnijmy - Włodzimierz Sokorski to najważniejszy propagandysta z czasów Gomułki).

- Sokorski pewnie tak, ale ja nie jestem Sokorskim.

- A szkoda.

Prawda, że urocza wymiana zdań? Stefan Niesiołowski w końcu przyjął moje argumenty. Głównie jeden. I on, i my mamy wystarczająco wielu wrogów, bardzo często jest to zbiór wspólny, więc mamy już dość procesów i problemów, a poza tym nie ma co dawać wrogom satysfakcji. Szczególnie wspólnym.

Już wcześniej bałem się, że praca w „Newsweeku” może być rysą na moich relacjach z Jackiem Żakowskim, który od dziewięciu lat prowadził poranki w Tok FM, i z Wiesławem Władką. Obaj pisali i piszą do „Polityki”, a Wiesław jest nawet w ścisłym kierownictwie redakcji. Za wszelką cenę chciałem uniknąć spięć, ale czasem naprawdę niewiele trzeba. Ktoś powie jedno zdanie, ktoś odpowie, od słowa do słowa robi się spięcie, potem kwas i przestaje być miło. Wystarczy spojrzeć na polski rynek prasowy, by zorientować się, że antagonizm jest właściwe standardem. A często ten antagonizm nazywa się po prostu „nienawiść”. „New York Times” od wielu dziesięcioleci rywalizuje z „Washington Post”, czasem oczywiście ze sobą polemizują, ale nigdy nie toczyły wojny, próbując zniszczyć konkurenta. Gdy jeden albo drugi tytuł wpadał w tarapaty, zaliczał wpadkę albo jakiś skandal, konkurencja się na pewno nie smuciła, ale nikt nie pozwoliłby sobie na publiczne drwiny i kopanie leżącego. Z szacunku dla

rywala i dla siebie. Jak w sporcie. Szacunek dla rywala jest obowiązkiem. Jeśli go nie szanujesz, to także zwycięstwo nad nim nie jest wielkim sukcesem, brak szacunku dla oponenta jest więc umniejszaniem samego siebie.

W ciągu prawie dekady moich „konkurencyjnych” relacji z „Polityką”, może poza drobnymi, ale umiarkowanymi uszczypliwościami, nikt nie przekroczył zasad fair play. Oczywiście, że się ze sobą ścigaliśmy, na naszych kolegiach zwykle ocenialiśmy, że nasz numer jest lepszy niż ich, w czym – jak donoszą znajomi – była między nami a „Polityką” pełna symetria. Ale od kilkadziesiąt lat jestem czytelnikiem „Polityki”, lubię to pismo, szanuję jego autorów, a wielu osobiście lubię, więc niby dlaczego zamiast normalnej, zdrowej rywalizacji mielibyśmy popadać w stan jakiejś zimnej wojny. Zwykle za sukces ludzie poczytują sobie coś, co się zdarzyło. Czasem jednak całkiem sporym sukcesem jest fakt, że coś się nie zdarzyło. Relacje „Wprost”, a potem „Newsweeka” z „Polityką” były wzorcowe, a wyścig między pismami w żaden sposób nie przełożył się na moje relacje z Jackiem i Wiesiem. Respektowaliśmy po prostu pewien niepisany kod. O konkurencji, nawet w rozmowach prywatnych, nie mówimy, chyba że chcemy ją pochwalić.

Dzięki Bogu, że tak wyszło, bo nie ukrywam, że piątkowe poranki uwielbiam. Po ponad 15 latach częściowo regulują mi one zegar biologiczny, tak że gdy jestem na przykład na wakacjach, budzę się jak w każdy piątek o 6.30, jakbym miał jechać do radia.

15 lat. Jeśli pomnożyć to przez liczbę tygodni, nawet odejmując tych kilka piątków w roku, które opuszczamy, wychodzi, że z Jackiem, Wiesławem i Tomkiem Wołkiem mieliśmy ponad 700

randek. Spokojnie możemy powiedzieć, że to jeden z najtrwalszych związków w polskich mediach.

Na pytanie, skąd się ten kwartet wziął, a dokładniej, dlaczego Jacek dobrał sobie akurat takich rozmówców, odpowiedź brzmi: trochę przez przypadek. Zresztą, jak po latach przyznał Jacek, na początku w radiu mieli wątpliwości, czy ten skład to dobry pomysł, tak jak zastanawiali się na przykład, czy ktoś, kto jak ja przez kilkanaście lat był dziennikarzem newsowym, nada się na komentatora. Może do dziś mają w tej kwestii wątpliwości, ale jakoś się nimi nie dzielą. W każdym razie nie ze mną.

Nie pamiętam też dokładnie, kiedy Jacek ochrzcił nas trzódką, ale się przyjęło. Trzódka jest jak stare małżeństwo. Znamy swoje nawyki i słabości. Rytm tego poranka jest ten sam od lat. Pierwszy do siedziby Tok FM, czyli siedziby Agory, która wydaje „Gazetę Wyborczą”, przyjeżdża taksówką Tomek Wołek. Drugi przyjeżdżam ja, ale nie wysiadam z samochodu, czekając, aż podjedzie Wiesław. Jeśli Jacek ma akurat bardzo interesującego gościa, to obaj słuchamy jego rozmowy w swoich samochodach. Ale o tym decyduje Wiesław. Gdy wychodzi z samochodu, wychodzę i ja. Witamy się i jak zawsze zaczynamy od takich chłopackich, chyba niespecjalnie mądrych, ale bardzo sympatycznych gadek. Kiedyś przed audycją, w czasie każdej przerwy i po programie, staliśmy przed wejściem do budynku i paliliśmy w trójkę papierosy (w trójkę, bo Wiesław nie pali). Od czasu, gdy i ja rzuciłem palenie, Jacek i Tomek biegają w tę i nazad, a my z Wiesławem nawet na moment nie wychodzimy ze studia.

Po programie też mamy swoje rytuały. Jacek i Tomek oczywiście na fajkę, Wiesław i ja na kawę i sprzedawany w kawiarni Agory napój o nazwie Detoks. Co ten detoks

z organizmem robi, nie wiadomo, ale nazwa sugeruje, że go oczyszcza, a my tej sugestii chętnie się poddajemy.

Wbrew temu, co niektórzy mówią, w wielu sprawach naprawdę się w naszym gronie nie zgadzamy. W 2003 roku toczyłem z Jackiem na antenie spory w sprawie wojny w Iraku. Potem było spokojniej, a w ostatnich latach znowu się spieramy na linii, powiedzmy, lewica - liberalizm, głównie o gospodarkę. Oczywiście, czasem robimy to dla sportu i dla słuchaczy, nie raz i nie dwa wyostrzając własne stanowisko.

Niektórych słuchaczy ta nasza generalna zgodność może irytować. Nas nie. Bo rzeczywiście, chociaż w wielu sprawach się różnimy, nie ma w sumie niezgody co do fundamentów. Inaczej możemy oceniać na przykład działania opozycji, ale nie toczymy sporu, czy PiS dokonał w Polsce zamachu na państwo prawa, czy też nie. Bo też właściwie po co mielibyśmy się o to spierać, skoro wiadomo, że dokonał. Spory, różnice zdań i polemiki mają sens, ale prawdę mówiąc, jako widz i słuchacz nie przepadam za programami, w których pluralizm polega na tym, że obok dwóch osób myślących racjonalnie, zapraszamy kogoś, kto w chęci obrony PiS jest w stanie zaprzeczyć nawet najbardziej oczywistym faktom. Ewentualnie, komentując najbardziej ordynarne poczynania władzy, buduje niemądrą symetrię między tym, co robi PiS, a tym, co robili jego poprzednicy. Po diabła miałbym słuchać audycji, której sens sprowadza się do desperackich prób wytłumaczenia delikwentowi, że $2 \times 2 = 4$, które i tak nic nie dają, bo impregnowany na rzeczywistość delikwent twierdzi, że 7 - łamanie konstytucji nie jest łamaniem konstytucji, TVP nie jest ordynarną telewizją partyjną, w Smoleńsku może był zamach, a może katastrofa, i takie tam. Słuchanie tego uważam po prostu za stratę czasu. Ale jest w końcu w Tok FM pluralizm

i pięć dni w tygodniu. Dla każdego coś miłego.

Jak długo ten nasz kwartet albo tercet pod batutą Jacka będzie grał, nikt nie wie, nie zależy to przecież tylko od nas. Poza wszystkim razem mamy, co obliczyłem, 270 lat i ktoś może wreszcie dojść do wniosku, że należy nam dać odpocząć. A co sądzimy o tym my sami? Nie mam wrażenia, że któryś z kolegów się nudzi. A gdyby zespół miał być siłami natury zdekompletowany? Kiedyś o tym gadaliśmy. Ktoś rzucił wtedy (chyba ja), że w innym składzie to nie byłoby już to samo i trzeba by się rozwiązać. Zresztą nie ma o czym gadać. Jak mawiają Brytyjczycy – przekroczyliśmy ten most, kiedy do niego dojdziemy. W tym przypadku powinno to brzmieć trochę inaczej – przekroczą go ci, którzy do niego dotrą.

Serdeczne, sympatyczne, życzliwe relacje nie są w środowisku dziennikarskim normą, ujmijmy to w ten sposób. Do tego jest w tej branży, może zresztą w każdej, jak z tą małpą, o której kiedyś mówił Andrzej Olechowski. Im wyżej wchodzi na drzewo, tym tyłek ma bardziej odkryty i tym więcej jest chętnych, żeby ją w ten tyłek walnąć. Do tej naturalnej i ogólnoludzkiej prawidłowości gdzieś od 2005 roku doszedł fenomen wewnątrzpolski. Politycznej wojnie zaczęła towarzyszyć wojna mediów i wojna dziennikarzy.

Darujmy sobie tu na moment pytanie z piaskownicy: kto zaczął? Dziś chyba nawet bardziej z rozbawieniem niż z rozrzewnieniem wspominam, jak Bronisław Wildstein pisał w „Rzeczpospolitej” przy okazji Charkowa, i to nie tylko komentarze, w których podkreślał moje starania, by słowo w Polsce było wolne. Albo nasze wspólne publiczne występy z Krzysztofem Skowrońskim, w których ostrzegaliśmy przed

zagrożeniami, jakie dla rynku medialnego stanowią SLD i zdominowana przez ludzi tej partii Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Jeszcze w okolicach 2007 roku, będąc na przykład z Wildsteinem absolutnie świadomi wszelkich różnic między nami, potrafiliśmy ze sobą polemizować w jednym programie. Dziś najprawdopodobniej obaj uznalibyśmy to za całkowity nonsens.

Od mniej więcej dekady mam już doskonale rozpoznanych swych medialnych oponentów. Wiem, kto będzie do mnie strzelał, z jakiej broni i w którym momencie. To w sumie gra znaczonymi kartami. Kiedyś specjalizowali się w tym ludzie z „Dziennika” i „Super Expressu”, potem „Gazety Polskiej”, „Uważam Rze”, „Do Rzeczy” i „wSieci”, dziś ludzie ze wszystkich prawicowych, a tak naprawdę PiS-owskich mediów. Bo ci, którzy przez lata nazywali sami siebie niepokornymi i o których wiadomo było, że niepokorni owszem są, ale wyłącznie wobec ówczesnej władzy, dziś dają dowody absolutnej pokory wobec swych partyjnych i politycznych sojuszników. Przez lata wspierali PiS, by mieć udział w podziale stanowisk i pieniędzy. Gdy PiS wygrał i ten udział mają, dalej wspierają partię, żeby korzyści nie stracić. Niezłomność w cudowny sposób wyparowała, a zastąpiła ją gotowość obrony ulubionej partii w każdej sytuacji, w każdych okolicznościach, bez zważania na fakty i elementarną przyzwoitość.

Jest rzeczywiście irytujące, gdy na prawicowym portalu albo w prawicowym tygodniku 150. raz czytam o tym, jak to z pogardą wypowiadałem się o widzach. W marcu 2010 roku odbyła się na Uniwersytecie Warszawskim jakaś dyskusja panelowa na temat mediów. W swoim wystąpieniu mówiłem, że czasem mam wrażenie, iż wiele redakcji funkcjonuje tak, jakby za swą dewizę uznały słowa, które często słyszałem w „Wiadomościach”, gdy zaczynałem w nich pracę: „Ludzie nie są tacy głupi, jak nam się

wydaje, są dużo głębsi”. Polemizowałem też z tymi, którzy uważają, że widzowie nie pozwolą na to, by traktować ich poważnie, w związku z czym serwują im jakąś łatwostrawną papkę. W kolportowanym potem przez lata zmanipulowanym filmiku z tej konferencji moje słowa krytyki wycięto, a wypowiedzi, z którymi polemizowałem, uczyniono moimi własnymi. Ponieważ propagandziści mają swoją tezę i swoją robotę do wykonania, bez końca można powtarzać, że doszło do ordynarnej manipulacji, a nawet zamieścić w internecie film pokazujący oryginalne wystąpienie i to, jak je zmanipulowano. A potem i tak 160. i 198. raz czyta się to, co wcześniej.

Tu nie ma żadnych reguł, więc uderzeniom we mnie towarzyszą także uderzenia w moich bliskich. Kilka lat temu w „prawicowym internecie” zaczęto kolportować dezinformację, że pochodzę, ze strony ojca, z rodziny jakiegoś białoruskiego enkawudzisty, który przemaszerował do Polski z Armią Czerwoną, a potem był katem polskich patriotów. Akcja była zupełnie niespontaniczna i bardzo metodyczna. Te brednie w którymś momencie wylądowały nawet w moim życiorysie w Wikipedii. Także w takim przypadku walka z tymi bzdurami jest w dużym stopniu nieskuteczna. Można powtarzać w nieskończoność, że od jakichś trzech stuleci rodzina ze strony ojca mieszka w Wielkopolsce i jako żywo żadnego Białorusina, tym bardziej Białorusina z NKWD, wśród moich przodków nie było. Któż przejmowałby się prawdą? Przecież wrogowie prawicy z założenia są wrogami ojczyzny, więc robimy z nich resortowe dzieci albo zabójców polskich patriotów. Sam lustracyjny autorytet, Bronisław Wildstein, napisał w swoim czasie, że jednak nie jestem resortowym dzieckiem. Nie wiem, czy powinienem być wdzięczny. Niby dobrze, że to powiedział, ale czy ja do cholery potrzebuję

świadectwa moralności z jakiegoś urzędu czystości patriotycznej?

À propos owego Białorusina, Stiepana Lisienki, który miał być moim przodkiem, najbardziej poirytowana była moja mama, bo życiorys mojego ojca tak sfastrygowano, by zrobić z Lisienki mojego dziadka, że nagle wyszło tak, jakby mój ojciec był rówieśnikiem mamy, choć był od niej dziewięć lat starszy. Łatwo zrozumieć, że dla kobiety nie była to kwestia nieistotna.

Moi rodzice czy moje dzieci zawsze umieli zachować do tej nagonki, na ile to możliwe, zdrowy dystans, choć czasem, i to było najgorsze, niektóre ciosy były dla nich bolesne. Dzieci mogą dobrze wiedzieć, co się w Polsce dzieje i kto jest kim po stronie wrogów ojca, a jednak przeżywają solidny szok, gdy w kiosku ruchu widzą na okładce prawicowego tygodnika swego ojca w mundurze SS, trzymającego w zakrwawionej ręce różaniec – sugestia, że jestem, nie wiem, zabójcą księży? Tytuł: „Prawie jak Goebbels”. Intrygujące, biorąc pod uwagę działalność propagandową braci Karnowskich, że takim tytułem próbowali oni opisać kogoś innego.

Z perspektywy czasu rok 2012 nie jest dla mnie jednak przede wszystkim rokiem debiutu w „Newsweeku”. Najważniejszym wydarzeniem było dla mnie piłkarskie Euro i nie mówię tylko o piłce. Miałem nadzieję, a potem wrażenie, że jest to wydarzenie zmieniające Polskę. Na oczach całej Europy potrafiliśmy się zmobilizować, wykonać wielką pracę i stworzyć na ogromnej imprezie fantastyczną atmosferę. W czasie mistrzostw świata byłem, jak już pisałem, w Niemczech. Światowa prasa pisała wtedy, że Niemcy, przez kilkadziesiąt powojennych lat strasznie skrępowani wstydliwą przeszłością, w końcu odzyskali radość z flagi i z tego, że są Niemcami.

Radości z flagi akurat my odzyskiwać nie musieliśmy, ale odnaleźliśmy w końcu radość z tego, ile zrobiliśmy i kim jesteśmy. W następnych latach, tych po Euro, słyszałem wielokrotnie od przedstawicieli ówczesnej opozycji, która potem została władzą, że druga strona, czyli niby my, w gruncie rzeczy nie lubi, a może nawet pogardza tak zwanymi januszami. Rozumiem, że trzeba nieustannie wbijać ludziom do głowy, że my jesteśmy fajni i was kochamy, a tamci są niefajni i wami gardzą, więc koniecznie popierajcie nas, bo oni chcą waszej krzywdy. Rozumiem to, ale czasem irytuje mnie duża skuteczność tej prostackiej propagandowej operacji. A jej fundamentem jest wredna insynuacja. Bo jeśli byłem tak zachwycony w czasie Euro, to nie tylko i nie przede wszystkim stadionami, autostradami i hotelami, ale nastrojem. Tymi tysiącami świetnie bawiących się ludzi na stadionach, w strefach kibiców i właściwie wszędzie. Zachwył był tym większy, że turniej naszej drużynie nie wyszedł, a atmosfera święta nie mijała. Pamiętam wielkie wzruszenie w czasie uroczystości otwarcia mistrzostw na Stadionie Narodowym i eksplozję dzikiej radości, gdy Robert Lewandowski strzelił Grekom pierwszą (jak się potem okazało pierwszą z dwóch) bramek na turnieju. Ale najbardziej utkwił mi w pamięci powrót z Narodowego po półfinale Niemcy-Włochy. Piękny, ciepły czerwcowy wieczór, kilkadziesiąt tysięcy ludzi z wielu krajów spacerowym krokiem idących po moście Poniatowskiego w stronę Śródmieścia. A może to tylko moje wrażenie, że ten czas był nieformalnym świętem 23-lecia wolnej Polski? Być może. Moje córki do dziś powtarzają, że w tamtych dniach było w Polsce cudownie, nadzwyczajnie, jak nigdy przedtem i potem. Szczególnie potem.

Niemal dokładnie w momencie, gdy zaczynałem pracę w „Newsweeku”, ruszał portal Natemat.pl. Gdyby ktoś mnie zapytał, skąd pomysł, odpowiedziałbym szczerze - z pragnienia, by mieć w mediach coś do końca albo prawie do końca swojego. Miałem za sobą już ponad 20 lat w mediach i jakieś tam sukcesy. W tym czasie zarabiałem na początku tak sobie, potem dobrze, bardzo dobrze, a nawet świetnie. Ale za każdym razem uczestniczyłem w przedsięwzięciach z biznesowego punktu widzenia cudzych. Za każdym razem ryzykowałem więc, że gdy moje zadanie zostanie, i to z sukcesem, wykonane, usłyszę *adieu*. I kilka razy słyszałem. Nie mam pretensji do właścicieli mediów o to, że kierowali się chęcią zysku. Irytują mnie zresztą niemądre teksty o medialnych baronach, którzy śpią na pieniądzach, bo samo się robi, to znaczy my na nich pracujemy. Naprawdę może tak gadać tylko ktoś, kto nigdy nie prowadził żadnego interesu i nie miał żadnej firmy. A czy się ma małą piekarnię, wielką telewizję, czy stawiający pierwsze kroki portal, stres zawsze jest ogromny. Twoje pieniądze, twoi pracownicy, twoja odpowiedzialność. Twój zysk, ale jeśli się nie uda - twoja strata.

Portal chciałem stworzyć już wiele lat wcześniej, ale nie miałem szczęścia do partnera biznesowego. Trafiłem na mieszkającego w Polsce Hindusa, który pracował w branży, powiedzmy, spokrewnionej z IT. Do tego miał, jak twierdził, pojęcie o finansach. Gdy jednak zaprezentował projekt budżetu portalu, niemal spadłem z krzesła. 16 milionów? Na początek? Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, ile razy mniej wystarczy na start portalu, ale to, że suma jest z sufitu, wiedziałem od początku.

No dobrze, ale w końcu mój partner - finansista - ma te pieniądze załatwić, więc postanowiłem poczekać, jak mu pójdzie.

Po dwóch miesiącach efektów nie było, dał mi za to telefony ludzi, z którymi to ja miałbym porozmawiać o finansowaniu. Aha, haczykiem miało być moje nazwisko, ja miałbym zorganizować pieniądze, ja miałby ruszyć z portalem i go rozwijać, a poza tym udziały w spółce byłyby podzielone po połowie. Gdyby natomiast przedsięwzięcie padło, 90 procent kłopotów finansowych i 100 procent wizerunkowych spadłoby na moją głowę. O nie, tak się bawić nie będziemy. I jako się rzekło, plan na kilka lat zawisł na kołku. Do momentu, gdy postanowiłem spróbować z moim – jak to brzmi – nowym partnerem. Nowym partnerem, za to już starym znajomym. Poznaliśmy się, oglądając wspólnie jakiś mecz. Postanowiliśmy wtedy sprawdzić, kto się lepiej zna na piłce i jest w stanie wymienić Holendrów i Niemców, którzy zagraли w finale piłkarskich mistrzostw świata w 1974 roku. W tamtym finale wygrali Niemcy. W naszym był remis.

Roberta Jędrzejczyka znałem od lat. Jest prawnikiem i pracuje z biznesmenami i dla biznesmenów oraz wielkich firm, ale przynajmniej wtedy był partnerem we francuskiej kancelarii prawniczej, w jej warszawskim oddziale. O zdolnościach biznesowych Roberta nie wiedziałem nic, ale wszystko wiedziałem o tym, co na starcie jest równie ważne, a może nawet ważniejsze. Jest człowiekiem absolutnie uczciwym i solidnym. Mogliśmy więc spisać umowę, która zakładała, że niezależnie od udziałów, które mieliśmy, wszystkie ważne decyzje podejmujemy wspólnie. Czyli w razie złej woli albo konfliktu następuje całkowity paraliż firmy. W ciągu siedmiu lat nie doszło do ani jednej różnicy zdań, z którą nie moglibyśmy sobie poradzić w kwadrans.

Większość ludzi, którym o naszym pomysle mówiliśmy, reagowała sceptycznie. Nie mam pretensji. W sumie zmusiło to

nas tylko do poważniejszego przemyślenia niektórych szczegółów projektu.

Portal informacyjny bez wielkiego wsparcia finansowego, startujący na już bardzo konkurencyjnym rynku, to rzeczywiście mogło rodzić sceptycyzm, niekoniecznie wynikający ze złej woli. A nawet gdyby ze złej, co za różnica. Prawdę mówiąc, nie bardzo przypominam sobie jakiegokolwiek moje nowe przedsięwzięcie, projekt czy zadanie, przy którym nie słyszałbym, że na pewno mi się nie uda. Miało mi się nie udać w „Wiadomościach”, miałem nie dać rady jako sprawozdawca parlamentarny, robota korespondenta w Ameryce miała mnie przerastać, kierowanie programem informacyjnym też, publicystyka miała być powyżej mojego progu możliwości, podobnie z książkami, pisaniem felietonów, funkcjami naczelnego tygodników. Teraz było po prostu tak samo. Ze sceptycyzmem czy złośliwościami konkurencji i nieżyczliwych nigdy nie miałem problemu. W końcu naprawdę ciężko wymagać od tych, którzy ci źle życzą, by dodawali ci sił i motywowali. A złe życzenia w sumie doładowywały mi baterie jak mało co.

W przypadku Natemat.pl znałem zresztą skalę trudności. I z góry powiedziałem Robertowi, że jest sens ruszać z tym projektem wyłącznie wtedy, jeśli jego szefem zgodzi się zostać konkretna osoba, której nazwisko miałem w głowie. Uważałem, że podjąć się tego zadania może z dobrym skutkiem wyłącznie Tomasz Machała. Facet jest diabelnie ambitny, idzie jak przecinak, nienawidzi porażek, a poza tym miał już swoje małe przedsięwzięcie internetowe, więc rozumiał, o czym dokładnie myślimy i co planujemy.

Tomasz Machała ma w sobie coś z cyborga, o czym zresztą wie. Pewnie nie zawsze i dla wszystkich musi to być atut, ale dla

nas był. Wiedziałem po prostu, że szefem projektu, w który inwestujemy własne ciężkie pieniądze, które moglibyśmy wydać na przykład na mieszkania dla swoich dzieci, nie może zostać ktoś, kto będzie się mazał i załamywał, gdy coś będzie szło nie tak, ale zaciśnie zęby i będzie zasuwał trzy razy ciężiej. Nos nas nie oszukał.

Nie wiem, ile powstaje w Polsce co roku różnych internetowych przedsięwzięć. Wiem, że wiele. I że większość pada mniej więcej po roku. Takiej opcji nie przewidywaliśmy, choć wiedzieliśmy, że może być krucho.

W sumie krucho zaczęło być niebezpiecznie szybko. Dość powiedzieć, że po roku z okładem trzeba było znowu bardzo głęboko sięgnąć do kieszeni. W którymś momencie nie tylko po to, by mieć pewność, że okręt wypłynie w końcu na szerokie wody, ale żeby były pieniądze na wypłaty pod koniec miesiąca. Za żadne skarby świata nie chcieliśmy doprowadzić do sytuacji, w której ktokolwiek dostał pensję choćby z 24-godzinnym opóźnieniem. Udało się.

W lipcu 2012 roku opublikowaliśmy w „Newsweeku” tekst Cezarego Łazarewicza o ojcu braci Kaczyńskich, po którym to tekście moje relacje z PiS radykalnie się zmieniły. Prawdopodobnie dlatego, że tekst był prawdziwy.

„Był szczupły, niezbyt wysoki, cichy i lekko stłamszony”, pisał o Rajmundzie Kaczyńskim Łazarewicz. Pisał o tym, jak ojciec braci walczył w Powstaniu Warszawskim, w którym stracił palec, jak później pracował na Politechnice Warszawskiej, na której wielkiej kariery jednak nie zrobił. Oczywiście najwięcej emocji wzbudziły fragmenty dotyczące domu i rodziny Kaczyńskich oraz relacji Rajmunda z mamą braci, Jadwigą Kaczyńską, która miała

mówić koleżankom, że nie był to mężczyzna jej marzeń. Najbardziej interesujące było oczywiście to, co bezpośrednio lub pośrednio odnosiło się do braci. Na przykład taki fragment: „Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego wokół matki, która nie brała nawet udziału w powstaniu, bracia stworzyli legendę wojenną, a o ojcu zapomnieli”, mówiła jedna z przyjaciółek pana Rajmunda.

Sprzyjające PiS media rzuciły się na nas, jakbyśmy naruszyli jakąś świętość. A my opublikowaliśmy po prostu ciekawy tekst. Czy o czyjejs rodzinie powinno się pisać, nawet jeśli jest to osoba publiczna? Ale to sami bracia Kaczyńscy zrobili ze swojej matki osobę publiczną. To oni wielokrotnie o niej opowiadali, wychwalając jej zalety i zasługi. Nie było nigdy w Polsce polityka, który o kimś ze swoich rodziców mówiłby tak dużo. Więcej – kto naprawdę stawałby na głowie, by w oczach publiczności wykreować niemal mityczny obraz rodzica i jego zasług. Sytuacja staje się tym ciekawsza, gdy drugi z rodziców jest niemal całkowicie pomijany milczeniem, a jego rzeczywiste zasługi są niejako przeniesione na rodzica drugiego.

Wściekłość prezesa i złość w PiS i okolicach mógł rzeczywiście wzbudzić jeden z cytatów z Rajmunda Kaczyńskiego: „Niech Bóg chroni Polskę przed moimi synkami, narwańcami”. Nikt oczywiście nie podniósł głośno zarzutu, że cytat jest nieprawdziwy. Z prostego względu. Był prawdziwy.

Oczywiście prywatna sfera osób publicznych nie przestaje być całkowicie prywatna dlatego, że stają się one publiczne. Ale w przypadku przywódców bywa inaczej. W Ameryce napisano bardzo wiele książek o stosunkach małżeńskich rodziców Billa Clintona, a także o relacjach między ojcem a matką Baracka Obamy. Podobnie we Francji – w przypadku rodziców Nicolasa

Sarkozy'ego. Nikt nie twierdził w tych krajach, że naruszono prywatność polityków, tego zarzutu nie stawiali także oni sami. A dziennikarze opisywali te kwestie, bo czasem to one dają klucz do duszy polityka.

Kilka dni po opublikowaniu tekstu wiedziałem już, że żaden polityk PiS do mojego programu nie przyjdzie. Jak długo potrwa bojkot? Skoro sprawa dotyczyła Jarosława Kaczyńskiego, bojkot musiał zarządzić on sam. A jeżeli tak, to należało zakładać, że będzie on bezterminowy, czyli na zawsze. Przecież wiadomo, że żaden człowiek w PiS nie jest zdolny do zrobienia czegokolwiek wbrew jego woli.

Jeśli idzie o zawartość programu, ten bojkot wcale mnie nie martwił. Był czas, jeszcze przed katastrofą smoleńską, gdy z politykami PiS można i warto było na wizji rozmawiać. Potem jednak zaczęli się zachowywać tak, jakby w komplecie najedli się szaleju. Całkowicie stracili zdolność i gotowość do podjęcia merytorycznej dyskusji. Zamiast tego serwowali głupie zaczepki wobec oponentów, nie słuchali pytań, ignorowali padające argumenty i odpowiadali, co im się podobało, w związku z dyskusją albo bez związku z nią. W którymś momencie wszystkie te rozmowy straciły jakikolwiek sens. Oczywiście gdyby powiedzieć politykom PiS, że łamią elementarne reguły gry, na złość nie wysłaliby do programu nikogo, a potem darliby się wniebogłosem, że prowadzący nie jest obiektywny.

Nawiasem mówiąc, zdecydowana większość programów do tych narzucanych przez PiS reguł stosuje się do dziś. PiS jest więc na specjalnych prawach, które sam określił i sam egzekwuje. Sytuacja jest wybitnie amoralna, daje bowiem politykom tej partii całkiem sporo kontroli nad tym, co się pojawia także w zupełnie niezależnych mediach. Ponieważ PiS robi kłopoty z gośćmi,

a potrafi też ogłosić bojkot jakiegoś programu, wielu jest wobec niego wybitnie ostrożnych.

Po wakacjach 2012 roku z gośćmi z PiS ja już programu nie miałem. A jakichś polityków prawicy jednak w programie gościć musiałem. W każdym razie w publicznej telewizji. Tu z opresji wybawił mnie Zbigniew Ziobro. Ponieważ rok wcześniej wyszedł z PiS i stworzył Solidarną Polskę, ogłaszając wszystkim, że prawica z Kaczyńskim na czele nie ma przyszłości, było kilku znanych polityków prawicy, którzy mogli przychodzić do programu, gdy tego chcieli, a nie wtedy, gdy dostali na to zgodę centrali. Oznaczało to jednak solidną nadreprezentację kilku osób - Zbigniewa Ziobry, Jacka Kurskiego, Beaty Kempy, Tadeusza Cymańskiego i Marzeny Wróbel. Gdy kilka lat później zegnałem się z TVP, postanowiłem sprawdzić, kto przez minionych osiem lat był moim gościem najczęściej. Okazało się, że bezapelacyjnie Jacek Kurski. Jeśli więc prezes Kurski, który nadzoruje wyjątkowo perfidną i odrażającą maszynę propagandową, na zarzuty, że źle traktuje opozycję, odpowiada, że kiedyś TVP źle traktowała prawicę, w tym jego samego, proszę mu nie wierzyć. Nikt nie traktował go lepiej. A już ja traktowałem go nadzwyczajnie. I co w rewanżu? Żadnej wdzięczności.

Platforma Obywatelska wygrała drugą kadencję, ale gdy już się to stało, można było odnieść wrażenie, że tak bardzo zmęczyła się walką o wyborcze zwycięstwo, że brakuje jej sił na rządzenie. Z miesiąca na miesiąc coraz bardziej rzucały się w oczy jakiś marazm, brak pasji, energii, brak planu, brak nowych ludzi i brak pomysłu. Rządzenie to jednak coś więcej niż administrowanie. Nie wszystko, co rząd PO-PSL robił, mieściło się w tej kategorii, ale coraz trudniej było znaleźć rzeczy, które poza tę kategorię by

wykraczały. Rząd sprawiał wrażenie, jakby jechał z rozpędu i był na jałowym biegu.

Totalna, demagogiczna i paskudna propaganda prawicowych mediów skierowana przeciw Platformie i rządowi stwarzała pewne dylematy. Trudno było się dołączać do nagonki, w której Komorowski czy Tusk nie byli już zasługującymi na ewentualną krytykę politykami, ale narodowymi zdrajcami, których należało pogrążyć i podeptać. Ale my, powiedzmy, liberalne, czy jak mawiali na prawicy, mainstreamowe media, nie mogliśmy się przecież zwolnić z naszych obowiązków, czyli z obowiązku krytykowania, gdy było za co krytykować.

Tu pojawia się oczywiście w mediach sytuacja asymetryczna. Prawicowe media wspierają PiS, pomagają mu i działają jak pas transmisyjny władzy. Media liberalne na coś takiego nie mogą sobie pozwolić, bo nie znieśliby tego nasi czytelnicy i widzowie. W prawicowych tygodnikach mogli na przykład pisać o mnie non stop, a ja nie chciałem i nie mogłem się zrewanżować tym samym. Kto z naszych czytelników chciałby czytać co tydzień o panach Karnowskim, Ziemkiewiczu czy Semce. Prawda? No właśnie. Już tu mamy więc dysproporcję. A najważniejsza dotyczy czegoś innego. W tytułach prawicowych czytelnik nie znajdzie krytycznych tekstów na temat PiS. W liberalnych znajdzie zaś całą masę krytycznych o opozycji wobec PiS. Czy ktoś widział w „Gazecie Polskiej”, w „Do Rzeczy” albo we „wSieci” materiał śledczy, który uderzałby w PiS? Nie. We „Wprost” czy w „Newsweeku” takie materiały były często. Prawicowcy, którzy cytują na przykład dane o przelotach Donalda Tuska do Gdańska i z powrotem w czasach, gdy był premierem, wolą oczywiście nie wspominać, że tekst z dokładnymi informacjami na ten temat ukazał się w „Newsweeku”. Tusk obrywał więc z obu stron.

Podobnie jak dziś z obu stron często obrywa Schetyna, podczas gdy Kaczyński przez jednych jest wprawdzie krytykowany, ale za to przez drugich przedstawiany jako bóstwo.

Było więc tak, jak być musiało. Nie mogliśmy zrezygnować z krytyki Donalda Tuska i jego rządu tylko dlatego, że druga strona uważała, że zasługuje on na dyby, łamanie kołem, a najlepiej na szubienicę. Trzeba było go po prostu krytykować tak, jak normalne media krytykują polityków, a nie tak, jak traktowały go partyjne biuletyny kierowane przez politycznych kumpli PiS.

Zaglądam do tekstów, które pisałem w ostatnich latach. I co tam mamy? Rok 2012. „Przepchnięte dwie reformy chyba wyczerpują reformatorski zapach Donalda Tuska. Wygląda na to, że rząd znalazł genialny sposób na powstrzymanie spadku swoich notowań. Zniknął. Przecież nie może tracić poparcia coś, czego nie ma”. Inny cytat: „Trudno mieć pretensje do wyborców o krótką pamięć. To, co było pół roku temu, może się wydawać zamierzchną przeszłością. To, co było pięć lat temu, jest prehistorią. Rzeczywistością są pięcioletnie rządy PO i Tuska, które coraz więcej Polaków męczą, irytują i złością”. I jeszcze taki: „Donald Tusk najbardziej zawiódł tych, którzy czekali na churchillowską obietnicę krwi, potu i łez. Ani kropli krwi, zero potu, żadnych łez. Konstrukcja wystąpienia Tuska zapierała dech w piersiach. Premier powiedział bowiem mniej więcej coś takiego: ponieważ czasy są ciężkie, a przyszły rok będzie jeszcze cięższy, jestem zmuszony poinformować naród, że wydłużymy urlopy macierzyńskie, przeznaczymy miliardy na żłobki i przedszkola, a jeszcze większe miliardy na inwestycje, czyli nowe miejsca pracy”.

Teraz rok 2013. „Są na liście grzechów tej władzy sprawy

o różnym ciężarze gatunkowym. Wszystkie one wzmacniają jednak poczucie, że władza ani nie rządzi, ani nie panuje (w każdym razie nad sytuacją), że w rządowym Titanicu urwało stery, że kapitan statku albo nie jest obecny, albo nie wie, co robić". Inny fragment: „PO szła do władzy, obiecując, że chce rządzić, by Polakom żyło się lepiej. Wszystkim. Otóż ogromnej większości Polaków nie żyje się lepiej. Służba zdrowia jaka jest – każdy widzi. Jak działają sądy – każdy widzi, jak nie domaga system oświaty – widzimy. Dalej – koszmarnie błędy personalne. Rządowa ekipa Donalda Tuska jest dziś co najwyżej przeciętna. Zmienników nie widać”.

I tak, naprawdę krytycznie, pisałem rok po roku. Ale nie twierdziliśmy, że Tusk był zdrajcą. Czyli według prawicy byliśmy stronnicy. Krytyka Platformy i jej rządów była, owszem, ostra i radykalna. A że cywilizowana? Prawda. Rząd zdawał się wpadać na mieliznę. Może nie każdy był w stanie to opisać, przeanalizować, ale w sumie to było drugorzędne. Coraz więcej ludzi to czuło. A takie poczucie, gdy się upowszechnia, potrafi zabić. Nie ma możliwości, by ludzie nie byli znudzeni władzą, która wydaje się znudzona samą sobą. Pytanie brzmiało, dlaczego Donald Tusk sprawia wrażenie, jakby przestał być wodzem, który prowadzi swe oddziały do kolejnych bitew. Wielu plotkowało, że już myśli o czymś innym, że w gruncie rzeczy jest skupiony na staraniach o uzyskanie wysokiej funkcji w Unii Europejskiej, najlepiej szefa Rady Europejskiej. Czy to była prawda? W jednym z programów, w grudniu 2013 roku, sam zapytałem o to premiera. – Nie rozpatruję takiej możliwości – odpowiedział.

Na jednym polu szło mi w tamtym czasie coraz lepiej. A właściwie nie na polu, tylko na trasie. Od momentu, gdy przestałem biegać

w tym samym tempie i nabijać tylko dziesiątki, setki kilometrów, a zacząłem trenować, postęp był zaskakujący dla mnie samego. W kwietniu 2012 roku w Rotterdamie pobiegłem maraton w 3:40, postęp o 7 minut. We wrześniu w Warszawie - 3:31, urwanych kolejnych 9 minut. W październiku we Frankfurcie - 3:28, dodatkowe 3 minuty. W ciągu roku poprawiłem swój rekord dokładnie o 19 minut. A miałem nadzieję, że to nie koniec. I rzeczywiście - kwiecień 2013 roku, w Hamburgu - 3:17, czyli 11 minut lepiej od rekordu, pół godziny poprawy w ciągu półtora roku. Na jesień zaplanowałem tylko jeden maraton - znowu we Frankfurcie. Cel - złamanie 3 godzin i 10 minut. W sumie mimo lat biegania wciąż do końca nie wiedziałem, dlaczego czasem wychodzi, a czasem nie. Teoretycznie wykonanie w stu procentach zakładanych planów treningowych powinno być przynieść efekt. I często przynosiło. Ale nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, następowała katastrofa.

Jesienią 2013 roku byłem przygotowany jak nigdy. Czułem moc. Na starcie. A nawet jakieś 15 minut później. Złudzenia prysły jednak całkiem szybko. Gdy po pół godzinie człowiek czuje się jak normalnie po dwóch, wiadomo, że jest źle. Nie ma takiej siły, by organizm oszukać. Gdy jest się w formie i człowiek słabnie, można wiele nadrobić ambicją. Ale gdy formy nie ma, nawet ambicja nic nie pomoże. Tak było tym razem. Czas na półmetku jeszcze niezły - 1:35. Ale potem z każdym kilometrem było gorzej. Byłem naprawdę niemal w pełnej gotowości, by zejść z trasy, gdyby nie fakt, że dobrze wiedziałem, jak demoralizujący efekt by to miało. Gdy nie pójdzie ci maraton, przez kolejne miesiące zastanawiasz się, jak będzie następnym razem. Ale gdybym zszedł z trasy, przez następne pół roku zastanawiałbym się, czy czasem furtka do rezygnacji i poddawania się nie została

otwarta definitywnie. Mogłem się do mety doczołgać, ale musiałem ją przekroczyć. 3:35. Lepiej od razu było myśleć o wiosnie.

Wiosną 2014 roku miałem pobiec w maratonie bostońskim, jednym z najslawniejszych, do którego zakwalifikowałem się dzięki czasowi uzyskanemu w Hamburgu.

Do Bostonu jechałem trzeci raz. Pierwszy raz byłem tam w 1993 roku, też w kwietniu. Kilka miesięcy wcześniej, przed bożonarodzeniową przerwą w czasie studiów w Nowym Orleanie, dowiedziałem się o akcji zorganizowanej dla studentów z zagranicy. Rodziny z całej Ameryki deklarowały chęć przyjęcia na Boże Narodzenie i sylwestra studenta spoza Ameryki. Wystarczyło napisać wniosek, podać w nim trzy z listy możliwych - jak to się teraz okropnie mówi - destynacji i czekać na wiadomość. Przyszła wkrótce. Na dwa tygodnie miałem jechać do Harrisburga, średniej wielkości miasta, stolicy stanu Pensylwania, w krainie amiszów.

Gospodarze naprawdę stawali na głowie, by umilić mi czas, więc niemal codziennie szliśmy na kolację do jakichś ich znajomych. Któregoś razu rozmowa przy stole zeszła na amerykańską politykę. Zacząłem opowiadać o mojej pasji i o tym, jak to jeszcze za czasów komunizmu moim hobby była historia rodziny Kennedych, związanych z Bostonem, Harvardem i stanem Massachusetts. Dwa dni później gospodarze zadzwonili, że jestem zaproszony do ich znajomych, którzy mieszkają w Bostonie, oboje są wykładowcami na Harvardzie. Dali mi telefon tych znajomych, którzy podobno czekali, aż zadzwonię. Jednak gdy zadzwoniłem i ktoś - chyba gospodarz - podniósł słuchawkę, rozmowa miała dziwny przebieg. Po kilku słowach z obu stron mój rozmówca

zaniemówił, po czym usłyszałem dźwięk odkładanej słuchawki. Pojęcia nie miałem, co się stało. Czy coś powiedziałem nie tak? Po kilkudziesięciu minutach zadzwonił mój rozmówca. - Bardzo przepraszam. Pewnie nie wiesz, ale gdy w 1989 roku w Polsce upadł komunizm, nasz syn pojechał do waszego kraju, by uczyć angielskiego. Bardzo mu się u was podobało. W lecie pojechał w góry, do miejscowości Zakopane. Któregoś dnia poszedł ze znajomymi na wycieczkę w Tatry. I spadł. Zginął. Przepraszam cię, ale gdy usłyszałem twój głos, miałem wrażenie, jakby to on dzwonił, i zupełnie mnie zatkało.

Serdecznie zapraszali mnie do Bostonu, pytając tylko, czy mam jakieś ekstrażyczenia. Jakie mogłem mieć życzenia? Mieli mnie gościć, a ja jeszcze miałem odstawić koncert życzeń? Gdy jednak nalegali, zapytałem, czy byłaby szansa pójść na koncert orkiestry bostońskiej pod dyрекcją Seiji Ozawy. Jakimś cudem się udało. A właściwie nie cudem. Gdy przyjechałem do Bostonu i zorientowałem się, że moi gospodarze mieszkają w trzypiętrowej kamienicy w najbardziej prestiżowej dzielnicy miasta Beacon Hill, wiedziałem już, że cuda nie były potrzebne.

Koncert był fantastyczny. Dobrze, nie jestem żadnym ekspertem w dziedzinie muzyki poważnej, raczej melomanem amatorem, ale powiedziałbym - intensywnym melomanem. Muzyki poważnej, dzięki rodzicom, słuchałem zawsze. I właściwie tylko jej. Gdy miałem jakieś kieszonkowe, wybierałem się do nieistniejącego już w Zielonej Górze sklepu muzycznego Pod Filarami, by kupować kolejne płyty. Koledzy w szkole, widząc, że godzinami jestem w stanie słuchać Bacha czy Rachmaninowa, uznawali mnie pewnie za dziwaka, ale jakoś się rehabilitowałem na piłkarskim boisku. Być na koncercie Ozawy w Bostonie to było jak pójść na mecz Liverpoolu na Anfield Road albo Realu Madryt

na Santiago Bernabeu. To nie było wyjście na koncert czy mecz. To było wyjście na nadzwyczajne, uroczyste, świąteczne nabożeństwo w słynnej kaplicy.

Te kilka dni w Bostonie spędziłem bardzo intensywnie. Głównie dlatego, że dom gospodarzy pełen był studentów z Harvardu i studentek z Wellesley College pod Bostonem, słynnej uczelni dla młodych kobiet, na której studiowały między innymi Hillary Clinton i Madeleine Albright. Mimo że polityczna poprawność zapuściła już wtedy bardzo głębokie korzenie, w piątkowe i sobotnie wieczory bywało zdecydowanie mniej poprawnie. Dziewczyny śmiały się więc z autobusu, którym co tydzień jeździły do Bostonu na spotkania z kolegami z Harvardu (nazywały ten pojazd *fuck truck*). Generalnie zaś w sobotnie i niedzielne poranki większość towarzystwa była w stanie, który określali słowem FUBAR, co było skrótem od słów *Fucked Up Beyond All Recognition*. Byłem już po ośmiomiesięcznym treningu, jeśli idzie o imprezy, a trudno było sobie wyobrazić lepszy obóz treningowy niż Nowy Orlean, nazywany przez Amerykanów Big Easy, co nasuwa różne i w większości uzasadnione skojarzenia. Jednak trzeba oddać Bostonowi, że w swej akademickiej wersji od Nowego Orleanu nie odstawał.

Moja druga wizyta w Bostonie, pięć lat później, trwała kilka godzin, ale była niezapomniana. W końcu nie każdy wchodzi do domu słynnego profesora Harvardu przez okno na piętrze jego domu. Do Bostonu tym razem przyjechałem na wywiad z profesorem Richardem Pipesem, w administracji Reagana głównym specjalistą od Rosji w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego (zmarł w maju 2018 roku). Profesor, jak przystało na naukowca, był bardzo roztargniony. Na wywiad przyszedł solidnie

spóźniony i zaczynałem się obawiać, czy zdążę na samolot powrotny. A zacząłem się bać potwornie, gdy okazało się, że profesor wprawdzie przyszedł, ale zostawił na uczelni klucze do domu. Nie wydawał się jednak nadmiernie speszony. – Musimy pójść na tył domu – powiedział. Poszliśmy. – Widzi pan to drzewo? Widziałem. – Jeśli wejdzie pan na nie, to po tamtej gałęzi przejdzie pan do okna, a ono się otwiera, gdy się mocniej szarpnie – instruował. Nie miałem wyjścia. Kilka minut później otwierałem profesorowi drzwi do jego własnego domu.

Maraton w Bostonie jest jednym z trzech najslawniejszych na świecie. Organizowany jest zawsze w Dzień Patriotów, w trzeci poniedziałek kwietnia. Pierwszy raz odbył się w roku 1897, ja miałem więc wystartować w jego 118. edycji. I akurat na swój sposób wyjątkowej. Rok wcześniej w czasie maratonu w Bostonie doszło bowiem do zamachu terrorystycznego. Trzy osoby zginęły, 264 zostały ranne. Wiele straciło ręce i nogi. W tym uczestnicy biegu. Tym razem środki ostrożności miały być większe niż kiedykolwiek wcześniej. Uczestników też miało być więcej. Z powodu zamachu kilkanaście tysięcy nie mogło wtedy ukończyć biegu. Wszyscy oni dostali szansę, by uczynić to teraz.

Maraton nazywa się bostoński, ale w gruncie rzeczy jest to maraton do Bostonu. Inaczej niż w przypadku większości maratonów nie jest to bieg miejski, z dzielnicy do dzielnicy. Wczesnie rano wszyscy wsiadają do chyba setki żółtych szkolnych autobusów i jadą na start do Newton, miasteczka pod Bostonem. Gdy pogoda jest dobra, pokonuje się więc kilkadziesiąt kilometrów piękną trasą, która prowadzi przez pagórki Nowej Anglii.

W Bostonie od początku czułem się zupełnie inaczej niż pół

roku wcześniej we Frankfurcie. Pierwszy, drugi, czwarty kilometr i biegacz od razu czuje, czy mu idzie albo – posługując się językiem kolarskim – czy noga podaje. Tym razem podawała. Mijały kolejne kilometry i czułem, jak mnie niesie. Ale starałem się opanować ekscytację. Każdy, kto przebiegł trochę maratonów, wie, że w tym samym stopniu co nogami pokonuje się je głową. Na trasie trzeba myśleć. Trzeba kontrolować tempo i puls. W żadnym momencie nie można biec powyżej swoich możliwości, bo organizm błyskawicznie reaguje i zaczyna się katastrofa. Cała sztuka polega na tym, by biec w takim tempie, na jakie akurat w tym dniu, na każdym kolejnym kilometrze, stać nasz organizm. I ani trochę szybciej.

W Bostonie byłem ostrożniejszy niż zwykle, bo do tych normalnych maratonowych przeszkód dochodziła jeszcze jedna. A właściwie cztery.

Dokładnie na półmetku trasa przebiega obok Wellesley College, a studentki z tej uczelni robią tak zwany *scream tunnel*. Dziewczyn jest chyba kilka tysięcy i drą się rzeczywiście wniebogłosy, fantastyczny doping. Trzeba jednak uważać, bo naturalne jest w takim momencie przyspieszanie, czego robić się nie powinno, nawet jeśli publiczność motywuje nadzwyczajnie. Między 27. a 33. kilometrem biegnie się pod cztery wzgórza. Ostatnie, nie przez przypadek, nazywa się Heartbreak Hill, Wzgórze Złamanych Serc. To tu cała masa uczestników traci nadzieję, jeśli nie na ukończenie biegu, to na osiągnięcie wymarzonego czasu. Jedno wzgórze, drugie wzgórze, trzecie wzgórze, czwarte wzgórze. A może trzecie. Choć liczenie do czterech nie wydaje się bardzo skomplikowane, nawet dla kogoś, kto – jak ja – nie jest matematycznym orłem, tym razem miałem z tym wielki kłopot. Wydawało mi się, że wbiegam na wzgórze

czwarte, ale czym bliżej byłem szczytu, tym bardziej zdawało mi się, że to numer trzy. A jeśli naprawdę numer trzy, to mowy nie ma, żebym dał radę podbiegać jeszcze raz. Już na szczycie wzgórza z trwogą czekałem, co będzie dalej, ale dalej było płasko, a potem nawet lekko z górki. Wzgórze złamało może do końca moje matematyczne zdolności, ale serca - nie.

Ostatnie sześć kilometrów to już bieg po Bostonie. Dla bostończyków, tak jak dla nowojorczyków, maraton, ich maraton, to jeden z symboli miasta. To nie kłopot. To obiekt dumy. Zamach na uczestników maratonu był więc rzuceniem wyzwania całemu miastu, wszystkim jego mieszkańcom i całej wspólnocie. Od kilku dni mówiło się w Bostonie, że na trasę wyjdzie rekordowa liczba mieszkańców miasta i okolic. Ostatecznie podano liczbę - jak na wcale nie tak wielki Boston była oszałamiająca. Milion ludzi. Tłum był zdecydowanie większy niż ten, potężny przecież, nowojorski. Doping był nieprawdopodobny. To był ryk. Nawet gdy piszę te słowa i przypominam sobie tamte chwile, nie mogę opanować wzruszenia. Gdy na ostatniej prostej, z odległości jakiegoś kilometra, zobaczyłem linię mety, czułem, jak po policzkach spływają mi łzy. Tak jak za pierwszym razem, w Warszawie. To był mój 15. maraton. Czas - 3:12. Cel na jesień był jasny. Złamanie 3 godzin i 10 minut. Udało się we Frankfurcie, pobiegłem 3:07. Zostawał już tylko jeden cel. I być może - byłoby wspaniale, jeden bieg. Następnej wiosny trzeba się było zmierzyć z „trójką”.

Obserwowanie przez lata polskiej polityki nauczyło mnie, że jej najważniejszą cechą jest nieprzewidywalność. Jeśli coś wydaje się pewne, to za chwilę będzie wątpliwe, potem bardzo mało prawdopodobne, a chwilę później całkowicie wykluczone. Od

wszechmocy do nicości często jest chwila. Od słabości do triumfu – dwie. Czasem to, co się dzieje, poddaje się procesom logicznym, ale często wygląda na jakiś kaprys losu. Z obserwacji tej wynika lekcja prawdziwej pokory, ale i prawdziwej nadziei. Jeśli masz poczucie, że nic ci nie zagraża, to dokładnie w tym momencie rozpętuje się niewynikająca z prognoz pogody burza, która może cię zmieść. Jeżeli masz poczucie beznadziei, to zupełnie niespodziewanie, tuż za rogiem, może pojawić się coś, co fortunę całkowicie odmieni.

Na wiosnę 2014 roku, chwilę przed nadejściem lata, nic wielkiego w Polsce się nie działo. Wyglądało na to, że nic nie zakłóci nadchodzących mistrzostw świata w piłce nożnej, które miały odbyć się w Brazylii. Wystarczyło zamknąć całkiem udane, jak się wydawało, obchody 25-lecia III RP.

25 lat. Jak bardzo szybko minęło. A przecież to dużo czasu. 25 lat po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Polska była w piątym roku wojny, kilka miesięcy przed wybuchem Powstania Warszawskiego. 25 lat po Powstaniu w Getcie Warszawskim miała miejsce w Polsce antysemicka czystka 1968 roku. 25 lat po zakończeniu wojny doszło do tragedii na Wybrzeżu i skończyła się era Gomułki.

25 lat wolności, z tego 15 lat członkostwa w NATO i 10 w Unii Europejskiej. Z tych 25 lat, 21 lat bez rosyjskich wojsk w Polsce – od ponad 300 lat był to najdłuższy taki okres nad Wisłą. W nowej, demokratycznej Polsce wiele rzeczy nie wyszło doskonale, wiele wyszło słabo, kilka nie wyszło w ogóle. Nie zmienia to faktu, że to ćwierćwiecze było w skali historii Polski czymś niezwykłym. Bezpieczna, demokratyczna Polska, która na dodatek osiągnęła wielkie sukcesy gospodarcze – naprawdę chyba nigdy w swej

historii Polacy w tak krótkim czasie nie dokonali tak wiele. Wśród największych sukcesów było unicestwienie w ogromnym stopniu negatywnych stereotypów na temat Polski i Polaków. Zamiast typowej dla nas, jak sądziło bardzo wielu na świecie, anarchii – normalna, całkiem sprawnie działająca demokracja. Zamiast chaosu – normalny porządek prawny. Zamiast sypiącej się, niesprawnej gospodarki, niesławnej *Polnische Wirtschaft* – gospodarka bardzo dobrze funkcjonująca. Miliony Polaków, których niektórzy podejrzewali o niezdolność do przystosowania się do rynkowej gospodarki po kilkudziesięciu latach komunistycznego doświadczenia, nie tylko doskonale się do niej dostosowały, ale codzienną mrówczą pracą zapewniły Polsce imponujący wzrost gospodarczy.

Co więcej, wydawało się, że inaczej niż tyle razy w historii, nie zbudowaliśmy zamku na piasku. Gospodarka dała sobie przecież radę, gdy przyszedł czas najtrudniejszy – światowy kryzys. W najcięższych dla Europy latach żaden europejski kraj nie miał takiego wzrostu gospodarczego jak właśnie Polska. Naprawdę mieliśmy czego sobie gratulować. Pokazaliśmy, że jesteśmy nie tylko fantastycznym narodem, ale i – w co swego czasu wątpił wielki poeta – niezwykłym społeczeństwem. Dziś niektórzy mówią, że nawet w tamtym, tak często wyrażanym podziwieniu dla Polski, było coś protekcjonalnego – oto takie ćwoki, a jednak dali radę, jak powiedział pisarz Eustachy Rylski. Może. Ale sukcesy były autentyczne. Bezdyskusyjne.

W tamtych dniach łatwo było dostrzec w Polsce poczucie satysfakcji i dumy. Ale trudniej było wyczuć autentyczną zwykłą radość. Nastrój był trochę podobny do tego sprzed 25 lat. Udało się coś wielkiego, ale przyszłość wciąż była niepewna. Sukces Polski był gigantyczny, ale czy poczucie sukcesu miała większość

Polaków? Milionom ludzi żyło się o niebo lepiej niż ćwierć wieku wcześniej i o niebo lepiej, niż mogli sobie to wcześniej wyobrazić, ale miliony innych, nawet jeśli także im żyło się lepiej, wcale nie miały poczucia sukcesu. Gołym okiem było widać, że Polska nie jest w żadnej ruinie, przeciwnie – kwitnie. Ale gdy część Polaków zyskała wolność i dostęp do dóbr, o których kiedyś można było pomarzyć, druga część miała często głównie wrażenie straty – straty poczucia bezpieczeństwa z epoki PRL. I – co może ważniejsze – utraty poczucia, że nawet jak jest średnio i raczej biednie, to wszystkim jest mniej więcej tak samo.

Przed chwilą odbyła się w Polsce wielka, wspaniała impreza, mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Chwaliliśmy się autostradami, stadionami, hotelami i ośrodkami wypoczynkowymi, w których mieszkały reprezentacje z całej Europy. Ale miliony Polaków tymi autostradami nie jeździły, często wybierając drogi tuż obok, bo nie trzeba było za nie płacić. Nie stać byłoby tych ludzi na zatrzymanie się w drogich hotelach, a bardzo wielu nawet na bilety na dobry mecz na którymś z tych nowych stadionów. Sukces Polski był więc absolutnie bezdyskusyjny, podobnie jak sukces milionów Polaków, ale bezdyskusyjne było także to, że miliony innych miały raczej poczucie zawodu, a może nawet złości – bo wiedzieli już, że są wśród tych, którzy na przemianach w Polsce, subiektywnie, raczej przegrali, niż wygrali.

Obchody były więc w Polsce bardzo słodko-gorzkie, choć w stolicy gorycz na pewno ustępowała satysfakcji, a jeśli coś w tamtych dniach budziło złość, to chyba głównie wielkie korki po przyjeździe do Polski prezydenta Obamy.

3 czerwca w Arkadach Kubickiego przy Zamku Królewskim w Warszawie byłem na kolacji wydanej przez prezydenta

Komorowskiego na cześć prezydenta Obamy. Ponad 20 lat minęło od momentu, gdy jakieś 200 metrów dalej, na placu Zamkowym, przemawiał do Polaków prezydent George Bush. To było 4 lipca 1992 roku. Bush ubiegał się wtedy o reelekcję i zdjęcia z rozentuzjasmowanym tłumem Polaków nie miały prawa zaszkodzić w oczach wyborców polskiego pochodzenia z Michigan, Illinois, Nowego Jorku czy Wisconsin. 17 lat minęło od momentu, gdy na tym samym placu Zamkowym Bill Clinton de facto witał nas w NATO. Clinton nie miał już przed sobą żadnych wyborów, nie musiał walczyć o głosy. Świątował razem z nami nie tylko wielki sukces Polski, ale także wielki, może największy, sukces jego administracji w polityce zagranicznej, którym było rozszerzenie NATO. Podobnie było z prezydentem Obamą. Polska była wielką *success story*, opowieścią o sukcesie na skalę globalną. A że Ameryka była w jakimś stopniu akuszerem tego sukcesu, Waszyngton miał uzasadnione prawo, by uważać Polskę za najlepsze potwierdzenie siły amerykańskich wartości i nieprzemijającej mocy amerykańskiej wizji świata, w której wolność, demokracja i dostatek są filarami najważniejszymi.

Kilka miesięcy wcześniej wpadłem na pomysł, by przy okazji obchodów 25-lecia polskiej wolności zorganizować bieg na 10 kilometrów po Warszawie, śladami najważniejszych miejsc naszej historii. W Warszawie takie biegi na „dziesiątkę” odbywają się kilka razy w roku. Chyba najlepsze dwa to Biegnij, Warszawo na początku października, tydzień po maratonie warszawskim, i Bieg Niepodległości 11 listopada. W każdym z nich biegnie przynajmniej po kilkanaście tysięcy ludzi. Pomyślałem, że taki bieg dałby poczucie uczestnictwa w święcie dziesiątkom tysięcy ludzi. Uczestnictwa, a nie poczucia statystowania przed

telewizorem. Wyobraziłem sobie, że głównym odcinkiem biegu byłby fragment trasy między Starym Miastem a Belwederem, ludzie przebiegaliby obok Belwederu, a być może wbiegaliby nawet na jego dziedziniec. Zresztą to były szczegóły. Bieg był do zorganizowania. Wystarczyłyby patronat prezydenta i błogosławieństwo premiera, dzięki któremu spółki skarbu państwa pomogłyby sfinansować organizację takiego biegu. Zabrałem się do roboty i spotkałem z kilkoma osobami, w tym z paroma prezesami najważniejszych spółek, ale szybko obudzili mnie z błogiego, naiwnego snu. – Wiesz, jak Bronek da patronat, to Donald raczej tego nie pobłogosławi. Bez pieniędzy nie da rady, więc potrzebne są spółki, a na te wpływ ma Donald, a nie Bronek.

Ludzie, którzy się ze sobą nie kontaktowali, mówili mi niemal to samo. Idea była martwa, zanim się do końca urodziła. Byliśmy wierni tradycji. Pewne rzeczy w Polsce nie zmieniały się nigdy.

Wielkiego biegu miało nie być, ale postanowiliśmy z grupą znajomych, że odbędzie się bieg mały, kameralny. 25 kilometrów na 25-lecie. Trasę wyznaczyliśmy na Polu Mokotowskim i ruszyliśmy o ósmej rano, zresztą razem z Donaldem Tuskiem, który do nas dołączył i przed pracą przebiegł swoje rutynowe 10 kilometrów. Skończyliśmy akurat tak, by w pracy obejrzeć wystąpienie prezydenta Obamy na placu Zamkowym.

Dziś, gdy czytam tekst tego wystąpienia, może w większym stopniu niż o tamtych 25 latach myślę o latach, które miały nadejść za chwilę i były, czego wtedy nie mogliśmy się nawet spodziewać, dosłownie za progiem. „Historia dokonywała się tutaj. Zwycięstwo wyborów 1989 roku nie było rzeczą pewną. Było ukoronowaniem stuleci walki Polaków. Bardzo często na tym właśnie placu”.

W Warszawie była tego dnia piękna pogoda. O wiele lepsza niż 25 lat wcześniej. Na placu Zamkowym był nastrój wielkiego święta. Było co świętować, co dość precyzyjnie podsumowywał amerykański prezydent, choć dziś te słowa brzmią zdecydowanie inaczej niż wtedy: „Prawdziwa demokracja, prawdziwy dobrobyt i bezpieczeństwo to nie są rzeczy, które można dostać lub otrzymać, należy je zbudować od wewnątrz, od podstaw. I w tym wielkim zmaganiu wolności i autorytaryzmu, pomiędzy wolnością a uciskiem, pomiędzy solidarnością a nietolerancją, postęp Polski pokazuje wielką siłę ideałów, którą my cenimy jako wolni ludzie. To tutaj widzimy siłę demokracji, obywateli, którzy mówią, nie bojąc się. Tutaj widzimy partie polityczne, które konkurują ze sobą w uczciwych wyborach. Tutaj widzimy niezależne sądownictwo, pracujące na rzecz rządów prawa. Tutaj widzimy wolną prasę i obywatelskie społeczeństwo, które rozlicza rządy, ponieważ rząd jest po to, aby służyć ludziom, a nie uciskać ich”. To był rok 2014. Epoka temu.

Tak, dziś wydaje się, że jesteśmy w odległości lat świetlnych od tamtej chwili, od tamtego wystąpienia. Atmosfera święta uleciała całkowicie. Niestety, razem z atmosferą wolności, oczywistą w demokratycznym państwie prawa, wolnych sądów, wolnych mediów i wolnych obywateli.

Dziś myślę, że była to może ostatnia chwila, by wystąpienie prezydenta Obamy we fragmentach dotyczących współczesności szybko się nie dezaktualizowało mocą decyzji wyborców i polityki PiS. Tak, będę bronił III RP, jej dorobku i sukcesów, chętnie bronię słusznej, według mnie, tezy, że była to najlepsza Polska, jaką Polacy kiedykolwiek mieli. Tyle że zupełnie nie zmienia to faktu, że miliony Polaków tego zdania nie podzielały. A

trudno do końca mówić o wielkim sukcesie całego narodu, gdy spora część owego narodu nie ma poczucia żadnego sukcesu. Właśnie mijała ostatnia chwila, by tym, którzy tego poczucia uczestnictwa w sukcesie Polski nie mieli, takie poczucie dać. Rozumiem argumenty, że wcześniej było trudno, bo był wielki finansowy kryzys, w budżecie rzeczywiście nie było pieniędzy. A odpowiedzialny rząd uznał, że na być może jeszcze trudniejsze czasy potrzebuje poduszki, materaca, na który wszyscy moglibyśmy spaść, by się nie potłuc.

Ale w roku 2014 można było zrobić zdecydowanie więcej. Nie jest tak, że władza takiej potrzeby nie widziała. O potrzebie zrobienia przez Polskę następnego kroku mówił w wystąpieniu do Zgromadzenia Narodowego 4 czerwca prezydent Komorowski, a jeszcze na początku sierpnia premier Tusk zapowiadał uruchomienie nowych programów socjalnych. Ale wszystko to było za mało i za późno. Komorowski nie miał mocy sprawczej, a Tusk za chwilę wyjechał z Polski, wszystko utonęło więc w morzu potencjalności.

Poza tym tu chodziło o rozmach i o nadanie tej operacji charakteru wielkiego wyrównywania szans. Gdyby tak wtedy Polacy usłyszeli coś w stylu: „Polska osiągnęła dzięki Polakom fantastyczny sukces, ale choć zawdzięcza go wszystkim, nie wszyscy w nim uczestniczą, nie wszyscy mają poczucie, że to także ich sukces. Wielkim zadaniem Polski jest to, by poczucie uczestnictwa w polskim sukcesie miał każdy Polak. To nie jest kwestia nagrody pocieszenia, ale okazania wdzięczności za to, co Polacy zrobili dla Polski, jej gospodarki, jej miejsca w Europie”. Gdyby wtedy takim słowem towarzyszyło ogłoszenie wielkiego programu, na przykład 500+, wszystko mogło się potoczyć inaczej. Gdyby...

Gdy w 1992 roku na placu Zamkowym przemawiał George Bush, w niezliczonych zakątkach Polski tliło się już niezadowolenie z rządów epoki Solidarności – rok później straciła ona władzę, którą odzyskali postkomuniści. Gdy w lipcu 1997 roku na placu Zamkowym prezydenci Kwaśniewski i Clinton świętowali wejście Polski do NATO, na Dolnym Śląsku zaczynała się wielka powódź, która miała także zmieść rząd SLD-PSL. Gdy na placu Zamkowym przemawiali prezydenci Obama i Komorowski, nikt nie mógł nawet przypuszczać, że III RP w chwili swych 25. urodzin już się chwiała. A jeśli ktoś tego jeszcze nie wiedział, to dokładnie 10 dni później mógł się zacząć tego domyślać.

12 czerwca w São Paulo zaczęły się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Po dwóch bramkach Neymara Brazylia pokonała silną Chorwację. Rozpocząło się wielkie święto i jeśli jest na świecie jakaś żelazna logika, to wydawało się, że przez kolejny miesiąc wszyscy będą żyli głównie piłką nożną. Także Polska, mimo że naszej reprezentacji na mistrzostwach drugi raz z rzędu nie było.

Po kilku dniach Polacy ekscytowali się jednak już czymś zupełnie innym. W weekend 14 i 15 maja na internetowej stronie tygodnika „Wprost” ukazały się fragmenty stenogramów z podsłuchów założonych w jednej z warszawskich restauracji. Fragmenty były bardzo pieprzne, a ponieważ rozmowy prowadzili tam między innymi szef banku centralnego, były wicepremier od gospodarki, minister spraw zagranicznych, minister spraw wewnętrznych, krótko mówiąc najważniejsi poza premierem i prezydentem ludzie w kraju, wszystko zapowiadało się niezwykle smakowicie. Oto spełniało się wielkie marzenie wielu ludzi, by „posłuchać, jak oni ze sobą rozmawiają prywatnie”. Nie

to, co mówią do mikrofonów, wiedząc, że są słuchani, i gdy ważą każde słowo, ale wtedy, gdy popijając dobre wino, mają poczucie, że nikt ich nie słyszy, krótko mówiąc – gdy są sobą.

Już pierwsze fragmenty zapowiadały skandal. Reszta, opublikowana w wydaniu papierowym tygodnika, apetyty zaspokajała. Okazało się bowiem, że „oni” rozmawiają tak jak my. Przeklinają, opowiadają sprośne dowcipy, posługują się językiem będącym skrzyżowaniem polszczyzny z koszar z polszczyzną z piłkarskiej szatni. Już to samo wywoływało wielkie oburzenie. Nie może być tak, żeby nasi przedstawiciele posługiwali się takim językiem jak my.

Z taśm dowiedzieliśmy się, że minister spraw wewnętrznych, Bartłomiej Sienkiewicz, sondował szefa NBP w sprawie warunków wsparcia ze strony banku centralnego dla rządu Donalda Tuska, tak by władza nie dostała się w ręce PiS. Chodziło o to, czy bank centralny nie mógłby w większym stopniu finansować deficytu budżetowego.

Z kolei minister infrastruktury Sławomir Nowak sondował wiceministra finansów i generalnego inspektora informacji finansowej, czy urząd skarbowy nie mógłby przychylnym okiem spojrzeć na badanie majątku jego żony, którym już się zajął. W rozmowie nie brakowało fragmentów z dzisiejszego punktu widzenia dość humorystycznych. Wiceminister finansów wspominał o swoim koledze, wiceministrze Jacku Kapicy, który – jak wynikało z dokumentów zebranych przez komisję hazardową – robił na przykład notatkę o tym, że poseł zapytał go na korytarzu o pogodę. Kilka lat później to właśnie Kapicy, gdy trzeba było odwrócić uwagę od jakiegoś kolejnego skandalu związanego z PiS, postawiono zarzuty, że przez niedopełnienie obowiązków doprowadził skarb państwa do miliardowych strat.

Sondowanie nadzorcy urzędów skarbowych przez człowieka, który jest zainteresowany wynikiem prac jednego z urzędów, nie wygląda dobrze, ale – choć nieetyczne – nie było przestępstwem. Z kolei propozycja składana przez ministra Sienkiewicza prezesowi Belce na tym etapie była jednak restauracyjną gadaniną. Nie wiadomo było nawet, czy ktokolwiek upoważniał Sienkiewicza do składania jakichkolwiek propozycji, czy też minister po prostu „głośno myślał”.

Ten rozbiór logiczny tego, co na taśmach było, i tego, czego na nich nie było, nie ma jednak nadmiernego sensu. Najważniejsze bowiem było to, co – według Polaków – te taśmy mówią. A łatwo było odnieść wrażenie, że zdaniem większości ludzi taśmy pokazują prawdziwy obraz władzy, może nie skorumpowanej, ale na pewno nonszalanckiej i bardzo zadowolonej z siebie.

To wszystko źle pachniało. Co nie zmienia faktu, że cała historia taśmowa nie wystawiała dobrego świadectwa polskiemu dziennikarstwu. Redakcja dostała materiały z ewidentnego przestępstwa. Nie potraktowała ich jak wstępu do prawdziwej pracy dziennikarskiej, ale spisała je, zresztą z dość kompromitującymi błędami, i rzuciła na stół. Bardzo wielu dziennikarzy nie próbowało na chłodno ocenić, co na taśmach jest i jakie to ma znaczenie, ale krzyczało „skandal”. Tak jakby bezrefleksyjnie przyjmowali dokładnie taką narrację, jaką zdawali się suflować ci, którzy aferę rozpętali, a nie ukrywali oni, że chcą obalić rząd. Taki był cel od początku. A ponieważ nie udało się w pierwszym ruchu, nastąpiła dogrywka rok później, tuż przed wyborami.

W sejmowej debacie w sprawie afery podsłuchowej Donald Tusk sugerował „scenariusz pisany cyrylicą”. Nigdy nie znalazły się dowody na potwierdzenie tej wersji, ale w procesie

poszlakowym, a przynajmniej w poszlakowym wywodzie, można by przedstawić tropy, które w intrygujący sposób układały się w całość. Począwszy od faktu, że afera podsłuchowa łądząco przypominała podobną aferę na Węgrzech. W 2006 roku potajemnie nagrano tam przemówienie socjalistycznego premiera Ferenc Gyurcsányego. Premier mówił na nagraniu: „Nic nie zrobiliśmy w ciągu czterech lat. Spierdoliliśmy, i to nie coś, ale wszystko. Przez ostatnie półtora roku kłamaliśmy rano, wieczorem i w nocy”. Węgierskie taśmy rozpętały piekło i utorowały drogę do władzy Viktorowi Orbánowi. W rezultacie afery do władzy doszedł człowiek, który podeptał potem demokrację, dał szansę zrobienia wielkich fortun swoim kumplom, kłamie od rana do wieczora, a kraj idzie pod rękę z Rosją Władimira Putina i w miarę swych możliwości rozbija od środka Unię Europejską. Wiadomo było, że w Polsce afera podsłuchowa utoruje drogę do władzy Jarosławowi Kaczyńskiemu, który deprecjuje demokrację, niszczy fundamenty praworządności i w miarę swych możliwości osłabia Unię Europejską. Brzmi znajomo?

Operacyjnie za nagraniami stał pan Marek Falenta, który robił interesy z Rosjanami. Falencie zależało na sprowadzaniu do Polski rosyjskiego węgla, czemu stanowczo sprzeciwiał się szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz, w którego zapewne przez przypadek skandal uderzył już na początku. Zapisy z podsłuchów opublikowano w tygodniku, którego właściciel, o czym wspominałem, tuż po przejęciu pisma i katastrofie smoleńskiej pobiegł do ambasady Rosji i obiecywał przyznanie prezydentowi Rosji nagrody Człowiek Roku. Beneficjentem całej afery była niewątpliwie Rosja. Polski rząd został osłabiony, a na końcu usunięty, a władzę przejęła antyzachodnia i antyunijna ekipa

nacjonalistów. Jasne, to stanowczo za mało na udowodnienie takiej tezy przed sądem, ale to zdecydowanie wystarczy, by zabrzmiały wszystkie dzwonki alarmowe.

18 czerwca, dwa dni po opublikowaniu zapisów nagrań, do siedziby „Wprost” wkroczył prokurator wraz z funkcjonariuszami ABW. Chodziło o „uzyskanie nośników zawierających nagrania podsłuchanych rozmów”. Prokuratura i ABW niiby robiły swoje, ale wyglądało bardzo źle, gdy funkcjonariusze próbowali wyrwać laptopa redaktora Sylwestra Latkowskiego. Dokładnie w tym momencie sprawa stała się o wiele poważniejsza niż dwa dni wcześniej, a redaktor Latkowski niespodziewanie wyrastał nie tylko na obrońcę laptopa, ale i wolności słowa w Polsce. Może niespecjalnie ta rola mu pasowała, ale wyglądało to tak, jakby państwo polskie starało się go w tej roli obsadzić. Widać już było, że ze skandalu robi się duży skandal, który za chwilę może być wielkim skandalem.

Mistrzostwa w Brazylii i wakacje pozwoliły premierowi i jego ekipie zejść z linii strzału, ale wiadomo było, że dla ekipy Platformy nic nie miało już być takie jak wcześniej. Coś skończyło się bezpowrotnie. Jakaś aura wyparowała, dziewictwo zostało utraczone. Urok zniknął. Na czele rządu wciąż był najsprawniejszy polityk w Polsce. Tylko on mógł się jakoś przeciwstawić toczącemu się z coraz większą siłą walcowi PiS. Ale może nawet on nie byłby w stanie? Pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

Kończyły się akurat wakacje i nadchodziła polityczna jesień, która zapowiadała się wyjątkowo gorąco, gdy okazało się, że drużyna PO właśnie traci kapitana i gwiazdę. 30 sierpnia podczas spotkania Rady Europejskiej Donald Tusk został zaakceptowany na stanowisko jej szefa. Od czasu Karola Wojtyły żaden Polak na

Zachodzie takiej kariery nie zrobił. Jerzy Buzek był przewodniczącym Parlamentu Europejskiego, funkcja niewątpliwie ważna, ale funkcja Tuska była o niebo bardziej polityczna i osadzona o wiele bliżej decyzyjnego centrum. To, że Polak mógł objąć takie stanowisko, pokazywało, jak gigantyczny sukces osiągnęła Polska w pierwszej dekadzie swego członkostwa w Unii Europejskiej. Traf chciał, że awans Tuska zbiegał się z początkiem ery, w której ten wielki sukces miał zostać podważony, a sama Polska z roli podziwianego nowego członka europejskiej wspólnoty wylądowała w jej oślej ławce. W naszej polityce i historii dramaty, wielkie porażki i klęski były przez całe stulecia normą. Ale chyba nigdy triumf i upadek, euforia i rozczarowanie nie sąsiadowały ze sobą tak blisko. Mogły zajrzeć sobie w oczy i się sobie przyjrzeć.

W czerwcu 2014 roku wybuchł w Polsce inny skandal. Telewizja Polska nadała w Jedyńce, w czasie najwyższej oglądalności, serial *Nasze matki, nasi ojcowie* o wojennych losach młodych Niemców. Fakt, że w filmie byli oni przedstawieni bardziej jako ofiary tragicznych wydarzeń niż ich współsprawcy. Co więcej, żołnierzy AK pokazano w filmie w sposób, delikatnie mówiąc, niezbyt pochlebny. Prawicowi politycy i prawicowe media zawyły. Jak taki film można było pokazać w publicznej telewizji. Rzeczywiście, niektóre jego fragmenty mogły być dla polskiego widza irytujące. Ale w najmniejszym stopniu nie prowadziło mnie to do wniosku, że wyemitowanie tego filmu było błędem.

Państwo czy też państwowa telewizja nie mogą być dla obywateli jak przedszkolanki, które zdecydują, co jest dla dziatwy dobre, a co złe. Tymczasem dokładnie taki jest sens tak zwanej polityki historycznej. Zakłada ona, że władza ma jakąś wizję

historii, że właśnie ta wizja powinna obowiązywać i być włączana do głów obywateli. Wizja ta w wersji prawicowej jest generalnie zerojedynkowa i infantylna. Tu są bohaterowie, tam są zdrajcy, tu są ofiary, tam są kaci. Przy czym Polacy zawsze są bohaterami i ofiarami, a inni prawie zawsze są katami i sprawcami. Wizja jest sama w sobie infantylna, ale też zakłada, że infantylni są odbiorcy i zamiast przedstawiać im historię w całej jej złożoności, z często nierozwiązywalnymi dylematami i pełnymi szarości kontekstami, należy zaserwować publice prostą czytanekę, żeby pobudzić patriotycznego ducha i nie frasować główek nadmiarem myśli i wątpliwości. Oczywiście zdarza się, że jakieś dzieło sztuki, książka czy film pokazują historię w sposób budzący nasz sprzeciw, ale mam prawo, tak jak inni mają prawo, ocenić to we własnym zakresie, a nie polegać na wyroku jakiejś państwowo-partyjnej wyższej instancji.

Mogłem zgrzytać zębami na fragmenty pokazanego w Jedynce niemieckiego serialu, ale chciałem go po prostu obejrzeć, a nie przeczytać recenzję. Z drugiej strony nikt nie zabrania nam przecież prowadzić, szczególnie za granicą, własnej polityki historycznej. Kilka tygodni po wyświetleniu w TVP serialu *Nasze matki, nasi ojcowie* dokładnie taka możliwość się nadarzyła.

W lipcu Michał Kwieciński, szef produkującej filmy firmy Akson Studio, zaprosił mnie na prywatną projekcję filmu *Miasto 44*. Oglądając film, doszedłem do wniosku, że powinni go obejrzeć niemieccy widzowie, dokładnie tak jak polscy obejrzeli chwilę wcześniej niemiecki serial. W punkcie wyjścia należało wykonać pewną pracę, by Niemcy dowiedzieli się, że coś takiego jak Powstanie Warszawskie w ogóle miało miejsce.

Pamiętam, jak w 1996 roku przyjechał do Warszawy mój

przyjaciel Steffen. Od razu zapytałem go, czy są jakieś miejsca, które chce zobaczyć. Umschlagplatz? Oczywiście. Tereny getta, jasne. Trudno było zwiedzać Warszawę i te punkty omijać. Szybko zorientowałem się jednak, że mój przyjaciel wie wprawdzie całkiem sporo o Powstaniu w Getcie Warszawskim, ale nie wie absolutnie nic o Powstaniu Warszawskim. Zorganizowałem mu więc szybkie korepetycje. Jeśli jednak taki był stan wiedzy bardzo dobrze wykształconego Niemca, to jaki mógł być stan wiedzy zwykłych Niemców? Film *Miasto 44* nadawał się idealnie do tego, by im to powiedzieć.

Poprosiłem Michała Kwiecińskiego o przygotowanie dla mnie płyty DVD z angielskimi napisami, kupiłem w amerykańskiej księgarni w Warszawie angielskie wydanie książki synowej Władysława Bartoszewskiego Aleksandry Richie *Warszawa 1944. Tragiczne powstanie* i wsiadłem z tymi rekwizytami w samolot do Berlina. W siedzibie współwydawcy „Newsweeka”, wydawnictwa Axel Springer, byłem już umówiony z jego szefem, Mathiasem Döpfnerem, jednym z najpotężniejszych ludzi mediów w Europie.

Axel Springer wydaje między innymi największy europejski dziennik „Bild” (ponad dwa miliony sprzedawanych egzemplarzy dziennie) i prestiżowy dziennik „Die Welt”. Sam Döpfner jest wpływowy nie tylko w Niemczech, jest między innymi członkiem rady nadzorczej światowego potentata medialnego, firmy Time Warner. – Mathias, mam do ciebie osobistą prośbę. Znajdź czas na obejrzenie tego filmu i przeczytanie tej książki. A gdy już to zrobisz, proszę, byś pomógł mi doprowadzić do tego, by widzowie w Niemczech ten film zobaczyli – powiedziałem. Z Döpfnerem rozmawiałem wcześniej wielokrotnie i wiedziałem, że mogę na niego liczyć. Nie ukrywał, że ma szczególnie ciepły stosunek do trzech krajów – Stanów Zjednoczonych, Izraela i Polski, którą

wyjątkowo podziwia. I uważa, że ze względu na przeszłość Niemcy mają wobec Polaków specjalne zobowiązania, a ze względu na przyszłość – że oba narody powinny stawać na głowie, by budować między sobą jak najlepsze relacje. – Obejrzę, przeczytam i zrobię, co mogę – odpowiedział i wiedziałem, że mnie nie zbywa.

Gdy wróciłem do Warszawy, zadzwoniłem do Michała Kwiecińskiego i powiedziałem, że zrobiłem to, co mogłem, a teraz trzeba czekać. Mniej więcej dwa tygodnie później zadzwonił do mnie Mathias Döpfner. – Przeczytałem i obejrzałem. Masz absolutną rację. Niemcy muszą ten film obejrzeć. Rozmawiałem już o tym z szefem ZDF Thomasem Bellutem. Jest tym bardzo zainteresowany i czeka na twój telefon – powiedział. Zadzwoniłem do szefa ZDF, a potem skontaktowałem go z Michałem Kwiecińskim. 1 sierpnia następnego roku kilka milionów Niemców obejrzało w porze najlepszej oglądalności film *Miasto 44*. A ja wcześniej napisałem tekstu do „Die Welt” o niemieckim serialu, o polskim filmie i o historycznej lekcji, którą wciąż musimy odrabiać.

Nigdy nie byłem i nie będę zwolennikiem jakiegokolwiek relatywizowania przeszłości i historycznych win państw, narodów i konkretnych ludzi. Niemcy ze swoją przeszłością muszą się mierzyć, także te pokolenia, które mają z nią naprawdę niewiele wspólnego. Podobnie zresztą, jak w dojrzały sposób z przeszłością, z tym, co w niej było wielkiego i wspaniałego, ale także niegodnego i złego, muszą się mierzyć Polacy. To jest zadanie, którego sens nie przeminie. Z drugiej strony jednak musimy zrobić wszystko, by Niemców traktować jak partnerów i sojuszników, tym bardziej że są nimi nie tylko formalnie, ale chcą nimi być także w sensie autentycznej współpracy.

Dla Niemców wielkim symboliczno-emocjonalnym przełomem były piłkarskie mistrzostwa świata w roku 2006, dla Polaków wielkim świętem były piłkarskie mistrzostwa Europy w roku 2012. Wierzę, że największą piłkarską imprezę na świecie za kilkanaście lat mogłyby zorganizować oba nasze kraje. Ze względu na ich wielkość i potencjał jedna trzecia meczów mogłaby się odbyć w Polsce, dwie trzecie w Niemczech. Mecz otwarcia w Warszawie, finał w Berlinie (albo odwrotnie). Mamy drogi, stadiony, hotele, ośrodki. A co najważniejsze - doświadczenie. Taką imprezę moglibyśmy współorganizować bez większych problemów. Byłaby ona pięknym symbolem tego, ile mogą razem osiągnąć dwa narody, nawet jeśli przez całe stulecia ich relacje były pełne konfliktów, cierpień i bólu.

197 sekund

Jesienią 2014 i zimą 2015 roku coraz bardziej skupiałem się na maratonie, który miałem pobiec w kwietniu. To był moment, by spróbować złamać tę magiczną „trójkę”. Przygotowania były szczegółowo rozpisane na każdy miesiąc, tydzień i dzień. 42 kilometry 195 metrów w 2 godziny i powiedzmy 59 minut i 50 sekund? W praktyce oznaczało to średnią prędkość 14 kilometrów na godzinę z małym haczykiem.

Postanowiłem, że próbę podejmę w Rotterdamie. Trasa jest tam szybka i niemal zupełnie płaska, tak ją w każdym razie zapamiętałem, jak się okazało, niezupełnie dokładnie, z 2012 roku, gdy pobiegłem tam pierwszy raz. Zatrzymałem się, tak jak poprzednio, w hotelu Manhattan, tuż obok dworca kolejowego. Wygoda, bo do Rotterdamu przyjechałem pociągiem prosto z dworca na lotnisku Schiphol w Amsterdamie. Przyjechałem już w piątek, żeby sobota była wyłącznie dniem wypoczynku.

Dzień przed maratonem wyglądał tak samo jak zawsze. Intensywne nicnierobienie. Jadłem w hotelu, leżałem w hotelu, spałem w hotelu. Wyszedłem jedynie na moment, tylko po to, by stwierdzić, że potwornie wieje wiatr. Gdyby z taką siłą wiał także następnego dnia, o dobrym wyniku można by tylko pomarzyć, ale prognozy podpowiadały, że następnego dnia już tak wiać nie będzie.

Koncentracja. Dzień przed maratonem potrafiłem godzinami patrzeć na mapę z trasą i oglądać zamieszczony w internecie film, który ją pokazywał. Wszystko było ważne. Jaka jest jej konfiguracja. Jaki będzie kierunek wiatru. Na którym odcinku wiatr będę miał w plecy, a na którym - w twarz. Jaka będzie

temperatura na starcie, po godzinie, dwóch i trzech. W których miejscach są stanowiska z jedzeniem i z piciem. Wszystko to trzeba było poukładać w głowie, jakoś to sobie zwizualizować, wyobrazić.

Tym razem częścią przygotowań było coś, czego nie robiłem nigdy wcześniej. W czasie treningów dość dobrze zorientowałem się, co oznacza bieg w tempie 14 kilometrów na godzinę przez 60 minut. Trudno było automatycznie pomnożyć te wrażenia przez trzy. Ale łatwo było sobie wyobrazić, że złamanie limitu trzech godzin będzie wymagało zupełnie monstrualnego wysiłku, że będą kryzysy, a nawet chwile i bólu totalnego. Całymi miesiącami je sobie wyobrażałem i przygotowywałem się na nie psychicznie. Tak, by w najważniejszym momencie nie stanąć w miejscu, nie zwolnić, nie zejść z trasy, ale – jeśli trzeba – wyłączyć w głowie wszystkie bezpieczniki i nawet podkręcić tempo.

12 kwietnia o poranku pogoda była idealna. Wiatr zdecydowanie słabszy niż dzień wcześniej, słońce. Temperatura, o godzinie 8.00 wynosząca 6 stopni, w ciągu dnia miała wzrosnąć do 13. Dokładnie w takich warunkach lubiłem biegać maratony. Start. Pierwsza piątka w normie – około 21 minut, każdy kilometr mniej więcej w 4 minuty i 15 sekund. Druga piątka podobnie. Trzecia i czwarta też. Trzymałem odpowiednio tempo. Było ciężko, ale do wytrzymania. Na półmetku, czyli po 21 kilometrach – 1:28:30. Miałem więc półtorej minuty rezerwy. Profesjonalni maratończycy podobno potrafią drugą część dystansu przebiec szybciej niż pierwszą, ale nigdy mi się to nie udało. W drugiej części zawsze słabłem. Chodziło o to, by w pierwszej wypracować jakąś rezerwę i jej przypilnować.

Po 25 kilometrach czas dalej był w normie, ale już widziałem,

że popełniłem błąd w przygotowaniach. Zakładałem, że trasa jest niemal zupełnie płaska, tak ją zapamiętałem, tymczasem z daleka widziałem, że przed nami jest wielki most, czyli podbieg. Dość długi, jakieś 800 metrów. Taki podbieg w pierwszej części dystansu żadnego wrażenia nie robi, ale na 28-29 kilometrze jest zupełnie inaczej. Każdy krok boli. Każdych 10 metrów wysysa z ciebie siły. Za każde 100 metrów płacisz wysoką cenę na kolejnych kilometrach.

W końcu wbiegłem na ten cholerny most, ale kosztowało mnie to strasznie dużo sił. Przecież po drodze nie możesz za bardzo zwolnić, nie po to pokonałeś wcześniej prawie 30 kilometrów w zaplanowanym tempie. Powoli zbiegaliśmy z mostu, a ja zaczynałem czuć, że mam dosyć. Ten most dał mi potwornie w kość. Gdzieś na 31 kilometrze przyszła mi do głowy myśl, żeby stanąć i przespacerować się te 500 metrów w lewo - mniej więcej taki był dystans do hotelu. Ale przecież nie po to tu przyjechałem, prawda?

Przede mną było jeszcze 12 kilometrów. Z tego 6 pod wiatr. Zaczynało to wyglądać tak sobie. Sprawdziałem czas na kolejnych kilometrach i widziałem, że każdy pokonuję o kilkanaście sekund wolniej, niż powinienem. Półtoraminutowa rezerwa szybko zniknęła. Ostatnich kilometrów nie pamiętam. Biegłem jak koń. Do przodu, przed siebie, najpierw jedna noga, potem druga. W końcówce już wiedziałem, że trójki nie złamię.

Meta - 3 godziny 3 minuty 16 sekund. Za wolno o 197 sekund. Pobiłem swój życiowy rekord, choć przecież nie o to chodziło. Ale prawdę mówiąc, w tamtym momencie zupełnie się tym nie przejmowałem. Byłem strasznie zmęczony. Jakoś dowlokłem się do hotelu, w pokoju padłem na łóżko. Wstałem tylko na chwilę, by otworzyć minibar i wyciągnąć z niego małąkę whisky. W końcu

przez ostatnie miesiące żyłem jak mnich, odmawiałem sobie prawie wszystkiego, należała mi się jakaś nagroda.

Potem wziąłem kąpiel. Byłem trochę zdziwiony. Białe fragmenty paznokci wyglądały na szaro-czarne. Dlaczego, pojęcia nie miałem. Około godziny 14.00 ubrałem się, spakowałem, zapłaciłem za hotel i poszedłem na dworzec. W kasie kupiłem bilet do Amsterdamu, ale ten za chwilę wypadł mi z ręki. Dziwne. Gdy się schyliłem, nie tylko nie mogłem go złapać lewą ręką, ale nawet w niego tą ręką trafić. Złapałem więc bilet w prawą rękę i wstałem. Po czym totalnie zbaraniałem. A może precyzyjnie - przestraszyłem się. Nie panowałem nad lewą ręką. Nie była bezwładna - precyzyjniej rzecz ujmując, robiła, co chciała. Złapałem ją prawą ręką, bo musiało to wyglądać idiotycznie.

Pewnie już wtedy powinienem wezwać pogotowie, ale postanowiłem wsiąść do pociągu. Dojechać do lotniska, to zawsze bliżej Polski, Warszawy i domu. W przedziale wyświetlały się nazwy kolejnych stacji. Lotnisko Schiphol było tylko jedną z nich. Czułem się słabo, źle, dziwnie. Zaczynałem się zastanawiać, czy na pewno będę w stanie wsiąść na mojej stacji. Powiedziałem tylko człowiekowi, który siedział naprzeciw, żeby na Schiphol pomógł mi wsiąść z pociągu i wezwać pogotowie. Resztę pamiętam tak sobie. Wózek, jakiś punkt medyczny, kroplówka, zastrzyk, za chwilę gdzieś mnie wiozą, nosze, karetka i jedziemy dokądś na sygnale.

Wieczór i noc pominę. Rano zabrano mnie - jak mi powiedziano - na terapię zajęciową. Dość to wszystko było absurdalne. 24 godziny wcześniej właśnie wychodziłem na trasę maratonu. Teraz podstawiali mi coś jak pudełko plakatówek, z tym że tam, gdzie normalnie są farbki, były powierzchnie o różnej fakturze, na przykład gładka albo kłująca jak jeż. Miałem

zamknąć oczy i rozpoznać fakturę każdego kólecčka. Nic z tego. Palce prawej ręki wyczuwały to w ułamku sekundy. Lewej – w ogóle.

Od razu powiedziano mi, że w szpitalu będę musiał zostać przez jakiś tydzień. Mowy nie ma, pomyślałem. W Polsce już poszła informacja, że mam coś ze zdrowiem, więc programu nie będzie, i od razu wysypała się w internecie masa „życzeń” powrotu do zdrowia.

We wtorek podpisałem dokument, że szpital opuszczam na własną prośbę i jestem też świadom ryzyka związanego z lotem. Po kilku godzinach byłem w samolocie do Warszawy, chwilę potem znowu w szpitalu, w którym przez kilka dni badano mnie z każdej strony i w każdą stronę. W sumie to doświadczenie zdecydowanie niestandardowe. Erka udarowa. Kilkanaście łóżek w jednej sali. Właściwie wszyscy oprócz mnie w bardzo ciężkim stanie.

W warszawskim szpitalu też chcieli mnie potrzymać dłużej. Tyle że ja wiedziałem, że muszę wyjść. – Ale wie pan, że był pan może milimetr od nieszczęścia? – To znaczy? – To znaczy od sytuacji, w której albo by pan nie żył, albo żyłby pan w sposób, którego na pewno by pan sobie nie życzył. – Rozumiem. – Mam nadzieję.

Znowu podpisałem dokument, że wychodzę na własną prośbę.

W poniedziałek miałem mieć program. Chciałem tylko, żeby się odbył. I odbył się.

Każdy, kto miał w życiu jakieś traumatyczne przeżycia zdrowotne, wie, że moment choroby, urazu jest bardzo stresujący, ale blizny w głowie, we wspomnieniach, są najtrwalsze. Kiedyś, jadąc samochodem, na oblodzonej drodze wypadłem z zakrętu. Przez

kilka kolejnych lat, gdy tylko skręcałem w lewo, miałem ochotę ścinać zakręt – wciąż miałem wrażenie, że za chwilę znowu wypadnę na pobocze. Tym razem przez kilka lat, w sytuacji stresu czy wysiłku, podświadomie patrzyłem na palce lewej ręki, czy nie sinieją mi paznokcie. Nie pamiętam dokładnie, w którym momencie to minęło, ale trwało to naprawdę długo.

Wydawało mi się, że w sumie cała historia przeszła w miarę gładko. Co się stało, to się stało, było niebezpiecznie, ale wszystko się dobrze skończyło. Aż do momentu, gdy jadąc samochodem, nagle, bez żadnego powodu, miałem wrażenie, że za chwilę zemdleję, i musiałem zjechać na chodnik albo pobocze. Powtarzało się to kilka razy. W sumie bez związku z konkretnym stresem. W któryś kolejny poniedziałek zdarzyło się to kilka godzin przed programem i trzeba było wzywać do telewizji kardiologa, który na miejscu zrobił mi EKG. Wszystko, poza podwyższonym ciśnieniem, było w zasadzie w porządku.

Wciąż prowadziłem kolejne programy z założeniem głównym i – szczerze mówiąc – jedynym, by program się odbył. Żadnych antenowych konfrontacji między gośćmi ani moich z gośćmi. Chciałem dojechać do końca sezonu, do ostatniego poniedziałku czerwca, i potem spokojnie zająć się sobą.

11 maja goście też byli „niestresowi”. W pierwszej części Aleksander Kwaśniewski, w drugiej profesorowie Radosław Markowski i Aleksander Smolar. Już kilka minut po starcie programu czułem, że coś jest nie tak. Było mi gorąco, duszno, miałem lekkie dreszcze. I byłem przestraszony, bo nie wiedziałem ani co się dzieje, ani dlaczego. Ale co miałem niby zrobić – przerwać program? I co powiedzieć – kończymy, bo się gorzej czuję? Z jednej strony czułem, że byłoby to kompletnie idiotyczne. Z drugiej myślałem, że może dzieje się ze mną coś bardzo złego,

a ja, zamiast się odmeldować do szpitala, ciągnę ten głupi program. Nie wiem, jakim cudem dojechałem do końca pierwszej części. W czasie materiału filmowego przed częścią drugą powiedziałem tylko krótko: - Żadnych planów na mnie, pokazujecie tylko gości, wezwijcie, proszę, karetkę. A profesorów poprosiłem, by - jeśli przestanę zadawać pytania - pociągnęli program do końca sami. Gdy wiedziałem, że karetka już jest, a do końca czasu przewidzianego na program zostało tylko kilka minut, po prostu go zakończyłem. Po kilku minutach znowu byłem w karetce. Najpierw SOR, potem kardiologia. I chyba najbardziej wszechstronne badania, jakie można przejść. Z których w sumie wynikało, że nie do końca wiadomo, co mi jest, poza nadciśnieniem. Tyle że po tych wszystkich badaniach nabrałem jednak poczucia, że nic strasznego się nie dzieje.

W sumie to było cenne doświadczenie. Kolejny pobyt w szpitalu był lekcją o polskiej służbie zdrowia. Szczerze mówiąc, miałem wrażenie, że w obu polskich szpitalach wyglądało to lepiej niż w obu szpitalach w Amsterdamie. Tylko ludzie, którzy chorymi się zajmowali, byli z całą pewnością z finansowego punktu widzenia w różnych światach. Dzień w szpitalu zaczynał się wcześniej rano od pobierania wszystkim pacjentom krwi. Panie pielęgniarki i salowe były na nogach już od dłuższego czasu. Wiele z nich mówiło mi, że dojeżdżają z podwarszawskich miejscowości i wiosek. Czasem z bardzo daleka. Ciężka, odpowiedzialna praca, cały dzień na nogach, dyżury od świtu albo całonocne. Nie powiem, że praca dziennikarzy nie jest stresująca. Jest, i to bardzo. Ale nazywanie jej stresującą i ciężką, gdy porówna się ją z pracą lekarzy, pielęgniarek czy salowych? Nie, to byłoby jednak błuźnierstwo.

Poniedziałek, 18 maja, ostatni program przed drugą turą wyborów prezydenckich, tydzień po tym, gdy z Woronicza odjechałem karetką. Jeszcze nigdy tak się nie bałem przed programem. Tuż przed wyborami człowiek powinien być całkowicie skupiony na tym, co będzie w programie, tymczasem znowu byłem całkowicie skupiony na tym, by program się odbył. Instrukcja była więc dokładnie taka sama, jak przed kilkoma poprzednimi - żadnych stresów, żadnych antenowych konfrontacji, goście w sumie obojętni, byle zapewniali brak emocji. - Janusz Lewandowski, Włodzimierz Cimoszewicz, Tomasz Karolak mogą być? - zapytała Basia. Absolutnie tak. Aktor Karolak na zakończenie programu mógł się wydać pomysłem egzotycznym i pewnie takim był, ale godząc się na niego, myślałem raczej o tym, jak się czułem w 35. minucie programu sprzed kilku dni. Więc jeśli tylko ostatni gość ma mi zagwarantować zupełny luz, niech tak będzie.

Na szczęście wszystko szło gładko. Żadnych sensacji i po rozmowach z pierwszymi dwoma gośćmi cieszyłem się, że bez problemów zeglujemy do końca. Pod koniec drugiej rozmowy, przed zmianą gości, producentka powiedziała mi do słuchawki, że dzwonił do niej Karolak i chce w programie powiedzieć o „jakimś wpisie Kingi Dudy na Twitterze”. - Niech mówi, o czym chce - pomyślałem. Gdy w czasie materiału filmowego w przerwie, Karolak wszedł do studia, mój asystent, podał mi karteczkę, na której było coś napisane. - Co to jest? - zapytałem. - To ten wpis, o którym chce mówić Karolak. - Aha - odpowiedziałem i odłożyłem kartkę na bok. - Dowiedziałem się, że córka pana Andrzeja Dudy napisała na jednym z portali społecznościowych, że tata powiedział, że jeśli zostanie prezydentem, to odda Oscara, którego dostał film *Ida* - mówił w programie Karolak. Na co ja: -

Mogę zacytować, bo mam tu ten wpis: „Tata mówi, że jak zostanie prezydentem, to odda Oscara Amerykanom, prawda jest ważniejsza od jakiejś tam nagrody z żółtej blachy”.

Program się skończył i po kilku minutach ruszyłem do domu. Nagle rozzwoniły się telefony. – Ten wpis na Twitterze to był *fake*. – Jak to *fake*? – *Fake*, prawicowy Twitter już się grzeje do czerwoności.

Właściwie wszystko było jasne. Ktoś założył fikcyjne konto córki kandydata, pewnie z nadzieją, że ktoś tę fałszywkę łyknie. Ktoś inny powiedział Karolakowi o tym wpisie. On postanowił o wpisie mówić w moim programie. Moja producentka nie sprawdziła, czy konto jest prawdziwe, i spisała treść wpisu. Ja siedząc w studiu, nie miałem szansy, by jego wiarygodność zweryfikować, i gdy Karolak rozpoczął wątek, przeczytałem treść fałszywego, jak się okazało, tweeta. Łatwo było się zorientować, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wykoncypowałby tak idiotycznej intrygi. W internecie prawdziwość takiego wpisu weryfikuje się w pół minuty. A skoro weryfikacja była tak banalnie prosta, wpadając na taki pomysł, godziłbym się, że pięć minut później wybuchnie wielka afera. Naprawdę, nawet gdyby założyć moją najgorszą wolę, należałoby uznać, że jestem nie spiskowcem, ale samobójcą.

Natychmiast napisałem na Twitterze przeprosiny, ale dobrze wiedziałem, że nie zakończą one sprawy. Jeśli ktoś założył fałszywe konto córki kandydata, to po to, żeby ktoś wpadł w pułapkę. A skoro tak się złożyło, że za sprawą dezynwoltury mojej współpracownicy wpadł w nią chyba najbardziej znienawidzony przez prawicę dziennikarz, to trudno się było spodziewać, że przeprosiny zostaną przyjęte. Wiedziałem, że show dopiero się zaczyna i że za chwilę zacznie się

przedstawienie pod tytułem - córka kandydata brutalnie zaatakowana przez wroga PiS.

Wiedziałem też, że PiS i kandydat Duda będą chcieli na tym koniku pojechać tak długo, jak się da. Łatwo było przewidzieć, że w następnym akcie pojawi się śpiewka, że chciałem odpalić intrygę przed wielomilionową publicznością i załatwić sprawę przeprosinami na Twitterze, który ma nieporównanie mniejszy zasięg. Trzeba więc było działać błyskawicznie i dotrzeć z przeprosinami do jak najszerzej publiczności, by tę propagandową operację PiS unicestwić.

Rano rozmawiałem z szefem TVP Info. Kiedy mogę wystąpić na antenie z przeprosinami? W każdej chwili. OK, jadę. Tuż przed wejściem do studia, gdy panie charakteryzatorki pudrowały mi twarz, zobaczyłem na ekranie telewizora, że TVP Info akurat zaczynało transmisję z konferencji Andrzeja Dudy. Spodziewałem się, że kwestia Twittera za chwilę się pojawi. Dobrze, będę mógł skomentować to tuż po wystąpieniu kandydata, a wiedziałem, że padną też zarzuty pod moim adresem.

Kandydat robił miny wskazujące na straszliwe cierpienie, choć każdy wiedział, że dostał wielki prezent, kilka dni przed wyborami mógł wejść w rolę zdeterminowanego obrońcy córki. Zaraz potem wszedłem na antenę i odniosłem się do tego, co przed momentem razem z widzami usłyszałem. Znowu przeprosiłem, nie półgębkiem, ale jasno i w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Oczywiście wiedziałem, że za chwilę usłyszę - podałam fałszywą informację przed wielomilionową publicznością, a przeprosza w TVP Info. Dlatego patrząc prosto w kamerę, poprosiłem o wyemitowanie moich przeprosin w „Wiadomościach” telewizyjnych. Przepraszałem więc już drugi

raz, prosząc, bym mógł przeprosić trzeci raz.

Z całym szacunkiem, ale zdecydowanie nie była to jedna z większych afer w historii polskich mediów. Był to wybitnie idiotyczny błąd, za który należały się, owszem, przeprosiny, a ja przeproszałem z taką intensywnością, dobrze wiedząc, że cały aparat PiS-owskiej propagandy pracuje teraz na to, by z tego błędu zrobić największy skandal w historii. Świadomie więc pobijałem medialny rekord przeprosin - nikt nigdy za nic, szczególnie za coś takiego, w polskich mediach aż tak intensywnie nie przeproszał. Wystarczy tylko przez chwilę pomyśleć o wieloletnich faulach, insynuacjach i ordynarnych manipulacjach telewizji Jacka Kurskiego, których ofiarą padały setki niewinnych ludzi, często seryjnie odsądzanych od czci i wiary. Czy kiedykolwiek ktokolwiek z opluwanych i tratowanych usłyszał przeprosiny? I to takie, które padały z woli winnego? No właśnie.

A to nie był koniec. Wiedziałem, że występ w TVP Info i moja prośba, by przeprosiny nadać w „Wiadomościach”, to dla PiS-owskiej propagandy wciąż będzie za mało. Może gdybym skoczył na główkę z Pałacu Kultury, uznano by, że sprawiedliwości stało się zadość, ale i to wcale nie jest takie pewne. Tym razem jednak i ja, w tej ultrapechowej sytuacji, miałem odrobinę szczęścia. Kolega z „Faktu”, wydawanego przez nasze wydawnictwo, zadzwonił z bezcenną informacją. - Nie wiem, czy wiesz, ale za półtorej godziny Duda ma spotkanie w „Fakcie”. - Serio? - Serio, może ci się ta wiadomość przyda.

Oj tak, bardzo mi się przydała. Od razu wiedziałem, że stanę na głowie, by dotrzeć do kandydata, najlepiej na oczach świadków, żeby potem nie można było temu zaprzeczyć, i przeproszę go osobiście. PiS-owskiej propagandy całkowicie to nie zatrzyma, ale

ci, którzy nią kręcą, będą musieli jednak trochę dać sobie na wstrzymanie.

Oczywiście wiedziałem, że takie osobiste przeprosiny nie są w interesie kandydata i jego sztabu, musiałem więc wszystko zaaranżować tak, by postawić ich przed faktem dokonanym. Mniej więcej 20 minut przed pojawieniem się kandydata, schowałem się w pomieszczeniu przylegającym do lobby budynku, w którym mieści się wydawnictwo. Jeden z moich współpracowników miał mi dać znać, że kandydat podjeżdża pod budynek. Drugi, że do niego wchodzi. Gdy zadzwonił, natychmiast wyszedłem na spotkanie. – Panie pośle, chciałem pana przeprosić za to, co się wczoraj stało. – Odejdźmy na bok – zaproponował Andrzej Duda. Odeszliśmy, a na boku odbyliśmy kilkuminutową rozmowę. – Wie pan doskonale – powiedziałem – że w tym, co się stało, nie było żadnej premedytacji, poza wszystkim chwilę przed programem wyszedłem ze szpitala i Bóg mi świadkiem, że zastawianie pułapek na kogokolwiek nie było mi w głowie. – Tak, wiem, że był pan w szpitalu – powiedział Andrzej Duda, czym bardzo mnie zdziwił, bo szczęśliwie nigdzie o tym drugim szpitalnym pobycie nie było ani słowa. – Cieszę się, że pan wie – powiedziałem – bo to, jak sądzę, czyni to, co mówię, naprawdę wiarygodnym. Nie zmienia to postaci rzeczy, że doszło do wyjątkowo nieszczęśliwej wpadki, że ofiarą tego padła pana córka, więc chciałem pana za to serdecznie przeprosić i uprzejmie poprosić o przekazanie moich przeprosin córce. Proszę potraktować moje przeprosiny jako przeprosiny ojca składane ojcu, bo zdaje się, że nasze córki są w tym samym wieku.

Andrzej Duda powiedział, że ten incydent bardzo go zabolął i że nie wie, jak to wpłynie na jego formę w drugiej debacie

z Bronisławem Komorowskim, która miała się odbyć dwa dni później. – Z całym szacunkiem, panie pośle, ale jest pan o jedną debatę i pięć dni od prezydentury i choć incydent był nieprzyjemny, absolutnie nie był na tyle poważny, by w jakimkolwiek stopniu wpłynął na to, jak wystąpi pan w debacie. – Andrzej Duda, za co mu bardzo podziękowałem, przeprosiny przyjął. To miało dla mnie znaczenie. Ludzie mogą się lubić albo nie, mieć zupełnie odmienne poglądy polityczne, ale dzieci są świętością. Jasne stwierdzenie kandydata, że przeprosiny przyjmuje, miało swoją wagę. Polityka polityką, wybory wyborami, ale naprawdę są rzeczy ważniejsze.

Historia z nieszczęsnym tweetem i z przeprosinami była ważna. Dla kampanii nie miała jednak żadnego znaczenia. Prawdę mówiąc, już dziewięć dni wcześniej, w dniu pierwszej tury, było dość jasne, że wybory prezydenckie są rozstrzygnięte. Bronisław Komorowski właściwie od początku kampanii tylko słabł, jego notowania wyłącznie spadały, cała ta kampania, najgorsza chyba kampania prezydencka w historii, była pełna błędów i naprawdę nic nie wskazywało na to, że może się zdarzyć cud.

Jeszcze 5 stycznia, kilka miesięcy wcześniej, Adam Michnik powiedział u mnie w programie, że „Komorowski przegra wybory tylko, jeśli pijany przejedzie na pasach zakonnicę w ciąży”. Do dziś te słowa Michnikowi wypominają jako znak arogancji zwolenników prezydenta. Prawda jest jednak taka, że słowa naczelnego „Wyborczej”, jakkolwiek nienadmiernie skrywające pewność siebie otoczenia prezydenta, miały sens. Przegrana Bronisława Komorowskiego była nie do przewidzenia i nawet nikt w PiS jej nie przewidział. Jeśli więc prorokowanie, że nie wchodzi ona w grę, świadczyło o braku wyobraźni, to tylko w tym sensie,

że było wręcz niewyobrażalne, by ktokolwiek, gdziekolwiek, kiedykolwiek miał tak dramatycznie złą kampanię wyborczą.

Przegrana Bronisława Komorowskiego wydawała się nieuchronnym skutkiem strasznych błędów. Ale była też czymś więcej. Pierwszym, choć nie ostatnim, aktem dramatu obozu władzy, który zaczął się pod koniec sierpnia 2014 roku.

Europejski awans Donalda Tuska musiał budzić w wielu Polakach dumę. Ale także kazał stawiać kluczowe pytanie - kto dalej i co dalej? Tusk przekazał lejce Ewie Kopacz. Panią marszałek było za co szanować. To była fighterka, a w Moskwie w dniach po katastrofie smoleńskiej pokazała, że jest osobą twardą, dojrzałą, pracowitą i pełną empatii. To wszystko prawda, ale brutalna prawda jest też taka, że ten zestaw cech, choć budzący podziw, nie czyni jeszcze człowieka dobrym kandydatem na premiera. Można było się łudzić, że Ewa Kopacz wniesie do rządu nowego ducha i nową energię. Ale właśnie. Po pierwsze - łudzić. Po drugie - nawet złudzenia w tym wypadku były wybitnie krótkotrwałe.

Doskonale pamiętam ten piątek, gdy w redakcji „Newsweeka” oglądaliśmy transmisję z Politechniki Warszawskiej, gdzie nowa pani premier prezentowała swój gabinet. Chciała, co zrozumiałe, powiedzieć coś dobrego o każdym ze swoich ministrów. Sposób, w jaki to uczyniła, budził jednak pewną konsternację. O nowym ministrze sprawiedliwości, Cezarym Grabarczyku, Kopacz powiedziała, że „Czarek Grabarczyk kocha ludzi”. Gdyby Czarek Grabarczyk miał być ministrem do spraw miłości, to z całą pewnością takie kwalifikacje by pomogły, ale trafił mu się jednak inny resort. O ministrze finansów, Mateuszu Szczurku, dowiedzieliśmy się, że „nie śpi po nocach”. O ministrze spraw

zagranicznych, Grzegorz Schetynie, że „bardzo ładnie współpracował z Sikorskim”. O nowej minister infrastruktury, że jest „nikłej postury, ale silną kobietą”. Patrzyliśmy na siebie, miałem wrażenie, z coraz szerzej otwartymi oczami. A to wcale nie był koniec. To był początek.

Jakiś doradca pani premier zalecił jej zapewne, by odwołać się do elektoratu kobiecego. Nadmiernie subtelne i wyrafinowane w zamyśle to nie było. W wykonaniu było to infantylne. „Jestem kobietą”, „jak wiele kobiet”, „jak każda kobieta”, „jak polska kobieta”. To był koncert złego PR i złej polityki. Fakt, że po 22 latach premierem Polski znowu była kobieta, był znaczący. Można tym było grać, można to było podkreślać, ale z atutu uczyniono autoparodię. Wyglądało to bowiem tak, jakby ktoś drwił z kobiet i z ich roli. Być może doszedłbym nawet do wniosku, że pani premier drwi z siebie, cóż, autoironia to pewna umiejętność, ale cienia ironii w tym nie było. I gdy wydawało się, że wprawdzie jest źle, ale już nie może być wiele gorzej, po chwili okazało się, że jednak może.

Reporter „Faktów” TVN zadał wtedy pytanie o sprzedaż broni na Ukrainę. Pani premier, zapewne jako kobieta, polska kobieta, w imieniu kobiet, z kobiecą wrażliwością, odpowiedziała tak: „Wie Pan, ja jestem kobietą. Wyobrażam sobie, co ja bym zrobiła, gdyby na ulicy nagle pojawił się człowiek, który wymachuje jakimś ostrym narzędziem albo trzyma w ręku pistolet. Pierwsza moja myśl? Tam za plecami jest mój dom i są moje dzieci. Więc wpadam do domu, zamykam drzwi i opiekuję się własnymi dziećmi. Co zrobiłby w takiej sytuacji mężczyzna? Pewnie pomyślałby: - Nie mam nawet porządnego kija w ręku, ale jak to. Ja nie stanę i nie będę się z nim tłukła, tylko dlatego, że odważył się przyjść i grozić mojej rodzinie”. Uffffffff. Ufffff. Spojrzałem na

koleżanki i kolegów. No to już mamy jasność. Wybory parlamentarne wygrał PiS. Teraz pytanie o prezydenckie. Jeśli wygra Komorowski, państwo będzie miało bezpiecznik. Jeżeli nie, to jesteśmy... tu chyba użyłem dość mocnego słowa.

Jeszcze w 2014 roku wygraną Bronisława Komorowskiego uważałem za niemal pewną. W lutym 2015 roku, trzy miesiące przed wyborami, odbyła się konwencja kandydata PiS na prezydenta, Andrzeja Dudy. Kandydat bez kartki wygłaszał, albo dokładniej – wykrzykiwał – swoje wystąpienie. Było bardzo średnie, ale zdyscyplinowane PiS-owskie oddziały wpadały w ekstazę – oto Marek Tulliusz Cyncero i John Kennedy w jednej osobie, wspaniały mówca, charyzmatyczny nowy lider. Śmieszność tego bajania była uderzająca, ale jego intensywność mogła na ludziach robić wrażenie. Tym bardziej że druga strona tego wystąpienia postanowiła w ogóle nie dostrzegać.

Mniej więcej w tym samym czasie prezydent Komorowski był z oficjalną wizytą w Japonii. Tam, w japońskim parlamencie, jak słyszeliśmy, „wchodził na fotel” i zachęcał szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Stanisława Kozieja, którego nazywał szogunem, by ten zrobił mu zdjęcie. Komorowski wcale nie stanął na żadnym fotelu, ale scenka wystarczyła, by zjednoczone siły PiS-owskiego aparatu propagandy od rana do wieczora w tysiącach tekstów, tweetów, wpisów na Facebooku pisały o obciachowym Komorowskim, który rzekomo strasznie się skompromitował.

Wszyscy koncentrowali się na tym nieszczęsnym szogunie i fotelu. Mnie w tamtych dniach uderzyło coś innego. Otóż prezydent, zainspirowany wizytą w Japonii, powtarzał, że w kraju, który właśnie odwiedził, kampania wyborcza trwa 12 dni i jest to

wariant najlepszy. To była katastrofa. Prezydent kraju mówił de facto wyborcom, że wybory są już rozstrzygnięte, wiadomo, że on wygrał, a tu, chociaż wynik wyborów jest właściwie już znany, zmusza się go do prowadzenia kampanii, która jest czystym rytuałem. Mówił im więc, że w gruncie rzeczy nie bardzo chce mu się pocić i starać, by pozyskać ich głosy.

W młodej historii polskiej prezydentury sytuacja, gdy urzędujący prezydent jest bezdyskusyjnym faworytem w wyborach, zdarzała się po raz drugi. Pierwszy raz miał miejsce 15 lat wcześniej, gdy o drugą kadencję ubiegał się Aleksander Kwaśniewski. Ale Kwaśniewski prowadził kampanię tak, jakby tej przewagi nie miał. Bronisław Komorowski, wielki patriota, człowiek niewątpliwych zasług, polityk mający życiorys, którego mógłby mu pozazdrościć każdy, nie czuł najwyraźniej tego, co dla Kwaśniewskiego było oczywiste.

W Platformie nikt nie przyjmował do wiadomości, że Bronisław Komorowski może przegrać. W związku z czym wielu ważnych ludzi w partii najbardziej bało się nie zwycięstwa kandydata PiS, ale tego, że Komorowski wygra za wysoko. Bo wciąż, nie wykazując cienia politycznego instynktu, przewidywano w PO, że Komorowski wygra, a na fali jego zwycięstwa zdemobilizowane oddziały PiS polegną w wyborach parlamentarnych. Ponieważ przyjmowano powyższe założenia, Platforma postanowiła się w wybory prezydenckie za bardzo nie angażować. Co, trzeba jej oddać, rzeczywiście się udało.

Komorowski jeździł po Polsce. Na spotkania z nim przychodziła często garstka ludzi. Ta garstka była często zdominowana przez grupkę wysłanych przez PiS krzykaczy. Kampania zmieniała się w farsę. Nie było przesłania, nie było ludzi, nie było energii, nie było pasji. W którymś momencie PiS-owska machina rozpedziła

się na dobre. Zaczęła się brutalna nagonka na dzieci prezydenta. PiS, tak oburzony głupawą wpadką z fałszywym tweetem córki swego kandydata, metodycznie walił w dzieci Bronisława Komorowskiego. Kanonada trwała w najlepsze, padały niezliczone wyssane z palca zarzuty, za które oczywiście nikt nigdy nie przeprosił.

Tuż przed Wielkanocą, na przełomie marca i kwietnia, miałem okazję rozmawiać z ludźmi prezydenta. – Panowie, jest słabo. – Ale co jest słabo? – Jest bardzo słabo. Widzieliście najnowszy sondaż? Komorowski ma nad Dudą 13 punktów przewagi. – No właśnie, 13 punktów, zdecydowanie prowadzimy. – Panowie, 13 punktów, czyli praktycznie 6,5. – Jak to 6,5? – Jeśli Duda przejmie połowę z tych 13 proc., to będzie remis. – Ale do remisu daleko. – Niestety, całkiem blisko. Od ośmiu tygodni Duda wyłącznie zyskuje, a Komorowski wyłącznie traci. W jego kampanii nie zdarzyło się nic, co można by uznać za sukces. Kampania prezydenta jest beznadziejna i nic nie wskazuje na to, że tendencja się odwróci. Jeśli więc nic się w niej nie zmieni, a naprawdę nie wiadomo, dlaczego miałyby się cokolwiek stać, linie poparcia dla Komorowskiego i Dudy za kilka tygodni się przetną, a potem Duda będzie liderem.

Czułem, że walę głową w mur, bo ci ludzie za diabła nie rozumieli, co się do nich mówi. Myśleli już o oczywistej i nieuchronnej drugiej kadencji, nie widząc, że ta prezydentura wisi na włosku. Napisałem wtedy w „Newsweeku”, bez żadnej nadziei, że ktokolwiek to przeczyta, a jeśli przeczyta, to się przejmie, tekst o fatalnej kampanii Komorowskiego. I o tłustych kotach z PO, które powinny zrozumieć, że ich los zależy od losu prezydentury Komorowskiego, i zabrać się do roboty. Nic nie

wskazuje na to, że którykolwiek z kotów się za ten tekst obraził albo się nim przejął. Wszyscy go koncertowo zignorowali. Szło przecież o to, by Komorowski nie wygrał za wysoko.

W tamtych dniach jeden z moich znajomych, widząc, jak doskonale funkcjonuje internetowa kampania Andrzeja Dudy, zapytał Bronisława Komorowskiego, jak wygląda jego internetowa kampania i kto nią kieruje. Kandydat, niestety, nie wiedział, czy internetowa kampania w ogóle funkcjonuje. Jeden z ludzi prezydenta zapytał mnie na początku kwietnia, co ja, skoro jestem takim mądralą, radzę. Odpowiedziałem, że nie jestem od radzenia i że wbrew temu, co sądzą ludzie prezydenta, sytuacja jest już tak dramatyczna, że być może żadne rady nic nie pomogą. Do głowy przyszła mi tylko jedna - Komorowski musi schudnąć. 8-10 kilogramów w ciągu miesiąca. Widziałem ten stupor, to bezgraniczne zdziwienie w oczach mojego rozmówcy. - Ale po co? - zapytał. - Żeby ludzie przez ułamek sekundy poczuli, że mu zależy, że nie uważa, iż te wybory to tylko rytuał, żeby czuli, że zabiega o ich głosy. Niech pojedzie na jakiś wiec i się spoci. Niech krople potu spływają mu po skroniach, niech zawinie rękawy, niech koszulę na plecach ma mokrą. Ludzie muszą zobaczyć, że ten gość chce ich poparcia, a nie, że zachowuje się, jakby był przekonany, że ich poparcie mu się należy.

Prezydent Komorowski i jego ludzie mieli niezachwianą wiarę w zwycięstwo. Ja - choć też długo uważałem, że on wygra - nie miałem wielkich złudzeń co do sondaży wskazujących na to, jak wielkim cieszy się poparciem. Przez kilka lat z rzędu w przeddzień Święta Niepodległości robiłem wywiady z Bronisławem Komorowskim. Czasem miałem wrażenie, że są całkiem ciekawe, ale oglądalność programu nie bardzo to

potwierdzała. Słupki było nieubłagane. Każdego roku robiłem 38-39 programów. Cztery lata z rzędu wywiady z prezydentem miały najniższą oglądalność spośród wszystkich programów. A było to w czasach, gdy zaufanie do Bronisława Komorowskiego i poparcie dla sposobu, w jaki pełni on obowiązki prezydenta, wyrażało 75 proc. Polaków. Wniosek był oczywisty. Poparcie dla prezydenta było – jak mówią politolodzy w Ameryce – szerokie jak morze i cienkie jak kartka papieru. Ludzie uważali, że Komorowski to w porządku gość, chyba sympatyczny, raczej uczciwy, jak się wydawało, solidnie wykonujący swą pracę. Ale te letnie uczucia wobec prezydenta dopiero miały podlegać weryfikacji. Gdy kanonada ruszyła, z kartki papieru niewiele zostało. Z wielkiego poparcia zostały złudzenia.

Bronisław Komorowski, jak wiemy, przegrał. Potem wielu socjologów i polityków przedstawiało mądre teorie o fali sprzeciwu wobec establishmentu, której nie udało się powstrzymać, o cynicznej kampanii sztabu kandydata Dudy, o oszczerstwach, insynuacjach i paskudnych zarzutach. Tak. Fala sprzeciwu była faktem. Kampania PiS była cyniczna. Oszczerstwa, insynuacje i paskudne zarzuty były na porządku dziennym. A jednak wszystko to razem wzięte nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby zorganizować prezydentowi Komorowskiemu normalną kampanię, gdyby partia, z której się wywodzi, zaangażowała się w nią choćby na pół gwizdka. Nie na ćwierć, ale na pół. Gdyby on sam odrobił po prostu pracę domową. Tak, bywają w historii sytuacje nieuchronne. Są fale, które zmiatają wszystko. Ale to nie była jedna z tych sytuacji. Za niefrasobliwość, lenistwo, brak energii i pomysłu wyborcy po prostu wymierzili strasznie surową karę. Sprawiedliwą?

Niesprawiedliwą w tym sensie, że prezydentem został człowiek słaby, pozbawiony kręgosłupa, niesamodzielny, psychicznie wątły, niebędący prawdziwą głową państwa, ale głowę państwa niezdarnie udający. I jednocześnie sprawiedliwą. Kampania kandydata Dudy była dobra. Kandydat Duda zasuwał jak wół i dostał za to nagrodę. Polska na takiego prezydenta i na taką prezydenturę nie zasługiwała, ale sam Andrzej Duda zasłużył na nagrodę za ciężką pracę. Może nie aż taką, ale innej pod ręką nie było.

Niemal w każdym dramacie jest jakiś element humorystyczny, czasem tragikomiczny. Tak było i tym razem. We wtorek, 19 maja, dzień po moim programie, dwa dni przed drugą debatą prezydencką, pięć dni przed drugą turą wyborów, w prawicowych mediach zaczęła się pogoń za Lisem. Tak, przez duże „L”, bo nie była to jeszcze pora na tradycyjnego Hubertusa. Grupa prawicowych dziennikarzy przez pół nocy nadawała transmisję sprzed Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, gdzie miało się podobno odbywać moje tajne spotkanie z Michałem Kamiński, wtedy ministrem u Ewy Kopacz, pomagającym w kampanii Bronisławowi Komorowskiemu. Nie bardzo wiem, co było śmieszniejsze – to, że naradzam się z Kamińskim, czy to, że narada trwa w kancelarii premiera. Ale tu nie było żartów. Telewizja Republika nadawała. Redaktor Rachoń nadawał. „Gazeta Polska” nadawała. Redaktor Pereira nadawał. Dwie gwiazdy prawicowych mediów zaglądały przez ogrodzenie, śledziły wjeżdżające i wyjeżdżające samochody, a nawet kłóciły się z policją. Rachonia i Pereirę pod kancelarię premiera przyciągnęło posiedzenie bliżej niezidentyfikowanego ciała.

W sprawie ciała miałem wtedy rzeczywiście solidny problem.

Dostałem gorączki, musiałem wyjść wcześniej z pracy i po godzinie 15.00 zameldowałem się w łóżku pod kołdrą. Z tego punktu obserwacyjnego przyglądałem się Rachoniowi i Pereirze, którzy gonili za mną po Warszawie. „Oto jedno z okien w kancelarii premiera, gdzie nocna praca wre. To jest jeden z korytarzy, z całą pewnością. Na tym piętrze jest kilka zapalonych świateł. Niezbyt wiele samochodów. Pojedyncze auta znajdują się w środku” – raportował Rachoń. Mniej więcej takie relacje nadawał co kilka minut przez parę godzin.

Cóż, redaktorzy Pereira i Rachoń mieli bardzo wiarygodne informacje, że jestem w KPRM. Doniósł o tym na Twitterze europoseł Czarnecki. „Nazwiska osób na spotkaniu w KPRM nie zostały wprowadzone do książki wejść. Weszli poza systemem rejestracji”, donosił doskonale poinformowany Czarnecki. Zawsze solidarny z dziennikarzami, nawet z redaktorami Rachoniem i Pereirą, chciałem im ulżyć, zwolnić z obowiązków, pozwolić wrócić do domu i się zrelaksować. Napisałem więc na Twitterze: „Pan europoseł Czarnecki napisał, że jestem w kancelarii premiera, po czym dodał: widzimy i słyszymy. Panie pośle – guzik pan widzi i słyszy. Od kilku godzin jestem u siebie w domu”. Czarnecki nie dał się przekonać: „W KPRM jest wszystkim znany Lis”. W poczuciu beznadziei odpowiedziałem krótko: „Panie Czarnecki, skończ pan te swoje PiS-owskie brednie. Kładę się spać. Nie z Kamińskim i nie w kancelarii premiera”. Chyba byłem mało wiarygodny, bo Rachoń ciągle nadawał: „Wyjdą czy nie wyjdą”.

Nagle Rachoń z Pereirą dostrzegli pod KPRM czarne audi (jeździłem wtedy czarnym audi). „Kierowca audi parkuje nieopodal i czeka z włączonym silnikiem. Jeśli przyjechał po uczestnika spotkania, to za chwilę go zgarnie. Ale może też

podjechać do drugiej bramy”. Po dziesięciu minutach kierowca ruszył, a Rachoń za nim w pościg. „Kierowca audi przyspiesza, zostajemy w tyle, tak można stracić prawo jazdy, chciał zmylić przeciwnika” – donosił Rachoń. Wreszcie zrezygnował z pościgu. Spałem.

Sytuacja była komiczna. Ale też pouczająca. Pokazała świat wyobrażeń i halucynacji późniejszych gwiazd TVP Info. Fakty nie miały znaczenia. Fakty były zbędne. Redaktorzy mieli swoje, alternatywne fakty. Ta humoreska była zapowiedzią tego, co już całkiem niedługo miało się stać z mediami publicznymi. Grupa kompletnych oszołomów zrobiła sobie z nich folwark, na którym w służbie ukochanej partii można było dać upust swej paranoi. Gdy wygłupiali się przed wyborami w niszowych mediach, można było się z tego śmiać. Ale kiedy po kilku miesiącach wygłupy stały się serwowaną całkiem sporej liczbie Polaków propagandową papką, sponsorowaną przez samych widzów, przestało być zabawnie. Wybryk, eksces, błazenada – stały się normą.

PiS zdobył szalenie ważny przyczółek władzy. Prezydentura miała być bezpiecznikiem na wypadek wyborczego zwycięstwa PiS. Bezpiecznika już nie było. Zwycięstwo Komorowskiego miało uruchomić falę, na której do trzeciej kadencji dopłynęłaby Platforma. Zwycięstwo Dudy uruchomiło zupełnie inną falę. PiS czuł krew i czuł dobrze. Niemożliwe przedwczoraj, dziś było możliwe, a pojutrze miało być faktem.

W roku 2015 uprawiałem donkiszoterię. Wysyłałem sygnały ostrzegawcze, a czasem alarmowe, prosiłem, przekonywałem, apelowałem. Mówiłem i pisałem jasno – nie wybieramy tego czy owego prezydenta ani tej czy innej partii sprawującej władzę. Więcej, my w ogóle nie bierzemy udziału w wyborach, tylko w wielkim narodowym referendum. Bo w 2015 roku

decydowaliśmy, czy chcemy demokracji, czy nie. Czy chcemy przewidywalnej Polski, czy nie; czy chcemy mocnej pozycji Polski w Europie, czy nie; czy chcemy trójpodziału władz, czy nie; czy chcemy Polski obywatelskiej, czy nie; czy chcemy niezależnych sądów, czy nie; czy chcemy publicznej telewizji, czy nie. Wyniki referendum były zasmucające. Okazało się, że zwolenników demokracji, praworządności i normalności jest całkiem sporo, ale tyle samo jest zwolenników szalonego eksperymentu, który wyrzuci do śmietnika największe osiągnięcia Polski po 1989 roku, największe osiągnięcia Polski w jej historii.

Wszystko, co pisałem, nazywam donkiszoterią, bo jakkolwiek krzyczałem w sprawie nadchodzącego zła, ostrzegając przed tym, co ono przyniesie, to nie miałem żadnych złudzeń co do skutków tych ostrzeżeń. Fala zbyła byt wysoka, a wiatr w twarz zbyt silny. Żeglarz wie, jak się w takich warunkach żegluje, maratończyk wie, jak się przy takim wietrze biegnie. Być może lepiej byłoby usiąść z boku, założyć monokl i przyglądać się tej nieuchronności. Być może. Ale jakoś nie chciałem siedzieć.

Fala była wysoka i wielu chciało na niej popłynąć. Bo po co płynąć pod prąd, skoro można z prądem, po co protestować przeciw temu, co złe, skoro życie będzie o wiele łatwiejsze, gdy uzna się, że może to zło wcale nie jest takie złe. Że jeśli się bliżej przyjrzeć, to może zło ma w sobie trochę dobra, a może nawet dużo dobra, a kto wie, czy po prostu nie jest dobrem.

Gadałem więc i pisałem swoje, słysząc i czytając non stop, że ulegam „anty-PiS-owskiej hysterii”, że mam „przestać straszyć PiS”, że „PiS trzeba dać szansę”. W ogóle nie ulegałem hysterii. Czy rodzic mówiący dziecku, żeby nie dotykało żelazka, jest histerykiem? Nie histeryzowałem. Raczej ogarniał mnie smutek. Straszyłem PiS, bo doskonale wiedziałem, czym pachną rządy tej

partii, a dokładniej jednego człowieka, bo cała ta partia to jego prywatna zabawka. Nie moją rolą było z kolei „dawać PiS szansę”, bo tę chcieli dać tej partii Polacy. W każdym razie jedna trzecia Polaków. Wiedziałem więc, że rzucam grochem o ścianę, ale uważałem to za swój obowiązek.

6 sierpnia miało miejsce zaprzysiężenie Andrzeja Dudy na prezydenta. Co poradzę, że słuchałem jego wystąpienia w Sejmie z wielkim sceptycyzmem. Mógł sobie dopiero co zaprzysiężony prezydent wiele opowiadać o budowaniu wspólnoty i o tym, ile będziemy w stanie razem zrobić. Cóż mogłem poradzić, że wiedziałem, iż nadchodzi czas rozbijania wspólnoty i że żadnego „razem” nie będzie. Ciekawe, że nowy prezydent sprawiał wrażenie, iż kompletnie nie miał pojęcia, co się za chwilę będzie działo. Że nie wiedział, jaką rolę wyznaczono mu w całym przedstawieniu i że jeśli na czymś będzie ona polegała, to na pewno nie na budowaniu wspólnoty. Doktor prawa zostawał właśnie prezydentem, tylko po to, by być notariuszem. Może z tą różnicą, że notariusz bardzo dokładnie czyta podsuwane mu dokumenty, a Andrzej Duda podpisywał je od ręki, jak leci. W dniu zaprzysiężenia Duda jednak fruwał. Mówił i mówił, i mówił, a mówiąc i mówiąc, wpadał w coraz większy zachwyty nad sobą, jakby jego własne słowa coraz bardziej trafiały mu do ucha, jakby coraz bardziej uznawał je za słuszne, mądre i wiekopomne. Już wtedy popadał coraz bardziej w manierę wykrzykiwania górnolotnych słów, gdy i ton, i słowa nie pasują nijak do rzeczywistości. Patrzyłem na ekran telewizora i zastanawiałem się, czy Andrzej Duda serio mówi to, co mówi, ale tu nie było cienia wątpliwości. On to mówił śmiertelnie poważnie. A składał deklaracje, których wcześniej nie składał chyba żaden polityk.

„Dotrzymam zobowiązań wyborczych, jestem człowiekiem niezłomnym, człowiekiem wiary (...) będę w tym zakresie niezłomny, będę działał i wierzę w dobre współdziałanie z Sejmem, Senatem i z rządem, z Parlamentem Europejskim i naszymi przedstawicielami na ważnych stanowiskach w Unii Europejskiej”.

Cóż, zdarzało się, że polityk mówił o narodzie, który go wybrał, że jest narodem niezłomnym. Nigdy wcześniej jednak żaden nie mówił tak o sobie. Trzeba było nowemu prezydentowi oddać, że poprzeczkę stawiał sobie niezwykle wysoko. A był tak pewny siebie, tak był przekonany, że każdą przeszkodę pokona, iż stawkę podbijał maksymalnie. Bo on nie tylko zapewniał, że jest niezłomny, a więc twardy i nieustępliwy, z obranej drogi nie schodzący. On w swoim całkowitym braku pokory i w absolutnej pewności siebie z góry wyznaczał karę, jaką przyszłoby mu zapłacić, gdyby nie dał rady, co oczywiście nastąpić nie mogło, ale jednak karę tę definiował ściśle, pośrednio podkreślając, jak mało prawdopodobne jest to, że musiałby ją ponieść. „Mam świadomość tego, że jeżeli się nie sprawdzę, nie dam rady, to będę prezydentem pięć lat i odejdę z żalem i wstydem. Tylko jak do tej pory zawsze mi się udawało i nie widzę powodu, żeby tym razem miało mi się nie udać”. Śmiało, odważnie, ofensywnie. Nie bardzo było wprawdzie wiadomo, co takiego poza zostaniem prezydentem Andrzejowi Dudzie się udało, ale musiało tego być sporo, bo nie mówił, że wiele mu się udało albo że zwykle mu się udawało, ale że „zawsze”. Jeszcze nigdy w historii notariatu nie było notariusza tak pewnego siebie, jeszcze nigdy żadna marionetka nie miała poczucia takiej mocy sprawczej.

Ale przecież gdy Andrzej Duda wypowiadał te słowa, mówił je do zgromadzonego przed Pałacem Prezydenckim tłumowi swych

zwolenników. Przecież dwa i pół miesiąca wcześniej zdobył ponad 8,5 miliona głosów, przecież miał niezwykle silny mandat wyborczy i poparcie, jakiego żadna partia nie miała i nie będzie miała. Nie tylko zwolennicy PiS go w końcu wybrali. Miliony Polaków widziały w nim kogoś młodego, autentycznego, kogoś, kto stanowi dla Polski wielką szansę. Po prostu miliony widziały w nim świetnego przyszłego prezydenta, a może i męża stanu. Co poradzę, że widziałem w nim wyłącznie człowieka wynajętego przez szefa swej partii do zagrania roli kandydata na prezydenta, która to rola, dzięki najgorszej kampanii prezydenckiej w historii w wykonaniu jego rywala, dała mu prezydenturę. Nie tylko nie dostrzegałem w Andrzeju Dudzie kogoś, kto będzie dobrym prezydentem. Nie widziałem w nim nawet cienia zdolności do zostania politykiem samodzielnym. Bo przecież gdyby Jarosław Kaczyński wyczuł w nim jakikolwiek gen, ślad, zarodek samodzielności i siły, to nigdy by mu takiej roli nie powierzył. Widziałem więc słabego i nieporadnego w gruncie rzeczy człowieka, którego logorea maskuje niemoc, a zapewnienia o własnej niezłomności zakrywają wszechogarniającą, immanentną słabość.

Oczywiście mogłem się mylić. Powiem więcej, bardzo chciałbym się mylić. Serio, oznaczałoby to przecież, że polska demokracja nie ześlizgnie się w odmęty autorytaryzmu. Ale niestety, czułem, że przynajmniej tym razem się nie mylę. Pozostawało zachować okruchy nadziei, że może w przypadku Andrzeja Dudy nastąpi cud, i ostrzegać przed rządami Jarosława Kaczyńskiego, bo tu cud, jakaś przemiana w demokratę, człowieka zrównoważonego, odpowiedzialnego i przewidywalnego w ogóle nie wchodziły w grę. Więc ostrzegałem. Tak jak przed wyborami prezydenckimi. Bez skutku.

Co było dalej - wiadomo. Fala była wysoka i zmyła, co się dało. Ale też powiedzmy szczerze - fala falą, ale to nie tylko ona. Rok 2015 zapisał bowiem wielki rozdział nie w historii fal, ale w historii głupoty i nieodpowiedzialności. Rządząca partia, która ma swojego prezydenta, staje na głowie, by ten, będąc faworytem, nie wygrał za wysoko, w efekcie czego on przegrywa. Potem rządząca partia niespecjalnie angażuje się nawet we własną kampanię wyborczą. Szefowa partii i szefowa rządu haruje jak wół, jeździ po całej Polsce, walczy bez wytchnienia, ale jej otoczenie i jej partia sprawiają wrażenie, jakby z poczuciem pewnej satysfakcji przyglądali się jej desperackim próbom ocalenia ich ugrupowania, odczuwając *Schadenfreude*, że będą one bezskuteczne.

Jest jeszcze koalicja partii lewicowych. Największa z nich swoją kandydatką na prezydenta czyni panią nikt, która nawet przez sekundę nie prowadzi czegoś, co dałoby się porównać do jakiegokolwiek kampanii wyborczej. Ot, egotyczna podróż narcystycznej mimozy w zwiewnej sukieneczce, która rzuca banały, pilnując, by nie zetknąć się z dziennikarzami i nie musieć odpowiadać na pytania, o co właściwie jej chodzi. W rezultacie uzyskuje marnutki wynik wyborczy, przy okazji ośmieszając partię i jej lidera. Koalicja dwóch ugrupowań lewicowych w tym momencie dochodzi do wniosku, że z finansowego punktu widzenia będzie lepiej, gdy w wyborach będzie zabiegała o przeskoczenie ośmioprocentowego progu wyborczego, a nie progu pięcioprocentowego, choć wiele wskazuje na to, że z przeskoczeniem tego pierwszego może mieć wielkie kłopoty. Świadomie koalicja ta podejmuje więc ryzyko, że w polskim parlamencie lewicy w ogóle nie będzie.

Pięć dni przed wyborami nowa liderka koalicji lewicowej

bardzo średnio wypada w telewizyjnej debacie. Całkiem nieźle wypada natomiast lider innej partii lewicowej. Przychylni mu ludzie w mediach wynoszą go pod niebiosa, jakby kilka zgrabnych zdań było czymś na miarę występu Kennedy'ego w debacie z Nixonem. W rezultacie partia lewicowa kilka dni później odnosi „ogromny sukces”. Zdobywa ponad 3 proc. głosów i finansowanie z budżetu. Przy okazji udaje jej się pogrzebać lewicową koalicję, której do przeskoczenia ośmioprocentowego progu, jaki w samobójczym odruchu sama sobie narzuciła, brakuje pół punktu procentowego.

W wyniku lenistwa, nonszalancji i nieodpowiedzialności partia rządząca zdobywa tylko 24 proc. głosów. Lewica, wskutek swoich groteskowych błędów, w ogóle wypada poza parlament, co po 1989 roku nie udało się jej ani razu. Przez następne lata partie lewicowe będą pomstować na partie prawicowe i nigdy, przenigdy nie podejmą wysiłku, by pojąć, jak doprowadziły do własnego seppuku.

W sumie w tym wszystkim nie było żadnego przypadku. Były głupie, czasem wybitnie głupie błędy. Był brak, czasem całkowity brak wyobraźni. Za błędy i całkowity brak wyobraźni przyszło zapłacić cenę. Oczywiście zapłacić ją mieli wyborcy tych partii.

Wyborcy partii zwycięskiej uwierzyli, że Polska jest w ruinie, że należy wstać z kolan, a poza tym, że grożą nam uchodźcy, którzy przyniosą do Polski pierwotniaki, wysadzą nam galerie handlowe, zgwałcą nasze kobiety i zniszczą nasz model życia. Fakt, że żaden uchodźca w ogóle się tu nie wybierał, a gdy jakaś garstka z nich jednak dotarła, to od razu na głowie stanęła, by stąd wyjechać, był bez znaczenia.

Bez sensu byłoby jednak obrażać się na rzeczywistość. Poza

wszystkim takie grymasy ma ona w głębokim poważaniu. W 2015 roku stało się to, co się stało, i nie stało się dobrze, ale zwykle zakładamy, że gdyby nie stało się to, co się stało, byłoby z całą pewnością lepiej. Otóż niekoniecznie. Załóżmy bowiem, że lewica jednak wchodzi do Sejmu, że Platforma ma lepszy wynik i że sumując wyniki nie-PiS-u i nie-Kukiza pozostałe partie miałyby w Sejmie większość. Zapewne odezwałby się wtedy chór, że muszą one ocalić Polskę i stworzyć koalicję oraz rząd. I być może nawet taka koalicja by powstała, a taki rząd by rządził. Tylko czy jest ktokolwiek, kto uważa, że byłaby to silna koalicja, która wyłoniłaby silny rząd? Bardzo, bardzo wątpliwe. Po kilku miesiącach widzielibyśmy słabą koalicję i dysfunkcyjny układ rządowy. Układ ten szybko bygnił, bo widzielibyśmy także sondaże poparcia dla partii politycznych. Poparcie dla PiS prędko przekroczyłoby 40 proc. i dochodziłoby do 50 proc. Rosłoby też poparcie dla partii Kukiza. Szybko pojawiłyby się paniczne, ale w sumie racjonalne głosy, że PiS, a w każdym razie PiS razem z Kukizem, zbliżają się do większości konstytucyjnej. A ponieważ zagrożenie byłoby śmiertelne, podjęto by pod wpływem jeszcze głośniejszego chóru desperackie próby, żeby koalicja i rząd trwały. Dałyby one nawet pewien skutek. Niestety, władza gniłaby w tym czasie coraz bardziej, aż w końcu by runęła. Zamiast wyraźnego, ale nie aż tak fantastycznego wyborczego zwycięstwa PiS mielibyśmy tsunami. I naprawdę wszystko zostałoby pozamiatane nie na kilka, ale na kilkanaście lat

Demokracja ludowa

Po 1989 roku mieliśmy do czynienia z prawdziwą rewolucją. Była ona dość łagodna w formie, ale wybitnie radykalna w treści. Miliony ludzi straciły pracę i poczucie bezpieczeństwa. W nowej Polsce miliony ludzi postanowiły na własny rachunek nadrabiać dystans stracony do takiej na przykład Hiszpanii, która w roku 1950 była na tym samym poziomie rozwoju co my, a potem zupełnie nam odjechała. Ale gdy jedni ruszyli galopem do przodu, wielu innych pozostało, najczęściej nie ze swojej winy, w miejscu. Można i pewnie trzeba było dawać ludziom wędkę, a nie rybę, by całe społeczeństwo uczyło się samodzielności i radzenia sobie w nowych warunkach. Problem polega na tym, że wędka niewiele daje, gdy nigdzie w pobliżu nie ma wody. Miliony ludzi miały więc poczucie, że zostali pozostawieni sami sobie. Takie poczucie wielkiej rzeszy ludzi, nawet jeśli subiektywne, jest obiektywnym faktem społecznym.

Ale wszystko, o czym piszę wyżej, mogłoby sprawiać wrażenie, że na PiS głosowali tylko ci, którym w III RP się nie powiodło. Po pierwsze, wielu z tych, którym wcale się zbyt dobrze nie powiodło, głosowało przeciw PiS. Z kolei na PiS głosowało bardzo wielu z tych, którym - gdyby mierzyć sukces stanem konta, zawartością portfela, jakością mieszkania - powiodło się znakomicie. Oni wcale nie odrzucali wolnej Polski ani demokracji - odrzucali elity sprawujące władzę i model jej sprawowania. Odrzucali także na poziomie estetycznym - zbyt dużo widzieli samozadowolenia, ostentacji i nonszalancji.

Któregoś dnia dość dobrze zilustrował mi to mój bardzo dobry kolega z ogólniaka. W szkole był świetny z matematyki i z fizyki,

ale wcale nie był kujonem. Znakomity w sporcie, podobał się dziewczynom. Po studiach w Polsce studiował też w Wielkiej Brytanii, potem pracował na Wall Street, wreszcie wrócił do Polski, zaczął pracę na uczelni, jest profesorem nadzwyczajnym.

Spotkaliśmy się kilka miesięcy po wyborach.

- No i jak ci się podoba to, co się dzieje? - zapytałem, myśląc, że nawet przy jego prawicowych poglądach nie może zupełnie akceptować tego, co wyczynia władza.

- Bardzo mi się podoba.

- Serio?

- Absolutnie. Każdy dzień rządów Platformy odczuwałem jako osobiste upokorzenie.

- Aż tak, dlaczego?

- To ich podlizywanie się do Zachodu było nieznośne, ta słabość była żalosna.

- Ale musisz przyznać, że wizerunek Polski w Europie i na świecie udało się obecnej władzy zniszczyć błyskawicznie i koncertowo.

- Jaki wizerunek, poklepywanego po ramieniu prymusa? Pamiętam z Nowego Jorku tych Polaków, którzy pełzali, żeby zrobić kariery. Jak to jest ta godność, to ja dziękuję.

- No dobrze, a Trybunał Konstytucyjny, sądy, wymiar sprawiedliwości? Wszystko zostało podeptane.

- Wymiar sprawiedliwości? Dla kogo sprawiedliwości? Większość miała poczucie niesprawiedliwości.

- Rozumiem, ale w takiej sytuacji trzeba naprawiać system, a nie wszystko niszczyć.

- Nie było już czego naprawiać.

Ta rozmowa długo za mną chodziła. Nie miałbym problemu,

gdyby mój kolega powiedział, że w sprawie X, Y i Z PiS może przesadza, ale po poprzednich ośmiu latach trzeba zrobić wielkie porządki, a gdy się robi wielkie porządki, to można i popełnić błędy. Ale tu było coś innego. Poprzednią władzę, poprzednie rządy odrzucał on całkowicie, mówiąc o nich nie krytycznie czy nawet z potępieniem, ale z nieskrywaną odrazą. Rządy PiS akceptował absolutnie, jakby poprzednie były jakimś rakiem, naroślą, obcym ciałem, a dopiero obecne zasługiwały na to, by uznać je za prawdziwie polskie i rzeczywiście patriotyczne. Przy czym odnosił się do nich całkowicie bezkrytycznie, jakby w jakimś amoku stracił zdolność do jakiegokolwiek refleksji.

Nawet nie poglądy kolegi mnie zaszokowały, ale skala emocji. Potężnych emocji. Powtarzam, profesor nadzwyczajny, dom pod Warszawą, piątka dzieci, udana kariera zawodowa. Po wyborach miałem zbyt wiele rozmów z różnymi ludźmi, by nie rozumieć, dlaczego stało się to, co się stało. Za każdym razem miałem wrażenie, że moi rozmówcy nie mówią mi o swoim wyborze politycznym. To było coś więcej, jakby mówili o wyborze całego systemu wartości, o wyborze między dobrem a złem. Gdy mówili o poparciu dla PiS, brzmiało to nie jak deklaracja polityczna, ale jak wyznanie wiary. Bóg jeden wie - bo politolodzy czy socjolodzy raczej nie - czy i ilu z tych ludzi byłoby gotowych porzucić PiS. Ile partia ta musiałaby zrobić rzeczy złych i podłych, jakie nadużycia mieć na swoim koncie, żeby ten romans z Kaczyńskim i z PiS w wypadku choć części z milionów wyborców się skończył.

Tuż po przejściu władzy przez PiS znajomi dziennikarze zaczęli mnie pytać, czy moje wydawnictwo mnie „sprzeda”. Tak dokładnie to formułowano - czy sprzeda mnie PiS, czyli pozbawi mnie funkcji naczelnego „Newsweeka”. - Nie sądzę -

odpowiadałem. Bo nie sądziłem. Już raz padłem ofiarą podobnej transakcji, więc powtórka nie byłaby specjalnie szokująca, ale tym razem wydała mi się mniej prawdopodobna. Całe wydawnictwo, podobnie jak inni niezależni od PiS wydawcy, z automatu zostało pozbawione reklam spółek skarbu państwa, co w przypadku „Newsweeka” oznaczało jakieś 15 proc. przychodów z reklam, a w przypadku całego wydawnictwa pewnie nawet więcej. Teoretycznie można więc było sobie wyobrazić transakcję polegającą na sprzedaniu mojej głowy za część tych pieniędzy. W sumie oznaczałoby to zresztą jej wycenę na całkiem niezłym poziomie. Ale taka transakcja, jak sądziłem, nie wchodzi w grę, i to bez związku z moją głową. W wydawnictwie naprawdę serio myśli się bowiem o wartościach, które muszą przyświecać mediom, i o powinnościach, które media i dziennikarze mają wobec czytelników i wobec prawdy. Sprzedanie wolności słowa, tak jak sprzedaje się sznurek do snopowiązałek, trudno było sobie wyobrazić. Oznaczałoby to bowiem także, że jedno z największych i najpoważniejszych wydawnictw w Europie idzie na rękę nacjonalistom, populistom i radykałom, czyli wyrzeka się tego, co jest istotą jego misji.

W sprawie „Newsweeka” w zasadzie miałem więc pewność. W sprawie TVP – też. Władzę przejął PiS, oczywiste więc było, że za chwilę przejmie także telewizję. A to z kolei oznaczało, że nadchodzi czystka. Mnie zresztą nawet nie trzeba było czyścić. Wystarczyło poczekać, aż w styczniu 2016 roku skończy się mój kontrakt. O tym, że nie zostanie przedłużony, dowiedziałem się, zanim PiS do telewizji wjechał. Oto związany wcześniej z PO prezes TVP, Janusz Daszczyński, ogłosił, że mojego kontraktu nie przedłuży. Było to dość zabawne, bo o ile każdy wiedział, że program z TVP znika, to Daszczyński był szczerze przekonany, że

wykrzykując to, ocali własną skórę. Nie okazał się wielce przenikliwy. Nie po to PiS wygrywał wybory, żeby nie przejąć całej telewizji. Takich Daszczyńskich, gotowych robić pajacyka przed władzą, PiS znalazłby na pęczki, ale na kluczowy propagandowy odcinek należało wysłać towarzysza dającego 100 proc. gwarancji, a nie trzymać tam kogoś, kto choć chciał, jako obcy tyle dać nie mógł. Wyrafinowany manewr Daszczyńskiego skończył się więc tak, jak skończyć się musiał - stracił i stanowisko, i twarz.

„Może nie będzie tak źle”, mówiło wiele osób, w tym sporo moich znajomych, o tym, co się zdarzy w Polsce po wyborach. Co ja poradzę, że ani przed nimi, ani po nich nie byłem w stanie w sobie pielęgnować żadnych złudzeń. - Nie będzie tak źle. Będzie znacznie gorzej - odpowiadałem więc brutalnie. Nie była to erystyczna sztuczka, ale stwierdzenie tego, co uważałem za nieuniknione. Nie bardzo rozumiałem, skąd u tylu rozsądnych ludzi biorą się te iluzje co do nowej władzy. Czy to deficyty analityczne, czy brak wyobraźni, sprawiający, że oczywistych wyników analizy nie przyjmuje się do wiadomości? A może stwierdzenie „nie będzie tak źle” było po prostu przygotowaniem do przymknięcia oczu i wyrazem gotowości do nazywania zła nie tak wielkim złem.

Zamiary polityków PiS były oczywiste. I w sumie dość otwarcie o nich opowiadali. Wystarczyło posłuchać, co mówili o Platformie i jakie grzechy jej przypisywali, by wiedzieć najpierw - co chodzi im po głowie, potem - co zrobią. Gdy mówili, że poprzednicy byli pazerni, wiadomo było, że nadchodzi epoka pazerności totalnej. Gdy twierdzili, że PO była u władzy arogancka, wiadomo było, że arogancja wkrótce będzie królować. Gdy zapowiadali, że TVP

będzie teraz publiczna, wiadomo było, że będzie totalnie upartyjniona. Gdy twierdzili, że „Polska wstanie z kolan”, wiadomo było, że wkrótce zepsują relacje z możliwie największą liczbą sojuszników. Najważniejsze zaś były zapowiedzi, że nie będzie zemsty. Dawały absolutną pewność nie tylko co do tego, że zemsta będzie, ale – co najważniejsze – że będzie ona istotą rządów nowej władzy. Wyborcy PiS, mam wrażenie, czuli to doskonale. I właśnie to dało PiS zwycięstwo. Także w tym sensie wyborcy „nie dali się kupić za pięć stów”, jak niektórzy sugerowali, obrażając część elektoratu. Cóż ta zemsta miała oznaczać? Na dzień dobry pozbawienie pracy tysięcy ludzi. Potem doprowadzenie do ich degradacji na społecznej drabinie. Gdy już to nastąpi, trzeba było wywyższyć swoich, a następnie wszystkie te zmiany zalegalizować, tak by były jak najtrwalsze.

Tego chciała władza, jeszcze gdy nie była władzą, tego chcieli też jej propagandyści, którzy autoerotycznie nazywali samych siebie „niepokornymi”. Każdy, kto ich znał, wiedział, że gdy ich ulubiona partia przejmie władzę, spokornieją błyskawicznie. Propagandystom nie szło bowiem o żadną wolność słowa, ale o stanowiska i pieniądze. PiS miał im dać to, czego nie mógł im dać talent. Wiadomo było, że nie powstaną żadne nowe wielkie dzieła. Że nie powstanie żaden cieszący się uznaniem czytelników nowy tytuł prasowy. Że w TVP nie pojawi się żaden program, który zdobyłby popularność i widzów. Bo niby zresztą kto miałby go zrobić? Nie o dzieła, nie o gazety, o teksty czy programy tu szło. Szło o podział łupów. Miał być totalny, po pierwsze po to, by wygłodniałych PiS-owskich wiarusów zaspokoić. Po drugie po to, by wiedząc, że bez swej partii matki wszystko to momentalnie stracą, popierali ją bez wahań i bez skrupułów.

Lider PiS zapowiadał, że będzie w Warszawie Budapeszt albo

Stambuł. A z prezesem jest tak, że jak obiecywał destrukcję, to zawsze słowa dotrzymywał. W tym przypadku nie szło tylko o zniszczenie jak największej liczby ludzi, których PiS uważał za swych wrogów, ale o zmianę systemu. By go zlikwidować, należało na początek wymontować z demokratycznego i praworządnego urządzenia wszystkie bezpieczniki. W tym najważniejszy – Trybunał Konstytucyjny. W normalnym systemie prawnym został on zaplanowany jako swoisty program antywirusowy. Nowa władza musiała go skasować, żeby system zawirusować, zepsuć, a następnie zniszczyć. Intencje władzy były jasne. Zresztą co tam intencje – już kilka tygodni po wyborach, w drugiej połowie listopada, PiS przystąpił do niszczenia Trybunału Konstytucyjnego i całego systemu państwa prawa.

O ile to, co robi PiS, było dla mnie oczywiste, o tyle nie wiedziałem, jak na to wszystko zareagują ludzie. Potem, po wielu miesiącach, a nawet latach, zaczęto dość powszechnie przyjmować, że takie detale jak konstytucja, demokracja, praworządność, państwo prawa czy niezależne sądownictwo ludzi po prostu nie obchodzą. Być może, ale gdy operacja deptania demokracji i praworządności się zaczynała, takiej pewności jeszcze nie było.

Nie miałem żadnego problemu z tym, że nie będę miał programu w TVP, zresztą już w momencie dojścia do władzy PiS wiedziałem, że chwilę po rozstaniu z TVP będę miał swój program w Onecie. Nie miałbym też żadnego problemu z tym, gdyby nowa władza chciała realizować jakiś konserwatywny program. Miała przecież do tego pełne, niekwestionowane prawo. Problem polegał na tym, że program PiS nie tylko nie był konserwatywny, ale był antykonserwatywny. Był nacjonalistyczny i populistyczny. Ale dalej, można byłoby się pogodzić z jego realizacją tak długo,

jak długo odbywałyby się to w granicach prawa. Tych granic nowa władza jednak akceptować nie chciała. A to, tak uważałem, wymaga stanowczego, ostrego sprzeciwu, w każdej możliwej formie. Nie tylko dziennikarskiej.

W pierwszych dniach grudnia 2015 roku codziennie przejeżdżałem po południu aleją Szucha. Chciałem po prostu zobaczyć, ile osób bierze udział w pikiecie pod Trybunałem Konstytucyjnym, właśnie demolowanym przez PiS. Marna pogoda, garstka ludzi, wszystko to wyglądało bardzo smutno. Powstał wtedy Komitet Obrony Demokracji KOD, na Facebooku podobno zdobywał nawet szerokie wsparcie, ale na ulicy za diabła nie było tego wsparcia widać.

W sobotę, 12 grudnia, szedłem więc na demonstrację przed siedzibą Trybunału i na marsz stamtąd pod Pałac Prezydencki ze smutnym przekonaniem, że impreza będzie niewydarzona i skromna, że będzie jak stempel przystawiony przez niezainteresowane sprawą społeczeństwo pod nielegalnymi działaniami władzy. I gdy tak stanąłem z Igą niedaleko trybuny, tuż przed siedzibą Trybunału, nic temu przekonaniu nie przeczyło. Trochę ludzi z jednej, trochę z drugiej, w sumie ścisk, ale ilu tych ludzi może być, dwa, trzy tysiące, zastanawiałem się. Dopiero gdy ludzie ruszyli, a ruszali wybitnie wolno, widać było, że to nie garstka, ale tłum, nie kilka, ale kilkadziesiąt tysięcy. Radość i ulga były w tym tłumie powszechne, bo bardziej niż ostrą polityczną demonstrację przypominało to uśmiechnięty piknik.

Ani Igi, ani Poli nigdy nie musiałem przekonywać do udziału w demonstracjach. Obie są mądrymi młodymi kobietami, które dobrze wiedzą, gdzie żyją, co się wokół dzieje i co to oznacza.

Pamiętam pierwsze wybory Poli, prezydenckie z 2015 roku, gdy z dumą wysyłała mi zdjęcie wypełnionej już przez siebie karty do głosowania. Iga z kolei jeszcze przed ukończeniem 18 lat, miała już na koncie prowadzenie w szkole spotkań z podziwianymi przez nią Agnieszką Holland i Lechem Wałęsą. Żadnej z nich nigdy nie przyszłoby do głowy powiedzieć coś w stylu „polityka zupełnie mnie nie obchodzi”.

W następnym roku piknikowe demonstracje z piknikową atmosferą i piknikową KOD-kapelą, z jej przyśpiewkami w stylu „Idą miasta, wioski, a przewodzi nam Kijowski”, irytowały mnie coraz bardziej i z kolejnych marszów zacząłem się urywać, nie będąc w stanie tej poetyki odpustu zdzierżyć. Ale wtedy, tamtego dnia, ten jeden raz, atmosfera festynu była uzasadniona. Zresztą, w przeciwieństwie do kolejnych demonstracji, tłum skandował jeszcze polityczne hasła, niezagłuszane przez nieszczęsne wuwuzele, wynalazek stokrotnie bardziej pasujący do piłkarskich boisk i skoczni narciarskiej w Zakopanem niż do demonstracji przeciw władzy.

W kolejnych miesiącach stało się, niestety, to, co było wariantem najbardziej prawdopodobnym. Ludzie maszerujący co kilka tygodni maszerowaniem się znudzili, widząc, że PiS demoluje państwo prawa metodycznie, w ogóle się nie nuży i nic nie wskazuje na to, że swym wielkim dziełem destrukcji się znudzi albo zmęczy. Niszczenie – to jedno nie nudziło im się nigdy. Walec jechał i krok po kroku rozwalał państwo prawa w rytm wystąpień piosła Piotrowicza i z czasem przy gasnących dźwiękach wuwuzeli. Narodziny polskiej demokracji i państwa prawa nie były nadmiernie efektowne. Pogrzeb też w sumie był cichy.

Na pierwszej demonstracji spotkałem wielu znajomych z „Newsweeka”, z „Polityki” i z „Gazety Wyborczej”. W zasadzie tylko co do nich miałem absolutną pewność, że będą bronić demokracji i konstytucji. Już bronili. A że na ulicy? Już wtedy w tak zwanym środowisku rozgorzała dyskusja, czy dziennikarze powinni brać udział w demonstracjach. Jest charakterystyczne, że przeciw wypowiadali się wszyscy ci, którzy w żadnym momencie po przejęciu władzy przez PiS nie powiedzieli głośno, że ta partia deprecjuje konstytucję i państwo prawa. Byli wśród nich i tak zwani symetryści, który to termin jest o tyle nietrafiony, że symetryści ci nigdy symetryczni nie byli – od razu było jasne, że bliżej im do PiS niż do opozycji, tylko boją się do tego jasno przyznać. Byli i wśród przeciwników demonstrowania ci, którzy potrzebowali alibi dla swego braku zaangażowania. To oni byli prawdziwymi symetrystami. Ludzie ci praktykują swoisty detalizm. Możesz skrytykować działanie władzy, jej pomysły, wypowiedzi polityka X czy Y, a nawet – czasem – wypowiedzi samego prezesa. Między tymi oportunistycznymi symetrystami obiektywistami a władzą jest jednak niepisane porozumienie. Nigdy nie zaatakują oni władzy za to, co tej władzy jest istotą. Mogą się czepiać szczegółów, ale nigdy nie powiedzą, że władza jest niedemokratyczna i że łamie elementarne zasady przyjęte w demokratycznych, praworządnych państwach. Czepiają się więc detali, nie przejmując się fundamentami. Pozory zachowane, kasa się zgadza, a inni oportuniści wychwalają nawet tych oportunistów za rzekomy obiektywizm, bo i oni swój oportunizm wolą nazywać obiektywizmem.

By dać sobie samym alibi, oportuniści muszą uderzać w tych, którzy stają na straży zasad, nazywają rzeczy takimi, jakimi są, i po prostu bronią prawdy. Bo jeśli tak robią, to znaczy, że jest to

możliwe, a skoro tak, to ci, którzy tego nie robią, nie czynią tego albo z tchórzostwa, albo z innych powodów. Nikt nie przyzna się do tchórzostwa. Lepiej więc swym działaniom i zaniechaniom nadać pozory wierności zasadom i obiektywizmu. Oportuniści sami wręczają więc sobie ordery za oportunizm, nazywając koniunkturalizm i cwaniactwo cnotą.

Co nie zmienia oczywiście faktu, że ci, którzy robią inaczej, w istocie stoją przed dylematem. Gdzie przebiega linia między wolnością a powinnością, między tym, co dziennikarz może i musi, a tym, czego nie powinien i czego mu nie wolno. W normalnych, demokratycznych krajach nakreślenie tej linii nie jest żadnym problemem. Funkcjonuje w nich X partii, w niektórych kwestiach można się zgadzać z jedną, w innych z drugą, nikogo się nie popiera, bo i po co, przeciw nikomu się nie występuje, krytykując partię jako całość, bo przecież niemal nikt na taką totalną krytykę nie zasługuje.

Ale inna sytuacja jest w krajach autokratycznych i dyktatorskich. Gdy władza łamie prawa i niszczy konstytucję, nie można mówić, że może ją łamie, a może nie, opinie są, drodzy państwo, różne. Nie można tego robić, bo zrównuje się prawdę z kłamstwem, autokrację z dyktaturą, prawo z bezprawiem. A to nie jest żadną cnotą, żadnym obiektywizmem, lecz sprzeniewierzeniem się temu, co jest istotą pracy dziennikarskiej.

W lutym 2016 roku brałem udział w konferencji zorganizowanej w Paryżu przez wydawnictwo Axel Springer. Pewnie ze względu na sytuację w Polsce byłem jednym z trzech prelegentów, obok pewnego francuskiego ministra, Emmanuela Macrona, o którym mówiono wtedy, że może się ubiegać o prezydenturę, i Dirka Schumera, mieszkającego we Florencji, wybitnie błyskotliwego

komentatora „Die Welt”, wcześniej - „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Gdy nadeszła runda pytań, jeden z niemieckich kolegów zapytał mnie, czy w Polsce po zmianie władzy łatwo jest zachować obiektywizm. - Tak samo jak w Niemczech w 1934 roku - odpowiedziałem. Nie porównywałem, broń Boże, sytuacji w Polsce 2016 roku do sytuacji Niemiec roku 1934. Mówiłem tylko o tym, że obiektywizm ma całkiem specyficzny wymiar w momencie, gdy władza, korzystając z demokratycznego mandatu, wykracza poza ten mandat i czyni tak, by złamać reguły, dzięki którym władzę zdobyła. W takiej sytuacji dziennikarz, a w każdym razie komentator, nie tylko ma prawo stanąć po jednej stronie sporu, ale wręcz ma taki obowiązek. Jeśli nie staje po stronie prawa i prawdy, w praktyce staje po stronie władzy i bezprawia, bo przez zaniechanie de facto ją wspiera, a przez milczenie - rozgrzesza. Sprzeciw wobec takiej władzy musi być otwarty, głośny, kategoryczny. Na łamach gazety, w radiowym programie, na Twitterze, albo, tak, na demonstracji. Wiem, to nie jest teza dla wszystkich oczywista. Przez 25 lat nie przyszłoby mi do głowy, by brać udział w jakiegokolwiek politycznej demonstracji, bo nie od tego są w demokracji dziennikarze. Ale gdy demokracja zdycha, gdy się ją niszczy, są także od tego. Mogłem się zżymać na tysiąc rzeczy, które w Polsce robiły kolejne rządowe ekipy i kolejni politycy, ale zawsze wystarczały mi do wyrażenia tego sprzeciwu środki dostępne dziennikarzowi. Gdy jednak stawką są nie błędy demokracji, ale sama demokracja, obowiązki i prawa obywatela uzyskują prymat nad obowiązkami dziennikarza. Te obywatelskie prawa uchylają w ogromnym stopniu to, co w normalnym demokratycznym państwie uznaje się za uzasadnione ograniczenia dla dziennikarzy, dotyczące tego, czego robić oni nie powinni.

Oczywiście, gdy zacząłem się pojawiać na demonstracjach, a tym bardziej gdy na jednej z nich wystąpiłem, posypały się na mnie gromy. A telewizyjne „Wiadomości” piętnowały te wystąpienia jako dowód braku obiektywizmu. Biorąc pod uwagę to, co każdego dnia na ich antenie wyrabiają z prawdą i poczuciem elementarnej przyzwoitości PiS-owscy propagandziści, ich wstawiennictwo w kwestii obiektywizmu musiało wzruszać.

„Wiadomości” właściwie od pierwszego dnia po przejęciu TVP przez PiS i Jacka Kurskiego stały się narzędziem wulgarnej, prymitywnej i brutalnej propagandy. W sumie szczerłość PiS miała w tej kwestii podtekst niemal perwersyjny. Szefostwo telewizji powierzono propagandziście i manipulantowi, który zajął się dokładnie tym, na czym się znał, czyli propagandą i manipulacją, oczywiście w ramach przywracania telewizji publicznej widzom. Konkretnie jednemu, bo teraz była to już telewizja dla jednego widza. Tego, który nadzorował prezesa i od którego los prezesa zależał w stu procentach.

Z pewnym rozrzewnieniem przypominałem sobie momenty, gdy zapraszałem do programu Donalda Tuska i witałem go – jak wypada w przypadku każdego premiera – przy wejściu do gmachu telewizji. Wśród witających był też – to znowu nie było niczym zdrożnym – szef telewizji Juliusz Braun. Przy którejś okazji, w czasie, gdy szliśmy do studia, Braun prosił Tuska o spotkanie. Premier odpowiadał na to dość zdawkowo, niby przerzucając sprawę na idącego obok ministra Pawła Grasia, ale tonem i mową ciała wysyłając komunikat: „niechętnie”. Oto szef rządu najwyraźniej nie miał wielkiej ochoty na randkę z szefem telewizji publicznej. O Kurskim wiadomo było, że od początku swoich rządów w TVP sam biegał do swego pryncypała na Nowogrodzkiej i zawsze był przez niego przyjmowany.

Nawiasem mówiąc, niemal całkowity brak zainteresowania Tuska publicznymi mediami, choć miał zdecydowanie dobre strony, miał też strony złe. Zawsze uważałem, że w dużym europejskim kraju naprawdę dobra telewizja publiczna jest niezbędna. Brytyjczycy mają swoją BBC, Niemcy – ARD i ZDF, Francuzi – Antene 2. Tym bardziej taka telewizja potrzebna była w kraju, w którym czytelnictwo książek i gazet było i jest dramatycznie niskie, a edukacja obywatelska praktycznie nie istnieje. Nie idzie o narzędzie perswazji i indoktrynacji, ale o narzędzie edukacji. Politycznego zysku nie ma z tego żadnego, w każdym razie w krótkim czasie, za to zysk dla społeczeństwa jest potencjalnie wielki. Po tym, co z TVP wyrabia PiS, gdy rządy tej partii szczęśliwie dobiegną końca, wielu będzie pewnie chciało telewizję publiczną zaorać. Będę protestował. Uważam, że trzeba będzie podjąć kolejną – tak, wiem – diabelnie trudną i może nieudaną próbę jej reanimacji i postawienia na nogi.

13 grudnia 2015 roku, dzień po demonstracji KOD, w której wzięło udział 50 tysięcy ludzi, swoją demonstrację miał PiS. To wtedy padły słynne okrzyki duetu Kaczyński-Brudziński: „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje”. To była oficjalna inauguracja prowadzonej przez władzę kampanii nienawiści. Nie wszystkich prawdziwych i domniemanych wrogów władzy można było tak od razu wyrzucić z pracy, ale wszystkich można było obrazić i opluć.

Na PiS-owskiej demonstracji niesiono między innymi przybite do deski truchło lisa oraz klatkę z napisem: „Miejsce dla Tomasza Lisa”. Cóż, miłe to nie było, ale gdy widzisz wcześniej swoje zdjęcie w stroju esesmana, niespecjalnie przejmujesz się drwinami z nazwiska i rekwizytami sugerującymi, że nie wszyscy

życzą ci najlepiej. Nie możesz się też przejmować ani tym, że co jakiś czas oplują cię w TVP, ani tym, że niemal codziennie oplują cię w PiS-owskich mediach, ani porysowanym samochodem czy innymi drobiazgami. Choć życzenia, gesty i słowa są do bólu personalne, nie warto ich brać do siebie. Szczególnie gdy słowa padają ze strony tak zwanych zwykłych ludzi i nie są na zimno skalkulowaną insynuacją, oszczerstwem czy potwarzą. Wtedy należy uznać, że to, może wykraczająca poza granicę dobrego smaku, ale jednak wolność słowa. I dlatego broniłbym prawa ludzi nawet do pewnych, nienaruszających prawa ekscesów, uznając, że wolność i wolność słowa muszą być wartościami nadrzędnymi, a więc także chronionymi w sposób nadzwyczajny. Nie zawsze to jest przyjemne, ale jeśli jest to cena za bycie osobą publiczną, to trzeba ją płacić. Dlatego też nie podejmowałem żadnych kroków, gdy na początku maja 2016 roku na tak zwanej zylecie na stadionie Legii pojawił się wielki transparent „KOD, Nowoczesna, GW i inne ladacznice, dla was nie będzie gwizdów, będą szubienice”. PiS najpierw rozpostarł ramiona przed kibolami, a potem ich przytulił, wmawiając im jednocześnie, że są polityczną awangardą i czyniąc ich tym samym swoimi zakładnikami. O ile prawdziwych kibiców uwielbiam, o tyle kiboli, z ich środkami wyrazu, niekoniecznie. A co do szubienicy – w normalnym kraju powinna się tym zająć prokuratura, by sprawcy dostali przynajmniej publiczne ostrzeżenie, że tak się robić nie powinno. Ale trudno tego oczekiwać w państwie, w którym prokuratura jest od wspierania władzy i jej sojuszników i od prześladowania opozycji.

Wszystko, co działo się w Polsce na przełomie 2015 i 2016 roku, choć często bolesne i wywołujące złość, toczyło się z mojego

punktu widzenia jakby w tle. Momentami w dalekim tle. Na pierwszym planie było to, co działo się z moją mamą. Codzienna walka z rakiem, walka o życie, o każdy choćby w miarę normalny dzień. Walka z nieuchronnością i nieodwracalnością.

Dużo się w tym czasie dowiedziałem o raku. Szczególnie o tym, jak mówią lekarze, najgorszym - raku trzustki. W całym tym nieszczęściu przynajmniej nieszczęsnego raka wykryto przez przypadek w dość wczesnej fazie. Moi rodzice właściwie zawsze i wszędzie chodzili razem, poszli razem i do przychodni, gdy ojciec miał mieć jakieś okresowe badania. - Pani Wando, to jak już pani jest, to i pani zrobię szybkie USG - powiedziała życzliwa pani doktor. - O, coś tu jest, w okolicach wątroby i trzustki, ale to może nic poważnego, zrobimy parę badań, za kilka dni wszystko będzie jasne.

Wkrótce było jasne. Dla mnie chyba nawet bardziej jasne niż dla rodziców, bo wyniki badań wysłałem z prośbą o analizę dwóm znajomym, bardzo znanym onkologom. - Tylko proszę bez znieczulenia - powiedziałem im, pytając o ich ocenę. Nie było znieczulenia. Wyrok był, jak się wydawało, nieodwołalny i nieprzesuwalny w czasie, którego zostało niewiele. Tak bardzo niewiele.

Ale, jako się rzekło, diagnoza była szybka. Operacja się udała. Chemia została dobrze przyjęta. Z kilku miesięcy, o których mówili lekarze, zrobił się rok, 12 miesięcy życia mimo chemioterapii, badań, konsultacji i ciągłego niepokoju, jednak życia - jak to się mówi w przypadku ludzi z nowotworem - „dobrej jakości”. Chwilę potem ruszyła straszna, niepozostawiająca najmniejszych złudzeń lawina.

Bardzo mamę przez te wszystkie miesiące podziwiałem. Za siłę i odwagę. I to nie taką odwagę z zaciśniętymi zębami. Zawsze

z uśmiechem. Nigdy słowa skargi. Niemal do końca z nadzieją. Biopsja przed Bożym Narodzeniem – dobrze, że w święta będzie spokój. Operacja – to nie problem, tylko dlaczego jest tak gorąco w szpitalu. Chemia – a cóż to za kłopot. Peruka – znalazłam taką, że nikt się nawet niczego nie domyśla.

Zawsze uważałem, że z rodziców tym silniejszym jest ojciec. Pewnie wiele razy był. Ale w zderzeniu z chorobą i z wyrokiem mama pokazała siłę niezwykłą i pogodę ducha nadzwyczajną.

Kilka miesięcy po wykryciu raka rodzice odbierali w Zielonej Górze medal za 50-letnie pożycie małżeńskie. Mama miała do tej uroczystości życzliwy dystans. Ojciec dystansu nie miał. – Spójrz, wiedziałam, że Stefan będzie to strasznie przeżywał – z uśmiechem skinęła głową w stronę wzruszonego ojca.

Wielu ludzi mówi, że choroba pozbawia złudzeń, pokazuje nie tylko kruchość człowieka, ale i jego samotność. Na pewno często tak jest, ale nie zawsze. Pokazuje też często ludzką siłę, życzliwość i dobroć. W przypadku paskudnej choroby wzruszające i podnoszące na duchu były zachowanie, postępowanie i życzliwość tak wielu ludzi.

W domu ojciec był zawsze od planu i organizacji, mama była wizjonerem i dyżurnym optymistą. Zrobisz to, dasz radę, uda się, dlaczego miałyby się nie udać. Ewentualnie lekko defensywnie – spokojnie, jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Ojciec był raczej sceptyczny, jest problem, będzie trudno, może nie wyjść, ale jak się wykona pracę, to jest szansa. Praca – to dla niego słowo klucz. Dla mamy kluczami były nadzieja i wiara. Pewnie nie mogło być inaczej. Ojciec z wielkopolskimi genami gwarantował metodyczność, mama, z wileńskimi, które przyjechały do Zielonej Góry w bydlęcych wagonach, razem z setkami tysięcy towarzyszy podróży na „ziemie odzyskane” –

niezbędne szaleństwo. Nie zawsze te żywioły da się pożenić. Ale akurat w tym przypadku mariaż był idealny, z biegiem lat coraz lepszy.

Przez jakiś czas, wiedząc, że mama odchodzi, czekałem na jakieś wypowiedziane przez nią jasne przesłanie, drogowskaz, znak. Potem zastanawiałem się, dlaczego nic takiego nie usłyszałem. Jakiś czas mi zabrało zrozumienie, że nie musiałem. Przesłaniem było życie, a może szczególnie ostatni jego etap. Wiara, jeśli trzeba, na przekór wszystkiemu, nadzieja jako obowiązek, uśmiech jako odruch i marsz przed siebie, tak długo, jak się daje. Do końca.

Polska okazała się prekursorem. To, co u nas stało się w roku 2015, w Wielkiej Brytanii i w Ameryce stało się rok później. O ile jednak wynik polskich wyborów nie był dla mnie zaskoczeniem, o tyle wynik referendum w sprawie brexitu i wynik wyborów prezydenckich w USA były niespodziankami absolutnymi. Były dla każdego, kto uznawał, że w demokratycznych społeczeństwach Zachodu funkcjonują pewne elementarne zasady logiki. Tyle że właśnie przestawały one obowiązywać. Nastął czas irracjonalizmu, argumenty racjonalne padały koncertowo pokonane przez emocje, czym prostsze, tym bardziej nośne i bardziej skuteczne.

Nie ma się co obrażać. Należy po prostu przyjąć do wiadomości nowe reguły gry. A zgodnie z nowymi regułami społeczeństwo jest gotowe zrobić sobie na złość, jeśli tylko może przy okazji dać wyraz swoim uczuciom. Nie było żadnych logicznych argumentów za brexitem, a jego główni rzecznicy już po referendum z beczelną dezynwolturą przyznali, że oszukiwali publikę. W tym samym czasie argumenty ekspertów, choć

sensowne, trafiały w pustkę. Więcej, słowo „ekspert” stało się poniekąd epitetem, podobnie jak słowo argument.

Trochę jak w Polsce. Co z tego, że mamy najwyższy wzrost gospodarczy w Europie, skoro czujemy, że kraj rozkradziono, a Polska jest w ruinie. Brak danych, które by to potwierdzały, nie ma znaczenia. Co z tego, że wszelkie wyliczenia wskazują, iż na brexicie Brytyjczycy stracą. Mamy dość Unii Europejskiej i z niej wyjdziemy, a co będzie potem, to zobaczymy. W Polsce jednym z powodów katastrofy III RP była słabość publicznych mediów. Ale swoją słabość pokazała też najwyraźniej przeceniana przez wielu telewizja BBC. W kampanii referendalnej uległa ona brytyjskiej odmianie symetryzmu - my już nie będziemy sobie zawracali głowy mówieniem państwu, co jest prawdą, a co kłamstwem, jedni mówią tak, drudzy siak, my to po prostu relacjonujemy, a kto mówi prawdę, a kto kłamie, to już sobie państwo ocenią sami. Dezercja tradycyjnych mediów okazywała się jedną z największych słabości demokracji. Tym bardziej gdy zderzała się z emocjami wylewającymi się z internetu, często nakręcanymi przez sponsorowane przez Moskwę trolle.

W Ameryce kibicowałem Hillary Clinton. Nie dlatego, że w razie jej wygranej poprawiłaby się moja statystyka i liczba wywiadów z byłymi, obecnymi lub przyszłymi amerykańskimi prezydentami - wraz z jej zwycięstwem automatycznie skoczyłaby do czterech. Pani Clinton kibicowałem też osiem lat wcześniej, gdy jej rywalem był Barack Obama. Poniekąd z tego samego względu, co osiem lat później. W 2008 roku - bo uważałem, że była pierwsza dama jest zdecydowanie bliżej politycznego centrum niż jej oponent, zapowiadający zwrot w lewo. W 2016 - bo była wyraźnie bliżej politycznego centrum niż jej rywal, zapowiadający zdecydowany

zwrot w prawo.

I za pierwszym, i za drugim razem zwycięstwa życzyłem osobie mającej, jak uważałem, bardziej przystające do potrzeb Ameryki i świata poglądy. W obu przypadkach oznaczało to jednak poparcie osoby, która miała świetne referencje, by być solidnym prezydentem, ale wybitnie słabe, żeby prowadzić skuteczną kampanię wyborczą. A za każdym razem zderzała się z ludźmi, którzy, choć poglądy mieli doskonale sprzeczne, talenty w docieraniu do wyborców – bardzo podobne.

Referendum w sprawie brexitu zakończyło się tak, jak się zakończyło, bo BBC zrzekła się swych obowiązków. Amerykańskie wybory skończyły się wygraną Donalda Trumpa w dużej części dlatego, że media uznały go za świetny towar i bawiły się nim, zanim zorientowały się, że same stały się zabawką w jego rękach. Trump zapewniał stacjom telewizyjnym oglądalność, więc dawały one widzom to, co chcieli oglądać, czyli Trumpa. Wyborcy, a w każdym razie spora ich część, w finale zaakceptowali Trumpa, a odrzucili media. Zostały uznane za część upadającego mainstreamowego świata, podobnie jak kilka miesięcy wcześniej w Wielkiej Brytanii i rok wcześniej w Polsce.

Dzień po wyborach z przekory powiesiłem sobie w gabinecie zdjęcie z panią Clinton. Tak, można było jej nie lubić i chętnie sam z tego prawa korzystałem w latach 90. Można było uważać, że razem z mężem nie raz i nie dwa zachowała się nieetycznie. Można było uznać, trudno było nie uznać, że prowadziła kiepską kampanię. Ale – i to było najważniejsze – jej prezydentura nie stanowiłaby jakiegoś koszmarnego wyzwania rzuconego powadze Ameryki, jej wiarygodności i reputacji.

Zwycięstwo Trumpa w zadziwiający sposób łamało wszystkie przyjęte w amerykańskiej polityce reguły. Nigdy nie wygrał

wyborów kandydat, który nie tylko przegrał wszystkie debaty telewizyjne, ale w każdej wypadł na tle rywala wyjątkowo błado. Nigdy nie wygrał ktoś, komu niecałe dwa tygodnie przed wyborami wybuchłby w rękach taki granat jak Trumpowi - nagranie jego wypowiedzi o tym, za co to lubi łapać kobiety, w normalnym sezonie politycznym by go zmasakrowało. Ale to nie był normalny sezon polityczny. Przegrywasz debaty - ludzie uznają, że wygrałeś. Media przyłapują cię na kłamstwie - ludzie zarzucają kłamstwo mediom. Ukazują się materiały kompromitujące kandydata - ludzie uznają, że kandydat tym bardziej reprezentuje ich interesy, bo gdyby tak nie było, potężni wrogowie nie sprzysięgliby się przeciw niemu. Witamy w nowym świecie - żegnaj, rozumie, witajcie, emocje.

Choć byłoby nadużyciem postawienie w tym miejscu kropki. Bo w Ameryce wcale nie było tak, że na Trumpa głosowali głównie biedniejsi, tak jak nie było to prawdą w Polsce. Na Trumpa, podobnie jak na PiS, głosowali ludzie, którzy uważali, że ich kraj idzie w niebezpiecznym kierunku, skręca w lewo, a przede wszystkim narusza strukturę społeczną i bardziej przejmuje się prawami mniejszości niż wartościami większości.

Z wielkim zdziwieniem dowiedziałem się, że entuzjastycznie popierało Trumpa wielu z moich dawnych waszyngtońskich znajomych, ludzi na wysokich stopniach amerykańskiej drabiny społecznej. Mieli oni dość politycznej poprawności i troski o mniejszości, tak jak w Polsce ludzie o poglądach konserwatywnych mieli często dość liberalizmu i pogoni za Zachodem bez oglądania się na nasze tradycje i zwyczaje. Nie ma przy tym znaczenia, czy ich odczucia były uzasadnione. Były autentyczne.

Trump wydawał się szokującym politycznym zwrotem przez

swoją wulgarność, grubiaństwo i ostentację. PiS szokował notorycznym posługiwaniem się ordynarnymi kłamstwami, polityczną brutalnością, jakiej polska polityka nie znała, i gotowością podporządkowania wszystkiego, z interesami kraju na czele, wyborczemu zwycięstwu. Sama zmiana, nawet bardzo wyraźna, nie byłaby niczym specjalnym. Tak jak po Bushu nastął Obama, tak reakcją na Obamę był Trump. Tak samo jak reakcją na rządy Platformy były rządy PiS. W obu przypadkach uderzający był jednak radykalizm zmiany, jej niemal rewolucyjny charakter, oraz, w przypadku Trumpa, antyglobalizm, a PiS - antyeuropejskość i populizm.

Radykalizm przełomu był efektem zmian, którym uległa prawica, i ta amerykańska, i ta polska. Partia republikańska nie miała już wiele wspólnego z partią Lincolna i Reagana. Z kolei PiS nie tylko nie miał nic wspólnego z jakąś polską odmianą CDU, o której ćwierć wieku wcześniej marzył Jarosław Kaczyński, ale nawet z PiS sprzed dekady. Obie partie zrobiły ostry zwrot w prawo, w stronę radykalizmu, izolacjonizmu i antyliberalizmu. W obu silne były elementy religijne.

Polityka z rywalizacji programów zamieniła się w świętą wojnę z niewiernymi (nawet jeśli byli wyznawcami tej samej wiary). Przeciwnik polityczny nie był już oponentem - był wrogiem, którego nie wystarczyło pokonać, należało go podeptać i upokorzyć. W obu krajach społeczeństwa zostały politycznie przepołowione, w obu znaleźli się ludzie, którzy te podziały wzmocnili, wszelkie antagonizmy podkreślili, a ze szczucia na siebie ludzi uczynili użyteczne narzędzie mobilizacji części elektoratu.

Trump i Kaczyński równie skutecznie zagrali strachem, który wygenerowali, wyolbrzymili i zamienili w kij, którym okładali po

głowach swych wrogów. Strach przed muzułmanami, imigrantami, bezbożnikami i liberałami, pomieszany z nienawiścią do elit i mediów okazał się bronią atomową. Dosłownie zmiotł zastany świat i obowiązujące wcześniej reguły.

Stara i młoda demokracja inaczej zniosły tę próbę, bo w Ameryce instytucje okazały się o niebo silniejsze niż w Polsce. Ale w obu krajach szokujące było, jak błyskawicznie liberalna demokracja zamienia się w eldorado dla kapryśnych władców. W polskim przypadku dla władcy nawet niemającego do sprawowania niczym nieograniczonych rządów żadnego mandatu. Wschód rzucił wyzwanie Zachodowi, w Polsce o tyle silniejsze, że Wschód ze swoimi wzorcami, mentalnością i zależnościami był tuż-tuż.

Zgodnie z jakąś dziwną regułą, w czasie rządów PiS po 2015 roku protesty wybuchały nie wtedy, kiedy byłoby to zrozumiałe, za to niemal zawsze wtedy, kiedy nikt się ich nie spodziewał. W grudniu 2016 roku PiS postanowił ograniczyć dziennikarzom swobodę poruszania się po Sejmie. Właściwie nie wiadomo po co. Wiadomo było, po co niszczył Trybunał Konstytucyjny, niezależność sądów, po co masowo wyrzucano ludzi z publicznych mediów i z urzędów. Wiadomo było, po co PiS chciał „zdekoncentrować”, czytaj: podporządkować sobie, media z zagranicznym kapitałem. Ale plany ograniczenia swobody sejmowych dziennikarzy nie były odpowiedzią na pytanie: „po co”, ale „dlaczego”. Dlaczego? Bo tak. Bo możemy. Bo mamy taką ochotę. Bo to my jesteśmy władzą, a wy nie, i to my będziemy dyktować warunki, a wy macie się im podporządkować. Zwykła, charakterystyczna dla władzy autorytarnej manifestacja siły, arogancji i buty.

Gdy plany PiS zostały ujawnione, wezwałem na Twitterze do zorganizowania przed Sejmem protestu byłych i obecnych korespondentów sejmowych przeciw ograniczeniom. O dziwo, protest nawet się odbył. Był to chyba najmniej liczny protest ze wszystkich, jakie miały miejsce po przejęciu władzy przez PiS. Charakterystyczne było dla niego coś jeszcze. Lista obecności. Zebrani, jakieś 50 osób, to byli niemal w komplecie korespondenci, którzy od lat w Sejmie nie pracowali. Ci, którzy w nim wciąż pracowali, byli w większości na liście nieobecności. O proteście mediów poinformowano w mediach, ale wyłącznie dlatego, że mediów on dotyczył, skala protestu w żaden sposób bowiem relacji nie uzasadniała.

W sumie zupełnym zaskoczeniem było więc to, co stało się dwa dni później. Po wykluczeniu z obrad w czasie prac nad budżetem posła Michała Szczerby z PO posłowie opozycji zablokowali trybunę sejmową, stając wokół niej i trzymając w rękach kartki z napisem „Wolne media”. Zanim to się stało, dość niespodziewanie dostałem zaproszenie do programu „Fakty po Faktach”. Razem z Piotrem Stasińskim z „Wyborczej” mieliśmy mówić o ograniczeniach nakładanych na media, ale w ciągu kilku godzin stały się one drugorzędne. PiS, nie przejmując się wszelkimi regułami, postanowił przenieść głosowanie nad ustawą budżetową do Sali Kolumnowej, posłów opozycji i mediów w ogóle do niej nie wpuszczając. To już nie był parlamentaryzm, ale cyrk.

Odpowiadając w „Faktach po Faktach” na ostatnie pytanie Anity Werner – „co dalej?” – powiedziałem, że nie wiem, co dalej, ale wiem, co sam zrobię – za chwilę wyjdę ze studia i pojedę pod Sejm, by protestować przeciw temu, co wyrabia PiS.

Przed Sejmem w następnych godzinach zebrał się spory tłum,

ale „spory” znaczy większy, niż można było sądzić, a nie jakiś rzeczywiście ogromny. Władza znowu pokazywała opozycji i wszystkim oponentom środkowy palec, ale nie wzbudzało to nadmiernych emocji większości społeczeństwa. W sumie więc rachityczny protest najbardziej efektownie wyglądał w mediach. A już najgroźniejszy okazał się w TVP i innych mediach PiS-owskich, gdzie nazwano go puczem. PiS-owscy propagandyści za dowód puczu uznali fakt, że przygotowane były kanapki, niezależnie od tego, że – jak się potem okazało – przygotowywano je na polecenie marszałka Sejmu. A dowodem niecznych zamiarów puczystów miał być między innymi mój wpis na Twitterze, w którym wzywałem ludzi do protestu, bo trwa „zamach stanu”. W sąsiednim wpisie wyjaśniałem, że zamachem stanu jest to, co w Sejmie wyrabia władza. W PiS-owskich mediach nikt już jednak żadną prawdą się nie przejmował. Skoro puczyści sami pisali o zamachu stanu, to znaczy, że chcieli go przeprowadzić, a więc pucz był.

Sejmowy protest opozycji potrwał ponad trzy tygodnie. Zanim się skończył, na polu bitwy leżały dwa trupy. Ofiarami nie byli jednak ludzie, którzy padli w sejmowym boju. Mateusz Kijowski potknął się o faktury, Ryszard Petru – o bilety lotnicze do Portugalii.

Protest skończyłby się kompletną klęską, gdyby PiS po drodze nie wycofał się z ograniczeń dla dziennikarzy, co opozycja skwapliwie uznała za swój sukces. Nawiasem mówiąc – słusznie. Nie zyskała tym jednak przychylności wielu dziennikarzy, którzy niezmiennie pisali i mówili o bezradnej opozycji, choć sami nie byli w stanie zaprotestować nawet we własnej sprawie, a wszystko załatwiła za nich właśnie opozycja.

W pierwszym styczniowym numerze „Newsweeka” na okładce

znaleźli się Mateusz Kijowski i Ryszard Petru, a kilka tygodni później, również w niezbyt korzystnym świetle, Grzegorz Schetyna. Dlaczego tak? Bo takie były najlepsze propozycje naszych autorów i najlepsze w numerze teksty. W tym momencie zderzały się dwie logiki. Podczas gdy PiS-owskie media brały polityków opozycji pod buty za ich „antypaństwowy pucz”, media władzy nieprzychylnie krytykowały ich za wpadki i błędy. To może w jakimś stopniu wyjaśniać kiepskie notowania polityków opozycji w rankingach zaufania. W mediach dostają oni bowiem w kość – od propagandystów PiS-owskich zawsze, a od dziennikarzy niezależnych czasem. Politycy PiS w PiS-owskich mediach krytykowani nie są nigdy. Mają swoje media, swój przekaz i swoją prawdę. Niezgodną z rzeczywistością? A któż by się na propagandowym froncie przejmował takim drobiazgiem jak rzeczywistość. Jarosław Kaczyński reanimował *Rok 1984*, podnosząc literaturę do rangi rzeczywistości. Jest w tym realu i Wielki Brat, są i godziny nienawiści, są i wrogowie ludu.

Gabinet przewodniczącego Rady Europejskiej jest raczej surowy i ascetyczny. Jego lokator mógłby pozazdrościć gabinetu każdemu prezesowi każdej większej spółki skarbu państwa. Zwykle, proste meble, jakaś grafika na ścianie, kilka zdjęć z najbliższymi, obok wyeksponowane zdjęcie z ukochanym psem. Prawica szydzi z szefa rady, że jest „królem Europy”, ale król z pewnością nie ma zamiłowania do przepychu. A wygląd gabinetu i jego okolic przeczy opowieściom o bizantyjskich unijnych instytucjach. Może inne takie są, ale ta – nie.

Na początku grudnia 2016 roku przyjechałem do Brukseli, by zrobić wywiad z Donaldem Tuskiem. Przy okazji mieliśmy pierwszą od ponad dekady okazję, by dłużej porozmawiać.

Wywiadów z Tuskiem miałem w tym dziesięcioleciu wiele, ale rozmowa z wywiadowanym, gdy reflektory są zgaszone, a kamery wyłączone, to zupełnie coś innego. Przy okazji wywiadów w TVP czy w kancelarii premiera normalnej rozmowy właściwie nigdy nie było. Zresztą nie tylko z Donaldem Tuskiem. Nigdy nie rozmawiam z politykiem ani przed wywiadem, a zwykle i po nim, o tym, o czym dyskutowaliśmy w trakcie wywiadu. Z premierem Tuskiem na ogół rozmowy wyglądały więc tak samo - krótka wymiana złościwości na temat Barcelony (z mojej strony) i Realu Madryt (z jego), ile biegasz, jak forma, noga boli, krzyż lepiej, Kowalczyk świetnie pobiegła. Uprzejmie, a nawet miło, ale nijak to się miało do rozmów, które prowadziliśmy kiedyś. W czasie, gdy powstawała Platforma czy gdy Donald Tusk był wicemarszałkiem Sejmu i zastanawialiśmy się, co dalej z polską polityką. Pamiętam, że gdzieś na początku 2004 roku sugerowałem mu, że nieuchronny jest jego start na prezydenta, co zdawał się przyjąć z zaskoczeniem, w które ja nie do końca chyba wierzyłem.

Moje rozmowy z Donaldem Tuskiem zawsze były trochę jak sympatyczna, ale jednak partia szachów. Na niektóre tematy rozmawia się zupełnie szczerze, ale pewnych pytań się nie zadaje, bo odpowiedzi i tak się nie uzyska, a tylko powstanie kłopotliwa sytuacja. Gdy w wywiadzie pytałem więc Tuska - swoją drogą, jak on musi być znudzony tym pytaniem - czy wróci do polskiej polityki, wiedziałem, co mi odpowie, i że będzie to raczej unik. Musiałem jednak spytać, ot, taki rytuał. Ale w długiej rozmowie prywatnej, już po wywiadzie, tego pytania nawet nie zadawałem. Nie tylko dlatego, że nie odpowiedziałby mi szczerze, ale raczej dlatego, że - jak czułem - sam tego po prostu nie wie. Lepiej było porozmawiać o Polsce, o rytmie zdarzeń i politycznych cyklach,

o elektoracie i o tym, co, kiedy i dlaczego jest ważne, a co ważne na przykład w ogóle nie jest, choć może być powinno. Oczywiście także o tym, co myślimy o panu X, pani Y, panu Z, prezydencie D czy jego przełożonym K.

Pytania o powrót do polskiej polityki nie było co zadawać, bo było i jest oczywiste, że jest to równanie z bardzo wieloma niewiadomymi. W jakim punkcie będzie Polska za kilka miesięcy, nawet to zwykle jest tajemnicą. A za kilka lat? To już niemal abstrakcja. W jakim punkcie będzie opozycja? W miarę zintegrowana czy rozbita? A obóz władzy – zjednoczony, pękający czy skłócony? Antydemokratyczna i antykonstytucyjna ofensywa rządu – dokończona czy z powodu perturbacji porzucona w pół drogi? A przede wszystkim – miałem poczucie, że to dla Donalda Tuska jest najważniejsze – w jakim punkcie będzie elektorat i jakie będą jego emocje? Czy romans z PiS będzie wygasał, czy nie? Czy niechęć do Platformy będzie wciąż żywa – i to nie tylko wśród zwolenników PiS, bo to akurat oczywiste – czy nie? Czy miejsce dla jakiejś nowej formacji powstanie, czy nie? Czy apetyt na ewentualny powrót Tuska będzie rósł i jak bardzo? Wyobrażam sobie, że ważne będą także motywy czysto osobiste. Czy PiS-owcy dopieką mu aż tak, że będzie pragnął rewanżu, czy będą to dla niego irytujące, ale jednak detale? Czy jego żona i córka będą go zachęcały do powrotu do polskiej polityki, czy gorąco go do tego zniechęcały? Wszystko to mogło być ważne, a to, co pozornie mniej ważne, mogło być decydujące.

Nastrój elektoratu. Tu Donald Tusk wdał się w długie rozważania o emocjach i o falach. Miał już za sobą dość przegranych, a potem wygranych wyborów, by wiedzieć, czym są wybory w różnych politycznych epokach. Dokładniej rzecz biorąc – czym jest wiosłowanie albo żeglowanie wbrew falom i wiatrom,

a czym to samo zajęcie, gdy czujesz, że wiatr ci sprzyja. Generalnie w tej pierwszej sytuacji możliwe jest tylko ograniczenie strat, w tej drugiej – zwycięstwa i triumfy.

Polityczne wiatry nie są oczywiście tylko kwestią kaprysu pogody. Politycy mogą im sprzyjać, ale ich wewnętrzna dynamika jest jakąś wielką tajemnicą. Nagle opinia milionów ludzi, niemających ze sobą żadnego kontaktu, zmienia się w istotny sposób, jakby następowały jakieś tektoniczne ruchy. Przez długi czas zresztą owe zmiany nie są rejestrowane, nie pokazuje ich żaden sondaż, żaden sejsmograf. Nagle jednak zsumowane miliony kropek dają zupełnie inny obraz, zmiana tektoniczna objawia się jako nie tylko wielka, ale i trwała. Nastrój kraju się zmienia.

Możesz być kibicem Barcelony albo Realu, Legii albo Lecha, ale to nieważne. Jeśli umiesz czytać grę, wiesz, jakim bezsensem jest przewidywanie wyniku. Rozumiesz, jakie detale decydują o przebiegu gry. Możesz szacować, kto ma jakie atuty i które z nich w jakiej sytuacji mogą zagrać, ale to by było na tyle. Z polityką jest podobnie. Gdy więc po rozmowie z Donaldem Tuskiem wielu ludzi pytało mnie, czy Tusk wróci do polskiej polityki, uczciwie odpowiadałem, że nie wiem, bo nie pytałem, a nie pytałem dlatego, że nos mi mówi, iż on sam nie wie. Przygląda się polu bitwy i układa równanie.

Lubię spotkania z ludźmi, zwane – nie lubię tej nazwy – wieczorami autorskimi. Te w moim wykonaniu dekadę wcześniej były przez niektórych nazywane złośliwie wiecami politycznymi. Może inni autorzy z nazwą „wieczór autorski” nie mają problemu, bo ich wieczory są o książkach. W moim przypadku wieczory są o Polsce, a książka jest tylko pretekstem. Tak było i jesienią 2016

roku, gdy ruszyłem w Polskę z tak zwaną promocją książki *A nie mówiłem*. Tytuł odnosił się do smutnej trafności moich przewidywań w sprawie tego, co się stanie, gdy PiS wygra wybory i zdobędzie władzę. Wiem, mógł być irytujący. W zasadzie każdy, kto mówi „a nie mówiłem”, budzi złość otoczenia, nie tylko dlatego, że miał rację, ale także dlatego, że głośno to mówi. Swoją drogą, tytuł najbardziej zirytował tych, którzy przed wyborami twierdzili coś zupełnie innego niż ja. Wszyscy ci zdystansowani, którzy mędrkowali, że „nie ma co straszyć PiS”. Ci w istocie nie mieli prawa powiedzieć „a nie mówiliśmy”, bo rzeczywiście „nie mówili”, mówili coś dokładnie przeciwnego.

Na moich spotkaniach padało wiele pytań, ale wszystkie sprowadzały się do jednego. Nie znałem na nie odpowiedzi, ale samo pytanie, zadawane przez tylu ludzi w tak wielu miejscach w kraju, mówiło wszystko o nastroju części Polski – „ile to wszystko potrwa”. Ludzie na tych spotkaniach naprawdę nie przypominają beneficjentów upadłego systemu, oderwanych od koryta ludzi poprzedniej władzy. To najzwyczajniejsi obywatele. A jeśli trochę niezwykli, to w tym sensie, że wykazujący ponadprzeciętną troskę o to, co się w Polsce dzieje i co się z Polską zdarzy.

W ciągu minionych ponad 20 lat takich spotkań z publicznością miałem naprawdę bez liku. Ale takiego nastroju nie było nigdy. Oczywiście dobrze wiedziałem, że gdzieś poza salą, w której odbywało się spotkanie, było wielu ludzi, cała masa, może nawet większość, która tych uczuć nie podzielała. Przeciwnie, miała poczucie triumfu z wygranej i rządów swoich oraz satysfakcji ze skutków tych rządów. Pewnie jeszcze większa była grupa tych, którym to, kto rządzi, było doskonale obojętne. Tak, to oczywiste.

Mówię jednak o czymś innym. Dla wielkiej rzeszy Polaków rządy PiS nie były tylko czymś, co się nie podoba i co się odrzuca, były czymś więcej - wyzwaniem estetycznym rzuconym poczuciu dobra, przyzwoitości i szacunkowi dla prawdy. Były też po prostu najprawdziwszą traumą. Może też dlatego, że władcy zdawali się podśpiewywać refren z internetowych forów dedykowany pokonanym i ich zwolennikom - „Boli? Ma boleć”.

Pytanie „jak długo to potrwa” było więc w rzeczywistości prośbą o stwierdzenie, że nie za długo, nie dłużej, niż zdołamy wytrzymać w tym wariatkowie. „Nie wiem jak długo”, odpowiadałem uczciwie. To w dużym stopniu zależy od nas, dodawałem, stwierdzając ze smutkiem, że na razie egzamin oblewamy, protestujemy za cicho, za mało, za późno. Że władza tę naszą słabość dostrzega i ją wykorzystuje. Że Kaczyński w gruncie rzeczy jest tchórzem i gdyby zobaczył, że ma się czego bać, wystraszyłby się śmiertelnie, ale widząc, że ci, których nienawidzi, nie stanowią zagrożenia, ma dla nich tylko pogardę, a wyczuwaną słabość traktuje jako zachętę do kolejnych aktów zemsty i sadystycznego pogwałcania wroga.

Z dwóch niewiadomych - co będzie z władzą i co będzie z ludźmi - wiedziałem coś o pierwszej: że władza cyników i kłamców ulegnie degeneracji, bo na fundamencie kłamstwa i manipulacji może wyrosnąć tylko chwast. Ale czy społeczeństwo powie w którymś momencie dość? Tego nie wiedziałem. A patrząc, jak rachityczne były protesty przeciw niszczeniu demokracji i wywalaniu do śmietnika wspaniałych sukcesów Polski, byłem raczej pesymistą. Słowa „to zależy od nas” powinny więc być zachętą, ale były raczej smutną konstatacją. Choć, wiadomo, nasz naród jak lawa... Tak samo jak zastygła lawa wydaje się stanem trwałym, tak i erupcja wulkanu może być

równie zaskakująca co naturalna. „Oni są słabi, ich arogancja jest twarzą triumfu, ale i skrywa strach, gdy ten układ zacznie się sypać, posypie się całkiem szybko i dokumentnie”. To mogłem powiedzieć z pełnym przekonaniem. A kiedy? Tektoniczne zmiany gdzieś tam na dole trwają. Przyjdzie czas, gdy pewnego dnia stwierdzimy po prostu – stało się.

Niekiedy zastanawiam się, co by było, gdyby PiS czasem zdjął nogę z hamulca. Program 500+ jest dość powszechnie oceniany dobrze, sam oceniam go, mimo jego defektów, dobrze, władza wywiązała się z kilku obietnic, prawda, nawet z tych, z których w interesie kraju nie powinna się wywiązywać, ale jednak. Gospodarka wciąż miała się nieźle, w ogromnym stopniu dzięki świetnej międzynarodowej koniunkturze, ale jednak. Więc w zasadzie, po co ta wojna z sojusznikami? Po co obrażanie Polaków? Po co niszczenie ludzi? Po co wykopywanie między Polakami nieprzekraczalnego rowu? Po co te wszystkie kłamstwa? Po co? Bo Polaków trzeba na siebie poszczuć, by nasi nie mogli tak łatwo przejść na drugą stronę. Drugą stronę trzeba zohydzić, żeby nasi byli zdani na nas, a wygraną tamtych uważali za wygraną diabła i zwycięstwo zdrady. Musi być wróg, musi czyhać na nasz kraj, na naszą przyszłość, bo bez tego nie zmobilizujemy swego elektoratu. Wroga zewnętrznego wymyślił Putin, mają go Erdoğan i Orbán, musi mieć go i PiS.

Jarosław Kaczyński wymontował wszystkie bezpieczniki, które w normalnym państwie hamują niezdrowe zapędy władzy. Jeden straciliśmy wcześniej. Nastąpiło to w kwietniu 2005 roku. Mam przekonanie, że gdyby Jan Paweł II żył, aż tak źle by w Polsce nie było. Nie dlatego, że mitologizuję jego postać. Raczej doceniam po prostu jej wielkie znaczenie. Papież był jak może mieszkający

daleko, ale kochany i szanowany ojciec. Sam fakt, że był, mitygował, kazał ważyć słowa, zachowywać elementarną przyzwoitość. Czas niezwyklej brutalności w polskiej polityce nastąpił po jego śmierci. Nie był jej skutkiem. Ale ona pozwoliła wielu ściągnąć białe rękawiczki i założyć kastety.

W ostatnim czasie miałem wiele kontaktów z ludźmi Kościoła. Tak, przyznaję, bezpośrednich szczególnie w sytuacjach z kategorii śluby, chrzciny, pogrzeby. I za każdym razem ujęty byłem otwartością, serdecznością, mądrością księży, których spotykałem. I za to jacy byli, czasem w sytuacjach dla mnie bardzo trudnych, jestem im wdzięczny. Mówię o tym, by zaznaczyć, że nie będę hurtem krytykował i potępiał - „bo ci księża”, „bo oni wszyscy”. Nie ci, nie wszyscy. Są różni. Tak jak my. I dobrze. Ale to, że, dzięki Bogu, są różni, nie zmienia mojej bardzo krytycznej opinii o tym, co Kościół w tych ostatnich szczególnie latach robi i - co może czasem jeszcze gorsze - czego nie robi. Bo często jego najbardziej eksponowani przedstawiciele mówią rzeczy okropne. Bo jego najważniejsze postaci milczą, gdy milczeć nie mają prawa. A księżom mądrym i dobrym, którzy milczeć nie chcą, ten sam Kościół, który toleruje słowa złe, nakazuje milczenie. To, komu pozwala mówić, a komu każe milczeć, jakie słowa toleruje, a jakich znieść nie jest w stanie, samo w sobie jest jak akt oskarżenia.

Kościół rzymskokatolicki w coraz większym stopniu jest Kościołem narodowym. Czasem można odnieść wrażenie, że dla niego ważniejsze od przesłania, że Bóg jest miłością, jest to, kto jest wrogiem, obcym i zdrajcą - Kościoła, wiary i narodu. A ponieważ wrogów, obcych i zdrajców jest bardzo wielu, trzeba się bronić. Obrona zaś wymaga murów obronnych. I tak Kościół

zamiast łączyć, włącza się w wielkie dzieło dzielenia narodu. Także w kwestii, na której, z całym szacunkiem, księży się nie znają, czyli w sprawie wypadków lotniczych.

Smoleńsk uczyniono fragmentem narodowego mitu, a ten wymaga nie ofiar katastrofy, ale ofiar zamachu, czynu strasznego. Kościół, nakazujący ludziom mówić prawdę i spowiadać się z kłamstwa, wniósł wielki wkład w dzieło budowy największego kłamstwa w polskiej historii, kłamstwa smoleńskiego. Przesadzam? Mówię o tym mniej dosadnie niż dominikanin, ojciec Ludwik Wiśniewski. „Te miesięcznice wydają się prawdopodobnie uczestnikom gorliwą modlitwą, ale tak naprawdę – ośmielam się to głośno i zdecydowanie powiedzieć – są judzeniem i dzieleniem narodu. I należałoby wreszcie skończyć z wykorzystywaniem eucharystii do celów politycznych, i to moralnie dwuznacznych, bo to jest naprawdę bałwochwalstwo. W ciągu sześciu lat [teraz już grubo więcej – T.L.] wygłoszono z ambony setki niegodnych Kościoła i dzielących naród kazań” – pisał.

Ojciec Wiśniewski przypomina, jak wielka euforia zapanowała w Kościele po zwycięstwie PiS. Cytuje znanego księdza, profesora Bartnika, który to zwycięstwo nazwał „zmartwychwstaniem Polski”. Cytuje biskupa Meringa, który demonstracje KOD nazwał „seansami nienawiści”, i księdza profesora Bortkiewicza, według którego przeciw obecnej władzy demonstruje „grupa ogłupiałych ludzi, chamstwo i draństwo wyległo jak karaluchy na ulice”. Kościół rzymskokatolicki czy narodowo-PiS-owski, który jest na świętej wojnie z diabelską opozycją.

Niestety, Kościół zrezygnował z roli autorytetu moralnego i arbitra, a wszedł w rolę zausznika władzy. Zawarł z nią cyniczną transakcję – poparcie za benefity – i nawet nie dostrzega, jak wielką cenę za otrzymywane fanty przyjdzie mu zapłacić. Kościół

zamiast wspierać słabszych, trzyma z mocnymi i władcami. Zamiast dialogu woli nakazy, zamiast otwartego serca – karcące słowo.

Kościół nie tylko idzie ręką w rękę z władzą. Trzyma z władzą, która posługuje się językiem nienawiści. A swym de facto najważniejszym, nie rangą, ale skalą wpływów, przedstawicielem, uczynił człowieka o ciasnych poglądach, mówiącego językiem, który jest dokładnym przeciwieństwem przesłania Jana Pawła II. Kiedyś papieża Wojtyłę nazywano niekoronowanym królem Polski, dziś ojca dyrektora nazywa się jej nieformalnym prymasem. Oto skala upadku.

Kościół, podobnie zresztą jak ta władza, zdaje się nie przepadać nawet za głową Kościoła. Traktuje on bowiem papieża Franciszka tak, jak komuniści w ZSRR traktowali Gorbaczowa – miękkim, liberalnym przesłaniem, otwarciem na innych osłabia instytucję, do czego to wszystko doprowadzi, no do czego.

Nie piszę tego jako wróg Kościoła, ale, tak, jako jego członek. Wojna z Kościołem nie ma w Polsce sensu, ale walka z tym, czego Kościół w ostatnim czasie często broni albo co przynajmniej toleruje, ma głęboki sens. Mądry Kościół, łączący Polaków, budujący mosty, wciąż jest w Polsce potrzebny. Jeśli nie znajdzie swej drogi, może dojść do tego, o czym komuniści mogli tylko marzyć – do rozvodu Kościoła i społeczeństwa.

Z letnich wakacji w 2017 roku wróciłem w połowie lipca. Kilka dni wcześniej PiS-owska większość, która wcześniej zniszczyła Trybunał Konstytucyjny, wzięła się za sądy powszechne, Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa. Była niedziela. Trochę z rozpędu poszedłem z Igą na demonstrację przed Sejmem. Demografia znowu była, mam nadzieję, że nie zabrzmi to jak

ageizm, solidnie deprimująca. Miałem wrażenie, że byłem najmłodszy, a moje nastoletnie dziecko było w tym towarzystwie jak kosmitka z innej planety. Tak jak na innych demonstracjach w ciągu minionego ponad półrocza, młodych ludzi właściwie nie było. Jakby to wszystko, co się w Polsce działo, ani ich nie dotyczyło, ani nie obchodziło. Nie obchodziło ich to, co się działo w Polsce, czy może odrzucała poetyka protestów? Moje córki na tych wszystkich KOD-owskich protestach trochę się męczyły i pierwszy raz autentycznie wielki entuzjazm widziałem u nich w czasie czarnego protestu, silnego, masowego, spontanicznego. Moje wtedy 16-letnie dziecko zamieściło w internecie swoje zdjęcie w T-shircie z napisem: *My body, my choice*, z czym miałem pewien problem. Nie z T-shirtem, z napisem czy ze zdjęciem, ale znając naszą internetową prawicę, wiedziałem, że za chwilę wyleje się na nią fala ścieku. – Trudno, niech się wyleje, to oni mają problem, nie ja – powiedziała Iga. Podobała mi się ta asertywność i całkiem dorosła świadomość, że swoich poglądów trzeba bronić, a także – jeśli to konieczne – za tę obronę płacić cenę.

W lipcu 2017 roku znowu objawiła się wewnętrzna tajemnica społecznych protestów. Niedzielna demonstracja przeciw zamachowi na sądy była stateczna i niemrawa. Ale gdy kilka dni później, teraz z Polą, szliśmy na kolejną demonstrację, tym razem przed Pałac Prezydencki, młodych ludzi była już cała masa. A gdy demonstracja ruszyła z Krakowskiego Przedmieścia w stronę Sejmu, po godzinie był już tam ogromny tłum, głównie młodych. Skąd się wzięli? Dlaczego teraz ich to obchodziło, a kilka dni, kilka tygodni i kilka miesięcy wcześniej, zdawało się, zupełnie nie? Trudno powiedzieć. Czułem tylko, że w gazetach za chwilę przeczytam mnóstwo analiz o przebudzeniu młodych i nowej

jakości w ruchu protestu przeciw władzy. Tymczasem nos podpowiadał mi, że przebudzenie, owszem, nastąpiło, ale jest raczej chwilowe. Co wcale nie przekreślało możliwości, że za jakiś czas fala wróci ze zwielokrotnioną siłą.

Po tygodniu protestów prezydent Duda, robiąc tradycyjnie heroiczno-cierpiętniczą minę, powiedział, że ustawę o sądach powszechnych podpisuje, ale dwie inne, o Sądzie Najwyższym i KRS, wetuje. Po stronie protestujących czuć było entuzjazm, jakby to było nasze zwycięstwo. Nie miałem wątpliwości, że o zwycięstwie nie ma mowy. Była to typowa rozgrywka w obozie władzy. Nie bardzo wiedziałem, jak ktokolwiek od dwóch lat obserwujący Andrzeja Dudę przez sekundę mógł uwierzyć, że idzie mu o jakieś zasady, o państwo prawa, o wymiar sprawiedliwości, niezawisłość sędziów czy niezależność sądów. Duda czuł się po prostu dotknięty, że w podziale łupów zupełnie go nie uwzględniono, a jego dawny szef Zbigniew Ziobro nie chciał zaakceptować hierarchii dziobania, która właśnie prezydentowi powinna dawać prymat w niszczeniu wymiaru sprawiedliwości w Polsce.

Dwa weta nie były krzykiem, że jest granica, której w niszczeniu państwa i wymiaru sprawiedliwości nie pozwolę wam przekroczyć. Była piskiem – proszę, ja też w waszym dziele chcę mieć swój udział, proszę, śmieją się ze mnie, że jestem tym Adrianem, wyczekującym pod gabinetem prezesa, proszę, okażcie mi szacunek, a przynajmniej udawajcie, że go macie. Przecież jestem tym prezydentem, żona na mnie patrzy, i tata, i córka, a teść i szwagier to chyba nawet śmieją się ze mnie pod nosem, i wszyscy mówią o mnie Adrian, Adrian, a ja jestem Andrzej, a nie Adrian, i proszę, naprawdę proszę, traktujcie mnie, jakbym był tym prezydentem.

Prezes Kaczyński doskonale wyczuł, że Duda nie chce ani władzy, ani niezależności, chce tylko pozorów i te pozory postanowił mu czasem dawać.

Jarosława Kaczyńskiego nigdy nie uważałem za wybitnego stratega czy męża stanu. Raczej za bystrego oportunistę, który ze swych kompleksów i frustracji uczynił fundament filozofii politycznej, ze swej niechęci do realnych i domniemanych wrogów zrobił motor własnych działań. A ponieważ był sprawnym operatorem politycznym, miał zmysł obserwacji i wielką determinację plus odrobinę szczęścia, doszedł, gdzie doszedł. Z partii PiS uczynił swą partię prywatną. Z brata - prezydenta i podwykonawcę. Z tragedii smoleńskiej zaś - sposób na integrację swego politycznego obozu, narzędzie do diabolizacji politycznych przeciwników, wytrych do schowka na polski mesjanizm, który potrzebował ofiary, choćby i całkowicie nonsensownej. Tak, Kaczyński był sprawny, wystarczająco sprawny, jak się okazało.

Kaczyński oczywiście ma też autentyczne talenty. Jest mrocznym, podstępny, posepnym i wyrachowanym, a nawet podłym, ale wybitnym znawcą ludzkich kompleksów, słabości i defektów. To zaś czyni go wybitnym mistrzem politycznego castingu. Gdyby w Hollywood ustanowić stanowisko głównego specjalisty od obsady ról kamerdynerów, miernot, marionetek, ludzi słabych i miernych, zajmować je powinien właśnie on. Partia PiS jest bowiem jednym wielkim dowodem jego ponadprzeciętnych kwalifikacji.

Lata 2005-2007, na tle wszystkiego, co działo się po roku 2015, były wyjątkowo lightowe. To był soft-PiS. Owszem, dochodziło

wtedy do dramatycznych nadużyć władzy, przykładem tragedia Barbary Blidy, ale generalnie niemający większości PiS miotał się w poczuciu niemocy, skrępowany przez to, co nazwano imposybilizmem, a co w demokracjach zwykle określa się jako standardy państwa prawa. PiS nie miał dość głosów, by zniszczyć Trybunał Konstytucyjny i sądy. Kontrolował wprawdzie TVP, ale miał jakieś zahamowania i nie zamienił jej w tak ordynarną maszynkę propagandową jak dekadę później. Robił PiS gesty w stronę ojca dyrektora, ale też nie tak ostentacyjne jak później, bo musiał brać pod uwagę wrażliwość prezydenta Kaczyńskiego, który nie ukrywał, że Rydzyka i tego całego nacjonalistycznego smrodku wydobywającego się z toruńskiej rozgłośni po prostu nie lubi. Poza wszystkim byli w tym PiS wciąż ludzie, którym nie można było powiedzieć – aport, zrób pajacyka, rób fikołka. Dorn i Kowal, Marcinkiewicz i Kluzik-Rostkowska, Kamiński, Ujazdowski, Poncyliusz i wielu innych. Z tymi ludźmi można się było nie zgadzać, można było z nimi polemizować, gdy pojawiali się w telewizji, mogli kręcić, ale nie łgali. Mogli odwracać kota ogonem, ale nie pluli widzowi w twarz, a w rozmowach prywatnych dało się z nimi po prostu po ludzku pogadać. To było dawno, dawno temu, za górami i lasami.

Za pierwszego PiS telewizora niemal nie wyłączałem, byłem wręcz przyklejony do TVN24. Wiadomo było, że co kilka godzin na żółtym pasku pojawi się jakaś rewelacja o czymś, co władza zamajstrowała albo co zapowiedziała. Wysokooktanowa polityka nawet potrzebowała takiej całodobowej telewizji. Zresztą z wzajemnością. Za drugiego PiS byłem już na telewizyjnej diecie, a TVN24 zastąpiłem sobie w dużym stopniu Twitterem. Po pierwsze, jest wygodniejszy w obsłudze. Po drugie, przyznaję, mój organizm, który nigdy nie demonstrował reakcji alergicznych,

nagle zaczął mieć alergię na telewizyjne występy PiS-owców i ich prymitywne kłamstwa. Szybko straciłem apetyt na oglądanie wywiadów, w których odpowiedzi były recytacją kłamstw z partyjnych przekazów dnia, w których ignorowanie pytań było standardem, a związek odpowiedzi z prawdą stał się tak luźny jak nigdy wcześniej. Straciłem też apetyt na oglądanie tych wszystkich dyskusji polityków, wyglądających jak transmisja z magla.

W jakimś sensie powinienem dziękować PiS. Nadał on mojej pracy nowy sens. Gdy nastąpiła nowa Polska, a my, młodzi dziennikarze, stawialiśmy pierwsze kroki w zawodzie, mieliśmy może trochę megalomańskie, ale autentyczne poczucie misji, służby Polsce i demokracji. Gdy demokracja stała się faktem, normą, powietrzem i oczywistością i gdy już o nic wielkiego nie trzeba było walczyć, została codzienna walka z konkurencją – o widza, czytelnika, słuchacza. Czasem ciekawa, czasem mniej, czasem inspirująca, czasem nużąca, ale raczej wyprana z wielkich idei. Należało zrobić dobry program, który miałby przyzwoitą oglądalność, albo dobry numer „Newsweeka”, który kupiłaby wystarczająco duża liczba czytelników.

Teraz, nagle, szło o coś nieporównanie większego. O obronę zasad, demokracji, prawdy i przyzwoitości. Potwierdzenie, że tak było, miałem po stokroć na ulicy, gdzie spotykałem ludzi nie tyle cieszących się, że spotykają kogoś, kogo znają z telewizyjnego pudełka, ale kogoś, kto głośno mówi to, co myślą. Jasne, nie wszyscy myśleli tak samo, wielu się to nie podobało i dawali temu wyraz. Żaden problem. Czasem robili to z wybitną ekspresją, ale w porządku, nie jestem z plasteliny i mnie nie złamią, ani z porcelany i mnie nie stłuką.

Reakcja jednych i drugich była w gruncie rzeczy bezcenna.

Tak, tym razem szło o coś na serio.

Trzeba biec

Gdybym w 1984 roku zdał na medycynę, tobym ją skończył. A nawet po oblany egzaminie spędziłbym zapewne następny rok w zielonogórskim szpitalu, zbierając punkty, które pomogłyby mi zdać na medycynę rok później. Być może wyrzucałbym na śmietnik amputowane na ortopedii kończyny, bo – jak się zorientowałem – na tym mogła polegać moja praca. Pewnie tak by było, gdyby nie czysty przypadek.

Po oblany egzaminie na medycynę pojechałem w sierpniu 1984 roku na kilka dni do Warszawy. Powtórka z medycyną była możliwa, ale czasem chodziło mi po głowie dziennikarstwo. Któregoś dnia postanowiłem więc pójść na Wydział Dziennikarstwa, żeby zobaczyć, jak wygląda miejsce, gdzie być może będę studiował. – A kolega gdzie? – zaczepił mnie przy wejściu na wydział szatniarz, starszy człowiek z praskim akcentem i trochę podejrzliwym spojrzeniem. – Wie pan, za rok być może będę zdawał na dziennikarstwo, więc chciałem zobaczyć, jak wygląda wydział. – A co, za rok matura? – Niestety, matura już była, ale oblałem na medycynę. – A, oblałeś. – Pokiwał głową ze zrozumieniem pan szatniarz. Po czym zrobił gest wzywający mnie do siebie, nachylił głowę i konfidenicznym tonem wypowiedział kilka zdań, które – jak się później okazało – miały wielki wpływ na moje życie. – Słuchaj, był tu taki jeden chłopak, też oblał na studia, i słuchaj, poszedł do Michalskiego [profesor Bogdan Michalski był szefem Instytutu Dziennikarstwa UW], a ten pozwolił mu chodzić na zajęcia jako wolny słuchacz. I rozumiesz, on chodził, tam pozaliczał, co trzeba, a za rok zdał te wstępne i był na drugim roku – powiedział. Dzyń, dzyń, dzyń –

zadzwońiło mi w głowie, że to naprawdę może być niezły pomysł. Ale czy pan szatniarz nie opowiadał jakichś bajek?

Trzeba to było sprawdzić. Kilka dni później z samego rana zameldowałem się przed gabinetem szefa Instytutu Dziennikarstwa i postanowiłem czekać do skutku, wiedząc, że tego dnia profesor Michalski będzie w pracy. Gdy się pojawił, grzecznie powiedziałem, że mam serdeczną prośbę i czy mogę na sekundę. W jakąś minutę wyjaśniłem, o co mi chodzi. - Nic ci nie mogę obiecać, powiedział, przyjeźdź 1 października, przyjeźdź tu do gabinetu i powiem ci, co robić.

1 października wypadła w 1984 roku w niedzielę, rok akademicki zaczynał się więc w poniedziałek, 2 października. W niedzielę wieczorem wziąłem moją torbę z ceraty z napisem Zastal (mój ulubiony klub koszykarski z Zielonej Góry), w środku kilka koszul, bielizna, kosmetyki, i nocnym pociągami, który z mojego miasta, to pamiętam, ruszał o 22.10, pojechałem do Warszawy. Dworzec Warszawa Centralna, 7.30. Piękne słońce, ciepło. W jakimś barze mlecznym koło dworca zjadłem śniadanie i powoli poszedłem w stronę uniwersytetu.

Ogromna większość moich koleżanek i kolegów zaczynała tego dnia rok akademicki. Ja szedłem na randkę z losem. Albo zostaję w Warszawie i zaczynam gimnastykę z tym byciem wolnym słuchaczem, albo zwijam manatki, wracam do Zielonej Góry i melduję się w szpitalu wojewódzkim. Dwie możliwości, dość od siebie odległe.

Poszedłem z tą moją torbą do Auditorium Maximum. Gaudeamus, sztandary, profesorowie w gronostajach, podniosła atmosfera. Aż mnie w środku skręciło na myśl, że być może za kilka godzin będę musiał ten świat opuścić, wsiąść do pociągu i przez następnych 10 miesięcy tylko marzyć o studiach.

Około godziny 11.00, tak jak mi polecono, poszedłem na Wydział Dziennikarstwa. - No dobra, to próbuj - powiedział profesor Michalski. Nie bardzo wiedziałem, jak i co, ale od tego już miałem życzliwego pana szatniarza, który dokładnie wiedział. Dwa semestry, proszenie każdego prowadzącego zajęcia, by pozwolił mi na nie chodzić, każdego wykładowcy, żeby pozwolił mi uczęszczać na wykłady, a potem podejść do egzaminu, załatwienie stołówki studenckiej, jakiegoś pokoju i całe wieczory oraz weekendy spędzone w bibliotece na Koszykowej. Dzięki temu, że poszedłem do szkoły rok wcześniej i nie wisiała nade mną groźba wyłączenia w wojsku, dzięki szczęśliwemu spotkaniu z panem szatniarzem oraz łaskawości profesora Michalskiego studiowałem. Niezupełnie oficjalnie, ale jednak.

Bałem się, jak to będzie za rok, gdy podejść do egzaminów wstępnych i gdy znowu stawka będzie dla mnie podwójnie wysoka. Albo studia na drugim roku, albo wojsko. Była jeszcze możliwość trzecia i z góry założyłem, że jeśli nie będę studiował, zamiast do wojska pójdę na trzy lata do pracy w kopalni. Trzy lata to więcej niż dwa, ale lubiłem Śląsk, pół życia trenowałem sport, byłem naprawdę silny i wiedziałem, że dam radę. Szczerze chciałem uniknąć tej kopalni, nie tak jak wojska, ale też, gdyby jednak nie było wyjścia, wybór byłby prosty. Scenariusz napisał jednak pan szatniarz, mówię to całkowicie serio. Egzaminy pozdawałem, zajęcia pozaliczałem, egzaminy wstępne, inaczej niż na medycynę, zdałem z przytupem i tak wylądowałem na drugim roku studiów. A rok później dorzuciłem do tego prawo.

Potem scenariusz napisał znowu ktoś inny, bo gdyby PRL padła trochę później, pewnie występowałbym dziś w pracy w todze. Dzięki panu szatniarzowi uniknąłem więc kitla, a dzięki upadkowi PRL - togi. Nieraz się zastanawiam, co bym w niej dziś robił.

Gorąco wierzę, że nie byłbym sędzią dublerem w Trybunale Konstytucyjnym ani nowym członkiem KRS albo jakimś sędzią liczącym na awans z Ziobrowego nadania.

Moje liceum stało w Zielonej Górze na - nomen omen - wzgórzu, jednym z wielu tak zwanych Wzgórz Piastowskich. Swoją drogą, dziwne, że najwyższe z nich nazywa się Wzgórzem Bismarcka, którą to nazwę władza ludowa chyba przeoczyła. Z klasowych okien na drugim piętrze rozciągał się piękny widok. Gdy pogoda była dobra, a widoczność znakomita, przez skierowane na wschód, jakby prosto w stronę Warszawy, okna widać było odległy horyzont. Siedząc w tej klasie, szczególnie na matematyce, gdy czasem śmiertelnie mi się nudziło, patrzyłem na ten widok, zastanawiając się, co tam jest gdzieś daleko, co przyniesie przyszłość.

Nie ukrywam, że po prawie 35 latach wciąż z wdzięcznością myślę o panu szatniarzu i o dobrym losie, który mnie z nim zetknął. Prawie 30 lat pracy w zawodzie, który lubię, opisywania i opowiadania o rzeczach, które mnie fascynują, w kraju, który zmieniał się w zupełnie fantastyczny sposób. Bilet na tę podróż był lepszy niż szóstka w totka.

Dziennikarstwo ma sens. Złe, pełne oportunistów, koniunkturalizmu i zwykłego tchórzostwa antydziennikarstwo to wielki sojusznik autorytarnej władzy. Ale dziennikarstwo prawdziwe, wolne, jest demokracji potrzebne jak tlen. Bez wolnych mediów ona usycha, umiera. PiS-owska władza chciała i dalej chce niezależne media wziąć pod but, nazywając to ich repolonizacją czy dekoncentracją, mniejsza o słowo, mające skryć realną treść. Wystraszyła się na szczęście po naciskach z zagranicy i dała spokój. Na razie.

Tak, dziennikarstwo ma sens, ale czy jest ono w stanie w jakimkolwiek stopniu powstrzymać proces przechodzenia demokracji w autorytaryzm, państwa prawa - w zamordyzm? Przykład Rosji tego nie potwierdza. Turcji i Węgier - też nie. Czy więc dziennikarze nie są heroldami przegranej sprawy i relacjonują jedynie upadek demokracji?

Dziennikarstwo to coś więcej niż praca. To pewien stosunek do rzeczywistości. Sposób patrzenia na nią. Także opowiadania o niej. Dziennikarstwo jest, i słusznie, zazdrosne. Domaga się wyłączności w tym sensie, że gdy się je uprawia, wymagane przez nie patrzenie na rzeczywistość, stosunek do niej i wszystko, co z tego wynika, musi mieć priorytet. Ale to nie jest wyłączny sposób patrzenia na rzeczywistość i zderzania się z nią. Mam coraz większe wątpliwości, czy w czasach, gdy demokracja pada, jest to sposób najlepszy. Sprowadza się ono bowiem często do opowiadania, jak kurczy się przestrzeń wolności, a więc także o tym, jak mało miejsca, coraz mniej, na dziennikarstwo pozostaje. W polskich mediach ośrodki bezdyskusyjnie niezależne wobec władzy, a także zwykłego ludzkiego oportunisty, są już bardzo nieliczne. Jest ich w gruncie rzeczy kilka. To dość, by czasem krzyczeć, ale za mało, żeby cokolwiek zmienić.

Obywatelem się jest zawsze, dziennikarzem się bywa. Obywatel musi więc sobie odpowiedzieć na pytanie, jak najlepiej mierzyć się z rzeczywistością. I wyciągnąć z tej odpowiedzi wnioski. Jeśli trzeba - radykalne.

Gdy kraj przestaje być całkiem normalny, niektórzy korzystają z innej możliwości i wybierają kraj normalny. Tej opcji jednak nie widzę. Gdy dzieją się rzeczy złe, większą winę niż ci, którzy tego nie widzą, ponoszą ci, którzy wolą zamknąć oczy. A ponieważ to jest mój kraj, chcę walczyć o to, by był normalny, fajny,

tolerancyjny. Demokracja, praworządność i konstytucja zasługują na to, by ich bronić. Populizm, autokratyzm, tyrania wymagają tego, by z nimi walczyć. Republikę trzeba podtrzymywać, dobrą politykę, taką, która nie jest mała, ciasna i wulgarna, należy wspierać.

Polska, całkiem niespodziewanie, dała mi, chłopakowi ze średniego miasta, prawdziwą szansę. Może trochę przez przypadek. Chciałbym, by każda dziewczyna czy chłopak z każdej Zielonej Góry w Polsce dostawali taką szansę wcale nie przez przypadek. Chciałbym Polski otwartej, różnorodnej, kolorowej i uśmiechniętej. Dobrej i empatycznej dla słabych, potrafiącej egzekwować od silnych. Silnej umiejętnością szukania dialogu, a nie siłą głosu władzy. Pewnej siebie, ale nie aroganckiej. Dumnej, ale nie butnej. Patriotycznej, ale nie nacjonalistycznej. Nigdy niezapominającej o bohaterach, ale zdolnej do tego, by przyznać się do błędów. Polski mądrej i Polski wielkiego serca – wyrastającej z tradycji AK, pierwszej Solidarności i z przesłania Jana Pawła II. Wielkiej moralnie, a nie ciasnej intelektualnie. Umiejącej wybaczać i prosić o wybaczenie. Stojącej prosto i umiejącej się w pokorze pochylić.

W Warszawie pierwszy raz byłem 26 września 1977 roku. Pamiętam, bo mam obsesyjną pamięć do dat. Po przyjeździe ruszyliśmy z mamą w kierunku Nowego Świata, gdzie wsiedliśmy w autobus numer 122. Pierwszym celem w stolicy musiały być Powązki i groby bohaterów mojej młodości, Alka, Zośki i Rudego. Kilka miesięcy wcześniej na ekrany kin wszedł film *Akcja pod Arsenalem*. Na brzoźowych krzyżach wisały harcerskie chusty i tarcze szkolne z całego kraju. Widać, że tak jak dla mnie, to miejsce było ważne dla dzieciaków z całej Polski. Mieć wolną

Polskę, za którą nikt nie musi umierać – naprawdę wiele pokoleń o tym marzyło. Ale to, że, dzięki Bogu, nie trzeba umierać, nie znaczy, że nie trzeba o nią mądrze walczyć. Tym bardziej gdy – jak pisał poeta – to wcale nie wymaga wielkiego charakteru, bo wystarcza odrobina niezbędnej odwagi, a w gruncie rzeczy jest to sprawa smaku.

Czasem myślę, że w żaden sposób na to nie zasługując, wygrałem w wolnej Polsce rzeczywiście fantastyczny bilet. Może po prostu nadszedł czas, by za niego zapłacić, walcząc o to, co wtedy, prawie 30 lat temu, dostało się za darmo i z czego się radośnie czerpało. Tak może być i to przyjmuję. Ze spokojem i zpokorą. I wyciągam z tego wnioski. Jeśli trzeba – radykalne.

Będąc w szkole podstawowej, uprawiałem pływanie w klubie Transbud Zielona Góra, mieliśmy tam kiedyś klubowe mistrzostwa. Za pierwsze miejsce na każdym dystansie, oprócz dyplomu, dawali bombonierkę marcepanową. Za drugie – czekoladę z orzechami. Dzisiejsze dzieci oczywiście nie mają pojęcia, jak wartościowe to były nagrody. Po czterech wyścigach na czterech dystansach miałem już cztery bombonierki z marcepanowymi czekoladkami, podszedłem więc do siedzącego na trybunach ojca i zapytałem, czy skoro za drugie miejsce jest ta czekolada z orzechami, to mogę być drugi. – Masz walczyć o wygraną, czekoladę jakoś zdobędziemy – powiedział. Potem mi to wytłumaczył – w sporcie, jak w życiu, nie zawsze się wygrywa, czasem trzeba przegrać, to normalne i to żaden wstyd. Wstydem jest nie zrobienie wszystkiego, by wygrać.

Jestem w wieku, kiedy naprawdę serio myślę o tym, jaki kraj zostawimy naszym dzieciom i wnukom. Córki mam już właściwie dorosłe. Pola, po roku na studiach w Ameryce, powiedziała, że

zdecydowanie bardziej niż Amerykę, Nowy Jork i Manhattan woli Polskę, Warszawę i Śródmieście, wróciła do kraju i studiuje na Uniwersytecie Warszawskim. Iga właśnie wyjechała na studia do Londynu. Za jakiś czas pewnie też wróci. Warto, to nasz obowiązek, robić wszystko, by Polska była krajem dla wszystkich i dla każdego, dobrym, otwartym, ciepłym, takim, z którego nie chce się nigdy wyjeżdżać i do którego zawsze chce się wracać. O taką Polskę trzeba walczyć, trzeba się o nią starać. Codziennie.

Po kilku latach, paru karetkach, kilku szpitalach, zabiegach i badaniach wracam do prawdziwego biegania. Czas wrócić do maratonu, o którym myślę w sensie całkiem dosłownym, ale i całkiem metaforycznym. Meta może być gdzieś daleko. Bieg może być bolesny. Ale nie można zejść z trasy. Trzeba biec. W sumie chyba właśnie o to w tym wszystkim chodzi.



Przed Belwederem, kolejny etap tworzenia rządu po pierwszych w pełni wolnych wyborach parlamentarnych. Od lewej Tomasz Lis, Zbigniew Pilachowski, Katarzyna Kolenda-Zalewska, Andrzej Morozowski, NN, Monika Olejnik oraz Tomasz Skory, listopad 1991. (fot. ze zbiorów autora)



Z Moniką Olejnik podczas parady z okazji 200. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, Warszawa, maj 1991. (fot. ze zbiorów autora)



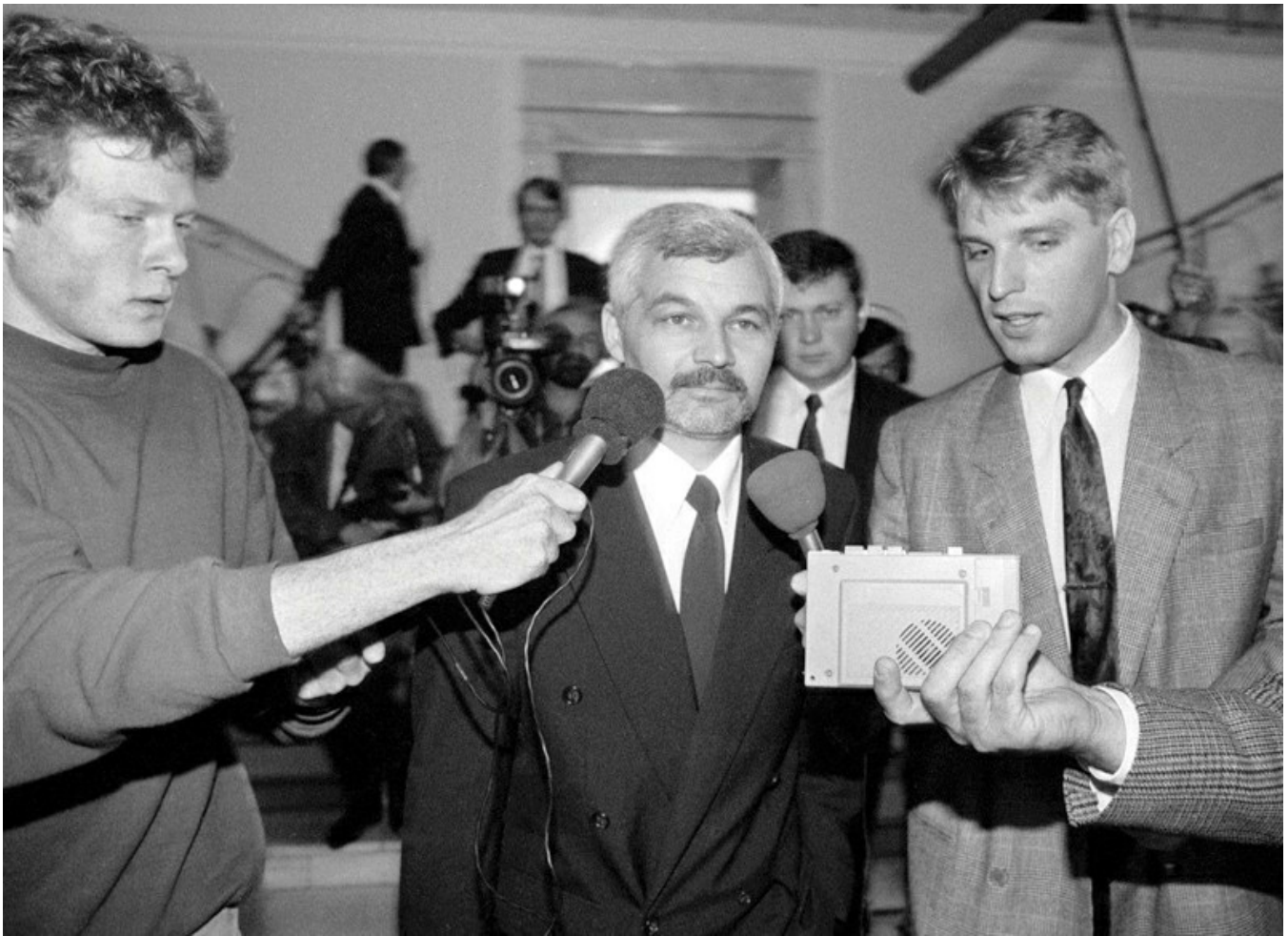
Z premier Hanną Suchocką, lipiec 1992. (fot. Jacek
Domiński/REPORTER)



Z Bronisławem Geremkiem na korytarzu sejmowym, 1992. (fot. Cezary Pecold/REPORTER)



Studio olimpijskie, Barcelona 1992. Od lewej Jacek Laskowski, Przemysław Babiaryz, Tomasz Lis (fot. ze zbiorów autora)



W kularach sejmowych. Od lewej Tomasz Lipko, premier Jan Krzysztof Bielecki, Tomasz Lis, sierpień 1991. (fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER)



„Nocna zmiana” w sejmie, z Tadeuszem Zwiefką, czerwiec 1992.
(fot. ze zbiorów autora)



Z Tadeuszem Mazowieckim i Donaldem Tuskiem, Kancelaria
Premiera, lipiec 1992. (fot. © PAP/Zbigniew Szwejkowski)



W Nowym Jorku, listopad 1992. (fot. ze zbiorów autora)



Z przyjacielem z Grecji George'em Podosem, Nowy Orlean,
marzec 1993. (fot. ze zbiorów autora)



Wywiad z Billem Clintonem, Gabinet Owalny, Biały Dom,
czerwiec 1994 rok.

(fot. ze zbiorów autora)



Arizona, lipiec 1997. (fot. ze zbiorów autora)



Pierwsze wydanie „Faktów” TVN, 3 października 1997. (© PAP/Piotr Teodor Walczak)



Z Władysławem Bartoszewskim podczas promocji książki *Wielki finał. Kulisy wstępowania Polski do NATO*, kwiecień 1999. (fot. ze zbiorów autora)



Z byłym prezydentem USA George'em H. W. Bushem oraz ministrem finansów Leszkiem Balcerowiczem podczas konferencji „Współpraca polsko-amerykańska: osiągnięcia i zadania na przyszłość”, listopad 1999. (fot. © PAP/Jacek Turczyk)



Wywiad z prezydentem George'em W. Bushem, Roosevelt Room,
lipiec 2002 r. (fot. ze zbiorów autora)



„Fakty” z Nowego Jorku, 11 września 2002. (fot. Fakty TVN/2002)



„Fakty” z Bagdadu, 1 września 2003. (fot. Fakty TVN/2003)



Wywiad z Tonym Blairem, maj 2007. (fot. ze zbiorów autora)



Ostatnie wydanie programu „Co z tą Polską” w telewizji Polsat, z udziałem m.in. Leszka Millera, Romana Giertycha, Krzysztofa Putry i Bronisława Komorowskiego, wrzesień 2007. (fot. Piotr Bławicki/SE/East News)



Wywiad z Dalajlamą, Dharamsala, maj 2008. (fot. ze zbiorów autora).



Pierwszy maraton, Warszawa, wrzesień 2009. (fot. TRICOLORS/East News)



Podczas meczu towarzyskiego TVP gwiazdy kontra dziennikarze, wrzesień 2009. (fot. © Damian Burzykowski/Newspix.pl)



Urodziny premiera Tadeusza Mazowieckiego, Warszawa 2009
(fot. Agencja Foto-reporterska T.K.J. MZ Walczuk).



Podczas wywiadu z prezydentem Dymitrem Miedwiediewem,
grudzień 2010. (fot. © PAP/EPA)



Wywiad z Hillary Clinton, lipiec 2010. (fot. Wojciech Grzędziński).



Z Robertem Dowhanem tuż po zdobyciu mistrzostwa Polski przez Falubaz Zielona Góra, październik 2011. (fot. © Mariusz Cwojda/Newspix.pl)



Maraton w Nowym Jorku, listopad 2011. (fot. ze zbiorów autora)

Approved by Like2Run

NN
MARATHON
ROTTERDAM

1981-2015
35TH
edition

NN Marathon Rotterdam **Tomasz Lis**

Rotterdam **3:03:16**

12 april 2015

5 km	20:58	25 km	1:45:32
10 km	41:54	30 km	2:07:25
15 km	1:03:13	35 km	2:29:52
20 km	1:24:16	40 km	2:53:01
HM	1:28:55	42,195 km	3:03:16

M.J. Kadiks
Directeur NN Marathon Rotterdam

Ing. A. Aboutaleb
Burgemeester Rotterdam

NN

new balance

Dyplom z Maratonu w Rotterdamie, kwiecień 2015. (fot. ze zbiorów autora).

Redaktorka inicjująca: Elżbieta Kalinowska
Redaktorka prowadząca: Dominika Cieśla-Szymańska

Redakcja: Łukasz Ramlau
Korekta: Ewelina Pawlak/Słowne Babki

Projekt okładki: Magdalena Mamajek-Mich
Zdjęcie wykorzystane na okładce: Marek Szczepański

Fragment *Love story* Ericha Segala w przekładzie Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej.

Grupa Wydawnicza Foksal informuje, że dołożyła należytej staranności w rozumieniu art. 355 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnego dysponenta autorskich praw majątkowych do ilustracji zamieszczonych w niniejszej publikacji. Z uwagi na to, że przed opublikowaniem niniejszej książki poszukiwania te w przypadku niektórych ilustracji nie przyniosły rezultatu, Grupa Wydawnicza Foksal zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania ilustracji aktualnemu dysponentowi autorskich praw majątkowych, niezwłocznie po jego zgłoszeniu się do Grupy Wydawniczej Foksal.

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel.+48 22 826 08 82
faks +48 22 380 18 01
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6443-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo